

MORGAN MATSON

Odkąd cie
nie ma



morgan matson

Odkład Cię
nie ma

Przekład
Natalia Mętrak-Ruda



Dla Amalii

Duncan

Musisz mi uwierzyć. Jesteśmy przyjaciółmi.

Cecily

Nie wydaje mi się.

Prawdziwi przyjaciele mogą na siebie liczyć w każdej sytuacji. Kiedy zgubisz się w lesie, wchodzi do niego, znajdują cię i zabierają do domu. Prawdziwi przyjaciele nigdy nie muszą cię przekonywać, że naprawdę nimi są.

Bug Juice © Andrea Hughes & Scott Hughes

Gotham Dramatists, All Rights Reserved

PODZIĘKOWANIA

Justinie! Mawiają, że tylko dobrzy ludzie umierają młodo, ale jedynie najlepsi są w stanie przeczytać ponad czterystustronicowy rękopis przez weekend, oddać go ze wspaniałymi poprawkami – i tak cztery razy. Być może masz rację, że jestem szalona, ale DZIĘKUJĘ za twoją cierpliwość, błyskotliwość, świetne uwagi i humor. I jeszcze za to, że dzięki tobie nigdy nie czułam się tak, jakby to była moja ostatnia szansa. Jestem ci niezmiernie wdzięczna.

Dziękuję mojej superagentce Emily Van Beek, która zawsze wspaniale się mną opiekuje.

Lucy Ruth Cummins jest geniuszem. Bardzo dziękuję za najpiękniejszą okładkę na świecie i za to, że włączyłaś mnie w proces jej tworzenia. Kucyki Butterscotch i Snickerdoodle już do ciebie jadą. Dziękuję też Meredith Jenks za niesamowite zdjęcia!

Jessi Kirby, gdzie byłabym ja (i ta książka), gdyby nie ty? Z całego serca dziękuję ci za twoją przyjaźń, twoją dobroć, zaangażowanie i za to, że podzieliłaś się swoim pięknym kawałkiem plaży z pisarkami w potrzebie. Nie dałabym sobie rady bez ciebie.

Mam szczęście należeć do cudownej wspólnoty pisarek, które samym swoim przykładem dają mi ogromne wsparcie i wiele mnie uczą. Całuski, cukiereczki i ciasteczka dla Lauren Strasnick, Rosy Lin, Leslie Margolis, Rachel Cohn, Jordan Roter, Anne Heltzel i Liz Werner. Dziękuję również Janet i Lee Batchlerom.

Dziękuję Alexandrze Cooper za wiele różnych rzeczy, zwłaszcza za naszą pierwszą, dwugodzinną rozmowę o tej książce, którą odbyłyśmy w Starbucksie w Teksasie.

Dziękuję wspaniałej ekipie z S&S – Danielle Young, Anne Zafian, Mary Marotcie, Paulowi Crichtonowi, Bernadette Cruz, Chrissy Noh, Katy Hershberger, Katrinie Groover i Venessie Carson. Nie mogłabym trafić w lepsze ręce.

Podziękowania i uściski dla mojej rodziny – Mamy, Jasona,

Amandy i Katie.

Dziękuję też z całego serca Amalii Ellison – towarzysze podróży, współniczce w zbrodni, najlepszej przyjaciółce.

1

LISTA

Lista dotarła do mnie dwa tygodnie po zniknięciu Sloane. Nie odebrałam jej, bo po raz kolejny poszłam do domu przyjaciółki, wiedzona nadzieją, że wreszcie ją tam spotkam. Jadąc, z wyłączonym iPodem i rękami mocno ściskającymi kierownicę, zdecydowałam, że gdyby tam była, nawet nie prosiłabym jej o wyjaśnienie. Nie kazałabym jej tłumaczyć, dlaczego nagle przestała odbierać telefon, odpisywać na SMS-y i maile ani dlaczego zniknęła razem z rodzicami i ich samochodem. Wiedziałam, że mentalne negocjacje z tym, który rozdaje kosmiczne karty, były absurdalne, ale to nie powstrzymywało mnie przed podobnym myśleniem w drodze na Randolph Farms Lane. Mogłam obiecać cokolwiek, byle tylko Sloane tam była. Bo gdyby była, wszystko znowu nabrałoby sensu.

Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że ostatnie dwa tygodnie były najgorszymi w moim życiu. W pierwszy weekend po zakończeniu roku szkolnego, wbrew swojej woli i mimo protestów, zostałam zaciągnięta przez rodziców na północ stanu. Kiedy wróciłam do Stanwich po odwiedzeniu zdecydowanie zbyt wielu sklepów z antykami i galerii sztuki, zadzwoniłam do niej natychmiast, z kluczami do samochodu w dłoni. Czekałam z niecierpliwością, aż odbierze i powie mi, gdzie jest albo że siedzi w domu, tak, żebym mogła po nią pojechać. Sloane nie odebrała jednak telefonu wtedy ani godzinę później, ani wieczorem, ani kiedy zadzwoniłam do niej przed snem.

Następnego dnia pojechałam do niej do domu, gdzie zobaczyłam tylko zasłonięte okna i puste miejsce po samochodzie jej rodziców. Nie odpowiadała na wiadomości i wciąż nie odbierała telefonu. W słuchawce słyszałam od razu głos automatycznej sekretarki, ale nie martwiłam się. Jeszcze nie. Sloane czasami pozwalała, by w jej telefonie wyczerpała się bateria i nigdy nie wiedziała, gdzie podziła ładowarkę. A jej

rodzice, Milly i Anderson, często nie pamiętali, by poinformować ją o swoich wyjazdowych planach. Zabierali ją do miejsc takich jak Palm Beach i Nantucket, z których wracała z prezentami i mnóstwem opowieści. Byłam pewna, że to właśnie się wydarzyło.

Po trzech dniach bez wieści zaczęłam się jednak niepokoić. Po pięciu wpadłam w panikę. Kiedy nie mogłam już usiedzieć w domu i wpatrywać się w ekran telefonu, w nadziei, że wreszcie zadzwoni, zaczęłam jeździć po mieście, odwiedzać nasze ulubione miejsca, wciąż wyobrażając sobie jej postać. Nigdzie jej jednak nie było: nie leżała w słońcu przy stole piknikowym w Sadzie, nie przeglądała stojaków z przecenami w „Do dwóch razy sztuka” ani nie dojadała kawałka pizzy z ananasem w Kapitanie Pizzy. Po prostu zniknęła.

Nie wiedziałam, co ze sobą począć. Zazwyczaj widywałyśmy się codziennie i bez przerwy rozmawiałyśmy lub wysyłałyśmy sobie SMS-y najróżniejszej treści, nawet tak bzdurne jak „Wydaje mi się, że w nowej spódnicy wyglądam jak amiszka, powiesz mi, jeśli tak jest?” (ja) albo „Zauważyłaś, że już od dość dawna nikt nie widział potwora z Loch Ness?” (ona). Przez te dwa lata, kiedy byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, dzieliłam się z nią niemal wszystkimi swoimi myślami i doświadczeniami, a nagła cisza wydawała się ogłuszająca. Nie wiedziałam, co zrobić, pisałam więc kolejne wiadomości i próbowałam ją znaleźć. Wciąż sięgałam po telefon, żeby powiedzieć Sloane, że nie potrafię poradzić sobie z faktem, że ona nie odbiera swojego.

Jadąc przed siebie jej ulicą, wstrzymałam oddech, jak robiłam wtedy, kiedy byłam mała i otwierałam swój ostatni prezent, przepełniona nadzieją, że to ta jedna rzecz, której jeszcze nie mam, której pragnę najbardziej na świecie.

Podjazd był jednak pusty, a w domu wciąż panowała ciemność. Mimo to zaparkowałam pod jej domem i zgasiłam silnik. Oparłam się o siedzenie, próbując powstrzymać gulę, która podchodziła mi do gardła. Nie wiedziałam już, co mam zrobić, gdzie jeszcze szukać. Sloane nie mogła zniknąć. Nie wyjechałaby, nie uprzedzając mnie.

Gdzie się zatem podziała?

Kiedy poczułam, że łzy napływają mi do oczu, wysiadłam z samochodu i zmrużyłam powieki w porannym świetle. Fakt, że dom był pusty tak wcześnie, stanowił dowód, którego potrzebowałam, gdyż Milly i Anderson rzadko wstawali przed dziesiątą. Chociaż nie spodziewałam się, że cokolwiek z tego wyniknie, podeszłam do domu i wspięłam się po szerokich, kamiennych schodach pokrytych zielonymi, letnimi liśćmi. Ich warstwa była tak gruba, że musiałam nogą odsunąć je na bok, i wiedziałam, że to najlepszy dowód na to, że od dawna nikogo tam nie było. Podeszłam jednak do drzwi, uniosłam mosiężną kołatkę z rzeźbionym lwem i zapukałam mimo wszystko, jak już pięć razy w tym tygodniu. Czekałam, próbując zajrzeć przez szybkę z boku drzwi, wciąż żywiąc cię nadziei, że za chwilę usłyszę kroki biegnącej korytarzem Sloane, która po chwili otworzy drzwi i rzuci mi się w ramiona, od razu opowiadając mi wszystko z prędkością karabinu maszynowego. W domu było jednak cicho, a ja przez szybę dostrzegałam tylko wiszącą tuż za drzwiami plakietkę ustanawiającą status domu jako „jednego ze skarbów Stanwich”, która wyglądała zawsze, jakby duchy zostawiły na niej odciski palców.

Na wszelki wypadek odczekałam kolejnych kilka minut, potem odwróciłam się i usiadłam na górnym stopniu pośród liści, ze wszystkich sił starając się nie dostać ataku hysterii.

Jakaś część mnie wciąż miała nadzieję, że obudzi się z tego bardzo realistycznego koszmaru i że za chwilę obudzę się, a Sloane będzie tam, gdzie powinna, po drugiej stronie słuchawki, już planując nasz wspólny dzień.

Dom Sloane znajdował się w miejscu, które nazywałam zawsze „pustkowiec”, gdzie domy stawały się coraz większe i coraz bardziej od siebie oddalone coraz większymi połaciami ziemi. Mieszkała dziesięć mil od mojego domu, więc kiedy byłam w dobrej formie, bez trudu pokonywałam ten dystans biegiem. Chociaż jednak nasze okolice znajdowały się niedaleko od siebie, nie mogłyby bardziej się od siebie różnić. Tutaj samochody

przejeżdżały tylko od czasu do czasu, a cisza zdawała się podkreślać moją samotność, to, że nikogo nie było w domu, i że prawdopodobnie nikt do niego nie wróci. Pochyliłam się naprzód, pozwalając włosom zasłonić mi twarz. Skoro nikogo nie było w domu, oznaczało to przynajmniej, że mogłam tu chwilę zostać i nikt mnie nie wyprosi. Pewnie mogłabym nie ruszać się stąd przez cały dzień. Naprawdę nie wiedziałam, co innego miałabym ze sobą zrobić.

Usłyszałam cichy warkot silnika i gwałtownie podniosłam głowę, po raz kolejny czując, jak nadzieja wypełnia mi serce. Samochodem, który podjeżdżał powoli, nie było jednak nieco podniszczone bmw Andersonów, lecz żółty pick-up, którego tył wypełniony był kosiarkami i grabiami. Kiedy zaparkował przed schodami, zobaczyłam na jego boku tekst zapisany stylizowaną kursywą: *Stanwich Landscaping* – przeczytałam. „Sadzonki... ogrodnictwo... ochrona roślin... i wiecheć, wiecheć więcej!”. Sloane uwielbiała wiejskie slogany i nazwy sklepów. Nie to, żeby była wielką fanką gier słownych, ale zawsze twierdziła, że lubi wyobrażać sobie, jak właściciele je wymyślali, jak zadowoleni musieli być z siebie, kiedy wreszcie podejmowali decyzje. Od razu zapisałam w pamięci haselko, żeby powiedzieć o nim Sloane i dopiero po chwili przypomniałam sobie, jakie to głupie.

Trzej faceci wysiedli z samochodu i podeszli do bagażnika, a dwóch zaczęło wyciągać sprzęt. Wyglądali na starszych ode mnie. Zamarłam na schodach, spoglądając na nich. Wiedziałam, że to dobra okazja, żeby spróbować uzyskać jakieś informacje, ale to wymagałoby zagadania do nich. Zawsze byłam nieśmiała, chociaż dwa ostatnie lata wyglądały nieco inaczej. Odkąd zaprzyjaźniłam się ze Sloane, czułam się tak, jakby otaczała mnie siatka bezpieczeństwa. Ona była zawsze gotowa grać główne skrzypce, kiedy chciałam, żeby to zrobiła, a kiedy nie, wiedziałam, że jest obok i pomoże mi, jeśli zdenerwuję się czy zirytuję. A kiedy zostawałam sama, niezręczne i nieudane interakcje nie wydawały się aż tak ważne, skoro wiedziałam, że będę je mogła wkomponować w opowieść, z której będziemy się później śmiać.

Bez niej zaczynałam sobie uświadamiać, jak beznadziejnie idzie mi radzenie sobie samej.

– Hej. – Aż podskoczyłam, zauważając, że zwraca się do mnie jeden z ogrodników. Spoglądał na mnie, osłaniając oczy od słońca, podczas gdy jego dwaj koledzy podnosili kosiarkę. – Mieszkasz tutaj?

Pozostali dwaj odstawili kosiarkę na miejsce, a ja zorientowałam się, że jednego z nich znam: chodził ze mną na angielski rok wcześniej. To czyniło całą sytuację jeszcze bardziej niezręczną.

– Nie – odparłam, słysząc od razu, jak chrapliwie zabrzmiał mój głos. Przez ostatnie dwa tygodnie rodzicom i młodszemu bratu odpowiadałam monosylabami, a coś więcej mówiłam właściwie jedynie do automatycznej sekretarki Sloane. Przełknęłam ślinę i zaczęłam raz jeszcze. – Nie, nie mieszkam tu.

Chłopak uniósł brwi, a ja wiedziałam, że to sygnał, że powinnam sobie iść. W ich oczach byłam intruzem, potencjalną przeszkodą w pracy. Teraz wpatrywali się już we mnie wszyscy trzej, wyraźnie czekając, aż sobie pójdę. Gdybym jednak porzuciła dom Sloane – gdybym poddała się tym obcym chłopakom w żółtych koszulkach – jak miałabym zdobyć jakiekolwiek informacje? Czy moje odejście oznaczałoby, że po prostu przyjechałam do wiadomości, że zniknęła?

Chłopak, który się do mnie odezwał, skrzyżował ramiona na piersi. Wyglądał na zniecierpliwionego, naprawdę nie mogłam więc już dłużej siedzieć nieruchomo. Gdyby Sloane ze mną była, umiałaby ich zapytać o cokolwiek. Pewnie udałoby jej się już zdobyć numery telefonów przynajmniej dwóch z nich i prosiłaby teraz, żeby pozwolili jej wykosić swoje imię na trawniku. Gdyby jednak Sloane tu była, nie trzeba byłoby o nic pytać. Policzki mi płonęły, kiedy zrywałam się na nogi i szybko zbiegałam po kamiennych schodach. Moje klapki ślizgały się na liściach, ale na szczęście udało mi się nie przewrócić, bo to uczyniłoby sytuację jeszcze bardziej żenującą. Skinęłam głową do chłopaków, po czym wbiłam wzrok w ziemię.

Gdy odchodziłam, oni wzięli się do pracy, podzielili sprzętem i zaczęli kłócić o to, który czym się zajmie. Chwyciłam klamkę drzwi samochodu, ale jeszcze ich nie otworzyłam. Czy naprawdę po prostu odjadę? Nawet nie spróbowałam?

– Przepraszam – powiedziałam, ale najwyraźniej niewystarczająco głośno, bo żaden z nich nawet na mnie nie spojrzał, dwóch nie przestawało kłócić się o to, na którego przypadła kolej nawożenia, a w tym czasie mój kolega z angielskiego wyginał sobie w dłoniach czapeczkę bejsbolową. – Przepraszam – powtórzyłam, tym razem zdecydowanie zbyt głośno, bo wszyscy chłopcy natychmiast spojrzeli na mnie. Czulałam, że pocą mi się dłonie, ale wiedziałam, że nie mogę się teraz zatrzymać, że nie wybaczyłabym sobie tego. – Ja tylko... yyy... – odetchnęłam z drzeniem. – Moja przyjaciółka tu mieszka, a ja próbuję ją znaleźć. Czy wy... – zorientowałam się nagle, jakbym oglądała samą siebie w telewizji, jak kretyńsko musiało brzmieć w moich ustach zadawane ogrodnikom pytanie o losy mojej przyjaciółki. – Chodzi mi o to... czy to oni zatrudnili was do tej pracy? Jej rodzice? Milly i Anderson Williamsowie?

Chociaż starałam się tego uniknąć, bezwiednie chwyciłam się tej możliwości z nadzieją, że uda mi się coś wreszcie zrozumieć. Jeśli to Williamsowie zatrudnili *Stanwich Landscaping*, może oznaczało to, że po prostu gdzieś wyjechali i chcieli, żeby w tym czasie ktoś uporządkował ich ogród. Że to tylko nieco dłuższa podróż w jakieś miejsce, gdzie nie ma zasięgu ani Internetu. I tyle.

Chłopcy popatrzyli po sobie. Nie wydawało się, by kiedykolwiek słyszeli któreś z tych nazwisk.

– Przykro mi – powiedział chłopak, który odezwał się do mnie jako pierwszy. – Po prostu dostaliśmy adres. Nic o niczym nie wiemy.

Pokiwałam głową, czując, że wyczerpałam ostatnią rezerwę nadziei. Pomyślałam sobie, że obecność ogrodników jest w zasadzie dość tajemnicza, bo nigdy wcześniej nie dostrzegłam, by Andersonowie wyrażali jakiegokolwiek zainteresowanie swoim trawnikiem, chociaż towarzystwo historyczne ze Stanwich

wielokrotnie naciskało na nich, by zatrudnili kogoś, kto zająłby się ich posiadłością.

Dwaj chłopcy zniknęli z drugiej strony domu, a ten, który kiedyś chodził ze mną na angielski, popatrzył na mnie, wkładając na głowę czapkę.

– Przyjaźnisz się ze Sloane Williams, prawda?

– Tak – odparłam od razu. Właśnie z tego powodu znana byłam w szkole, ale nigdy mi to nie przeszkadzało, a teraz tym bardziej cieszyłam się, że zostałam zidentyfikowana w ten sposób. Może coś wiedział? Słyszał jakąś plotkę? – To właśnie jej szukam. To jej dom, więc...

Chłopak pokiwał głową i przepaszająco wzruszył ramionami.

– Przykro mi, ale nic nie wiem – powiedział. – Mam nadzieję, że ją znajdziesz. – Nie spytał, jak mam na imię, a ja nie przedstawiłam się sama z siebie. Po co miałabym to robić?

– Dzięki – wymamrotałam chwilę zbyt późno, bo on zdążył już dołączyć do kolegów.

Spojrzałam raz jeszcze na dom, który nie przypominał mi już nawet dawnego domu Sloane i zdałam sobie sprawę, że jedyne, co mogę zrobić, to odjechać.

Nie pojechałam prosto do domu, lecz zatrzymałam się w Stanwich Coffee, znów przez chwilę licząc na to, że w rogu siedzieć będzie dziewczyna z niedbałym, spiętym ołówkiem kokiem na głowie, czytająca brytyjską książkę, taką, w której zamiast cudzysłowów wstawia się myślniki. Sloane jednak nie było. A w drodze do samochodu zdałam sobie sprawę, że gdyby faktycznie była w mieście, niemożliwym byłoby, żeby do mnie nie oddzwoniła. Minęły dwa tygodnie. Musiało się stać coś złego

O dziwo, ta myśl utrzymała mnie na powierzchni, kiedy wracałam do domu. Wychodząc co rano, pozwalałam, żeby moi rodzice zakładali, że spotkam się ze Sloane, a kiedy pytali, co mam w planach, mówiłam coś niejasnego o szukaniu pracy. Teraz już wiedziałam, że to dobry moment, żeby powiedzieć im, że się martwię, że muszę odkryć, co się stało. Zresztą może oni coś

wiedzą, chociaż nie przyjaźnią się z jej rodzicami. Po raz pierwszy spotkali się, kiedy Milly i Anderson przyszli do nas do domu, żeby odebrać Sloane po noclegu u nas, dwie godziny spóźnieni. Gdy wymienili się uprzejmościami, a my ze Sloane się pożegnaliśmy, tata zamknął drzwi, zwrócił się do mamy i westchnął: „Czułem się jak w sztuce Gurmana”. Nie zrozumiałam, co chce przez to powiedzieć, ale po tonie jego głosu rozpoznałam, że nie był to komplement. Chociaż nie byli przyjaciółmi, i tak mogą coś wiedzieć. Albo może przynajmniej będą wiedzieli, gdzie szukać.

Coraz silniej chwyciłam się tej myśli, zbliżając się do domu. Mieszkaliśmy niedaleko jednej z czterech, rozrzuconych po Stanwich, dzielnic handlowych. Moja okolica była przyjazna pieszym i zawsze pełna ludzi zmierzających na plażę, która znajdowała się jakieś dziesięć minut drogi samochodem od naszego do domu. Stanwich, Connecticut, znajduje się nad zatoką Long Island Sound i chociaż nie ma tu fal, można znaleźć piaszczyste plaże, piękne widoki i cudowne domy, które zamiast podwórek mają morskie fale.

Nasz dom z kolei był starą wiktoriańską kamienicą, której moi rodzice nie przestawali naprawiać, odkąd wprowadziliśmy się tam sześć lat wcześniej. Podłogi były nierówne, a sufity niskie, cały parter zaś podzielony był na mnóstwo małych pomieszczeń, które kiedyś pełniły rolę różnych saloników. Moi rodzice jednak – którzy przez lata mieszkali ze mną, a potem także z moim młodszym bratem, w maleńkich mieszkankach, zazwyczaj gdzieś nad spożywczakiem albo tajską knajpą – nie mogli uwierzyć w swoje szczęście. Nie zastanawiali się zbyt długo nad faktem, że dom się właściwie rozsypywał, że był nieszczelny, ogrzewanie jego trzech pięter w zimie kosztowało fortunę, a w lecie nie dało się go schłodzić, jako że zbudowany był przed wynalezieniem klimatyzacji. Po prostu rzucił na nich urok.

Dom pierwotnie został pomalowany na jasny fiolet, ale kolor przez lata zbladł i stał się lawendowy. Z przodu znajdował się szeroki ganek, na dachu – taras. Miał zdecydowanie zbyt wiele okien, by dało się wytłumaczyć ich liczbę jakąkolwiek logiką, i

pokój w wieżyczce, który służył moim rodzicom za gabinet.

Parkując przed domem, zauważyłam mojego brata, który siedział na schodkach na ganku całkowicie nieruchomo. To samo w sobie było zaskakujące. Beckett miał dziesięć lat i nie umiał chwili usiedzieć spokojnie, wdrapując się w miejsca przyprawiające o zawrót głowy, ćwicząc swoje ruchy ninja i beztróska jeżdżąc na rowerze po okolicy, najczęściej w towarzystwie swojej najlepszej przyjaciółki Annabel Montpelier, otoczony w promieniu pięciu mil przez groźne spojrzenia pchających wózki matek.

– Hej – powiedziałam, wysiadając z samochodu i ruszając ku schodom, nagle zmartwiona, że przez dwa ostatnie tygodnie, kiedy nie zwracałam uwagi na to, co się wokół mnie dzieje, i właściwie przesypiałam wspólne posiłki, przegapiłam coś ważnego. Może po prostu Beckett za bardzo wkurzył moich rodziców i kazali mu siedzieć na dworze? Wiedziałam, że dowiem się tego niedługo, skoro zamierzałam porozmawiać z nimi o Sloane. – Wszystko w porządku? – spytałam, wchodząc po trzech schodkach na ganek.

Spojrzał na mnie, a potem znów na swoje trampki.

– Znowu się zaczyna.

– Jesteś pewien? – podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Miałam nadzieję, że Beckett się myli: do tej pory zdarzyło się to tylko dwa razy. Może źle odczytał znaki?

Beckett wszedł za mną do pomieszczenia, które kiedyś było przedpokojem, ale które zamieniliśmy w coś w rodzaju składziku, w którym zostawialiśmy nasze płaszcze, szaliki, klucze i buty. Weszłam do domu, mrużąc oczy w słabym świetle.

– Mamo? – zawołałam, krzyżując palce w kieszeni dżinsowych szortów w nadziei, że Beckett się pomylił.

Kiedy jednak moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, przez otwarte drzwi kuchni zobaczyłam górę przedmiotów z supermarketu w sąsiednim miasteczku. Na kuchennych ladach leżały gigantyczne ilości jedzenia i różnych towarów – makaron z serem instant, ogromne pudła płatków śniadaniowych, galony mleka, niemal obsceniczny ogrom serowych mini bajgli. Kiedy

przyglądałam się temu wszystkiemu, zaczęło do mnie docierać, że Beckett miał absolutną rację. Zaczynali nową sztukę.

– A nie mówiłem? – westchnął Beckett.

Moi rodzice byli parą dramatopisarzy, którzy w czasie roku szkolnego pracowali na lokalnej uczelni Stanwich College, co było zresztą przyczyną naszej przeprowadzki. Mama uczyła dramaturgii na wydziale teatru, a tata krytyki literackiej na wydziale anglistyki. Oboje byli zajęci i zestresowani – zwłaszcza kiedy mama reżyserowała przedstawienie, a tata miał na głowie prace roczne i egzaminy studentów – ale relaksowali się w czasie wakacji. Czasami wyciągali jakiś stary tekst sztuki, nad którą pracę zaczęli parę lat wcześniej, ale najczęściej przez trzy miesiące mieli wolne. Letnie miesiące przebiegały według ściśle określonego wzoru. W czerwcu tata uznawał, że czuje się osaczony przez arbitralne zasady społeczne i ogłaszał, że jest prawdziwym mężczyzną. Oznaczało to w największym skrócie, że grillował wszystko, co mieliśmy zjeść, nawet rzeczy, których raczej nie powinno się grillować, jak na przykład lazanie, i zapuszczał brodę, przez co w połowie lipca wyglądał już jak człowiek z gór. Mama mniej więcej w tym samym czasie wymyślała sobie jakieś nowe hobby, które określała jako swoje „pole wolności twórczej”. Raz, kiedy uczyła się robić na drutach, dom wypełniły koślawe szaliki, potem wszystkie stoły w domu zajęły jej puzzle, a my musieliśmy stawiać sobie talerze na kolanach. W zeszłym roku postanowiła urządzić ogródek warzywny, tam jednak wzrastała tylko cukinia, przyciągająca sarny, które trzeba było zwalczać. Pod koniec sierpnia mieliśmy już serdecznie dosyć przypalonego jedzenia, a tata dziwnych spojrzeń podczas wizyt na poczcie. Tata się golił, my zaczynaliśmy znów korzystać z kuchenki, a mama odkładała na bok szaliki, puzzle i cukinie. Był to dość dziwny wzór postępowania, ale był nasz i przyzwyczałam się do niego.

Kiedy jednak pisali, wszystko się zmieniało. Jak dotąd zdarzyło się to tylko dwa razy. Gdy miałam jedenaście lat, wysłali mnie na letni obóz i, choć to doświadczenie dla mnie było paskudne, zaowocowało pomysłem na sztukę. Sytuacja powtórzyła

się, kiedy ja miałam lat trzynaście, a Beckett sześć. Pewnego wieczora wpadł im do głowy pomysł na nową historię, po czym zniknęli w jadalni na resztę lata. Jedzenie kupowali hurtowo i tylko od czasu do czasu sprawdzali, czy jeszcze żyjemy. Wiem, że ignorowanie nas nie było ich zamiarem, ale pracowali razem wiele lat przed naszymi narodzinami i zachowywali się, jakby wrócili do dawnych czasów, kiedy całe ich życie polegało na pisaniu i nic prócz sztuki nie było ważne.

Naprawdę jednak nie chciałam, żeby to samo zdarzyło się znowu, zwłaszcza teraz, kiedy ich potrzebowałam.

– Mamo! – zawołałam znowu.

Mama wyłoniła się z jadalni, a ja zauważyłam z rozpaczą, że ubrana jest w T-shirt i dresowe spodnie, czyli typowy strój do pisania, a jej włosy związane są w koczek na czubku głowy.

– Emily? – spytała mama. Rozejrzała się dokoła. – Gdzie jest twój brat?

– Ekhm, tutaj – powiedział Beckett, machając do niej ręką.

– Ach, to dobrze – powiedziała mama. – Właśnie mieliśmy po was przyjść. Musimy zwołać zebranie rodzinne.

– Poczekaj – powiedziałam szybko, robiąc krok naprzód. – Mamo, muszę z wami porozmawiać. Chodzi o Sloane...

– Zebranie rodzinne! – zawołał z kuchni tata. Jego głos był głęboki i bardzo donośny, dlatego też zawsze przydzielano mu lekcje o ósmej rano – jako jeden z niewielu potrafił rozbudzić studentów pierwszego roku anglistyki. – Beckett! Emily! – wyszedł z kuchni i zamrugał, widząc nas przed sobą. – O! Szybko poszło.

– Tato – zaczęłam w nadziei, że uda mi się rozpocząć tę rozmowę. – Muszę z wami porozmawiać.

– My też musimy z wami porozmawiać – powiedziała mama. – Wczoraj rozmawialiśmy z waszym tatą i w pewnym momencie zaczęliśmy mówić o... Scott, jak to się stało, że ten temat się pojawił?

– Chodziło o to, że wypaliła się twoja lampka do czytania – powiedział tata, podchodząc do mamy. – Wtedy zaczęliśmy

rozmawiać o elektryczności.

– Właśnie. – Mama pokiwała głową. – Tak było. Zaczęliśmy rozmawiać najpierw o Edisonie, potem o Tesli, potem o Edisonie i Tesli, a wtedy...

– Wydaje nam się, że mamy pomysł na sztukę – dokończył zdanie tata. Zobaczyłam, że ustawili już laptopy na stole, naprzeciwko siebie. – Zastanawiamy się nad paroma pomysłami. Nie wiemy jeszcze, czy coś z tego wyjdzie.

Pokiwałam głową, ale wiedziałam, że coś wyjdzie na pewno. Rodzice mieli wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, czy pomysł zasługuje na hurtowe zakupy w supermarkecie. Rozpoznawałam znaki: zawsze ostrożnie wypowiadali się o pomysłach, w które wierzyli naprawdę. Kiedy z kolei z podnieceniem wypowiadali się na temat jakiejś nowej sztuki, wychwalając jej potencjał, zanim cokolwiek zostało napisane, wiedziałam, że cała sprawa ucichnie po kilku dniach.

– Pewnie będziemy więc trochę pracować – powiedziała mama, ukuwając w ten sposób eufemizm roku. – Zrobiliśmy zapasy – dodała, wskazując kuchnię. Dostrzegłam gigantyczne torby mrożonego groszku i burritos do odgrzania w mikrofalówce, które powoli zaczynały się topić. – A w muszli leżą pieniądze na wszelki wypadek. – Muszla była kiedyś rekwizytem w najbardziej popularnej sztuce moich rodziców, wystawianej na Broadwayu *Bug Juice*, a teraz służyła za skarbonkę i element podtrzymujący książki kucharskie na półce. – Beckett w ciągu tygodnia będzie na zajęciach w ramach lata w mieście. Annabel też się zapisała – powiedziała mama, być może zauważając grymas niezadowolenia na twarzy Becketta.

– A co z kempingiem? – spytał.

– Pojedziemy – powiedział tata. Być może zauważając moje przerażenie, dodał: – tylko ja z twoim bratem. Dwaj Hughesowie sami w głuszy.

– Ale... – Beckett zmarszczył brwi, spoglądając na jadalnię. Tata machnął ręką.

– I tak nie wyjechalibyśmy przed lipcem – powiedział. –

Zresztą jestem pewien, że z tego pomysłu nic wielkiego nie będzie.

– A co ty będziesz robić, Em? – spytała mama, zbliżając się do jadalni, jakby popychała ją tam siła grawitacji. – Masz już jakiś plan na lato?

Zagryzłam wargę. Sloane i ja zrobiłyśmy całe mnóstwo planów. Kupiłyśmy bilety na koncerty, ona mówiła, że słyszała o wydarzeniu o nazwie „pełzanie za pizzą”, a ja uznałam, że powinnyśmy spędzić lato na poszukiwaniach najlepszych babeczek w Stanwich. Sloane planowała, że obie znajdziemy sobie „chłopców na lato”, ale nie wyjaśniła, co dokładnie ma na myśli. Wydzieliliśmy sobie weekendy, w które zamierzałyśmy pojechać na północ na odbywające się tam targi, które Sloane wyszukiwała przez ostatnie miesiące, a ja przejrzałam już repertuar kin samochodowych i zarezerwowałam wieczory na podwójne seanse. Ona zamierzała zaprzyjaźnić się z kimś, kto miał basen, i zdecydowała, że tego lata na pewno pokona mnie wreszcie w mini golfa (okazało się, że mam do niego jakieś dziwne, naturalne predyspozycje, a w Sloane budziła się chęć rywalizacji, kiedy w grę wchodziła możliwość wygrania pluszowych zwierzątek). Ja chciałam nauczyć się tańca zombie z „Thrillera”, a ona układu z nowego teledysku Londona Moore’a, tego, który zdążył już wywołać liczne protesty komitetów rodzicielskich.

W pewnym momencie, oczywiście, musiałyśmy też znaleźć jakąś pracę. Uznałyśmy jednak, że powinno to być coś prostego, co mogłybyśmy robić razem, tak jak rok wcześniej, kiedy zostałyśmy kelnerkami w Stanwich Country Club – Sloane dostawała więcej napiwków niż ktokolwiek inny, a ja zyskałam reputację mistrza wieczornego napełniania butelek z ketchupem. Pozostawiłyśmy sobie też mnóstwo wolnego czasu – wiele godzin, które zamierzałyśmy spędzać na plaży, na włączaniu się bez celu, prócz, być może, kupienia kubka Coli Light z nalewaka. Sama obecność Sloane wystarczała, by zwykła środa zmieniała się w najfajniejszy dzień w życiu.

Przełknęłam ślinę, myśląc o tym, jak cały ten plan, kierunek, w którym podążać miało moje lato, po prostu zniknął. Zdałam

sobie sprawę, że gdyby wróciła, zajęci rodzice, których nic nie obchodzi, łącznie z wyznaczeniem mi godziny policyjnej, zagwarantowaliby mi najlepsze wakacje na świecie. Idealne wakacje, takie, których pragnęłam, pojawiły się przed moimi oczami, a po chwili rozplynęły się niczym miraż.

– Emily? – powtórzyła mama, a ja zwróciłam ku niej wzrok.

Była ze mną w pokoju, niby na mnie patrzyła, ale ja dobrze wiedziałam, kiedy moi rodzice są obecni, a kiedy ich umysły dryfują gdzieś indziej. Przez chwilę zastanawiałam się, czy jednak nie powiedzieć im o Sloane, czy nie spróbować zmusić ich, by pomogli mi zrozumieć, co się stało. Wiedziałam jednak, że zgodzą się, mając najlepsze intencje, a już po chwili zapomną o wszystkim, skupiając się na Edisonie i Tesli.

– Jeszcze... jeszcze się zastanawiam – powiedziałam wreszcie.

– To fajnie – pokiwał głową tata.

Mama uśmiechnęła się, jakby usłyszała wyczekiwane słowa, chociaż przecież nie powiedziałam im niczego konkretnego. Było jednak jasne, że chcą mieć dzieciaki z głowy, żeby móc zabrać się do pracy. Oboje zerkali w stronę jadalni, w której włączone już były ich laptopy. Westchnęłam i ruszyłam do kuchni, myśląc sobie, że powinnam schować mrożonki, zanim się popsują.

– Och, Em – powiedziała mama, wystawiając głowę z jadalni. Ojciec siedział już na krześle, rozciągając dłonie. – List do ciebie przyszedł.

Moje serce wprawdzie omal nie stanęło, a potem zaczęło bić jak oszalałe. Regularnie pisała do mnie tylko jedna osoba. Podejrzywałam więc, że nie będzie to list. Że będzie to lista.

– Gdzie jest?

– Na mikrofalach – odpowiedziała mama.

Ona wróciła do jadalni, a ja wbiegłam do kuchni, nie przejmując się już, czy roztopią się wszystkie paczki z burrito. Odepchnęłam od siebie dwunastopak chusteczek Kleenex i zobaczyłam kopertę. Była oparta o mikrofalówkę, jak gdyby nigdy nic, tuż obok rachunku od faceta, który wycinał drzewa w

ogrodzie.

Ale zaadresowana była do mnie. Charakterem pisma Sloane.

CZERWIEC

Rok wcześniej

– Wysłałaś mi listę? – spytałam. Sloane spojrzała na mnie ostro, niemal wypuszczając z rąk swoje okulary w wielkich, zielonych oprawkach, które właśnie kupiła.

W dłoniach trzymałam kartkę, list, który zobaczyłam przy mikrofalówce, kiedy wychodziłam rano z domu, żeby pojechać po nią i zawieźć na kolejny odkryty przez nią targ, który znajdował się o godzinę drogi od Stanwich. Chociaż na kopercie nie było adresu nadawcy, tylko serduszko, natychmiast rozpoznałam charakter pisma Sloane, szczególną mieszankę drukowanych i pisanych liter. „Tak to się kończy, kiedy w trzeciej klasie chodzisz do trzech różnych szkół” – wyjaśniła mi kiedyś. – „Każdy uczy się w innym tempie, a ty nigdy nie opanowujesz podstaw”. Sloane i jej rodzice prowadzili wędrowny tryb życia – pakowali się i wyprowadzali, kiedy tylko mieli ochotę, kiedy potrzebowali nowej przygody – który znałam z filmów, ale z którym nie spotkałam się nigdy wcześniej w prawdziwym życiu.

Wiedziałam już, że Sloane używała tej wymówki zawsze, kiedy była jej potrzebna, nie tylko kiedy chodziło o charakter pisma, ale też o problemy z algebrą, niezdolność do wspięcia się po linie na WF-ie i brak prawa jazdy. Była jedyną znaną mi osobą w naszym wieku, która go nie miała. Twierdziła, że ze względu na wszystkie te przeprowadzki nigdy nie spędziła wystarczająco dużo czasu w jednym miejscu, żeby się nauczyć, ale ja podejrzewałam, że Milly i Anderson mieli znacznie ciekawsze rzeczy do roboty niż

wożenie jej do szkoły i przepytywanie co wieczór z zasad ruchu i systemu punktowego, jak to robił mój tata. Kiedy mówiłam jej, że teraz mieszka w Stanwich i w każdej chwili może ubiegać się o prawo jazdy w Connecticut, Sloane machała ręką. „Znam podstawy jazdy samochodem” – mówiła. – „Jeśli kiedyś znajdę się w porwanym autobusie, a ktoś zastrzeli kierowcę, będę umiała go zastąpić”. A jako że Sloane lubiła chodzić pieszo, kiedy tylko mogła – przyzwyczaiła się do tego, przez większość życia mieszkając w miastach, i to nie tylko na Manhattanie i w Bostonie, ale też takich miejscach jak Paryż i Kopenhaga – niespecjalnie przeszkadzał jej brak prawka. Ja lubiłam prowadzić i z przyjemnością wszędzie nas woziłam. Sloane siedziała obok mnie, grała rolę DJa i pilota, zawsze informując, kiedy kończyły się nam przekąski.

Starsza pani, wyraźnie zdeterminowana, by przyjrzeć się zniszczonym spinkom do mankietów, odepchnęła mnie na bok. Jarmark podobny był do wielu innych, na których byłam w towarzystwie Sloane. Teoretycznie miałyśmy tam szukać butów dla niej, ale kiedy tylko zapłaciłyśmy po dwa dolary i weszłyśmy na parking szkoły średniej, który na weekend zmienił się w potencjalną wyspę skarbów, popędziła prosto do stoiska, które zdawało się wypełnione głównie okularami przeciwsłonecznymi i biżuterią. Odkąd odebrałam list, czekałam na właściwy moment, żeby zadać jej to pytanie, a podróż nim nie była: miałyśmy zbyt wiele piosenek do zaśpiewania, tematów do omówienia i znaków drogowych do zauważenia.

Sloane uśmiechnęła się do mnie, ukrywając oczy za paskudnymi okularami w zielonych oprawkach, a ja przez chwilę zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby się zawstydziała. Prawie nigdy jej się to nie zdarzało.

– Miałaś ją odebrać dopiero jutro – powiedziała, pochylając się, żeby spojrzeć na swoje odbicie w malutkim lusterku. – Miałam nadzieję, że przyjdzie tuż przed waszym wyjazdem na lotnisko. Poczta jest tu za szybka.

– Ale co to jest? – spytałam, przekładając strony. Na górze

widniał napis: „Emily jedzie do Szkocji!”.

1. Zjedz haggis.
2. Zawołaj „lassie” do przynajmniej trzech osób.
3. Przynajmniej raz powiedz: „możecie odebrać mi życie, ale nie odbierzecie mi wolności!”

(Powiedz to głośno i publicznie).

Lista ciągnęła się przez całą następną stronę, wypełniona różnymi czynnościami – jak wędkarstwo muchowe i pytanie ludzi, gdzie mieszka J. K. Rowling – których nie zamierzałam wykonywać, i to nie tylko dlatego, że wyjazd miał trwać pięć dni. Jedna ze sztuk moich rodziców miała być wystawiona na *Edinburgh Fringe Festival*, postanowili więc, że to doskonała okazja, by pojechać na rodzinną wycieczkę. Zauważyłam nagle, że na samym końcu listy, małymi literkami napisane jest: „Kiedy wypełnisz listę, znajdź mnie i opowiedz mi o wszystkim”. Spojrzałam na Sloane, która odłożyła zielone okulary, a teraz zwracała się ku „kocim” oprawkom.

– To rzeczy, które powinnaś zrobić w Szkocji! – powiedziała. Wskazała okulary i wyciągnęła je w moją stronę. Wiedziałam, że prosi mnie o opinię. Pokręciłam głową, a ona je odłożyła. – Chciałam po prostu, żebyś na maksa skorzystała z tej podróży.

– Cóż, nie jestem pewna, ile tych rzeczy faktycznie zrobię – powiedziałam, uważnie składając kartkę i chowając ją z powrotem do koperty. – Ale to bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję!

Puściła do mnie oko i zabrała się do dalszego przeglądania okularów, wyraźnie poszukując czegoś konkretnego. Większość wiosny spędziła, próbując upodobnić się do Audrey Hepburn – nosiła paski, czarne cygaretki i baletki, a oczy malowała czarną kredką – ale teraz podążała w stronę, jak je nazywała, „kalifornijskich lat siedemdziesiątych”, reprezentowanych przez takie kobiety jak Marianne Faithfull i Anita Pallenburg, o których nigdy nie słyszałam, i Penny Lane z „U progu sławy”, którą znałam. Dzisiaj miała na sobie długą sukienkę vintage i wiązane w kostkach sandały. Jej falujące włosy w kolorze ciemnego blondu opadały na plecy. Zanim poznałam Sloane, nie wiedziałam, że w

ogóle można się tak ubierać, że ktokolwiek nie wybierający się na sesję zdjęciową może mieć tyle stylu. Moja własna garderoba poprawiła się nieskończenie, odkąd się zaprzyjaźniłyśmy, zwłaszcza dzięki rzeczom, które dla mnie wybrała, ale także tym, co znalazłam sama i co odważyłam się włożyć w jej towarzystwie.

Podniosła parę awiatorów w złotych oprawkach, lekko tylko wygiętych, i włożyła je na nos. Zwróciła się do mnie, czekając na moją opinię. Pokiwałam głową, po czym dostrzegłam wpatrującego się w Sloane chłopaka, na oko o kilka lat młodszego od nas. W dłoni trzymał naszyjnik z muliny, a ja byłam przekonana, że nie miał zielonego pojęcia, że go podniósł i pewnie byłby porządnie zawstydzony, gdyby zdał sobie z tego sprawę. To była jednak moja najlepsza przyjaciółka, dziewczyna, ku której w tłumie podążały oczy. Była oczywiście piękna – miała falujące włosy, jasnoniebieskie oczy, idealną, lekko piegowatą cerę – nie tylko o to chodziło. Wyglądała tak, jakby znała jakiś niesamowity sekret, który byłaby gotowa zdradzić, gdy podeszło się do niej wystarczająco blisko.

– Tak – powiedziałam z przekonaniem, odwracając się od chłopaka i jego naszyjnika – są bardzo ładne.

– Też tak myślę – uśmiechnęła się. – Ponarzekasz na nie?

– Pewnie – powiedziałam bez wahania i ruszyłam do kasy.

Udawałam, że zainteresowała mnie paskudna para kolczyków, które zdawały się być zrobione z błyszczącej folii. Kątem oka dostrzegłam, jak Sloane podnosi kolejną parę okularów – tym razem czarnych – i przygląda się im przez chwilę, po czym również zabiera do kasy, gdzie facet w średnim wieku zajęty był czytaniem komiksu.

– Ile za awiatory? – spytała Sloane, kiedy podeszłam do niej, unosząc wzrok, jakbym dopiero teraz dostrzegła, co wybrała.

– Dwadzieścia pięć – powiedział mężczyzna, nie podnosząc nawet wzroku znad komiksu.

– Eeee – powiedziałam, kręcąc głową. – Nie są tyle warte. Całe powyginane.

Sloane uśmiechnęła się do mnie leciutko, po czym znów

przyjęła twarz pokerzystki. Wiedziałam, że zdziwiła się, pierwszy raz obserwując, jak się targuję. Kto jednak dorasta w teatrze, potrafi radzić sobie z improwizacją.

– Och, masz rację – powiedziała, przyglądając im się z bliska.

– Nie są wcale aż takie powyginane – powiedział mężczyzna, odkładając swój komiks *Super Friends*. – Są vintage.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie zapłaciłabym za nie więcej niż piętnaście – powiedziałam, o sekundę zbyt późno dostrzegając minę Sloane. – To znaczy dziesięć! Ani grosza więcej niż dziesięć!

– Właśnie – powiedziała, kładąc je przed facetem, razem z czarnymi o kwadratowych oprawkach, które również przyniosła. – Poza tym dopiero tu przyszliśmy. Powinnyśmy się rozejrzeć.

– Powinnyśmy – zgodziłam się, starając się wyglądać tak, jakbym faktycznie zamierzała sobie pójść.

– Poczekajcie! – zawołał mężczyzna. – Sprzedam je wam za piętnaście. To moja ostateczna oferta.

– Dwie pary za dwadzieścia. – Sloane spojrzała mu prosto w oczy.

– Dwadzieścia jeden – podjął żalną próbę sprzedawca, Sloane jednak uśmiechnęła się tylko i sięgnęła do kieszeni.

Minutę później odchodziliśmy od stoiska, Sloane w swoich nowych awiatorach.

– Dobra robota – powiedziała.

– Przepraszam, że zaczęłam od za wysokiej kwoty – powiedziałam, mijając faceta niosącego wielki portret kociaka. – Powinnam była wystartować od dziesięciu.

Wzruszyła ramionami.

– Kiedy zaczyna się od zbyt niskiej, czasem przegrywa się całą rozgrywkę – powiedziała. – Proszę – podała mi czarne okulary: dopiero teraz dostrzegłam, że to Ray-Bany. – To dla ciebie.

– Naprawdę? – Włożyłam je na nos i, nie mając do dyspozycji lustra, czekałam na opinię Sloane.

Zrobiła krok w tył i wzięła się pod boki, z poważną, krytyczną miną, po czym wybuchła śmiechem.

– Wyglądasz świetnie – powiedziała, sięgając do torby. Wyciągnęła z niej jeden ze swoich licznych, jednorazowych aparatów fotograficznych i zrobiła mi zdjęcie, nim zdążyłam zasłonić się ręką. Choć Sloane miała smartfona, zawsze nosiła przy sobie aparat, czasem nawet dwa. Miała aparaty panoramiczne, czarno-białe, wodoodporne. Tydzień wcześniej, po raz pierwszy tego lata, kąpałyśmy się w morzu, a Sloane cykała nasze fotki pod wodą, wyłaniając się z fal z triumfalnym uśmiechem. „Czy twój telefon to potrafi?” – spytała, chowając aparat pod taflę wody. – „Co?”.

– W porządku? – spytałam, chociaż oczywiście jej wierzyłam.

Pokiwała głową.

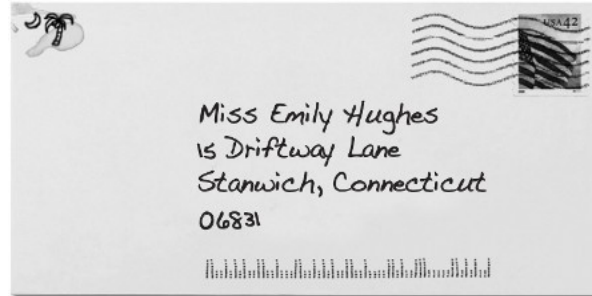
– Pasują do ciebie.

Schowała aparat z powrotem do torby i zaczęła kręcić się po stoiskach. Podeszłam za nią do stoiska z ciuchami vintage, a potem ruszyła oglądać buty. Zerknęłam na siebie w lustrze i sprawdziłam, czy lista jest bezpieczna w mojej torebce.

– Hej – powiedziałam, podchodząc do niej. Siedziała już na ziemi i rozwiązywała sandały, otoczona kilkoma parami potencjalnych nowych butów. Uniosłam listę do góry. – Dlaczego mi to wysłałaś? Dlaczego nie wręczyłaś mi osobiście? – Spojrzałam na kopertę w swoich dłoniach, na znaczek, adres i pomyślałam o wysiłku, jaki został włożony w całą tę operację. – I w ogóle dlaczego do mnie pisałaś, zamiast po prostu ze mną porozmawiać?

Sloane popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się, ukazując na chwilę swoje białe, nieco krzywe zęby.

– Bo to by nie była tak dobra zabawa.



1. Pocałuj nieznajomego.
2. Wykąp się nago.
3. Ukradnij coś.
4. Zniszcz coś.
5. Penelope.
6. Wsiądź na rumaka, yo, kowbojko.
7. 55 S. Ave. Pytaj o Monę.
8. Sukienka bez pleców. I okazja, by się w niej pokazać.
9. Tańcz do świtu.
10. Podziel się tajemnicą w ciemności.
11. Przytul jakiegoś Jamiego.
12. Zbieraj nocą jabłka.
13. Śpij pod gwiazdami.

Usiadłam na łóżku, ściskając nową listę tak mocno, że koniuszki moich palców zbieleły.

Nie byłam pewna, co oznaczała, ale coś oznaczała na pewno. Napisała ją Sloane. Sloane wysłała mi listę.

Kiedy wyciągnęłam ją z koperty, przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w nią, nie umiając jeszcze złożyć symboli w słowa, w cokolwiek, co mogłabym pojąć. Z początku wystarczyło mi, że wysłała mi coś, że nie zniknęła, pozostawiając mnie jedynie z masą pytań i wspomnień. Chodziło o coś więcej i poczułam wreszcie, że mgła, która otaczała mnie przez ostatnie dwa tygodnie ustąpiła, wpuszczając promienie słońca.

Jak w przypadku wszystkich wcześniej wysyłanych list – dostawałam po jednej za każdym razem, kiedy wyjeżdżałam, nawet na kilka dni – nie było żadnego wyjaśnienia. I podobnie jak wszystkie poprzednie, była to lista przedziwnych czynności,

takich, jakich nigdy w życiu nie wykonałabym sama z siebie. Listy stały się powracającym żartem, a przed każdą podróżą zastanawiałam się, co wymyśliła tym razem. Kiedy ostatnio jechałam z mamą do New Haven na długi weekend, wśród punktów znalazła się kradzież maskotki buldoga o imieniu Przystojny Dan i całowanie się z Whiffenpoofem (dowiedziałam się później, że Anderson studiował w Yale, miała więc możliwość uwzględnienia wielu szczegółów). Przez lata zdarzyło mi się parę razy wypełnić któryś z punktów, ale ona zawsze dopytywała się, czemu nie zrobiłam więcej, czemu nie wypełniłam wszystkich.

Znów spojrzałam na listę i zauważyłam, że ta nieco się różni. Znajdowały się na niej naprawdę straszne rzeczy – jak pływanie nago i pokonywanie mojego odwiecznego lęku przed końmi, na samą myśl o których pociły mi się dłonie – ale inne wydawały się wykonalne.

Czytając ją po raz kolejny, zdałam sobie sprawę, że nie były to przypadkowe cele, które towarzyszyły moim podróżom do Kalifornii, Austin i Edynburga. Chociaż wielu wciąż nie rozumiałam – czemu miałabym przytulać się do kogoś o imieniu Jamie? – rozpoznawałam rozumowanie stojące za częścią z nich. Były to rzeczy, których nie chciałam robić, takie, których się bałam. Tak jakby dawała mi szansę zrobić coś po raz kolejny, w inny sposób. Ta lista nie wyglądała jak przypadkowy zbiór zabawnych punktów, a raczej jak test. Albo wyzwanie.

Odwróciłam kartkę, ale na drugiej stronie nic nie było. Podniosłam kopertę, zauważyłam rysunek, który zawsze umieszczała tam, gdzie większość ludzi zapisuje swój adres – tym razem narysowała palmę i sierp księżycy – i fakt, że pieczętka na znaczku była zbyt rozmazana, bym mogła odczytać kod pocztowy. Znów spojrzałam na listę, na charakter pisma Sloane, którego nie dało się pomylić z niczym innym, i pomyślałam o zdaniu, które znajdowało się często na końcu kartek: „Kiedy wypełnisz listę, znajdź mnie i opowiedz mi o wszystkim”. Poczułam, że serce wali mi w piersi, zdałam sobie sprawę, że ta lista – zrobienie tych wszystkich przerażających rzeczy – może być sposobem na to, by

ją odnaleźć. Nie byłam pewna, w jaki sposób miałyby się to stać, ale po raz pierwszy, odkąd zadzwoniłam do niej i nadziałam się na skrzynkę, poczułam, że wiem, co powinnam zrobić. Sloane zostawiła mi mapę, która być może – oby – mogła mnie do niej zaprowadzić.

Raz po raz odczytywałam kolejne punkty listy, próbując znaleźć ten, który nie byłby najbardziej przerażającą rzeczą na świecie, taki, który mogłabym wypełnić już dzisiaj, natychmiast: chciałam zacząć od razu. Lista mogła doprowadzić mnie do Sloane, a ja musiałam wziąć się do roboty.

S. Ave w punkcie siódmym oznaczało Stanwich Avenue, główną ulicę handlową w mieście. Mogłabym pojechać tam i spytać o Monę. Bez problemu. Nie wiedziałam, co znajduje się pod numerem 55, ale był to zdecydowanie najłatwiejszy do zrealizowania punkt na liście. Po raz pierwszy od dwóch tygodni czując, że mam jakiś plan, wstałam z łóżka i ruszyłam w stronę drzwi.

– Emily?

– O Boże! – zawołałam, podskakując ze strachu.

Mój brat był w drzwiach, ale nie stał w nich po prostu, oparty o framugę, jak normalny człowiek. Znajdował się na samej górze, opierając nogi o jedną stronę framugi, a plecy o drugą. To była jego nowa ulubiona pozycja, którą zobaczył w jakimś filmie o ninjach. Na początku wszystkich nas przerażał, ale teraz przyzwyczaiałam się już, żeby spoglądać w górę przed wejściem do pomieszczenia. Powiedzieć, że Beckett nie bał się wysokości, to nic nie powiedzieć. Kiedy miał pięć lat, wdrapał się na dach naszego domu i teraz, kiedy nie mogliśmy go znaleźć, zawsze zaczynaliśmy od spojrzenia w górę.

– Przepraszam – powiedział Beckett, który wcale nie brzmiał, jakby było mu choć trochę przykro.

– Od jak dawna tam jesteś? – spytałam, zdając sobie sprawę, że kiedy ja czytałam listę, mój brat wszedł do pokoju i wspiał się po framudze, a ja nic nie zauważyłam.

Wzruszył ramionami.

– Myślałem, że mnie widzisz – powiedział. – Możesz mnie gdzieś podwieźć?

– Właśnie wychodzę – powiedziałam.

Zerknęłam na listę od Sloane, którą zostawiłam na łóżku. Nasz kot nie bywał w domu zbyt często, ale zdawał się mieć nadprzyrodzoną zdolność rozpoznawania ważnych rzeczy i zawsze te właśnie niszczył. Schowałam kartkę z powrotem do koperty i włożyłam do górnej szuflady komody, w której trzymałam wszystkie najistotniejsze rzeczy – pamiątki z dzieciństwa, zdjęcia, karteczki, które Sloane dawała mi na przerwie albo wrzucała przez szczelinę mojej szafki.

– Dokąd? – spytał Beckett, wciąż patrząc na mnie z góry.

– Jadę na Stanwich Avenue – powiedziałam. Wygięłam szyję, żeby go zobaczyć i nagle zaczęłam zastanawiać się, czy nie robi tego właśnie po to, żebyśmy dla odmiany to my musieli patrzeć w górę, a nie on.

– Zabierzesz mnie do IndoorXtreme? – spytał, a jego głos stał się bardziej piskliwy, jak zawsze, kiedy był podekscytowany. – Annabel opowiadała mi o tym miejscu. Jest super. Rowery, liny i paintball.

Już miałam powiedzieć, że jestem zajęta, ale coś w jego spojrzeniu mnie powstrzymało. Wiedziałam, że jeśli pojedę bez niego, będą mnie gryzły wyrzuty sumienia.

– Ile czasu chcesz tam spędzić? – spytałam. – Jeśli podwożę cię do tego całego ekstremalnego miejsca? Bo ja muszę coś załatwić.

Beckett uśmiechnął się szeroko.

– Wiele godzin – powiedział. – Najchętniej całe popołudnie. – Pokiwałam głową, a Beckett uniósł stopę i właściwie spłynął w dół, zatrzymując się tuż nad ziemią. – Widzimy się w samochodzie! – Wybiegł z mojego pokoju, a ja zerknęłam znów na szafkę.

Zerknęłam na swoje odbicie w wiszącym nad nią lustrze i szybko przeczesalam włosy, w nadziei, że Mona – kimkolwiek się okaże – nie będzie osobą, na której powinnam zrobić wrażenie.

Miałam na sobie T-shirt vintage, który kazała mi kupić Sloane, i szorty z obciętych dżinsów. Byłam wysoka – o jakieś dziesięć centymetrów wyższa od Sloane, chyba że ta przechodziła akurat swoją fazę na noszenie obcasów – a jedyną moją interesującą cechą były dwukolorowe oczy. Jedno mam brązowe, drugie – brązowo-niebieskie. Kiedy Sloane dostrzegła to po raz pierwszy, przeraziła się i wypróbowała wszystkie chyba kombinacje cieni do powiek, próbując sprawić, by przyjęły jednak ten sam kolor. Moje włosy są brązowe, proste jak druty i długie. Sięgają do połowy pleców, ale za każdym razem, kiedy wspominałam Sloane, że chciałabym je obciąć, ona protestowała. „Masz włosy księżniczki” – mówiła. – „Każdy może mieć krótkie włosy”.

Zaczesałam kosmyki za uszy i otworzyłam szufladę, żeby upewnić się, że lista w kopercie jest bezpiecznie schowana. Potem zesłam na dół, powtarzając w myślach swoje zadanie. „55 S. Ave. Pytaj o Monę”.

ZBIERAJ NOCĄ JABŁKA

Kiedy wyszłam z domu, Beckett siedział już na fotelu pasażera w moim samochodzie. Jeździłam starym, zielonym volvo, które mój ojciec kupił od przenoszącego się do Kalifornii studenta. Nigdy go nie spotkałam, ale miałam wrażenie, że znam go całkiem nieźle, bo cały zderzak pokryty był naklejkami: „Ratujcie wieloryby”, „Wszyscy kochają jaskółki”, „Ten samochód wjechał na Mount Washington”. Na tylnej szybie widniała naklejka z napisem „Unichusetts w Massewersytet”, ale nigdzie nie było tej z Stanwich College, co wyjaśniało poniekąd, dlaczego właściciel samochodu się przeprowadził. Próbowалаm się ich pozbyć, ale okazały się w zasadzie niemożliwe do zdrapania. Przyzwyczyłałam się więc do nich i do okazjonalnych klaksonów złości – lub solidarności – które zdarzało mi się słyszeć, gdy inni kierowcy myśleli, że czytają moje własne opinie. Lewe, tylne drzwi były zablokowane, w zimie ogrzewanie rozkręcało się strasznie długo, a wskaźnik benzyny był popsuty – strzałka nie ruszała się ze środka tarczy, pokazując, że bak jest pełny do połowy, nawet kiedy zostały resztki. Po pewnym czasie nauczyłam się, że po prostu muszę pamiętać, kiedy ostatnio napełniałam bak i jak dużo jeździłam. Nie byłam w tych obliczeniach szczególnie dokładna, ale skoro, mimo to, nigdy nie kończyła mi się benzyna, tyle najwyraźniej wystarczało.

Największy problem z samochodem polegał jednak na tym, że dach był ciągle otwarty. Panelu, który powinien zasłaniać osłonę przed słońcem, nie było już, kiedy tata kupił volvo, a ja mogłam tylko mieć nadzieję, że był jeszcze w samochodzie, gdy ten wjeżdżał na Mount Washington. Miałam płótno, którym osłaniałam auto, jeśli padało w lecie, a rodzice wynajęli stolarzy, którzy wycięli kawałek drewna – i tak powstał dach w miarę szczelny w zimie. Sloane uwielbiała tę część samochodu i nigdy nie chciała zamykać dachu, nawet kiedy musiałyśmy podkręcać

temperaturę i owijać się kocami. Lubiła wznosić do góry ramię, chcąc poczuć wiatr między palcami, i pochylała się w stronę słońca, którego promienie padały na siedzenia.

– Gotowy? – spytałam, wkładając moje czarne Ray-Bany i zamykając drzwi. Zadałam to pytanie wyłącznie z przyzwyczajenia, bo Beckett bez wątpienia był gotowy. Włączyłam silnik i zaczęłam cofać samochód po podjeździe, upewniwszy się, że na drodze nie ma biegaczy ani wózków.

– Kim jest Tesla? – spytał Beckett, gdy ruszyłam w stronę centrum.

Jeszcze na schodach sprawdziłam adres IndoorXtreme, chcąc zminimalizować spóźnienie, które niewątpliwie byłoby naszym udziałem, gdybym spodziewała się, że Beckett zna trasę. Ja w jego wieku znałam na pamięć plan nowojorskiego metra, a przynajmniej wszystkie stacje na Brooklynie, dzieciństwo mojego brata było jednak od mojego wyraźnie odmienne. Ja byłam dzieckiem pary początkujących dramaturgów, przeprowadzałam się, gdzie tylko wystawiane były sztuki moich rodziców albo gdzie udawało im się zdobyć pracę wykładowców lub rezydencje dla pisarzy. Mieszkaliśmy na Brooklynie, w San Francisco, w obu Portland – i w Maine, i Oregonie. Zazwyczaj spałam na kanapach w wynajmowanych mieszkaniach, a gdy zdarzało mi się mieć własną sypialnię, nigdy nie wieszałam na ścianach plakatów boysbandów ani nie rozkładałam pamiątek, bo wiedziałam, że długo tam nie zostanę. Wszystko jednak zmieniło się po *Bug Juice*. Żalotne lato, które spędziłam na koloniach, doprowadziło do powstania wystawionej potem na Broadwayu sztuki, okropnego filmu i niezliczonych szkolnych i na wpół amatorskich produkcji. Sztuka zaczęła żyć własnym życiem, a moi rodzice po dziesięciu latach zmagania z dnia na dzień odnieśli sukces. Przede wszystkim jednak dzięki niej rodzicom udało się zdobyć stałe stanowiska w tej samej szkole. Nawet wtedy wiedziałam, że to poważna sprawa. Przeprowadziliśmy się więc do Stanwich i choć mój brat twierdził, że pamięta nasze wczesne, paskudne mieszkanka, tak naprawdę zawsze miał poczucie bezpieczeństwa, a jego plakaty wisiały

bezpiecznie na ścianach.

– Co? – spytałam, unosząc wzrok znad mapy w telefonie, zastanawiając się, czy, kiedy poproszę go, żeby sprawdzał dla mnie trasę, nie znudzi się po chwili i nie zacznie grać w SpaceHog.

– Tesla – powiedział wyraźnie Beckett, jakby uczył się nowego słowa. – W tej sztuce, którą piszą?

– Och – powiedziałam. Nie miałam pojęcia, kto to był, ale średnio mnie to obchodziło. Praca rodziców w tym momencie nie była dla mnie priorytetem – była nim lista od Sloane. – Nie jestem pewna – przyznałam. – Chcesz sprawdzić? – Podałam mu telefon, a Beckett wziął go do rąk, ale już po chwili usłyszałam muzyczkę z SpaceHog.

Chciałam już go poprosić, żeby przynajmniej zerknął na mapę, kiedy spytał cicho:

– Myślisz, że to potrwa?

– Praca nad tą sztuką? – spytałam, a Beckett pokiwał głową, nie podnosząc sponad gry głowy pełnej loczków. Ja odziedziczyłam po tacie proste włosy i wzrost, a Beckett był jakby mini wersją naszej mamy – miał jej kręcone włosy i niebieskie oczy. – Nie wiem – powiedziałam szczerze. Na to wyglądało, ale zdarzały im się już falstarty.

– Chodzi o to, że mieliśmy z tatą pojechać pod namiot – powiedział Beckett, mocno uderzając w ekran telefonu. – Wszystko zaplanowaliśmy. Mieliśmy jeść na kolację złowione ryby i spać na dworze.

– Przecież nawet nie lubisz ryb – zauważyłam, na co odpowiedziało mi jego smutne spojrzenie.

– Ale przecież właśnie o to chodzi w kempingu – żeby robić to, czego się normalnie nie robi.

– Jestem pewna, że i tak pojedziecie – powiedziałam, trzymając w myślach kciuki, by tak się stało. Beckett spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Super – odparł. – Bo... – przerwał, spojrzał przed siebie i wskazał palcem za szybę. – Tam jest.

Skręciłam w lewo, na na wpół wypełniony parking wielkiego

budynku. Byłam przekonana, że kiedyś musiał się w nim mieścić magazyn. Odstawiłam samochód, ale nie zgasiłam silnika. Beckett rozpiął pas, wysiadł i nie czekając na mnie, popędził w stronę wyjścia. W innej sytuacji mogłoby mnie to zdenerwować, ale dzisiaj tylko się ucieszyłam, bo dowodziło, że nie będzie mu przeszkadzać, jeśli zostawię go tam i pojedę na Stanwich Avenue. Wysiadając z samochodu, zerknęłam na wskaźnik poziomu gazu, choć wiedziałam, że to bez sensu, i zdałam sobie sprawę, że chyba niedługo będę musiała uzupełnić paliwo – był to kolejny powód, żeby zostawić Becketta i jechać dalej. Poszłam za bratem i weszłam do środka przez ciężkie, stalowe drzwi o klamce w kształcie góry.

IndoorXtreme było ogromne – wielka, otwarta przestrzeń z najwyższym sufitem, jaki kiedykolwiek widziałam. Znajdowały się tam punkt rejestracyjny i wypożyczalnia butów i sprzętu, ale reszta pomieszczenia zdawała się przeznaczona wszelkim sposobom na to, by nabawić się kontuzji w wygodnym, klimatyzowanym miejscu. Po jednej stronie była rampa dla deskorolkarzy, po drugiej – trasa rowerowa z uskokami, zaś z tyłu ścianka wspinaczkowa, gdzie jedni wspinali się, a drudzy spuszczaali po linach. Na ścianie, sięgającej niemal do samego sufitu, znajdowały się uchwyty na dłonie i nogi. Całe miejsce zdawało się zrobione z granitu i stali i pomalowane głównie na szaro, z pojedynczymi plamami czerwieni. Było zimno, a cichy szum industrialnej klimatyzacji mieszał się z krzykami deskorolkarzy i bitem techno, zdecydowanie zbyt głośnym, by mogła uchodzić za muzykę tła.

Beckett czekał na mnie przy kasie. Podciągnął się do góry, żeby zobaczyć, jakie bilety można kupić, i teraz machał nogami w powietrzu. Poinformował mnie, że chce opcję „all inclusive dla dzieci”, dzięki której mógłby korzystać ze wszystkich atrakcji prócz paintballa i, chociaż skrzywiłam się na cenę, kupiłam mu bilet. Wiedziałam, że im więcej czasu tam spędzi, tym więcej punktów z listy Sloane będę miała szansę wypełnić. Zaplanowałam niby tylko jeden, ale może udałoby mi się zrobić dwie rzeczy? A może nawet, gdybym tylko wpadła na to, jak zmierzyć się z tymi,

których się bałam, zdołałabym załatwić wszystko w ciągu tygodnia?

Zapłaciłam znudzonemu facetowi za ladą, na którego plakietce widniało imię Doug i który, kiedy tylko odeszliśmy o krok, podniósł grubą książkę w miękkiej oprawie, oparł łokcie o blat i wrócił do czytania. Beckett podbiegł do ławki w kształcie głazu – a w zasadzie może po prostu był to głaz – i zaczął wkładać buty, które mu Doug wręczył.

– To wszystko, tak? – spytałam, nawet nie siadając. Planowałam już swoją drogę na Stanwich Avenue. Gdybym darowała sobie tankowanie, mogłabym tam być za dziesięć minut. – Mówiłam ci, że mam... sprawy do załatwienia.

– Tak, wszystko super – powiedział Beckett, zapinając buty na rzepy i zrywając się na nogi. – Zobaczymy się za parę godzin?

– Super – odparłam, a on uśmiechnął się i popędził ku ścianie wspinaczkowej.

Rozejrzałam się wokół, myśląc sobie, że to dla niego idealne miejsce. Nie miałam cienia wątpliwości, że mój brat będzie zajęty przez całe popołudnie. Postanowiłam poczekać jeszcze chwilę, żeby nie czuć się jak najgorsza siostra na świecie, i patrzyłam, jak Beckett staje w kolejce do ściany wspinaczkowej, przeskakując z nogi na nogę, jak robił zawsze, kiedy był czymś naprawdę podekscytowany.

– Ósemka?

Odwróciłam się i zobaczyłam dwie rzeczy, z których żadna nie miała zbyt wiele sensu. Przede mną stał Frank Porter, który trzymał w dłoni parę butów.

Wiedziałam, kto to, bo wszyscy znali Franka Portera, jedną z niewątpliwych gwiazd *Stanwich High School*. Zdobywał wszystkie najwyższe odznaki, miał zasługi w nauce na poziomie krajowym, w pierwszej i drugiej klasie był przewodniczącym samorządu. Zdawał się aktywnie działać na rzecz polepszenia świata – a przynajmniej naszej szkoły – nieustannie pisząc petycje, zakładając kluby i organizacje, starając się ratować szkolne programy, pomniki czy ptaki. Byłby oczywistym kandydatem na

wygłaszającego końcową mowę, najlepszego absolwenta, gdyby nie jego dziewczyna Lissa Young, która była równie zdyscyplinowana i pracowita jak on. Byli ze sobą gdzieś od dziewiątej klasy, ale nie należeli do par nieustannie całujących się przy szafkach ani wrzeszczących na siebie na parkingu. Działali raczej jak tandem, jakby nawet sam ich związek był dobrze naoliwiony i podążający we właściwym kierunku. Słyszałam, że każdego lata wyjeżdżali razem na zajęcia przygotowujące do studiów akademickich, dlatego też tak bardzo zdziwiło mnie, że nagle zobaczyłam Franka Portera przed sobą. Był jednym z nielicznych chłopaków w naszej klasie, którzy zdawali się doskonale czuć w formalnych sytuacjach, w garniturze, toteż poczułam lekki zgrzyt, widząc go teraz w szarej koszulce z narysowanym w stylu graffiti napisem *Xtreme Attitude!*. Na wypadek, gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, na jego plakietce widniało imię „Frank”.

Buty wyciągnięte w moją stronę opadły nieco, a Frank przechylił głowę na bok.

– Emily?

Pokiwałam głową, nieco zaskoczona, choć chodziliśmy do tej samej szkoły od trzech lat. Odkąd Sloane się tu wprowadziła, po prostu egzystowałam u jej boku. Ludzie wołali ją po imieniu, a do mnie machali. Wydawało mi się, że większość naszej klasy, tak jak ten chłopak od ogrodów, identyfikuje mnie jako „tę dziewczynę, która trzyma się ze Sloane Williams” albo coś w tym stylu. Nigdy mi to nie przeszkadzało – bycie przyjaciółką Sloane czyniło mnie bardziej interesującą osobą niż ta, jaką kiedykolwiek mogłabym być sama.

– Cześć – powiedział Frank Porter, uśmiechając się do mnie lekko. – Jak się masz?

Mimo koszulki Frank wyglądał tak samo jak w ciągu roku szkolnego. Był wysoki – miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu – i chudy. Jego włosy były jasnorude, krótko obcięte i uczesane, lekko tylko zawijały się nad szyją. Jego oczy były jasnobrązowe, a cerę pokrywały piegi. Nawet w T-shircie i z parą

pożyczonych butów w dłoni Frank miał w sobie powagę. Wyglądał na człowieka, co do którego można mieć pewność, że po zakończeniu szkoły osiągnie coś wielkiego – zostanie politykiem, prezesem rady albo wynajdzie coś małego, elektronicznego i niezwykle ważnego. Po prostu było w nim coś takiego... kompetentnego, budzącego zaufanie i przede wszystkim zdrowego. Gdyby nie to, że niewątpliwie miał większe ambicje, mógłby występować w reklamach masła orzechowego i zdrowych płatków śniadaniowych. Kiedy Sloane przyszła do Stanwich High, obejrzała go od stóp do głów i spytała, nie bez podziwu: „Kim jest ten skaut?”.

– Hej – wydukałam, zdając sobie sprawę, że gapiłam się na niego w milczeniu o chwilę za długo. Frank patrzył na mnie, jakby na coś czekał, a ja zbyt późno przypomniałam sobie, że zadał mi pytanie, na które wciąż nie uzyskałam odpowiedzi. – To znaczy, w porządku.

– Potrzebujesz ich? – spytał Frank, unosząc buty. Nie mogąc zrozumieć, czemu zadaje mi to pytanie, pokręciłam głową. – Och – powiedział, wycofując dłoń. – Usłyszałem, że komuś potrzebne są buty do wspinaczki i pomyślałem, że może chodzi o ciebie. Zgadłem po rozmiarze. – Popatrzył w dół, na moje klapki, a ja natychmiast pożałowałam, że nie robiłam ostatnio pedikiuru, bo poprzedni, na który poszłam ze Sloane – jasno czerwony lakier z czarnym kotem narysowanym na największym paznokciu – nie był już pierwszej świeżości. – Czy przynajmniej miałem rację? – spytał, podnosząc wzrok. – Nosisz numer osiem?

– Yyyy – powiedziałam. Zdałam sobie sprawę, że czekam na kogoś, kto dołączyłby do nas, żeby pokierować tą interakcją, niestety jednak byłam sama i nie radziłam sobie najlepiej.

Gdyby Sloane tu była, wiedziałyby, co powiedzieć. Zażartowałyby, zaczęła flirtować, a wtedy i ja wiedziałabym, co powiedzieć, czy wtrącić się, albo powiedzieć jeden z dowcipów, które przychodziły mi do głowy tylko w jej towarzystwie. Nie wiedziałam, jak to robić samodzielnie i nie chciałam musieć się tego uczyć. Poza tym zamieniłam z Frankiem przez trzy lata nie

więcej niż kilka zdań i zastanawiałam się, jak doszło do tego, że nagle spędzamy tyle czasu na rozmowie o moich stopach. Co zresztą nie było moim wymarzoną tematem, gdyż uważałam, że są za duże. „To dlatego, że jesteś taka wysoka” – powtarzała Sloane z pewnością siebie kogoś o drobnych stópkach – „Inaczej dziwnie byś wyglądała. Albo byś się wywalila”.

– Dziewięć – powiedziałam wreszcie, pomijając „i pół”, no bo nie przesadzajmy, Frank Porter naprawdę nie musiał znać dokładnego rozmiaru moich stóp.

Wzruszył ramionami.

– Cóż, dopiero wspinam się po szczeblach kariery.

Gdyby Sloane była obok mnie, powiedziałabym „nie da się ukryć” albo „nomen omen”, albo coś w tym stylu, bo ludzie rzeczywiście się tam wspinali, a Frank właściwie sam wystawił się na żart. Nie było jej jednak, więc tylko odwróciłam się, próbując znaleźć mojego brata w kolejce, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku i po prostu sobie pójść.

– Porter! – Oboje odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Matta Collinsa, którego znałam ze szkoły, ale z którym nigdy chyba nie zamieniłam ani słowa. Zwisiał w powietrzu z jednej ze spuszczonej lin. Miał na sobie taką samą koszulkę co Frank i czerwony kask. Powoli obracał się wokół własnej osi, odpychając się stopami od ściany. – Wieczorem idziemy do Sadu, prawda?

Miejsce to było kiedyś całkiem normalnym sadem, od pewnego czasu ziemia stała jednak pusta i często, zwłaszcza latem, urządzano tam imprezy. Sad miał tę zaletę, że znajdował się na granicy między Stanwich a sąsiadującym miastem Hartfield, a to oznaczało, że policja trzymała się od niego z daleka. Jak głosiła plotka, nikt nie był pewien, czyjej jurysdykcji podlega ten teren. Byłam tam parę razy, głównie tamtej wiosny, kiedy Sloane była z Samem, a ja z Gideonem. Sad przypominał mi wieczory, kiedy siedziałam obok Gideona i obracałam w dłoniach butelkę, zastanawiając się, co powiedzieć.

Frank pokiwał głową, a Collins – chociaż na imię miał Matthew, wszyscy, łącznie z nauczycielami, mówili do niego po

nazwisku – uśmiechnął się.

– O tak – powiedział – twój ziomus wyrwie dzisiaj niezłe foczki!

Wspinająca się obok niego, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta, w pełnym rynsztunku, skrzywiła się, ale Collins tylko szerzej się do niej uśmiechnął.

– A jak ty się dziś masz?

Frank westchnął tylko i pokręcił głową.

– Cóż – powiedziałam, zerkając w stronę wyjścia. Chociaż nie widziałam Becketta, byłam pewna, że wszystko u niego w porządku. Naprawdę nie chciałam kontynuować tej strasznie niezręcznej konwersacji z Frankiem Porterem. Musiałam jechać na Stanwich Avenue. I tak spędziłam tu więcej czasu, niż planowałam. – Powinnam... – Wskazałam głową drzwi i zrobiłam krok w ich stronę, w nadziei, że Frank nie czuje się zmuszony do rozmowy ze mną tylko dlatego, że ma mnie za klientkę.

– Właśnie – powiedział, chowając pod pachę niepotrzebne, za małe buty. – Miło było...

– Hej!

Collins podbiegł do nas pędem i wpadł na Franka, omal go nie przewracając, po czym zaczął machać ramionami, żeby utrzymać równowagę. Wciąż miał na głowie kask, który niespecjalnie mu pasował. Collins był o głowę niższy od Franka – chyba nawet trochę niższy ode mnie – i nieco grubszy, z okrągłą twarzą, zadartym nosem i włosami w kolorze ciemnego blondu.

– Collins – powiedział Frank zrezygnowanym tonem, próbując go unieruchomić.

– Co tam? O czym gadamy? – spytał Collins, zerkając na mnie. Zmarszczył na chwilę czoło, po czym uśmiechnął się. – Hej – powiedział – znam cię. Gdzie twoja przyjaciółka? Jesteś Emma, tak?

– Emily – poprawił go Frank. – Emily Hughes. – Popatrzyłam na niego zszokowana, że zna moje nazwisko. – Czy nie powinieneś asekurować ściany?

– Ten gość – powiedział Collins, klepiąc Franka po ramieniu

i zwracając się do mnie – jest niesamowity. Ja pracuję tu od miesiąca, on od dwóch tygodni, a już gotów jest nas wszystkich poustawiać.

– Asekuracja! – nalegał Frank, ale Collins machnął tylko ręką.

– Wszystko jest w porządku – powiedział. – Poza tym ja naprawdę dbałem o bezpieczeństwo. Zauważyłem, że spiskujecie i postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. To o czym gadacie? – Spojrzał na buty pod pachą Franka. – Wspinasz się? – spytał mnie. Nie czekając na odpowiedź, wziął buty do ręki, spojrzał na moje stopy i na zapisany na podeszwie numer. – No, na pewno nie w tych. Ty pewnie nosisz dziewiątkę... dziewiątkę i pół?

Przez sekundę patrzyłam na swoje stopy, pozwalając, by włosy zasłoniły mi twarz, która na pewno robiła się właśnie cała czerwona. Czy powinnam mu odpowiedzieć? Ludzie przecież nie mają obowiązku opowiadania o rozmiarze swoich butów, prawda? Obawiałam się jednak, że jeśli spróbuję zaprzeczyć, Collins każe mi włożyć mniejsze buty, a po chwili pewnie zaczną urządzać zakłady wśród przechodniów. Zrobiłam krok w tył i zwróciłam się ku drzwom, kiedy powietrze przeciął krzyk, który na chwilę zagłuszył techno. Brzmiał zupełnie inaczej od wesołych okrzyków, które szybko zmieniły się w hałasy tłą. Cała nasza trójka odwróciła się w stronę, z której nas dobiegł. Okazało się, że krzyczała wspinająca się kobieta, która odchyliła się w swojej uprzęży i wskazywała w górę – gdzie, jak z rozpaczą dostrzegłam – mój brat radośnie sobie chodził.

– Jasna cholera. – Collinsowi kopara opadła. – Jak to dziecko się tam dostało? I gdzie jest jego uprząż? A kask?

Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Frank i Collins pobiegli już w stronę ściany. Poszłam za nimi. Zebrał się mały tłumek, a większość wspinaczy usuwało się z drogi.

– Emily! – zawołał Beckett, machając do mnie. Jego głos odbijał się echem w ogromnej przestrzeni. – Zobacz, jak wysoko wszedłem!

Frank i Collins popatrzyli na mnie, a ja wykręcałam sobie

dłonie za plecami.

– No więc to jest mój brat – powiedziałam. Próbowałam wymyślić coś, co mogłabym dodać, jakieś wyjaśnienie tego, dlaczego właśnie mnie upokarza i naraża na straty fundusz ubezpieczeniowy IndoorXtreme, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Jak ma na imię? – spytał Collins.

– Beckett – odparłam. – Ale na pewno wszystko u niego w porządku. On tylko...

– Bukiet? – spytał Collins, a już po chwili pokiwał głową, jakby doszedł do wniosku, że ma to sens. – Hej, Bukiet! – zawołał do mojego brata. – Pokażę ci, jak zejść stamtąd do nas, OK? Poczekaj. – Pokręcił głową. – Najpierw włoż na głowę kask, a potem schodź. A tak właściwie – poprawił się, robiąc krok naprzód – najpierw włoż uprząż, potem, kask, a dopiero potem schodź. W porządku?

Beckett popatrzył w dół, na tłum gapiów, a potem na mnie. Ja starałam się spojrzeniem przekazać mu, że powinien to koniecznie zrobić, i to jak najszybciej.

– OK – powiedział, wzruszając ramionami, chwytając uprząż i z powrotem ją na siebie wkładając.

Ludzie na dole wspólnie odetchnęli z ulgą, po czym zaczęli się rozchodzić, znów wdrapywać na ściankę i siadać na rowerach.

– Widzisz? Wszystko OK – powiedział Collins, machając do mojego brata, który zapinał sobie kask pod brodą.

– I to właśnie dlatego miałeś asekurować – westchnął Frank.

– Już schodzi – zauważył Collins.

I rzeczywiście – mój brat znalazł już pierwsze uchwyty, które miały sprowadzić go z powrotem na dół.

– Nie musisz się tam wspinać. – Frank albo go jednak nie usłyszał, albo postanowił zignorować, bo zdecydowanymi ruchami zaczął się wspinać w stronę Becketta. – Ojoj – westchnął cicho Collins, marszcząc czoło.

– Przecież naprawdę wszystko jest w porządku – powiedziałam absolutnie spokojnie. – Mój brat bez przerwy włązi

w takie miejsca.

– Ja się nie martwię o Bukieta – odparł Collins. – Martwię się o Portera.

Spojrzałam na ścianę. Frank był już w połowie drogi, zwinnie przestawiał dłonie i stopy z jednego uchwytu na drugi. Wyglądał całkiem normalnie.

– Hmm, dlaczego?

Collins zdjął kask i wytarł dłonią czoło. Jego włosy były mokre od potu i przyklejone do czaszki – wyglądał, jakby był obcięty na pieczarkę. Nie wyglądało to najlepiej.

– Porter boi się wysokości.

Rozejrzałam się dokoła na nieskończoną ilość możliwych w tym przybytku aktywności, które wymagały wspinaczki lub przeskakiwania przez wysokie przedmioty.

– Och – westchnęłam. Miałam ochotę zapytać, czemu, w takim razie, wybrał sobie takie miejsce pracy, ale jednocześnie go nie obrazić. – Ale...

– Wiem, wiem – powiedział szybko Collins, jakby poczuł, że musi się bronić – mój wujek powiedział to samo, kiedy załatwiłem Porterowi tę pracę. Ale za to świetnie zna się na paintballu – powiedział, a ja pokiwałam głową, żałując, że w ogóle się odezwałam. – I jest genialny na rowerze – ciągnął. – Nikt mu nie podskoczy. Poza tym jest tu najbardziej kompetentny, dlatego jest odpowiedzialny za zaliczki. Ja byłem w tym beznadziejny. – Pokiwałam głową: nietrudno było mi w to uwierzyć. – Ale wysokości – Collins przysunął się do mnie lekko i pokręcił głową – nie są jego mocną stroną.

Frank był już wysoko, prawie na tym poziomie co Beckett.

– To dlaczego się wspina? – spytałam, czując, że zaczynam lekko panikować w jego imieniu.

– Bo jest Frankiem Porterem – odparł Collins, a ja po raz pierwszy wyczułam w tonie jego głosu cień goryczy. – Panem Odpowiedzialnym.

Zerknęłam na ścianę, myśląc, że może wszystko będzie jednak w porządku. Wtedy Frank sięgnął po kolejny uchwyt,

zerknął w dół i zamarł z wyciągniętym przed siebie ramieniem.

– A nie mówiłem – westchnął cicho Collins, wyraźnie nie czerpiąc z tego stwierdzenia żadnej przyjemności.

Frank trzymał się teraz ściany obiema rękami, ale wciąż się nie ruszał.

– Co teraz będzie? – spytałam, czując, że przyglądam się czemuś, co nie powinno mieć miejsca.

– Cóż, czasami bierze się w garść – odparł Collins, wciąż bardzo cicho. – A jakby co, na zapleczu jest drabina.

– O nie – powiedziałam, chcąc jak najszybciej odwrócić głowę. Było całkiem jasne, że to wszystko wina Becketta, a więc, w oczach Franka Portera – moja wina.

– Wiem – skrzywił się Collins.

Beckett zszedł już do Franka i powiedział mu na ucho coś, czego nie usłyszałam. Potem schodził dalej, podczas gdy Frank nadal się nie ruszał.

Doug z recepcji podszedł, żeby przyjrzeć się spektaklowi, pozostawiając swoją książkę na ladzie.

– Przynieść drabinę? – spytał Collinsa, który pokiwał głową.

– Tak mi się wydaje – powiedział.

Po chwili jednak Beckett zmienił kierunek i wdrapał się z powrotem do poziomu Franka. Powiedział coś do niego, a chłopak pokręcił głową. Mój brat jednak został na miejscu i wciąż coś do niego mówił. Parę sekund później Frank sięgnął po uchwyt tuż pod nim. Beckett pokiwał głową, zszedł niżej i gestem wskazał Frankowi otwory na stopy. Po kolejnej chwili Frank zszedł jeszcze trochę niżej. Było dla mnie boleśnie jasne, że mój dziesięcioletni brat pomaga pracownikowi IndoorXtreme zejść po ścianie wspinaczkowej i miałam nadzieję, że nie jest to oczywiste dla wszystkich pozostałych.

– Nieźle – powiedział Collins, przyglądając się powolnym postępom – może twój brat potrzebuje roboty?

– Ha ha – zaśmiałam się nerwowo.

Przyglądałam się scenie ze ściśniętym sercem i odetchnęłam swobodnie dopiero, kiedy Beckett zeskokczył na ziemię, spojrzął na

Franka Portera, wskazał mu ostatnie uchwyty i podniósł kciuki do góry, by dodać mu odwagi. Kiedy chłopak wreszcie znalazł się na ziemi i odwrócił się w naszą stronę, zobaczyłam, że jego twarz jest niemal równie czerwona co kask. Doug wzruszył ramionami i wrócił do recepcji.

– Porter! – krzyknął Collins. – Ty durniu! Już myślałem, że będę musiał przynieść drabinę i zdjąć cię stamtąd jak cholernego kota! – Zmartwiony przyjaciel, z którym rozmawiałam ledwie chwilę wcześniej, zniknął, a Collins znów zmienił się w chłopaka, do którego przyzwyczaiłam się w szkole, takiego, który ciągle robi sobie jaja i nieustannie zaprasza na randki najpopularniejsze dziewczyny – równie widowiskowo, co nieskutecznie.

– Beckett – zawołałam, nakazując mu podejść do siebie. Mój brat pokiwał głową, wypiął się z upręży i uniósł rękę, czekając, aż Frank przybije mu piątkę. Teraz, kiedy znalazł się już na ziemi, niemal wyczuwałam bijące z niego zawstydzenie.

Beckett podszedł do mnie, a ja chwyciłam go za rąbek T-shirtu, na wypadek, gdyby zamierzał wdrapać się na rampę albo coś w tym rodzaju.

– Do zobaczenia – powiedziałam do Collinsa, raczej z przyzwyczajenia niż w nadziei, że faktycznie się spotkamy.

– Mhm – powiedział Collins takim samym tonem, jakby mówił bez przekonania. – Jasne.

Podszedł do Franka, który wciąż stał przy ścianie, a ja przez chwilę odprowadzałam go wzrokiem, po czym spojrzałam na mojego brata, który miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzonego.

– Przepraszam – powiedział od razu. – Chciałem zobaczyć widok z góry i...

– Chodźmy – powiedziałam, ciągnąc go w stronę recepcji. Beckett powłóczył nogami i mówił prędko, próbując mnie zatrzymać.

– Nie musimy wychodzić – powiedział. – Nie wejdem już na ścianę. Mogę pójść na rowery. Mogę, prawda? Em?

Nie odpowiedziałam mu nawet. Dotarliśmy do recepcji,

gdzie Beckett zdjął buty do wspinaczki. Nie chciałam go zabierać, bo oznaczało to, że pewnie nie uda mi się rozpocząć realizacji punktów z listy Sloane. Podejrzywałam jednak, że nawet gdybym nie zabrała Becketta ze sobą, pewnie i tak by go wyprosili, co uczyniłoby całą sytuację jeszcze bardziej żenującą. Podałam buty Becketta Dougowi, który znów czytał swoją książkę. „Morderstwo wron” – przeczytałam na okładce, na której widoczny był wściekły ptak szykujący się do lądowania na płonącym mieczu. Doug wstał i i wziął trampki Becketta, nie unosząc wzroku znad książki.

– Ale, Emilyyy – jęknął Beckett.

Pokręciłam tylko głową. W milczeniu poszliśmy do samochodu, a ja przygotowywałam się na to, co będę musiała zrobić. Zazwyczaj nie wykorzystywałam swojej pozycji starszej siostry – dogadywaliśmy się z Beckettem głównie dlatego, że dzieliło nas siedem lat, nigdy więc o nic nie konkurowaliśmy, a ja czułam się bardziej jak jego niania niż siostra. Tym razem jednak wiedziałam, że będę musiała stanąć na wysokości zadania, ponieważ moi rodzice z pewnością nie zamierzali tego zrobić, nie teraz, kiedy dopiero zaczęli nową sztukę. Włożyłam klucz do stacyjki, ale nie przekręciłam go jeszcze, tylko zwróciłam się do brata, który siedział ze skrzyżowanymi nogami, wpatrując się w swoje ręce.

– Beck, nie możesz robić takich rzeczy – powiedziałam. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy nie lepiej by było, gdyby Beckett kiedyś zrobił sobie krzywdę podczas wspinaczki, tak by poczuł zdrowy strach, a przynajmniej zrozumiał możliwe konsekwencje. – Nie powinieneś tak ryzykować. Nie przeszkadza mi, kiedy wdrapujesz się na różne rzeczy w domu. Ale tutaj byli też inni ludzie. Mogłeś zrobić krzywdę sobie albo komuś innemu. To się nazywa bezmyślność.

Zapaliłam silnik i ruszyłam w stronę domu. Beckett nie odzywał się, wciąż patrzył w dół. Wiedziałam, że jest na mnie zły i spodziewałam się, że będzie milczał przez resztę drogi, dlatego zdziwiłam się, że odezwał się, kiedy wjechałam na naszą ulicę.

– Ale nie zrobiłem – powiedział. Nie byłam pewna, o co mu

chodzi i najwyraźniej to zauważył, bo mówił dalej: – Nie zrobiłem sobie krzywdy. Ani nikomu innemu. Ale za to zobaczyłem wspaniały widok. To jak to się nazywa?

Pokręciłam głową, mając świadomość, że w jego logice tkwi jakiś błąd, ale nie będąc pewną, na czym ona dokładnie polega.

– Po prostu...

– Wiem, wiem: bądź ostrożniejszy – powiedział, kiedy parkowałam. Natychmiast przestał stosować się do tego zalecenia, odpinając pas i wyskakując z samochodu, zanim jeszcze zdążyłam go zatrzymać. – Idę do Annabel. Do zobaczenia – zawołał, po czym trzasnął drzwiami i popędził na tył domu. Annabel mieszkała na drugim końcu naszej ulicy. Oboje z Beckettem spędzili dużą część poprzedniego lata na wyszukiwaniu skrótów między domami, których teraz pilnie strzegli.

Chwilę patrzyłam, jak odchodzi, po czym wyciągnęłam telefon. Automatycznie wybrałam numer Sloane, dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, co robię. Rozłączyłam się, zdążywszy usłyszeć głos automatycznej sekretarki, ten sam, który słyszałam już tysiąc razy, ten sam, który Sloane nagrała, kiedy razem szłyśmy ulicą. Na końcu dało się słyszeć mój śmiech. Położyłam telefon na siedzeniu pasażera, tak by nie móc po niego sięgnąć. Wciąż jednak miałam wrażenie, że nic się nie dzieje naprawdę, póki nie mogę porozmawiać o tym ze Sloane. Byłam przyzwyczajona do dzielenia się z nią swoimi doświadczeniami, do omawiania ich, minuta po minucie. Gdyby tu była, po drugiej stronie słuchawki, mogłabym powiedzieć jej, jak dziwne jest to, że Frank Porter pracuje w IndoorXtreme, że spotkałam Collinsa i że poznałam ich plany na wieczór...

Nagle coś zrozumiałam. Uniosłam wzrok i spojrzałam w okno mojej sypialni, wyobrażając sobie leżącą w szufladzie listę. Wiedziałam już, o co chodziło Sloane w punkcie dwunastym. Nie zamierzała wysłać mnie po prostu na zbiórkę owoców. Chciała, żebym pojechała do Sadu.

Odczekałam do dziesiątej. Mój brat był już wtedy w łóżku, a rodzice zabarykadowali się w swoim gabinecie na górnym piętrze.

Wzór ich zachowań z poprzednich lat powracał: wtedy też pracowali w podobny sposób. Zazwyczaj przez cały dzień pisali w jadalni, zapominając o kolacji, a potem wchodzili na górę, gdzie przeglądali strony z tego dnia i planowali działania na następny.

Kiedy ostatnio tak się działo, miałam trzynaście lat i zero życia towarzyskiego czy miejsc, w które mogłabym udać się nocą, nigdy więc nie eksplorowałam możliwości, jakie dawało ich pisanie. Teraz było jednak całkiem inaczej. Podczas roku szkolnego miałam dość ściśle wyznaczoną godzinę policyjną, którą Sloane – nie mająca żadnych tego typu ograniczeń – uczyła mnie omijać na wszelkie sposoby. Teraz, kiedy moi rodzice byli zajęci czymś innym, uznałam, że godzina policyjna będzie raczej koncepcją teoretyczną niż egzekwowanym nakazem. Na wszelki wypadek jednak zostawiłam liścik obok telewizora w kuchni, żeby nie dzwonili na policję, widząc, że mnie nie ma.

Kiedy w pokoju przygotowywałam się do wyjścia – oznaczało to jedynie zamianę szortów na dżinsy, znalezienie bluzy i pomalowanie ust błyszczkiem – spojrzałam na listę. Choć wciąż nie rozumiałam kilku innych punktów, tego nie rozumiałam zupełnie. Nie wydawał się szczególnym wyzwaniem, skoro bywałam już w Sadzie. Poszłyśmy tam pewnego popołudnia, tydzień przed moim wyjazdem i jej zniknięciem. Piłyśmy koktajle – ja waniliowy, ona kawowy – i przez wiele godzin siedziałyśmy w słońcu przy stołach piknikowych, po prostu rozmawiając. Byłyśmy tam też parę razy poprzedniej wiosny, zazwyczaj wieczorem, ale czasem też w ciągu dnia, kiedy Sloane szukała jakiegoś miejsca, w którym mogłybyśmy w spokoju spędzić dzień, opalając się albo przechadzając między drzewami.

Nie włączałam świateł volvo, póki nie znalazłam się na ulicy, chociaż zasłony w gabinecie rodziców były zasunięte. A kiedy dotarłam do jej końca, nie usłyszawszy dzwonka telefonu, uznałam, że mi się udało.

Zapaliłam światła i włączyłam muzykę – album Luke’a Bryana, który ściągnęłam miesiąc wcześniej, ale którego nie słuchałam do tej pory – i ruszyłam w stronę Sadu. Płyta była już w

połowie, kiedy skręciłam z głównej ulicy w boczną, która miała mnie tam zaprowadzić. Domy były coraz rzadsze i rzadsze, aż pozostała tylko pusta ziemia i ukryty za zaułkiem Sad. Zwolniłam. Wjazd był – z pewnością celowo – schowany tak, że starczyło mrugnąć, by go przegapić. Zastanawiałam się już, czy nie zawrócić, kiedy dostrzegłam blaknący znak i wąski, żwirowy podjazd. Choć nie widziałam żadnych innych samochodów, włączyłam kierunkowskaz i skręciłam, zatrzymując się na chwilę, by popatrzeć na znak.

Był niemal całkiem zarośnięty krzewami i tak zniszczony przez pogodę i czas, że ledwie dało się cokolwiek zobaczyć. Machinalnie zerknęłam na swój nadgarstek, po czym uniosłam wzrok i ruszyłam przed siebie.

MARZEC

Trzy miesiące wcześniej

– To właśnie tam – powiedziała Sloane, odwracając się do mnie w samochodzie i wskazując palcem. – Widzisz podjazd?

– Nie mogę uwierzyć, że nigdy nie byłaś w Sadzie – powiedział Sam siedzący za kierownicą, a ja usłyszałam w jego głosie wielką literę.

– Nie pamiętasz? – Na krawędziach słów Sloane wyczuwałam śmiech. – Ja też byłam tu po raz pierwszy dopiero w zeszłym miesiącu.

– To nie znaczy, że Emily nie mogła przyjechać tu sama – zauważył Sam, kręcąc głową. Sloane odwróciła się do mnie znowu i wymieniliśmy leciutkie uśmiechy – takie, których nie dostrzegłby pewnie nikt poza nami. Nie chciałam kłócić się z Samem, ale obie dobrze wiedziałyśmy, że bez niej nigdy nie

przyjechałabym do Sadu.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się szerzej, a ja doskonale rozumiałam, co chce mi powiedzieć – pytała w ten sposób, czy dobrze się bawię, czy jest fajnie, czy wszystko w porządku.

Odwzajemniłam uśmiech, który był uśmiechem radości, nie prośbą o ratunek. W żadnym wypadku nie chciałam popsuć wieczoru, który ona z wysiłkiem zorganizowała. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i odwróciła do Sama, przysunęła się do niego na tyle blisko, na ile pozwalał jej pas bezpieczeństwa i przeczesła palcami jego kręcone włosy.

W odróżnieniu od migdałcej się pary z przodu, Gideon i ja trzymaliśmy się przeciwnych stron tylnego siedzenia. Ja na wpół siedziałam, na wpół przytulałam się do drzwi, co nie było pewnie konieczne, jako że jechaliśmy ogromnym SUV-em i między nami zostało miejsce dla kilku innych osób. Spojrzałam na Gideona, którego poznałam ledwie kilka godzin wcześniej.

Sloane wychwalała Gideona Bakera od kilku tygodni, przynajmniej odtąd, odkąd ona i Sam zaczęli robić, cokolwiek robili teraz. „Nie potrzebujemy etykietek” – powiedziała Sloane, kiedy spytałam ją, co dokładnie dzieje się między nimi. Uśmiechnęła się do mnie i wygładziła swój kardigan vintage – „wiesz, że ich nienawidzę”. Kiedy jednak sytuacja zrobiła się poważniejsza, zaczęłam coraz więcej słyszeć o Gideonie, najlepszym przyjacielu Sama, który też był singlem. I czy nie byłoby super, gdyby...?

To zdanie zawsze urywało się w połowie, nigdy nie precyzowała, o co jej chodzi, ale na jego końcu zawsze znajdował się pełen nadziei znak zapytania. W którymś momencie najwyraźniej zgodziłam się, że „tak, byłoby super”, i dlatego teraz, w znacznie mocniejszym makijażu niż zazwyczaj, dzieliłam siedzenie z Gideonem w drodze do miejsca zwanego Sadem.

Gideon zajmował dużo miejsca w samochodzie – był wysoki, miał szerokie ramiona, duże dłonie i stopy, a kiedy godzinę wcześniej siedzieliśmy naprzeciwko siebie w dinerze, a Sloane kradła frytki z talerza Sama, spytałam go, czy uprawia jakiś sport.

Wyglądał na atletę – bez trudu wyobraziłam go sobie na stronie internetowej Stanwich Academy, z kijem do lacrosse’a przewieszonym przez ramię. On wtedy wziął gryza swojego burgera, przeżuł go, połknął, popił colą, wytarł usta i powiedział „nie”. I to by było na tyle, jeśli chodzi o nasze dotychczasowe rozmowy.

– Co to? – spytał Sam, wzdychając ciężko i naciskając na hamulec. Pochyliłam się i zobaczyłam, że znajdujemy się na końcu długiego sznura samochodów, które utknęły w zwiężeniu przy wjeździe na żwirowy podjazd.

– To oznacza po prostu, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu – powiedziała Sloane, a ja słyszałam radość w jej głosie. Cieszyła się, że tam jedzie, cieszyła się, że jest z Samem i że ja siedzę z tyłu z chłopakiem, nie jako piąte koło u wozu.

Powoli zbliżaliśmy się do rozgałęzienia, a Sam wciąż wzdychał głośno i uderzał palcami o kierownicę. Zerknęłam znów na Gideona, zastanawiając się, co mogłabym powiedzieć. Wtedy zobaczyłam znak. Stał tuż za oknem, więc odsunęłam się lekko od szyby, próbując lepiej mu się przyjrzeć. Na zewnątrz było ciemno, ale światła SUV-a – które były jasne jak w filmach science fiction i najwyraźniej zrobione z jakiegoś bardzo drogiego materiału, nie to, co stare światła mojego volvo – padały prosto na niego.

– Ej, widzicie to? – spytałam, wskazując na tablicę, świadoma, że jestem trochę zachrypnięta, bo nie odezwałam się przez całą drogę. Wszyscy się odwrócili, ale Sam wzruszył ramionami.

– To znak z czasów, kiedy był tu prawdziwy sad – powiedział. – Zawsze tu stał.

Przesunęłam się bliżej środka, próbując dokładniej się przyjrzeć. Był prawie wyblakły, ale dało się zauważyć, że kiedyś został jaskrawo pomalowany. „Sad Kilmera” – brzmiał stylizowany napis. „Jabłka/Brzoskwinie/Wiśnie. Owoce sezonowe! Ciasta!”. Pod nim znajdował się komiksowy rysunek dwóch wisierek przyczepionych do szypułki. Miały twarze, które uśmiechały się szeroko i spoglądały w górę, jakby chciały

przeczytać napis nad sobą. Zerknęłam na wyblakłe już, niepotrzebne wykrzykniki sprzedające produkt, który dawno przestał istnieć. Dało się rozpoznać, że tablica została namalowana ręcznie i to raczej nie przez zawodowca – wisienki były nieco koślawe – a to tylko pogarszało sprawę.

– O co chodzi? – spytała Sloane. Patrzyła na mnie, jakby wiedziała, że coś jest nie tak.

– Chodzi o to, że... ten znak... – powiedziałam, słysząc, jak głupio brzmiały moje słowa. Mogłabym powiedzieć to Sloane, ale obecność chłopaków mnie zawstydziała. – Sama nie wiem – wydusiłam z siebie wreszcie, zmuszając się do uśmiechu. – Po prostu... wydał mi się bardzo smutny. Tylko tyle.

Sloane miała już coś odpowiedzieć, kiedy Sam roześmiał się i zagłuszył ją.

– To tylko tablica, Emily.

– Wiem – odparłam, próbując zabrzmieć bez troski. –

Nieważne.

Sam pochylił się i powiedział Sloane do ucha coś, czego nie usłyszałam, a ja patrzyłam, jak powoli mijamy drzewa w ciemności. Żałowałam, że w ogóle się odezwałam. Nagle poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia.

Aż podskoczyłam, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Gideona, który odpiął pas i nagle znalazł się blisko mnie, na środkowym siedzeniu. Uśmiechnął się do mnie lekko, potem podniósł moją rękę i przyciągnął nieco bliżej siebie.

Przez cały wieczór utrzymywał dystans – dlaczego więc teraz chwycił mnie za rękę? Wzięłam oddech, żeby coś powiedzieć, a wtedy on wyciągnął z kieszeni cienkopis. Głową wskazał moje ramię, jakby chciał zapytać, czy się zgadzam.

Pokiwałam głową, głównie dlatego, że byłam strasznie zdziwiona. Zdjął skuwkę z flamastra i zaczął rysować coś na wewnętrznej stronie mojego nadgarstka. Muśnięcia cienkopisu były przyjemne jak delikatne łaskotanie piórka. Pochyliłam się naprzód, żeby dojrzeć, co rysuje, ale Gideon przyciągnął moje ramię nieco bliżej do siebie i obrócił lekko, tak bym nic nie

zobaczyła. Wciąż nie mogłam zrozumieć, co się dzieje, i cieszyłam się, że Sloane i Sam pozostają na przednich siedzeniach niczego nieświadomi, bo musiało to wyglądać co najmniej dziwnie.

Głowa Gideona była pochylona nad moją ręką, a ja nie mogłam nie zauważyć ciemnej barwy jego krótkich, obciętych niemal na jeża włosów, i tego, jak duże miał ręce. Bez trudu mógłby objąć mój nadgarstek dwoma palcami. Samochód podskoczył na jakimś kamieniu, a moje ramię poleciało do góry, omal nie uderzając go w twarz. Uniósł wzrok, a ja uśmiechnęłam się przeproszająco. Odczekał chwilę, chwycił moją rękę obiema dłońmi – może obawiając się kolejnych podskoków – a potem znowu zabrał się do pracy, rysując szybciej niż wcześniej. Wyprostował się i schował flamaster w tej samej chwili, w której Sam zaparkował samochód.

Przyciągnęłam dłoń do siebie, żeby zobaczyć, co narysował i, ku swojemu zdziwieniu, zobaczyłam dwie wisienki. Był zdecydowanie bardziej utalentowanym artystą niż ten, który namalował znak, ale udało mu się uchwycić je w całej ich, lekko koślawej, krasie. Jedna z wisienek coś mówiła: uniósł mój nadgarstek, bym mogła zobaczyć, co.

„Nie martw się, Emily, nie jesteśmy smutne!”

Uśmiechnęłam się, widząc te słowa, i pogłaskałam je palcem. Uniosłam wzrok i spojrzałam na Gideona, który wciąż siedział blisko.

– Dziękuję – powiedziałam.

Sam zgasił silnik, a wtedy zapaliły się światła wewnątrz samochodu. Dużo jaśniej zobaczyłam Gideona, który przechylił głowę, jakby się zawstydził, i przesunął na swoją stronę siedzenia. Zanim jednak światła znów zgasły, zdążył odwzajemnić mój uśmiech.

Z mojego miejsca parkingowego Sad wyglądał dokładnie tak samo jak ostatnio. Była to ogromna, pokryta trawą przestrzeń ubijana przez wjeżdżające samochody i chodzących po niej ludzi.

Parkowało się gdzie bądź, a potem szło do stołów piknikowych, które otaczały polanę, pozostałość dawnego wcielenia Sadu. Wciąż można było znaleźć oparte o drzewa drabiny, ale większość z nich miała przynajmniej kilka połamanych szczebli i tylko najodważniejsi – lub najbardziej pijani – wazyli się na nie wdrapywać. Nieraz widziałam, jak ktoś spada na ziemię po tym, jak załamał się pod nim szczebel. Czasem ludzie byli wystarczająco zorganizowani, żeby przywieźć beczkę piwa, ale zazwyczaj po prostu zabierali ze sobą napoje, a ktoś szczególnie przedsiębiorczy sprzedawał niezbyt zimne puszki piwa z ogromnym przebicciem z lodówki w bagażniku.

Wciąż było dość wcześnie – dało się poznać, że noc się rozkręca, kiedy nie było już miejsca do parkowania na trawie i ludzie zostawiali swoje samochody na drodze prowadzącej do rozgałęzienia. Etykieta Sadu wymagała, by zaparkować przynajmniej pół mili od drogi, żeby nie ściągać na siebie uwagi policji.

Otwarty, napchany ludźmi kabriolet z piskiem zahamował obok mnie i krzywo zaparkował. Nikogo nie rozpoznałam, ale zanim zdążyłam się odwrócić, kilka osób spojrzało na mnie. Odwróciłam się szybko i w tym samym momencie zdałam sobie sprawę, co zrobiłam. Byłam tak skupiona na liście od Sloane, że dopiero to do mnie dotarło: przyjechałam do miejskiej imprezowni całkiem sama. Jedynymi samotnymi ludźmi, jakich kiedykolwiek widziałam w Sadzie, byli obleśni goście ze Stanwich College, którzy próbowali podrywać laski.

Silnik volvo zaczął rzeźić, więc wyłączyłam go i oparłam się o fotel. Kiedy czytałam listę i planowałam wieczór, czułam się tak, jakby Sloane była ze mną. Rzeczywistość była jednak taka, że znalazłam się w Sadzie sama i nie miałam pojęcia, co ze sobą począć. Słyszałam dobiegające z drugiej strony polany basy i okazjonalny wybuch śmiechu. Nie potrafiłam rozpoznać żadnej konkretnej osoby, ale widziałam zebranych w grupkach przyjaciół. Miałam tam pójść zupełnie sama?

Jakiś samochód zaparkował po drugiej stronie mojego, a ja

podniosłam telefon i zaczęłam udawać, że jestem nim bardzo zajęta, póki nie zorientowałam się, że nikt z auta nie wysiadł – siedząca w nim para zaczęła namiętnie całować się na przednich siedzeniach.

To wystarczyło, bym się stamtąd zabrała. Zatrzasnęłam więc drzwi i spojrzałam przed siebie, na Sad. Przez chwilę próbowałam sobie wmawiać, że w zasadzie mogłabym teraz wrócić do domu – koniec końców pojawiłam się tu, a Sloane nie podała żadnych dalszych instrukcji. W tej samej chwili, w której o tym pomyślałam, wiedziałam już jednak, że nie o to jej chodziło. A skoro miałam się w ogóle za to zabierać, musiałam to zrobić dobrze. Odetchnęłam głęboko i zmusiłam się, by stawiać jedną stopę przed drugą, zbliżając się do polany i zastanawiając, co zazwyczaj robię z rękami.

Nie byłam przyzwyczajona do samotnego mierzenia się z podobnymi sytuacjami. Zawsze – a przynajmniej od dwóch lat – towarzyszyła mi Sloane, która była świetna w takich sytuacjach – nie bała się wchodzić do miejsc, których nie znała, ani rozmawiać z ludźmi, których nigdy wcześniej nie widziała – więc wszelkie moje umiejętności w tym zakresie zanikły. Zawsze wiedziałam, że Sloane mnie poprowadzi. A zanim przeprowadziła się do miasta, należałam do grupki pierwszorocznych dziewczyn, które wszędzie chodziły razem.

Podchodząc do polany, z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że nie wiem, dokąd pójść. Siedziało tu około czterdziestu osób, a ja rozpoznawałam jakąś jedną trzecią – głównie ludzi ze Stanwich High, ale też tych ze Stanwich Academy, których widywałam wcześniej na imprezach, na które chodziłam z Gideonem, Sloane i Samem. Różne grupki zbierały się wokół stołów piknikowych, część siedziała na nich, a część na ławkach, wszyscy gadali, śmiali się i najwyraźniej dobrze czuli wśród znajomych. Nikt poza mną nie włączył się samotnie.

Nieco dalej, między drzewami, dostrzegałam całujące i kłócące się pary, a za nimi grupkę palaczy. Na krańcu piknikowych stołów siedział facet z beczką, furą czerwonych, plastikowych

kubków i otwartą lodówką u stóp. Zmierział ku niemu stały napływ spragnionych imprezowiczów. Zastanawiałam się, czy nie pójść tam, byle tylko mieć coś do roboty, ale co miałabym począc ze sobą później? Byłam pewna, że wszyscy na mnie patrzą; niemal czułam na sobie ich spojrzenia. Wszyscy widzieli, że stoję tam sama, nie na miejscu i pozbawiona przyjaciół. Połowa uważała pewnie, że jestem narkomanką.

Miałam świadomość, że znajduję się kilka chwil od płaczu – albo ataku paniki – i zmusiłam się, by powstrzymać tę reakcję. Włożyłam ręce do tylnych kieszeni i rozejrzałam się wokół, jakbym próbowała odnaleźć zagubionego przyjaciela, ludzi, którzy na mnie czekają. Zobaczyłam wtedy Collinsa opierającego się o drabinę, co – byłam tego pewna – stanowiło w jego oczach najseksowniejszą z możliwych póz, który rozmawiał z Callie Dwyer, jedną z najładniejszych i najpopularniejszych dziewczyn w szkole, laskę zdecydowanie spoza jego ligi. Callie wyglądała na znudzoną i nieco zmieszaną, a Collins nie zauważył chyba jeszcze, że powoli się od niego odsuwa.

Przy najbliższym piknikowym stole siedział Frank Porter z grupką kolegów, których rozpoznawałam ze szkoły. Nikogo z nich jednak nie znałam szczególnie dobrze – byli to skupieni na nauce prymusi. Odwróciłam się szybko, nim ktokolwiek z nich zauważył moje spojrzenie, nagle zmartwiona, że pomyślą, że przyjechałam tam nieproszona, tylko dlatego, że podsłuchałam ich rozmowę w IndoorXtreme.

Spojrzałam na swoje stopy, na zdarty lakier, jakby był czymś fascynującym. Zastanawiałam się, jak długo muszę tu zostać, nim sprawę uznać będę mogła za załatwioną.

Nagle poczułam czyjąś dłoń na swoim ramieniu i podskoczyłam, przestraszona. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam przed sobą Gideona.

– Och – powiedziała zaskoczona, że go widzę, zwłaszcza że przecież chwilę wcześniej o nim myślałam. Nagle zaczęłam mieć nadzieję, że nie dało się tego poznać po mojej minie. Po chwili zdałam sobie sprawę, że nie była to najbardziej uprzejma

reakcja i dodałam: – To znaczy, cześć. Jak się masz?

– OK – odparł Gideon, uśmiechając się lekko. Patrzył na mnie przez chwilę, nim odezwał się znowu. – Dobrze cię widzieć, Emily.

– Ciebie też – odparłam automatycznie, potem przez chwilę zastanawiałam się, czy naprawdę tak myślę. Chociaż cieszyłam się, że mam z kim porozmawiać i nie jestem już najbardziej żalowaną osobą w Sadzie, niespecjalnie cieszyłam się, że to akurat Gideon, zwłaszcza biorąc pod uwagę, na czym ostatnio skończyliśmy.

Gideon wyglądał tak samo jak ostatnio, kiedy go widziałam, tamtej majowej nocy, kiedy wszystko się rozpadło. Przyzwyczaiałam się do jego wzrostu, kiedy byliśmy parą – czy czymkolwiek właściwie byliśmy – i, choć wtedy spotykaliśmy się co weekend, nie widzieliśmy się już od tak dawna, że znów zrobił na mnie wrażenie. Jego niebieskie oczy wciąż były nieodgadnione, a ciemne włosy wyglądały na świeżo obcięte. Byłam zdziwiona, ale też pod wrażeniem, że do mnie podszedł. Wiedziałam, że gdybym to ja go dostrzegła, nie zrobiłabym tego samego. Może po prostu tak żałośnie wyglądałam, stojąc tu sama, że się nade mną zlitował.

– No więc – powiedziałam po dłuższej chwili, kiedy stało się jasne, że Gideon tego nie robi – co u ciebie?

– Cóż – powiedział i znowu zamilkł. Gideon nigdy nie lubił small talku, zawsze zastanawiał się nad swoimi odpowiedziami, a w zamian wymagał szczerych odpowiedzi. Nigdy nie rzucał bezmyślnych zdań jak wszyscy pozostali. Myślałam, że teraz, kiedy nie jesteśmy już tym, czym byliśmy kiedyś, wróci do powierzchownej gadki. Najwyraźniej jednak nie. – Wszystko w porządku – powiedział wreszcie. Lekko przechylił głowę na prawo i skinął głową. – Sam chciał wyjść dzisiaj na imprezę, więc...

Nie usłyszałam, co jeszcze powiedział Gideon, bo podążyłam za jego wzrokiem i dostrzegłam Sama. Jego widok wystarczył, by ścisnął mi się żołądek. Opierał się o stół piknikowy, na którym siedziała jakaś dziewczyna. Uśmiechała się szeroko, mówiła coś

do niego, opowiadała chyba jakąś historię, podczas gdy Sam tylko od czasu do czasu kiwał głową. Dlaczego nie domyśliłam się tego od razu, kiedy tylko zobaczyłam Gideona? On i Sam wszędzie chodzili razem, zwłaszcza w takie miejsca jak Sad. Nim odwróciłam wzrok, spojrzenie Sama z dziewczyny przeniosło się na mnie. I tak patrzyliśmy na siebie przez chwilę, a mnie serce waliło w piersi. Wreszcie spuściłam wzrok na ziemię.

Czułam jego spojrzenie na sobie i zaczęłam wpadać w panikę, zastanawiając się, czy do mnie podejdzie, czy będę musiała z nim porozmawiać. Kiedy jednak na niego zerknęłam, okazało się, że spogląda gdzieś w przestrzeń, wyraźnie nie słuchając dziewczyny u jego boku. Odrobinę się uspokoiłam. Nie zamierzał do mnie podchodzić, to jasne. Zawsze był tchórzem.

– Emily? – Zmusiłam się, by znowu skupić się na Gideonie, który patrzył na mnie z uniesionymi brwiami, czekając na odpowiedź na jakieś pytanie, którego nie usłyszałam.

– Przepraszam – powiedziałam. – Co mówiłeś?

– Nic takiego – odparł z uśmiechem, który natychmiast zniknął. Odetchnął, a ja zdałam sobie sprawę, że wygląda na zdenerwowanego, że głośno przełyka ślinę. – Emily, ja...

– Przepraszam – powiedziałam pośpiesznie, czując, że muszę przerwać, cokolwiek chce powiedzieć. Nie byłam nawet pewna, o co może chodzić, domyślałam się tylko, że czeka na jakieś wyjaśnienie tego, co się stało, a ja zdecydowanie wolałam nie otwierać tej puszkę Pandory. – Ja tylko... muszę iść – rzuciłam, odsuwając się od niego. – Ja... muszę z kimś porozmawiać.

Gideon patrzył na mnie w milczeniu, a ja czułam długo tłumioną, kipiącą frustrację. Połowa naszych rozmów składała się z takich długich, naładowanych przerw, aż po pewnym czasie zaczęło mnie to męczyć – jakbym była postacią w jednej ze sztuk Pintera. Jakby wszystkie te chwile milczenia były pełne znaczeń, których nie umiałam odgadnąć.

– OK – wyszeptał powoli.

– Cześć – powiedziałam, po czym odwróciłam się i poszłam w stronę chłopaka z beczką, tylko dlatego, że nie przyszedł mi do

głowy żaden inny kierunek.

Na tyle późno zorientowałam się, że będę musiała minąć Sama, że nie dało się już w niebudzący podejrzeń sposób zmienić kierunku. Próbowałam patrzeć przed siebie, ale nie mogłam się powstrzymać przed zerkaniem na niego. Dziewczyna obok nie przestawała mówić, gestykulując żywo, a on wciąż tylko patrzył, nieporuszony. Zawsze mi to w nim przeszkadzało: rzadko się z czegokolwiek śmiał, co sprawiało, że czułeś się zobowiązany, żeby zapewniać mu rozrywkę. I chociaż wcale tego nie chciałeś, kiedy w końcu udawało ci się go rozbawić, było to jak wielkie osiągnięcie. Specjalnie odwróciłam się, nim nasze spojrzenia mogły spotkać się znowu, i patrzyłam w ziemię, póki nie dotarłam do beczki.

Chłopak, który sprzedawał piwo, siedział na jednym z najbardziej rozklekotanych stołów razem z dziewczyną. Nie rozpoznałam ich, byłam więc prawie pewna, że chodzili do Hartfield.

Odczekałam chwilę, aż stało się jasne, że nie zwróci na mnie uwagi, po czym przełknęłam ślinę i powiedziałam:

– Hmm... piwo? Poproszę piwo.

– Pięć dolarów – odparł, nie odrywając wzroku od dziewczyny, nawet kiedy wyciągnęłam z kieszeni pogięty banknot i podałam mu go. Wskazał na czerwone kubki, a potem na beczkę.

– Dzięki – odparłam, biorąc kubek i podchodząc do beczki. Wtedy dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Chociaż wiedziałam, że nie ma to ze mną nic wspólnego, kiedy odkręcałam kurek, czułam, że serce wali mi w piersi. Beczka była ledwie zakręcona, a ja nigdy zbyt dobrze sobie z nimi nie radziłam, więc wypełniłam kubek głównie pianą. Niespecjalnie mi to przeszkadzało, bo i tak zamierzałam użyć piwa głównie jako rekwizytu. Wzięłam mały łyk, skrzywiłam się, czując ciepły, metaliczny smak. Zastanawiałam się ciągle, jak długo będę musiała tu jeszcze zostać.

Godzinę później rozwiązałam swój problem: nie wyglądałam już jak samotny lamus, ponieważ usunęłam się z publicznego widoku. Znalazłam miejscówkę pomiędzy oddalonymi nieco od

stołów piknikowych drzewami, na które nikt nie ważyłby się wspinać, i usiadłam, oparta o jedno z nich, starając się powstrzymać od płaczu. Oczywiście wiedziałam, że Sloane już nie ma. Do dzisiejszego wieczoru nie uświadamiałam sobie jednak, co to tak naprawdę znaczy. Kiedy przechodziłam przez Sad, mijałam ludzi, których znałam ze szkoły. Niektórzy z nich pozdrawiali mnie skinieniem głowy, ale inni ledwie omiatali mnie wzrokiem, jakbym bez Sloane u boku stawała się niewidzialna. Udawałam, że wiem, dokąd idę, mocno zagryzając wargi. Wreszcie znalazłam się między drzewami i usiadłam na ziemi.

Życie bez Sloane było, jak się okazało, znacznie gorsze, niż się spodziewałam. Siedziałam pod drzewem z rekwizytem w postaci kubka piwa, podczas gdy inni ludzie śmiali się ze swoimi przyjaciółmi. Wylałam resztkę piwa na ziemię i wstałam. Postanowiłam wracać. Spędziłam w Sadzie tyle czasu, że na pewno spełniłam żądanie Sloane, chociaż nie miałam pojęcia, jaki był cel całej tej imprezy, może poza tym, że jeszcze bardziej uświadomiłam sobie jej brak.

Wyszłam spomiędzy drzew na trawę. O sekundę za późno zdałam sobie sprawę, że znalazłam się na równi z dwójką osób zmierzających w tę samą stronę. Po chwili zorientowałam się, że to Frank i Collins, i poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła.

– Hej! – Collins uśmiechnął się do mnie szeroko. Miał na sobie nieco zbyt obcisłe, różowe polo i długie, zgniłozielone szorty z kieszeniami. – Skąd się tu wzięłaś, Emmo?

– Lee – poprawił Frank.

– Lee? – spytał Collins, mrużąc oczy i przechylając głowę na bok. – Nie, to chyba nie tak.

– Emily – wyjaśnił cierpliwie Frank. – To samo mówiłem ci w pracy cztery godziny temu. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się lekko. – Cześć, tak w ogóle.

– Cześć – wymamrotałam. Podejrzywałam, że idą w stronę beczki, a sama tęsknie spjrzałam na samochody – byłam tak blisko samotności, tak blisko uniknięcia tych wymuszonych rozmów. – Do zobaczenia – rzuciłam, skręcając w stronę parkingu,

odliczając sekundy do końca tego koszmaru.

– My w zasadzie... – powiedział Frank, wskazując głową przed siebie. Zdałam sobie sprawę, że oni też idą do samochodu, w tę samą stronę co ja, a to przepełniło czarę niezręczności.

– Ach, jasne – powiedziałam szybko – jasne, spoko. – Niewiele więcej dało się dodać, szliśmy więc dalej w milczeniu, w jednym rzędzie, jak w filmowym musicalu. – Do zobaczenia, chłopaki – powiedziałam, kiedy tylko dostrzegłam swój samochód i w tym samym momencie zdałam sobie sprawę, że się powtarzam. To mnie już jednak nie obchodziło, chciałam po prostu jak najszybciej znaleźć się w domu.

– Trzymaj się, Emma-lee – powiedział Collins, podkreślając ostatnią sylabę mojego imienia. Zatrzymał się przed brązowym minivanem i nacisnął przycisk na pilocie. Sekundę później boczne drzwi otworzyły gwałtownie. Spojrzał z dumą na otwarte auto i uśmiechnął się do mnie z fałszywą skromnością. – Niezłe, co?

Nie byłam pewna, co na to odpowiedzieć – ani nawet, po co otworzył te drzwi, nie po stronie kierowcy – ale zanim cokolwiek przyszło mi do głowy, Collins żółwikiem pożegnał się z Frankiem, puścił do mnie oko, wskoczył do samochodu i przesunął się na fotel kierowcy. Potem zamknął drzwi i szybko odjechał z Sadu.

Podeszłam do volvo i otworzyłam je, zauważając, że Frank wsiada do niebieskiego pick-upa, stojącego kilka samochodów od mojego. Pozdrowił mnie skinieniem głowy, a ja pożegnałam się półuśmiechem, po czym wskoczyłam do samochodu i uruchomiłam silnik. Zapaliłam światła i zaczęłam oddychać nieco spokojniej, szczęśliwa, że ten dziwny, stresujący wieczór się kończy. Nie czekając, aż Frank odjedzie pierwszy, nacisnęłam pedał gazu. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu. Już prawie udało mi się dojechać do znaku na końcu ulicy, kiedy mój samochód zaczął zwalniać. Mocniej nacisnęłam gaz, ale auto nie przyspieszyło, tylko potoczyło się jeszcze kilka metrów i stanęło. Zgasiłam silnik, odczekałam chwilę i spróbowałam zapalić znowu. Samochód jednak nie wystartował – po jednym obrocie zgasł. Czy była to wina akumulatora? W panice spojrzałam na deskę

rozdzielczą, jakby ta mogła udzielić mi jakichś informacji. Mój wzrok padł na licznik benzyny, wciąż wskazujący połowę baku. Wtedy zrozumiałam, o co chodzi: skończyło mi się paliwo.

Zamknęłam oczy na dłuższą chwilę, w nadziei, że to tylko okropny sen. Niestety. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam zbliżające się światła i zrozumiałam, że będzie tylko gorzej.

Za mną znalazł się samochód Franka. Po raz kolejny spróbowałam ruszyć, jakby było możliwe, że znajdzie się jakaś tajemna rezerwa gazu, oczywiście nic takiego się jednak nie stało. Słyszałam za sobą silnik Franka. Otworzyłam okno i wyciągnęłam rękę, gestem zachęcając, żeby mnie ominął. Było tu wąsko, ale miejsca starczyłoby, gdyby przejechał po trawie. Dla jego terenówki nie byłby to szczególnie problem. Kiedy się nie poruszył, znów machnęłam ręką, w nadziei, że pojedzie sobie, a ja będę mogła spokojnie zastanowić się, co ze sobą zrobić. Sekundę później jednak jego światła awaryjne zaczęły migać na czerwono, a Frank wysiadł z auta i podszedł do mojego samochodu.

Odwróciłam się i mocno zagryzłam wargę, czując, że znalazłam się o krok od płaczu. Chciałam tylko wrócić do domu. Czy to zbyt wiele? I czemu Frank Porter uparł się, żeby być świadkiem mojego upokorzenia? Nagle zezłościłam się – wściekłam nawet – na Sloane. Nie chciałam tu być. Nie chciałam mieć z tym wszystkim do czynienia. Byłam tu tylko dlatego, że mi kazała. A gdyby nie zniknęła, gdyby była tam, gdzie być powinna, nic z tego wszystkiego by się nie wydarzyło.

– Hej! – Podniosłam głowę i zobaczyłam, że Frank patrzy na mnie przez otwarte okno, a jego twarz jest bliżej, niż mogłabym się spodziewać. Wycofałam się o krok, chwytając kluczyki w dłoń, która, jak nagle zauważyłam, drżała. – Wszystko w porządku?

– Tak – odparłam, zmuszając się do uśmiechu, cały czas licząc na to, że zostawi mnie w spokoju. Frank patrzył na mnie przez chwilę, a ja zastanawiałam się, czy nie obraziłam go, twierdząc, że wszystko jest w porządku, kiedy w oczywisty sposób nie było. Żałowałam, że za mną nie znalazł się ktokolwiek inny. Oczywiście Frank Porter musiał podejść do mnie i upewnić się,

czy wszystko w porządku, podczas gdy większość ludzi po prostu ominęłaby mnie bez zastanowienia. – To znaczy – dodałam po chwili, kiedy Frank się nie poruszył – skończyło mi się paliwo. Ale to nie szkodzi. Poradzę sobie.

– Naprawdę? – Kierowca samochodu stojącego za Frankiem zatrąbił głośno, a on wykonał ten sam gest „omiń mnie”, co ja wcześniej. Samochód przejechał z piskiem, a za nim dwa następne. Zaczęłam wpadać w panikę, zdając sobie sprawę, że totalnie zablokowałam wyjazd. – Może podwiozę cię na stację po gaz? – zaoferował Frank.

– Och, nie trzeba – powiedziałam bez zastanowienia. – Poradzę sobie. – Sekundę później uświadomiłam sobie jednak, że nie przemyślałam sprawy. Co powinnam zrobić? Zadzwoić do rodziców, obudzić ich i powiedzieć, żeby przyjechali po mnie na imprezę, o której im wcześniej nie powiedziałam? Nie było to najlepsze rozwiązanie. Podejrzywałam, że bardziej się zezłoszczą tym, że ich budzę – a tym samym skracam jutrzejszy dzień pracy – niż tym, że poszłam na imprezę. A może zadzwonić po pomoc drogową? Nie wiedziałam jednak, ile to kosztuje ani czy w muszli leży wystarczająco dużo pieniędzy.

Kolejne dwa samochody minęły nas, jeden z kierowców krzyknął po drodze coś, co zagłuszył warkot jego silnika. Przejechał na tyle blisko, że Frank zbliżył się o krok do mojego okna.

– No, chodź – powiedział, a nasze głowy znalazły się niemal na tym samym poziomie, gdy oparł rękę o ramę okna. – Stacja jest przy ulicy niedaleko. To nie zajmie dużo czasu.

Spojrzałam na deskę rozdzielczą, na bezużyteczny licznik i zaczęłam zastanawiać się nad możliwymi opcjami. O dziwo, propozycja Franka Portera wydawała się najlepszą z nich. Kolejny samochód minął nas z piskiem.

– Emily? – pospieszył mnie Frank.

– Tak – odparłam, zdając sobie sprawę, że jego propozycja jest niezwykle uprzejma i że pewnie nie zamierza czekać na mnie w nieskończoność. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam: –

Jedźmy.

W milczeniu ruszyliśmy przed siebie. Razem zepchnęliśmy volvo na pobocze, tuż obok znaku z wisienkami. Potem otworzył drzwi od strony pasażera, a ja wsiadłam, nie pamiętając, żeby podziękować, póki nie zatrzasnął ich i nie okrążył mojego samochodu. Siedząc w aucie, zapinając pasy wśród gasnących świateł, zdałam sobie sprawę, że znalazłam się w chłopackiej przestrzeni. Nie to, żebym wielokrotnie wyobrażała sobie wnętrze auta Franka Portera, ale nie wyglądało tak, jak bym się spodziewała. Nie było idealnie czyste, żadne podręczniki nie leżały na tylnym siedzeniu. Wszędzie rozrzucone były graty. Na podłodze przede mną – aparat cyfrowy, gruba biografia Johna Lennona i czapka bejsbolowa z rysunkiem robota w miejscu, w którym zazwyczaj znajdowała się nazwa drużyny. Na tylnym siedzeniu zauważyłam parę trampek, iPoda i torbę ze sklepu z zaopatrzeniem na Stanwich Avenue. W przednim uchwycie na kubek stała cola z nalewaka ze zgiętą słomką, a w tylnym mała żabka z origami. Próbowałam jakoś to wszystko ogarnąć, ale tak naprawdę odkrycie, które było jak uderzenie w brzuch, sprowadzało się do tego, że Frank Porter był normalnym człowiekiem i, mimo jego wszechobecności w kampusie, człowiekiem, o którym nic nie wiedziałam. A to czyniło całą sytuację jeszcze dziwniejszą.

Frank otworzył drzwi po stronie kierowcy i wsiadł do środka, zgasił światła postojowe i zapalił silnik. Włączyło się stereo, ale nie rozbrzmiała muzyka, tylko śmiechy i oklaski. Frank natychmiast nacisnął guzik, żeby je wyłączyć. Nie skomentowałam tego, nie odezwałam się też, kiedy wjechaliśmy na ciemną, cichą drogę. Skręciliśmy w prawo, w przeciwnym kierunku niż miasto. Nie miałam zielonego pojęcia, dokąd jedziemy i naprawdę cieszyłam się, że on wie, gdzie znajduje się najbliższa stacja.

Daleko od miasta i jakichkolwiek domów było kompletnie ciemno, tylko przednie światła padały na drogę, a na niebie widziałam znacznie więcej gwiazd niż w domu. Zerknęłam na jego profil, potem znów przez okno, próbując uświadomić sobie, co się dzieje. Znalazłam się w ograniczonej przestrzeni sam na sam z

Frankiem Porterem.

Prawda była taka, że w ogóle nie byłam przyzwyczajona do bycia sam na sam z chłopakami. Nawet z Gideonem zazwyczaj spotykaliśmy się na większych imprezach albo w towarzystwie Sloane i Sama. Nie pamiętałam, kiedy – czy kiedykolwiek w ogóle – znalazłam się sam na sam z chłopakiem w samochodzie, na ciemnej ulicy.

– Dobrze się dzisiaj bawiłaś? – spytał Frank, spoglądając na mnie po kilku minutach milczenia. Podkuliłam nogi, żeby nie zdeptać Johna Lennona. Nie odpowiedziałam od razu, a on dodał: – To znaczy oprócz tej akcji z samochodem?

– Och – odparłam. Opuściłam wzrok i dostrzegłam, że samochód ma skrzynię biegów, którą Frank obsługuje bez trudu, nie zerkając nawet w dół. – Hmm, było w porządku – powiedziałam, bo ostatnią rzeczą, której potrzebował Frank Porter, była opowieść o tym, jak beznadziejny był mój wieczór.

Pokiwał głową i spojrzał na drogę, a ja po nieco zbyt długiej chwili zorientowałam się, że teraz ja powinnam zadać mu pytanie. Gdyby na moim miejscu siedziała Sloane, ona i Frank rozmawialiby i śmiali się jak starzy przyjaciele i jeszcze w drodze na stację wymyśliliby własne żarty. A gdybyśmy byli w trójkę, ja siedziałabym spokojnie, dołączałabym do ich wybuchów śmiechu, włączałabym się w rozmowę, żartowałabym, ale nie miałabym poczucia, że to na mnie spoczywa odpowiedzialność za naszą interakcję.

– A ty? – powiedziałam. – Dobrze się bawiłeś? Dzisiaj? – Gdy wreszcie udało mi się wydukać z siebie to proste pytanie, wyjrzałam przez okno, przewracając oczami.

Po krótkiej chwili ciszy Frank przełknął ślinę i odpowiedział:

– Tak, jasne. Było w porządku. – Pokiwałam głową i znów odwróciłam się, zakładając, że to koniec naszej konwersacji. Chwilę później dodał jednak: – Zazwyczaj tam nie chodzę. To nie do końca nasz klimat. Mój i Lissy – dodał po sekundzie, jakbym nie wiedziała, z czego składa się zaimek „nasz”. Znów pokiwałam głową. Faktycznie, nigdy wcześniej nie widziałam go w Sadzie. –

Collins jednak poprosił, żebym poszedł jako jego przyboczny, więc... – Wzruszył ramionami.

– I jak, yyy – zaczęłam, znów po zbyt długiej przerwie – jak poszło? – Domyślałam się, jak mogło pójść, skoro dziewczyna, którą podrywał Collins, nie wyglądała na szczególnie zachwyconą.

– Tak samo jak zwykle – odparł Frank, kręcąc głową.

Odwróciłam się znów do okna, zadowolona, że po takiej ilości small talku Frank Porter nie będzie się już raczej czuł zobowiązany do dalszej konwersacji. Włączył długie światła, a świat na zewnątrz stał się znacznie wyraźniejszy, ukazał nam rzeczy, które dotąd ukryte były w cieniu – łącznie z oPOSEM, który przebiegał drogę, pędząc prosto pod nasze koła.

Frank nacisnął na hamulec. Rzuciło mnie naprzód i poczułam, jak coś wypada spod mojego siedzenia i uderza mnie w kostkę. Na szczęście opos nie przestraszył się i nie położył się pośrodku drogi, ale pobiegł dalej i zniknął między drzewami po drugiej stronie.

– Przepraszam – powiedział Frank, zerkając na mnie, gdy znów ruszał, tym razem wolniej. – Wszystko w porządku?

– OK – odparłam. Pochyliłam się i podniosłam to, co wysunęło się spod fotela. Było to pudełko płyty CD, a na okładce widać było ponurego kolesia z mikrofonem, stojącego na krawężniku w deszczu. Było w niej coś, co kazało mi podejrzewać, że zdjęcie ma parę ładnych lat. Widniały na nim zapisane stylizowaną kursywą słowa *Curtis at the Commodore*. Frank spojrział na mnie, a ja szybko odłożyłam płytę, w nadziei, że nie pomyśli sobie, że grzebałam w jego rzeczach. – Sorry – usprawiedliwiłam się od razu. – Leżała pod siedzeniem, a kiedy się zatrzymałeś...

– W porządku – odparł Frank, sięgając po nią i chowając za własne siedzenie. – Dzięki.

Znów patrzył przed siebie, a ja zastanawiałam się, czy zauważyłam coś, czego nie powinnam była zauważyć. Ponieważ jednak nie wiedziałam, jak go za to przeprosić, uznałam, że nie będę nawet próbować. Zanim cisza zrobiła się niezręczna,

zobaczyłam przed nami jasny neon stacji z paliwem. *Route 1 Fuel* – głosił napis. W ciągu dnia też by się pewnie wyróżniał, bo wokół nic nie było, jakby stacja wyłoniła się znikąd. Po podróży całkiem ciemną drogą była jak miraż, z którego niesamowicie się ucieszyłam. Była malutka: tylko cztery pompy i minidelikatesy, które wydawały się naprawdę mini. Za ladą stał ziewający sprzedawca, a w oknie wisiał neon z napisem: „Słodyczne, napoje, przekąski”.

– Naprawdę... – powiedziałam, ale przerwałam i zaczęłam od początku – to znaczy, cieszę się, że znasz to miejsce. Na takim pustkowiu.

Frank skinął głową, podjeżdżając do jednej z pomp z gazem i wskazując drzewa za miniminidelikatesami.

– Widzisz te drzewa? To środowisko rzekotki różnobarwnej. W zeszłym roku powstały plany powiększenia sklepu, zbudowania myjni. Napisaliśmy z Lissą petycję, która je powstrzymała.

– Och – pokiwałam głową. To brzmiało bardzo poważnie i chociaż cieszyłam się szczęściem rzekotki różnobarwnej, jednocześnie miałam nadzieję, że nikt na stacji nie będzie żywił do Franka – a przy okazji do mnie – urazy. – To potrwa tylko chwilę – powiedziałam, odpinając pas i otwierając drzwi.

– Wejść z tobą – powiedział Frank, czyniąc to samo, najwyraźniej niezbyt przejęty tym, że właściciel mógłby wykopać nas ze stacji jeszcze przed uzupełnieniem paliwa.

Uznałam, że nie powinnam się z nim spierać, więc po prostu razem poszliśmy do delikatesów. Frank otworzył przede mną drzwi, zanim jeszcze zdążyłam dotknąć klamki.

– Yhm... dzień dobry – powiedziałam, a facet stojący za ladą wyprostował się sponad gazety, z ołówkiem w dłoni. Wyglądało na to, że rozwiązuje łamigłówkę, kilka słów miał już zaznaczonych.

– Dobry – powiedział, gdy Frank stanął obok mnie. Pochylił się naprzód i przekręcił głowę, a ja domyśliłam się, że chce zobaczyć łamigłówkę. – Czego wam trzeba?

– Macie jakieś pojemniki na benzynę? – spytałam, rozglądając się po sklepie. Widziałam tylko zwyczajne, kioskowe

rzeczy: torebki chipsów, napoje w lodówkach, cukierki i pisma.

Pokiwał głową i wskazał tył sklepu:

– Tam, pod ścianą.

– Dzięki – odparłam, spiesząc w tę stronę. Nie chciałam zajmować więcej czasu Franka Portera. Nie byłam jednak pewna, czy mu to jakoś szczególnie przeszkadza, bo tymczasem nie odrywał wzroku od gazety.

– Szukasz ukrytych słów? – usłyszałam głos Franka.

Na końcu sklepu znalazłam małą sekcję przedmiotów związanych z samochodami – olej silnikowy, lejki i ciśnieniomierze. Znalazłam wielki, plastikowy pojemnik z doczepioną dyszą, ale nie sądziłam, by był mi potrzebny tak duży, poza tym nie byłam też pewna, czy mnie na niego stać, zwłaszcza że musiałam kupić jeszcze benzynę, żeby go napełnić. Po tym, jak przepłaciłam za piwo, którego nie wypić, zostało mi tylko dwadzieścia dolarów. Miałam kartę kredytową na wszelki wypadek, ale była ona powiązana z kontem rodziców, a ja naprawdę wolałabym, żeby nie dowiedzieli się, że kupowałam paliwo na pustkowiu w środku nocy.

Wróciłam do kasy z pojemnikiem wielkości jednej trzeciej tego ogromnego, a tam Frank i sprzedawca opierali się o ladę z gazetą leżącą między nimi.

– Renesans – powiedział Frank, pukając palcem o papier, a mnie nawet specjalnie nie zdziwiło, że Frank Porter rozwiązuje łamigłówkę razem z pracownikiem sklepiku. Facet pochylił się bardziej, pokiwał głową i zakreślił słowo.

– Od tyłu – pokręcił głową – zawsze próbują cię tak załatwić.

– To wszystko? – spytał Frank. – Zostało coś jeszcze?

Sprzedawca najwyraźniej wtedy mnie zauważył, bo wyprostował się i sięgnął po pojemnik, po czym obejrzał go i oddał mi.

– Poproszę to, a reszta na benzynę, OK? – spytałam, podając mu banknot.

– Nieźle – powiedział Frank. Wskazał głową na łamigłówkę, która składała się teraz z mnóstwa zakreślonych ołówkiem kółek i

kilku samotnych literek, które do niczego nie pasowały. – Zobacz, Emily.

– Och – westchnęłam, niepewna, co powinnam zrobić: nigdy jeszcze nie musiałam komplementować niczyich zdolności w rozwiązywaniu łamigłówek. Co powinnam powiedzieć? Że wyglądała na naprawdę kompletną?

Zanim jednak zmuszona byłam dobrać słowa, Frank chwycił mój paragon i zaczął go machinalnie zgniatać w dłoni.

– Rozwiązujesz czasem sudoku? – spytał.

– Niee – odparł chłopak, wkładając ołówek za ucho. – To nie mój klimat.

– Musisz spróbować – podniecał się Frank, a ja odwróciłam się, mając nagle wrażenie, że im przeszkadzam. – Kiedy się już wkręcisz, totalnie uzależnia. Serio.

Zanim drzwi się zamknęły, usłyszałam ich śmiech. Podeszłam do pompy. Spróbowałam skupić się na tym, by dopasować rurkę do pojemnika, nie wylewając wszystkiego przy okazji, ale nie mogłam przestać myśleć o tym, że naprawdę istnieją dwa typy ludzi: ci, którzy potrafią zaprzyjaźnić się z każdym, i ci, którzy spędzają imprezy, siedząc samotnie pod drzewami.

– Hej! – Uniosłam wzrok i zobaczyłam obok siebie Franka. – Wszystko OK? Chciałem ci pomóc.

– Chyba mi się udało – odparłam. Licznik zaczął zwalniać, a kiedy się zatrzymał, odstawiłam dyszę, dokładnie zamknęłam pojemnik, po czym pochyliłam się, żeby go podnieść – nie ruszył się jednak z miejsca.

– Ja go wezmę – powiedział Frank, również pochyłając się, żeby schwytać go z drugiej strony. Unieśliśmy go wspólnie i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że mogłam napełnić bak, trzymając go w bagażniku, znacząco ułatwiając nam życie. Była to kolejna rzecz, którą zrobiłam tego dnia nie tak, wystarczyło dodać ją do listy. – James mówi, że powinniśmy trzymać go z tyłu – powiedział, kiedy stawialiśmy pojemnik w bagażniku. – Nawet kiedy będzie pusty, lepiej, żeby został w twoim, jeśli nie chcesz, żeby samochód śmierdział jak stacja benzynowa.

– James? – spytałam, podchodząc do drzwi pasażera. Nie dostrzegłam plakietki z imieniem, ale może Frank ją widział albo może zdążyli się zakumplować, rozwiązując łamigłówki.

– Taak – odparł Frank, wskazując na chłopaka w sklepie, który pomachał do nas. – Fajny gość. Myślę, że wypróbuje sudoku.

Wsiadliśmy do samochodu, a Frank zapalił silnik i upuścił kawałek papieru do uchwytu z żabką origami – w tym właśnie momencie dostrzegłam, że to, co było wcześniej moim paragonem, stało się papierowym żurawiem. Chciałam go o to spytać, ale tylko zapięłam pas i wyjrzałam przez okno. Gdyby Sloane była z nami w samochodzie, wystarczyłoby jedno moje spojrzenie, żeby zadała mu to pytanie. Ona by to zrobiła. Przez te dwa lata, kiedy ją znałam, nigdy przed niczym się nie wycofała.

Byliśmy już w połowie drogi do Sadu, kiedy przerwałam ciszę. Nasza interakcja dobiegała końca: niemalże widziałam go już w oddali niczym metę podczas jednego z moich wyścigów.

– Jeszcze raz bardzo ci dziękuję – powiedziałam wreszcie, po wypróbowaniu kilku wersji w myślach. – Naprawdę bardzo doceniam twoją pomoc. Przysięgam, że nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło.

– I założę się, że więcej ci się nie przydarzy – powiedział Frank. Wskazał ruchem głowy swoją deskę rozdzielczą, która, niczym statek kosmiczny, pełna była światełek pokrywających jedną stronę samochodu błękitną poświatą. – Mój samochód zaczyna błyskać i piszczeć, kiedy mam bak wypełniony w ćwierci, zazwyczaj więc napełniam go od razu, po to tylko, żeby przestał.

– Wskaźnik w moim aucie jest zepsuty – wyjaśniłam. Nie podzieliłabym się tą informacją, ale nie chciałam, żeby Frank Porter pomyślał, że oprócz bycia siostrą chłopca uzależnionego od adrenaliny, jestem jeszcze jakimś durniem. – Muszę zapamiętywać, ile jeżdżę.

Frank uniósł brwi i zerknął na mnie.

– To dziwię się, że dotąd ci się to nie przydarzyło.

– Zazwyczaj jestem bardzo uważna – powiedziałam – ale w tym tygodniu... – Urwałam, uznając, że nie będę dzieliła się z

Frankiem szczegółami z mojego życia: zniknięciem Sloane, szukaniem jej, listą... – to był po prostu szalony czas – wydusiłam z siebie wreszcie.

Pokiwał głową, skręcając do Sadu. Wyglądało na to, że kiedy nas nie było, impreza zaczęła wygasać – zostało tylko kilka zaparkowanych samochodów. Frank stanął obok mojego auta i chociaż spodziewałam się, że na tym skończy się jego pomoc, pomógł mi wyciągnąć kontener z benzyną i podtrzymywał go, kiedy tankowałam. Wstawiłam pusty pojemnik do bagażnika, a kiedy podchodziłam do drzwi od strony kierowcy, zobaczyłam, że Frank przygląda się naklejkom na lewym boku auta. Uniósł wzrok pytająco, ale ja odwróciłam się i usiadłam za kółkiem. Obróciłam kluczyk w stacyjce i po kilku trzaskach samochód odżył.

– Działa? – spytał Frank, zaglądając przez szybę.

– Działa – odparłam. Wskazałam palcem licznik – ale na to nie patrz. Zawsze pokazuje, że bak jest w połowie pusty.

Frank pochylił się.

– Ja powiedziałbym, że w połowie pełny. – Uśmiechnął się do mnie, a ja po chwili zrozumiałam dowcip. Zamiast się jednak roześmiać albo coś odpowiedzieć, uśmiechnęłam się tylko lekko i popatrzyłam przed siebie, na kierownicę. Frank odwrócił się do swojego samochodu, a ja zaczęłam się nagle zastanawiać, czy nie zachowałam się strasznie niegrzecznie.

– Ale serio – powiedziałam, wyglądając przez okno – dziękuję. Daj znać, czy mogę zrobić cokolwiek, żeby ci się odwdzińczyć.

Pokiwał lekko głową i pomachał mi, odwracając się. Po chwili jednak zatrzymał się, pochylił i spojrzał mi w oczy.

– A właściwie – powiedział przez otwarte okno – jest coś takiego. Nauczyłabyś mnie biegać?

Było to tak niespodziewane, że nie miałam pojęcia, jak zareagować. Najwyraźniej moja mina zdradzała konfuzję, bo po chwili Frank dodał:

– To znaczy, wiem, jak się biega. Ale chciałbym być w tym lepszy, może wystartować w biegu na dziesięć kilometrów albo coś

w tym stylu. A ty jesteś w drużynie przełajowych, prawda?

Pokiwałam głową, próbując ukryć zdziwienie, że Frank wie, czym zajmuję się w szkole – a właściwie, że w ogóle wie, czym się zajmuję. Po tym, jak poprzedniej wiosny zaczęłam omijać treningi, nie byłam zresztą pewna, czy jesienią wciąż będę należeć do drużyny. Nie sądziłam jednak, że będę musiała wiedzieć o tym już teraz.

– Jasne – odparłam beztrąsko. Byłam prawie pewna, że do niczego nie dojdzie, że zaraz o tym zapomni i że następnym razem zobaczymy się w pierwszy dzień szkoły we wrześniu, kiedy on będzie witał nas jako przewodniczący klasy. Prawdopodobnie spytał o to tylko po to, żebym nie czuła się winna. – Nie ma problemu.

– Świetnie – powiedział Frank. Uśmiechnął się do mnie i ruszył przed siebie. Skręcając, włączył kierunkowskaz, chociaż nie było takiej potrzeby. Patrzyłam na tylne światła jego samochodu, póki te nie zniknęły z pola widzenia, po czym włączyłam iPoda przypiętego do starego odtwarzacza, uruchomiłam silnik i ruszyłam do domu, chcąc, by ten wieczór wreszcie się skończył.

Powoli otworzyłam drzwi, żeby zawiasy nie zaskrzypiały, i przekroczyłam próg. Było prawie wpół do drugiej, a ja wstrzymałam oddech, czekając, aż zapalą się światła, a moi rodzice zbiegną po schodach, wściekli i domagający się wyjaśnień. Panowała jednak cisza przerywana jedynie głośnym tykaniem dziadkowego zegara, który był już w domu, kiedy się przeprowadziliśmy, i okazał się zbyt ciężki, żeby go wynieść. Wypuściłam powietrze, ale nagle poczułam, jak coś ociera mi się o nogi.

Zamarłam. Serce waliło mi w piersi jak młot. Na szczęście zobaczyłam, że to tylko kot.

– Idź sobie – wyszeptałam do niego, kiedy usiadł na progu i zaczął myć łapki, jakby nie zdawał sobie sprawy, że zastępuje mi drogę.

Mieszkaliśmy w Stanwich od roku, kiedy pewnej nocy pojawił się pod naszymi oknami i zaczął miauczeć. Cieszyłam się,

że wreszcie mamy zwierzaka, co wcześniej było zupełnie niemożliwe. Chociaż jednak włożyliśmy mu obrozę na szyję i napełnialiśmy jego miski wodą i jedzeniem, szybko stało się jasne, że nie będzie to typowy, domowy kotek. Przychodził i wychodził, kiedy mu się podobało, większość czasu spędzał na dworze i w garażu, do domu wpadając tylko wtedy, kiedy robiło się zimno. Za każdym razem jednak, gdy traciliśmy nadzieję, że jeszcze go zobaczymy, pojawiał się rano w kuchni i czekał niecierpliwie na swoje śniadanie, jak gdyby nigdy nic. Mój tata nazwał go Godotem, a przez lata przyzwyczailiśmy się do jego podejścia w stylu „przyjdę, jak będę miał ochotę”.

– No już – powiedziałam, trącając go stopą bardzo lekko, bo miałam na nogach klapki, a Godot nie wahał się, by użyć pazurów, kiedy czuł się urażony.

Było jednak późno, byłam wykończona i po długim dniu chciałam jak najszybciej wrócić do pokoju, wykreślić z listy „zbieraj nocą jabłka” i pójść spać. Ledwie jednak zdążyłam nabrać powietrza, by jeszcze raz kazać kotu sobie pójść, coś przyszło mi do głowy. Czy naprawdę zyskałam prawo, by wykreślić ten punkt? Pojechałam do Sadu nocą, ale nie zerwałam żadnego jabłka, a nie byłam pewna, jak dosłownie rozumiała Sloane swoje zalecenia. Zanim porządnie się zastanowiłam i zdążyłam przekonać samą siebie, że to głupi pomysł, zamykałam już za sobą drzwi, wyganiając kota, który wydał pozbawiony przekonania syk, i wybiegłam w noc.

Gdy dotarłam do Sadu, zobaczyłam, że ostatnie samochody odjechały. Teren był całkowicie opuszczony, opustoszały, jeśli nie liczyć leżących na trawie zdeptanych czerwonych kubków. Teraz, kiedy byłam tu sama, nie wydawał mi się już przerażającym polem walki, którym był ledwie kilka godzin wcześniej; przemierzałam go spokojnie, zamiast chować się po kątach. Szłam po trawie, przyzwyczajając wzrok do ciemności, moją drogę oświetlał tylko księżyc, który wyłonił się zza chmur. Gdy przechodziłam wzdłuż rzędów drzew, szukałam możliwie niezniszczonej drabiny, takiej, która nie byłaby zbyt dobrze widoczna. Uznałam, że to moja

jedyna szansa, jako że stojące na widoku drabiny były tymi, po których skakali pijani ludzie, to znaczy tymi, które miały najwięcej połamanych szczebli. Ta, którą wreszcie znalazłam, była w jednym kawałku, jeśli nie liczyć pierwszego szczebelka, który ominęłam. Wspięłam się po niej ostrożnie, a kiedy dotarłam na samą górę i nie zleciałam na ziemię, uspokoiłam się trochę. Spośród gałęzi drzewa spojrzałam w dół: zobaczyłam parking, na którym znajdował się tylko mój samochód, i ciemne drogi bez końca, prowadzące do miasta.

Sezon na jabłka miał się zacząć dopiero za parę miesięcy, ale miałam nadzieję, że znajdę choć kilka. Te, które zobaczyłam, były małe i wyglądały na kwaśne; pogodziłam się z tym, że będę musiała zerwać takie, kiedy zobaczyłam jeszcze jedno, znajdujące się tylko odrobinę poza moim zasięgiem. Nie było tak duże ani kształtne jak owoc z supermarketu, ale najładniejsze, jakie udało mi się dostrzec. Chwyciłam je, upewniając się, że drugą dłonią mocno trzymam się drabiny. Szarpnęłam, wytarłam je w swój top, odwróciłam się i oparłam o górny szczebel. Potem, upewniwszy się, że się nie chwieję, wzięłam gryza.

Nie było złe. Jeszcze nie do końca dojrzałe, ale smaczne. A tu, na górze, było naprawdę ładnie – może Beckett miał jednak rację. W świetle księżyca, jedząc jabłko, uważnie rozglądałam się dokoła.

55 S. AVE. PYTAJ O MONE

Stałam na parkingu naprzeciwko Stanwich Avenue 55 i wpatrywałam się w znak. „Rajskie Lody” – głosiły neonowe litery – „dla twojej rajskiej ochłody!”.

Znajdowałam się w małym centrum handlowym, przy jednej z głównych ulic, które przebiegały przez miasto. Byłam w nim wcześniej wiele razy, ale nigdy nie zwracałam uwagi na adresy, nie wiedziałam, gdzie znajduje się numer 55, póki nie znalazłam się na parkingu, podążając za wskazówkami mojej komórki. Znajdowało się tu tylko kilka sklepów – Kapitan Pizza, który był naszą ulubioną pizzerią, drogeria, sklep dla sportowców, w którym kupiłam ostatnią parę butów do biegania, biuro księgowo i, wreszcie, lodziarnia Rajskie Lody.

Był dzień po imprezie w Sadzie. Kiedy, wbrew swoim zwyczajom, obudziłam się rano, sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić do Sloane. Dopiero parę minut później przypomniałam sobie, jak wygląda sytuacja. Po raz pierwszy od dwóch tygodni nie wpadłam jednak w histerię. W końcu dostałam od niej list, miałam instrukcje. Wykreśliłam już jedno z zadań na liście i byłam pewna, że równie szybko uda mi się wykreślić pozostałe. Taki był plan.

Odetchnęłam głęboko i przeszłam przez parking, mijając po drodze Kapitana Pizzę. Czułam, jak burczy mi w brzuchu na zapach świeżo upieczonego placka, mimo, że pora wciąż była wczesna, a ja dopiero zjadłam śniadanie. Przez szybę zobaczyłam jasnowłosą dziewczynę za ladą, która przysuwała się do kasjera, wygładzała włosy i chichotała.

Otworzyłam drzwi do lodziarni, a kiedy weszłam do środka, owionęło mnie chłodne powietrze. Pomieszczenie było bardzo jasne, z białymi stołami i ścianami, z fluorescencyjnymi światłami na suficie. Nie było duże: znajdowało się tam pięć stolików, długa lada z lodami w szklanych pojemnikach i lodówka, w której wystawione były lodowe torty i napoje na wynos. Na ścianach

wisiałły duże plakaty przykrywające niemal całą przestrzeń. Było coś w tych fotografiach, być może stylizacje modeli, co sugerowało, że od dawna nie były zmieniane. Wszyscy ludzie na zdjęciach trzymali w dłoniach kubeczki albo wafelki z lodami, i byli z tego wyjątkowo zadowoleni. „Zaryzykuj!” – napisane było na jednym z plakatów, na którym widoczna była kobieta dzierżąca rożek z pięcioma dużymi kulkami. „Jaki jest twój lodowy sen?” – przeczytałam na drugim, na którym mały chłopiec kontemlował lodowy deser.

Za ladą stała dziewczyna z tęczą na T-shircie. Zgadywałam, że jest w moim wieku, może nieco młodsza. Nie spojrzała na mnie, kiedy weszłam do sklepu, bo zajęta była przyglądaniem się rozdwojonym końcówkom swojego warkocza.

– Cześć – powiedziałam, podchodząc do lady. Na koszulce miała plakietkę z imieniem Kerry. Widząc to, poczułam rozczarowanie. Oczywiście nie mogła to być Mona – to by było zbyt proste.

– Czym mogę służyć? – spytała, odrywając wzrok od swoich włosów i wyciągając z wody łyżkę do lodów.

– Och – odparłam szybko. – Niczym. To znaczy: nie chcę lodów. – Kerry przestała potrząsać łyżką i rzuciła mi spojrzenie, które oznaczać mogło tylko: „No to co tu robisz?”. Przełknęłam ślinę, próbując dodać sobie odwagi. – Chciałam... zastałam Monę?

– Nie – odparła Kerry, patrząc na mnie dziwnie. Trudno było ją za to winić.

Pokiwałam głową, zastanawiając się, czy nie powinnam była jednak zacząć od lodów. Może to nieco ułatwiłoby cały proces. Stałam przez chwilę, próbując wymyślić, jak zadać to pytanie. Byłoby prościej, gdybym miała jakiegokolwiek pojęcie, kim jest Mona albo gdybym wiedziała, po co mam o nią pytać.

– Ja tylko... – zaczęłam, niepewna, w jaki sposób opisać, czego mi potrzeba, kiedy tak mało sama o tym wiedziałam. Odetchnęłam głęboko i postanowiłam po prostu powiedzieć, o co chodzi, nie przejmując się tym, jak dziwnie to zabrzmie. – Moja przyjaciółka zostawiła mi liścik, w którym napisała, żebym

przyszła tutaj i spytała o Monę. Więc... – przerwałam, zdając sobie sprawę, że nie wiem, jak zakończyć to zdanie, jednocześnie nie zmuszając Kerry, żeby w jakiś sposób ją tu przyprowadziła. Cała sytuacja zrobiła się już bardziej żenująca, niż się spodziewałam, a to, w pewnym dziwnym sensie, dawało mi poczucie swobody.

– Cóż, Mony tu nie ma – odparła Kerry powoli i wyraźnie, jakby podejrzewała, że stanęłam przed nią, nie zamawiając lodów dlatego, że nie mówię zbyt dobrze po angielsku. – Jeśli więc niczego nie kupisz, nie możesz... – sklepowy telefon zadzwonił, a ona odebrała: – Dzień dobry, tu Rajskie Lody – powiedziała, nie odrywając ode mnie wzroku, jakby podejrzewała, że zamierzam obrabować lodziarnię. – Cześć, Mona. Nie. To nie klient, tylko...

– Czy to Mona? – spytałam szybko, przechylając się przez ladę. Desperacja dodawała mi odwagi, a jakiegokolwiek poczucie godności, które miałam, kiedy tam wchodziłam, zniknęło. – Mogę z nią porozmawiać?

– Nie – powiedziała Kerry do słuchawki, ale prawdopodobnie także i do mnie. – To tylko jakaś dziewczyna, która niczego nie zamówiła. Chce z tobą rozmawiać. – Słuchała przez chwilę, po czym opuściła słuchawkę. – Czego chcesz?

– OK, no więc moja przyjaciółka – powiedziałam prędko, obawiając się, że Kerry zmieni danie – zostawiła mi listę. Nazywa się Sloane Williams. Nie wiem, czy to ważne. W każdym razie na tej liście napisała, żebym przyszła tutaj i spytała o Monę. No więc to... to właśnie robię.

Kerry uniosła brwi.

– Słyszałaś to? – powiedziała do słuchawki. Lekko przechyliła głowę na prawo, słuchając rozmówczyni. – Och – spojrzała na mnie – to nie rozumiem, czemu po prostu nie zaczęła od tego. OK, zapytam ją. Do usłyszenia.

Odłożyła słuchawkę, a ja z niepokojem patrzyłam na telefon, zastanawiając się, czy powinnam sama porozmawiać z Moną. Kerry sięgnęła pod ladę i wyciągnęła folder na dokumenty. Chwilę przeglądała papiery, odsuwając je ode mnie, żebym nie mogła zobaczyć, co jest na nich napisane. Przerwała i spojrzała na mnie:

– Jak się nazywasz?

Moje serce zaczęło mocniej bić, ale nie z nerwów: poczułam, że zbliżam się do jakiejś odpowiedzi.

– Emily – odparłam, zastanawiając się, czy powinnam jej pokazać jakiś dokument. – Emily Hughes.

Pokiwała głową, wyciągnęła kartkę i położyła ją na ladzie.

– Miałaś się zgłosić w zeszłym tygodniu – powiedziała. – Mona myślała już, że nie chcesz tej pracy.

– Pracy? – Wpatrywałam się w nią zaskoczona.

Kerry przewróciła oczami, tracąc resztki cierpliwości.

– Tak, pracy – powiedziała. – Tej, do której się zgłosiłaś. Mona jest menadżerką.

Pokręciła głową i znowu sięgnęła pod ladę, a ja przyciągnęłam kartkę do siebie, żeby przyjrzeć się jej bliżej.

Rzeczywiście: było to zgłoszenie do pracy w Rajskich Lodach. Zostało wypełnione charakterem pisma Sloane. Widniał w nim adres mailowy i telefon Sloane, ale moje nazwisko i doświadczenie zawodowe. Sloane podała siebie jako osobę pierwszego kontaktu, a w rubryce „dodatkowe informacje” zapisała: „Jestem bardzo pracowita, punktualna, zabawna, lojalna, rozsądna, jestem też świetną przyjaciółką i w ogóle jestem super. No i jestem też bardzo skromna”.

Uśmiechnęłam się, czytając te słowa, choć jednocześnie byłam bliska płaczu. Jedyne, co mnie powstrzymywało, było wyobrażanie sobie, co Mona, Kerry albo jeszcze ktoś inny mógł pomyśleć, czytając to przedziwne, zarozumiałe zgłoszenie.

– Mogę to zabrać? – spytałam, ściskając kartkę w dłoni, kiedy Kerry wstała, trzymając w dłoniach dwie białe koszulki.

– Nie – odparła, wyraźnie załamana moim zachowaniem. Zabrała mi ją i schowała do teczek. – Musimy ją zachować. Żebyśmy mieli wszystkie informacje na wypadek, gdybyś podpaliła tę budę albo coś w tym stylu – mówiąc te słowa, przyglądała mi się bacznie, jakby była przekonana, że mogłabym być do tego zdolna. – Mona na pewno wspominała o pensji, kiedy się zgłaszałaś. Potrzebujemy kogoś na pięć zmian w tygodniu,

dwie z nich w weekendy. Mona zrobi rozpiszkę dzisiaj wieczorem i prześle ci ją mailem.

Mrugnąłam.

– To znaczy, że dostałam pracę?

Kerry nawet nie odpowiedziała, zaczęła tylko znowu przeglądać papiery w teczce.

– Mona chciała wiedzieć, czy twoja przyjaciółka wciąż jest zainteresowana.

Wyciągnęła kolejną kartkę, a ja dostrzegłam, że ta również wypełniona była charakterem pisma Sloane, tym razem była to jednak jej własna aplikacja. W sekcji poświęconej dyspozycyjności, Sloane, drukowanymi literami, napisała: TE SAME ZMIANY CO EMILY HUGHES!!!

Wtedy wreszcie zrozumiałam. Naprawdę miała plan, żebyśmy razem pracowały. I, sądząc po tym, jak pusto było w Rajskich Lodach, wybrała idealne miejsce. W zeszłym roku nasze maratony plotek przerywali co chwila ludzie, którzy chcieli, żebyśmy przyniosły im jedzenie albo przyjęły ich zamówienia, tutaj natomiast byłoby naprawdę doskonale. Płacono by nam za całodienne rozmowy, w których klienci nie przeszkadzaliby zbyt często.

Kerry westchnęła głośno, a ja zdałam sobie sprawę, że nie odpowiedziałam na jej pytanie.

– Nie – powiedziałam szybko. Zauważyłam, że Sloane w swojej aplikacji zostawiła rubrykę „dodatkowe informacje” pustą.

– Ona... nie jest już dostępna.

– OK – powiedziała Kerry, chowając zgłoszenie Sloane z powrotem do teczki. – A ty chcesz tę pracę, czy nie? Bo jeśli nie, zaczniemy dzwonić do innych kandydatów.

Patrząc na dwie, równo złożone białe koszulki na ladzie, zastanawiałam się. To nie był najgorszy pomysł na świecie. Koniec końców pracy potrzebowałam. A Sloane mi ją załatwiła. Umieściła informację na liście, żebym dowiedziała się o niej nawet pod jej nieobecność. Podejrzywałam też, że nie będzie ona szczególnie wymagająca. Pokiwałam głową.

– Tak. Chcę.

– Świetnie – powiedziała Kerry bez specjalnego entuzjazmu. Przynęła do mnie koszulki. – Witamy w Rajskich Lodach.

Kiedy dotarłam do domu, zrobiło się już bardzo gorąco. Klimatyzacja w moim volvo ledwie działała, więc zazwyczaj nawet nie próbowałam jej uruchamiać. Teraz też owionęła mnie tylko gorącym powietrzem, więc wyłączyłam ją od razu. Otwarty dach zazwyczaj wpuszczał do środka lekki wietrzyk, ale czułam się tak, jakbym znalazła się w pełnym słońcu, od którego nie da się uciec. Wjeżdżając na podjazd, zanotowałam sobie w pamięci, żeby wyciągnąć z garażu drewniany kawałek dachu, choćby po to, żeby zyskać trochę cienia. Podchodząc do drzwi, z nowymi, pracowniczymi koszulkami w dłoniach – z przerażeniem dostrzegłam, że widnieją na nich tęcze, jak na tej, którą miała na sobie Kerry – zaczęłam żałować, że nie zamówiłam jednak jakichś lodów.

Weszłam do środka po cichu, żeby nie przeszkadzać pracującym rodzicom. Kiedy jednak mijałam jadalnię, zobaczyłam, że tylko tata siedzi przy stole. Jego laptop był otwarty, ale on siedział rozparty w swoim ergonomicznym fotelu na kółkach i czytał grubą książkę, w której podkreślał od czasu do czasu jakieś fragmenty, tak skupiony, że na pewno nawet nie zauważył mojej obecności.

Mama stała w kuchni i myła brzoskwinię. Odwróciła się do mnie ze zmęczonym uśmiechem na twarzy. Podejrzewałam, że pracowali przez cały poranek.

– Cześć, Em – powiedziała. Spojrzała na koszulki, które trzymałam pod pachą. – Byłaś na zakupach?

– Dostałam pracę – powiedziałam, potrząsając T-shirtem, żeby mogła mu się przyjrzeć. – W Rajskich Lodach.

– Och – mama uniosła brwi – cóż, to... to dobrze. Na pewno jest tam bardzo fajnie, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej. – Jadłaś coś? – Rozejrzała się dokoła i wyciągnęła do mnie owoc. – Chcesz brzoskwinię?

– Nie, dzięki – odparłam. Podeszłam do lodówki,

wyciągnęłam z niej butelkę wody i wzięłam duży łyk.

– A właśnie, miałam cię o coś spytać – powiedziała, wycierając swoją brzoskwinię. – Między tobą a Sloane wszystko w porządku? Dawno jej nie widziałam.

– Och – westchnęłam. Wbiłam wzrok w pozdzierane drewno podłogi, zastanawiając się, co zrobić. Jeszcze wczoraj marzyłam o tym, żeby o wszystkim opowiedzieć rodzicom, żeby poprosić ich o pomoc w jej odnalezieniu. Wtedy jednak nie widziałam jeszcze listy. Lista była niczym plan działania od Sloane, a szukanie pomocy u rodziców nie było jego częścią. – Wyjechała z miasta na wakacje – odparłam wreszcie, spoglądając na mamę i wmawiając sobie, że tak naprawdę nie było to kłamstwo.

– Och, szkoda – powiedziała, marszcząc brwi. Moja mama odczuwała wszystko szybko i głęboko, płakała jak bóbr przy każdej okazji. Nikt nie chciał siedzieć obok niej na smutnych filmach. – Będzie ci ciężko, Em.

Mama ugryzła kawałek brzoskwini, ale byłam pewna, że zamierza zadać więcej pytań. Niemal je wyczuwałam: pytania takie jak „dokąd”, „dlaczego” i „na jak długo”, pytania, na które nie znałam odpowiedzi. Zanim więc zdążyła się odezwać, powiedziałam:

– Beckett wygląda na podekscytowanego wyjazdem na kemping. – Byłam prawie pewna, że nie ma go w domu, ale na wszelki wypadek spojrzałam w górę, na framugę drzwi.

– Tak – uśmiechnęła się mama. – Tata też. – Pokiwałam głową. Zrozumiałam z tego, że wyjazd nie został odwołany, a ja nie zrobiłam nic złego, kiedy oznajmiłam to bratu. – Chociaż ja nie pojmuję, dlaczego – powiedziała, kręcąc głową i obracając w dłoniach brzoskwinię w poszukiwaniu najlepszego miejsca do ugryzienia. – Spanie pod gołym niebem, kiedy ma się porządne, wygodne łóżko, zawsze wydawało mi się...

– Andrea, posłuchaj tego – zawołał tata, wbiegając do kuchni. Trzymał w dłoniach grubą książkę, mówił szybko i był wyraźnie podekscytowany. – Tesla i Edison byli przyjaciółmi, kiedy wrócił z Paryża. Edison nazwał go geniuszem.

– Scott – westchnęła mama – rozmawiam teraz z Em.

Widziałam jednak, że tylko jej część została ze mną w kuchni. Dało się odczuć, że chce wrócić do pracy i byłam pewna, że zdążyła już zapomnieć o Becketcie i kempingu.

– To nic ważnego – powiedziałam, wycofując się z kuchni. – Wracajcie do pisania.

Mama zagryzła wargę i spojrzała na mnie. Obdarzyłam ją szerokim uśmiechem oznaczającym „wszystko OK” i ruszyłam na górę. Zdążyłam jeszcze usłyszeć ich podekscytowane, nachodzące na siebie głosy, wypowiadające słowa takie jak „laboratorium”, „patent” i „prąd zmienny”.

Powoli weszłam po schodach do swojego pokoju, przy każdym kolejnym stopniu czując wzrastającą temperaturę. Opadłam na łóżko i spojrzałam na sufit, na którym wciąż widać było ślady po taśmie klejącej, która przytrzymywała wirujący panteon moich nastoletnich idoli, których plakaty zawiesiłam tam w czasach gimnazjalnych. Sięgnęłam po telefon, całkiem wolny od jakichkolwiek SMS-ów czy nieodebranych połączeń. Chociaż wiedziałam, że znów nadzieję się na skrzynkę, bezwiednie wybrałam numer Sloane. I rzeczywiście, usłyszałam jej głos wypowiadający słowa, które znałam już na pamięć. Doczekałam do końca, a kiedy usłyszałam sygnał, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić:

– Cześć, to ja. Dostałam pracę, tę w Rajskich Lodach. Dzięki, że ją nam załatwiłaś. – Słowo „nam” wypowiedziałam automatycznie, ale sekundę później zorientowałam się już, że nie będzie żadnych „nas”, będę tylko ja, sama, w T-shircie z tęczą. – Kiedyś opowiem ci, co się wydarzyło. Było naprawdę śmiesznie, dziewczyna myślała, że zwariowałam. – Chwilę słuchałam ciszy w słuchawce, pustej przestrzeni, w której powinien rozbrzmieć głos Sloane, jej śmiech, kolejne pytania, jedyne właściwe reakcje. – No, nieważne, porozmawiamy niedługo.

Odłożyłam telefon i po chwili wstałam z łóżka. Wrzuciłam swoje nowe koszulki do szuflady i wyciągnęłam listę od Sloane. Nie sądziłam, bym była w stanie zająć się dzisiaj kolejnym

punktem – pozostałe wymagały dłuższego zastanowienia. Dokładnie wykreśliłam punkt siódmy, po czym schowałam kartkę do koperty, a kopertę do szuflady. Rozejrzałam się bezradnie dokoła.

Nie chciałam zostać w pokoju – nie sądziłam zresztą, by było to zdrowe, skoro wolałam nie dostać udaru – ale nie chciałam też chodzić na paluszkach wokół moich rodziców na dole. Nie miałam też ochoty jechać sama na kampus ani do centrum. Czułam się trochę klaustrofobicznie. Chciałam wyjść, ale tak naprawdę dopiero wróciłam. Gdzie zresztą miałam iść? Zdjęłam klapki i wrzuciłam je do szafy. Wylądowały na moich trampkach i dały mi odpowiedź.

Nie zastanawiając się dwa razy, wyciągnęłam trampki i sięgnęłam do szuflady, w której trzymałam swoje sportowe ciuchy. Nie byłam pewna, czy cokolwiek to da, ale była to jedyna rzecz, na którą miałam w tym momencie ochotę. Postanowiłam pójść pobiegać.

CZERWIEC

Dwa lata wcześniej

Potrząsnęłam ramionami i spróbowałam przyspieszyć kroku, próbując zignorować płytkość oddechu. Nie biegałam od dwóch tygodni, kiedy skończył się rok szkolny, i czułam to przy każdym kroku. W pierwszej klasie dołączyłam do drużyny w biegach przełajowych, ale wlokłam się za resztą koleżanek i chciałam poprawić wyniki w czasie wakacji, żeby mieć szansę jesienią, kiedy konkurencja zrobi się zażarta.

Jako że w mojej dzielnicy było zbyt wielu ludzi i zbyt wiele wymówek, by zwolnić, postanowiłam, że będę biegać tutaj.

Znajdowałam się o dziesięć mil od domu i miałam pewne podejrzenia, że drogę powrotną pokonam spacerem – i to dość długim. Bardzo rzadko bywałam w tej okolicy, na przedmieściach Stanwich. Nie było żadnych chodników, ale bieganie po ulicy nie stanowiło problemu, skoro nie jeździły tu żadne samochody.

Zastanawiałam się właśnie, czy dam radę biec dalej, czy może powinnam poddać się i zacząć iść, kiedy zobaczyłam dziewczynę.

Chodziła w tę i z powrotem po podjeździe jednego z domów, ale kiedy mnie zobaczyła, zatrzymała się i osłoniła oczy przed słońcem. Potem, ku mojemu zdziwieniu, zaczęła do mnie machać – ale nie tak normalnie, jak macha się do kogoś na powitanie, ale tak, jak machać mógłby rozbitek na bezludnej wyspie na widok zbliżającego się statku.

– Tak się cieszę, że cię widzę – zawołała, kiedy znalazłam się na tyle blisko, żeby ją usłyszeć. – Czekałam na ciebie! – Najpierw zwolniłam, potem zatrzymałam się przed dziewczyną. Wyglądała na osobę w moim wieku, ale znacznie lepiej ubraną niż ktokolwiek, kogo znałam – miała na sobie jedwabny, luźny top i dżinsowe szorty, na rękach tusz, a usta umalowane czerwoną szminką. Pewien kontrast stanowił zwinięty w turban ręcznik na jej głowie.

– Na mnie? – spytałam, próbując złapać oddech i spoglądając do tyłu, żeby sprawdzić, czy droga wciąż jest pusta. Nie mogła przecież mieć mnie na myśli – nigdy jej wcześniej nie widziałam. Byłam pewna, że bym ją zapamiętała.

– Cóż – przyznała dziewczyna z uśmiechem – na kogoś takiego jak ty. Na kogoś, kto nie wygląda jak jakiś kompletny dziwak. Chociaż na tym etapie i to bym jakoś zniosła. Ale ty jesteś pierwszą osobą, która się tu pojawiła od godziny! Serio, myślałam już, że znalazłam się w jakimś horrorze o zombie, w którym cała ludzkość zniknęła.

Przerwała, żeby zaczerpnąć oddech, a ja tylko wpatrywałam się w nią, próbując nadążyć za tym, co się działo. Mówiła szybko i wydawała się jednocześnie zestresowana i na krawędzi załamania,

a nie wiem, czy kiedyś widziałam już taką kombinację.

– Co... – zaczęłam, ale po chwili przerwałam, nie będąc pewna, co właściwie odpowiedzieć – wszystko w porządku?

– Nie – odparła, potem zastanowiła się przez chwilę – to znaczy fizycznie dobrze się czuję. Chodzi tylko o to, że... – wzięła głęboki oddech – pomożesz mi włamać się do mojego domu? – Wskazała za siebie, a ja poczułam, jak usta otwierają mi się bardzo szeroko.

Była to ogromna rezydencja. Wyglądała na starą, okazałą i wzniosłą. Mogłam sobie wyobrazić, że to dom przemysłowych magnatów, którzy zapraszają na eleganckie przyjęcia hrabiny i senatorów, którym drzwi otwierają lokaje w białych rękawiczkach.

– Mieszkam tu! – ciągnęła dziewczyna. – Przysięgam, nie chcę niczego ukraść. Po prostu zatrzasnęłam za sobą drzwi. – Pokręciła głową i uniosła ręce, żeby poprawić ręcznik. – Normalnie bym się tym nie przejmowała, poszłabym na spacer albo się poopalała. Moi rodzice przecież kiedyś wrócą. Prawie na pewno. Ale teraz boję się, że moje włosy zrobią się zielone. – Kiedy to powiedziała, wybuchnęła śmiechem, zamykając oczy i lekko pochylając się do przodu.

Chociaż nie wiedziałam, co w tym śmiesznego, i wciąż nie mogłam zrozumieć, co się tak naprawdę dzieje, czułam, że zaraz sama się roześmieję, byle do niej dołączyć.

– Przepraszam – powiedziała, podnosząc się i uspokajając. – Ta sytuacja jest po prostu absurdalna.

– Dlaczego twoje włosy miałyby zrobić się zielone?

Dziewczyna skrzywiła się i ściągnęła ręcznik. Zrobiłam krok do tyłu i szerzej otworzyłam oczy. Jej włosy przykryte były jasnozieloną maską, która wyglądała, jakby zeszcła i zmieniła się w hełm.

– Powinno się zostawić ją na włosach na dwadzieścia minut – powiedziała, delikatnie dotykając głowy. – A jest tam gdzieś od godziny. Albo dłużej. Pewnie dłużej. O Boże.

– Pewnie – zgodziłam się – jak mogę ci pomóc? – Ledwie wypowiedziałam te słowa, zdziwiłam się, że dobiegły z moich ust.

A jednak byłam ich pewna na sto procent.

– Och, tak bardzo ci dziękuję – dziewczyna westchnęła z ulgą. – Wprowadziliśmy się dopiero kilka tygodni temu, więc nie wiem nawet, którędy najłatwiej dostać się do środka. Ale jestem prawie pewna, że znajdzie się jakieś otwarte okno, przez które będę mogła wejść, jeśli mnie podsadzisz.

– OK – powiedziałam, a dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i ruszyła przed siebie podjazdem.

Ja poszłam za nią i zauważyłam, że jest bosa, a częściowo zdrapany lakier na jej paznokciach pasuje odcieniem do jej szminki. Dom robił jeszcze większe wrażenie, kiedy podeszło się do niego bliżej, a ja nagle zdałam sobie sprawę, że już go widziałam. Kiedy przyjechaliśmy do Stanwich, a moi rodzice szukali domu, agent nieruchomości przywiózł nas w jego okolice, opowiadając, że to jeden z najważniejszych architektonicznych zabytków w okolicy. Używał słów, których nigdy wcześniej nie słyszałam, takich jak „portyk” i „westybul”.

– Twój dom jest niesamowity – powiedziałam, idąc za nią wzdłuż jego boku.

– Dzięki – odparła, wzruszając ramionami, wyraźnie mniej zachwycona ode mnie. – Dobra, widzisz to okno? – wskazała takie, które znajdowało się przerażająco wysoko, ale rzeczywiście było otwarte. Na wietrze lekko powiewały beżowe zasłony.

– Taaak – odpowiedziałam cicho, zastanawiając się, jakim cudem, nawet z moją pomocą, zamierza się tam wdrapać.

– Myślę, że jeśli tylko mi pomożesz, uda mi się tam wejść – powiedziała. – A wtedy wreszcie to z siebie zmyję. Mam tylko nadzieję, że nie wyrządziłam jakiejś trwałej szkody, że wszystkie włosy mi nie wypadną albo coś w tym stylu.

– Na pewno wszystko będzie OK – powiedziałam, chociaż nie miałam o tych sprawach pojęcia. Od razu pożałowałam swoich słów – najpopularniejsza dziewczyna z paczki, z którą się trzymałam, przewróciłaby oczami i spytała o konkretne źródło mojego przekonania, ale ona tylko się uśmiechnęła.

– Dziękuję ci bardzo – powiedziała. Nim zdążyłam

odpowiedzieć, podeszła do przodu, bacznie przyglądając się oknu. – Powinnam dać radę – dodała, chociaż w jej głosie było nieco mniej pewności siebie niż jeszcze chwilę wcześniej. Spojrzała na mnie, a ja żałowałam, że nie wyglądam bardziej porządnie – co było zresztą idiotyczne, skoro przecież dopiero co biegałam. Dziewczyna była jednak ubrana tak fajnie, że w swoich za długich szortach do biegania i starej, półprzezroczystej koszulce mamy z napisem „Williamstown Theater Festival Crew” poczułam się nagle idiotycznie. – Super, że jesteś taka wysoka. Strasznie ci zazdroszczę.

– Nie jesteś przecież niska – powiedziałam, byłam od niej wyższa tylko o jakieś dziesięć centymetrów.

– Oj, jestem – odparła, potrząsając głową. Widać było, że nieco się zmartwiła, bo jej włosy ani odrobinę się nie poruszyły. – Najgorzej było w Kopenhadze. Wszyscy tam są niesamowicie wysocy. Bez kitu, byłam najmniejsza w okolicy. Ty byś doskonale pasowała. A w ogóle, masz świetną koszulkę. Vintage?

– Yyyy – mruknęłam, spoglądając w dół. „Vintage” nie było chyba najwłaściwszym słowem, ale i tak pokiwałam głową. – Tak jakby. Pożyczyłam ją od mamy.

– Super – ucieszyła się. – Od razu widać. Bawełna wyciera się w taki sposób tylko podczas wielu lat prania. Znam komis w San Francisco, który zapłaciłby ci za nią ze sto dolarów. – Nagle chyba zdała sobie sprawę, że odeszliśmy od głównego tematu, bo znów odwróciła się do okna.

Patrząc w górę, pożałowałam, że nie ma z nami Becketta, bo on wdrapałby się na górę bez najmniejszego problemu.

– OK – powiedziała dziewczyna, przenosząc wzrok ze mnie na okno i z powrotem. – Może mnie podsadzisz?

– OK – powtórzyłam, próbując brzmieć pewniej, niż się czułam. Nasze spojrzenia spotkały się i wybuchnęliśmy śmiechem, chociaż żadna z nas nie wiedziała, dlaczego.

– O Boże – powiedziała, próbując się ogarnąć. – OK. OK, OK.

Zrobiłam z dłoni siodełko, a ona weszła na nie. I chociaż

próbowałam ze wszystkich sił ją podnieść, po chwili laska praktycznie stała mi na plecach, próbując dosięgnąć okna.

– Wszystko w porządku? – spytała. – Bardzo cię przepraszam, naprawdę sama nie wierzę, że to się dzieje. Robię ci krzywdę?

– Wszystko w porządku – wydusiłam, kiedy udało mi się lekko wyprostować i przy okazji nieco ją podnieść.

– Udało się! – zawołała triumfująco, kiedy się jednak wyprostowałam, uznałam, że był to nieco przedwcześnie obwieszony sukces, bo choć zwiślała z parapetu, wyglądała raczej, jakby miała spaść, niż podciągnąć się na okno. – Tak jakby.

– No dobra – powiedziałam, chwytając jedną z jej stóp, którą desperacko kopała w powietrzu. – Może jeszcze raz cię popchnę?

– Tak! – zawołała. – Świetny pomysł. Jesteś w tym znakomita. – Trzymałam jej stopę, a ona odbiła się od moich rąk, aż udało jej się przerzucić najpierw jedną, potem drugą nogę przez okienną framugę. Spadła na ziemię z hukiem, który usłyszałam nawet z dołu. – Ała! – jęknęła ze środka.

– Wszystko OK? – spytałam.

Sekundę później jej zielona głowa wyłoniła się z okna.

– W porządku! – zawołała. – Bardzo, bardzo ci dziękuję! Uratowałaś mi życie. A przynajmniej włosy.

Uśmiechnęła się do mnie i zniknęła z pola widzenia. Podejrzywałam, że poszła zmyć sobie zieloną maskę z głowy, ale i tak chwilę stałam i czekałam, zastanawiając się, czy już po wszystkim. Kiedy nie wróciła, ruszyłam przed siebie. Skręciłam już z podjazdu w ulicę, podążając w kierunku, który miał doprowadzić mnie do domu, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie znam nawet imienia dziewczyny.

Gdy następnego dnia zaczęłam biec w tym samym kierunku, moje mięśnie wyraźnie protestowały. Nie miałam zamiaru się poddać, chociaż miałam też nadzieję, że nie wyjdę na jakiegoś natręta. Wydawało mi się po prostu, że obejrzałam pierwszych pięć minut filmu i bardzo chciałam wiedzieć, co będzie dalej. Nie zamierzałam pukać, gdybym nie spotkała dziewczyny, miałam

tylko nadzieję, że spotkam. Gdy byłam już blisko jej domu, nadzieja wydawała się płonna: nikogo w okolicy nie było. Nagle pomyślałam, że to oczywiste: czego się spodziewałam? Że będzie siedzieć i czekać na mnie na zewnątrz? Odwróciłam się, żeby wrócić do domu, a wtedy zauważyłam na ziemi napisane kredą, w połowie pisane, w połowie drukowane litery:

Hej, biegaczko!!! Bardzo ci dziękuję!

Z włosami wszystko w porządku. J xo, SW

Trzeciego dnia nawet nie próbowałam biegać. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa po dwóch długich dystansach, które pokonałam, wciąż nie będąc w formie. Poprosiłam mamę, żeby wysadziła mnie milę od tamtego domu; powiedziałam, że chcę wypróbować nową trasę biegową. Pewnie w innym przypadku zadałaby mi więcej pytań, ale Beckett szalał na tylnym siedzeniu i jej uwaga była rozproszona. Poprosiła, żebym zadzwoniła do niej, gdybym potrzebowała podwózki i przypomniała, że muszę zdążyć na rodzinny obiad.

Gdybym próbowała zrobić wrażenie na którejś z dziewczyn ze szkoły, ubrałabym się inaczej. W jedną ze swoich najfajniejszych sukien albo w spódnicę, którą ostatnio kupiła mi mama; w jeden z tych ciuchów, w których czułam się, jakbym udawała kogoś zupełnie innego. Zamiast tego sięgnęłam po kolejną ze starych koszulek mamy, które zazwyczaj wkładałam do biegania albo po domu. Umalowałam też usta, choć nie miałam żadnej jasnoczerwonej szminki. Patrząc na siebie w lustrze, pomyślałam, że wciąż czuję się sobą, ale sobą w nowej wersji, takiej, której jeszcze nigdy nie wypróbowałam.

Powoli podeszłam do domu dziewczyny, zbierając się na odwagę. Postanowiłam, że zadzwonię do drzwi. W końcu zostawiła mi liścik: czy to nie było zaproszenie? Im jednak bliżej podchodziłam, tym głębiej zastanawiałam się, czy naprawdę będę w stanie to zrobić. Zadzwonię do drzwi rezydencji, a potem, kiedy ktoś mi otworzy, zapytam... no właśnie, o kogo? Plan z każdym krokiem zdawał się coraz głębszy, ale zmusiłam się, by stanąć na podjeździe. Zapisana kredą wiadomość zniknęła, z pewnością

zmyta przez burzę, która obudziła mnie o drugiej w nocy. Przez chwilę patrzyłam jeszcze przed siebie, ale w końcu opuściły mnie resztki odwagi i odwróciłam się.

– Hej! – Spojrzałam w górę i zobaczyłam dziewczynę wyglądającą z okna na drugim piętrze. Uśmiechała się do mnie. – Poczekaj, dobra? – Pokiwałam głową, a jej głowa zniknęła w środku.

Stapałam z nogi na nogę, wygładzając koszulkę, zastanawiając się, czemu się denerwuję. Denerwowałam się w towarzystwie koleżanek z klasy, ale wtedy bałam się, że powiem coś głupiego albo zostanę wyrzucona z grupy. To było coś zupełnie innego.

– Wróciłaś! – Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że dziewczyna zbliża się do mnie, to szybko idąc, to znów podbiegając kilka kroków. W dłoni, za długie skórzane paski trzymała sandały. Kiedy przede mną stanęła, upuściła je na ziemię. – Tak się cieszę, że przyszłaś! Chciałam ci podziękować, ale potem zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak to zrobić. Spójrz! – Pochyliła się naprzód i potrząsnęła głową, a ja dostrzegłam, że jej włosy nie są ani trochę zielone.

– Żadnej szkody? – spytałam, kiedy znów ją uniosła.

– Żadnej! – powiedziała wesoło, podnosząc jeden kosmyk, żeby mu się przyjrzeć, po czym chowając go za ucho. – Przynajmniej na razie. W przyszły wtorek wszystkie mogą wypaść.

– Opóźniona reakcja – pokiwałam głową. – Albo może odkryłaś jakiś tajemniczy, chemiczny składnik, który aktywuje się dopiero, kiedy trzymasz go na głowie zbyt długo? I dlatego na opakowaniu piszą, że nie wolno?

– Świetne – odparła. – Maski do włosów jest moim radioaktywnym pajakiem. – Roześmiałam się i nie zdążyłam się nawet zmartwić, że nudzę ją albo brzmię głupio, kiedy zapytała: – Jak masz na imię?

– Emily – odparłam, a ona uśmiechnęła się, jakby właśnie tego imienia oczekiwała.

– Bardzo miło cię poznać. Ja jestem Sloane.

BIEGNIJ, EMILY, BIEGNIJ!

Galveston

Glen Cambell

Any Way You Want It

Journey

Crash My Party

Luke Bryan

Heat of the Moment

Asia

True North

Jillette Johnson

Take On Me

A-Ha!

The Moment I Knew

Taylor Swift

Just Like Heaven

The Cure

It Goes Like This

Thomas Rhett

Mr Blue Sky

ELO

All Kinds of Kinds

Miranda Lambert

Nightswimming

R.E.M.

What About Love

Heart

The Downeaster „Alexa”

Billy Joel

Short People

Randy Newman

Dancin' Away With My Heart

Lady Antebellum

Take Me Home Tonight

Eddie Money

You Make My Dreams

Hell & Oates

Even If I Break Your Heart

Eli Young Band

Aw Naw

Chris Young

The Power of Love

Huey Lewis & The News

This

Darius Rucker

Fancy

Reba McEntire

Run

Matt Nathanson feat. Sugarland

A Lot to Learn About Livin'

Easton Corbin

Centrefold

J. Geils Band

Quittin' You

The Band Perry

Kompletnie nie miałam kondycji. Łydki od razu zaczęły mnie boleć, oddech skrócił się już po pierwszej mili. Moja aktywność w drużynie stała się pod koniec roku dość sporadyczna, no i nie biegałam wcale, odkąd Sloane zniknęła. I tak było mi jednak smutno, że choć robiłam to przez większość życia, tak szybko straciłam formę.

Bieganie było chyba jedyną aktywnością, którą podejmowałam od samego dzieciństwa. Kiedy teraz się nad tym zastanawiałam, wydało mi się jasne, czemu rodzice zachęcali mnie, bym brała udział w dziecięcych wyścigach i dołączała do klubów, żebym ćwiczyła na szkolnych i akademickich boiskach. Było to tanie i nie wymagało drużyny ani tego, by być cały czas w jednym miejscu. Kiedy dorastałam, ani pieniędzy, ani życiowej stabilizacji nie mieliśmy w nadmiarze.

Sloane z kolei odbyła w życiu tyle lekcji, że nie wiedziałam nawet, że to możliwe. Umiała jeździć konno i stepować, chodziła na zajęcia baletowe i na taniec towarzyski. Umiała żeglować, grać w tenisa, mówić po francusku i – z jakiejś przyczyny, której nigdy mi do końca nie zdradziła – grać w brydża. Ja na koloniach nauczyłam się pływać, ale głównie po prostu biegałam. To rzeczywiście umiałam dobrze, i dlatego tak głupio mi było, kiedy teraz się wlokłam.

Podkręcałam muzykę w iPodzie, licząc na to, że doda mi to energii. Nie stało się tak, ale zmusiłam się, żeby biec szybciej, choć z trudem łapałam powietrze. Słuchałam nowej składanki, nazwanej w idiotycznie motywujący sposób. Składanka pełna była muzyki, której słuchałam, ale do której nie lubiłam się przyznawać

– country i popu z lat osiemdziesiątych. Ta sama playlista powtarzała się na okrągło: funkcja zapętlenia w moim iPodzie była popsuta i kiedy wybrzmiewała ostatnia piosenka, po prostu zamierał. Zaczął się rozlatywać, kiedy zostawiłam go w samochodzie i zmoczył go niespodziewany deszcz.

Biegłam pętlą wokół mojego osiedla, którą odkryłam rok wcześniej. Prowadziła mnie wzdłuż brzegu, dzięki czemu robiło się chłodniej i czasem wiał wiatr, którego teraz naprawdę potrzebowałam. Zazwyczaj był to dla mnie prosty, pięćmiłowy bieg, ale teraz moja kondycja była wyjątkowo słaba.

Droga skręciła lekko, a ja razem z nią. Zobaczyłam wtedy, że ktoś biegnie przede mną. Był to chłopak, mniej więcej w moim wieku... Obrócił głowę, żeby poprawić iPoda przyczepionego do ramienia, a wtedy mogłam zerknąć na jego profil. Omal się nie potknęłam, kiedy zorientowałam się, że to Frank Porter.

Nie wyglądało na to, by mnie zauważył. Znow patrzył przed siebie z białymi słuchawkami w uszach. Zwolniłam jeszcze bardziej – teraz właściwie po prostu szłam, lekko podskakując – i zastanawiałam się, co począć. Gdybym się spięła, mogłabym go wyprzedzić, ale wtedy musiałabym biec szybko aż do domu. Poza tym wtedy Frank patrzyłby na moje plecy, chyba że naprawdę utrzymałabym niezłe tempo i zniknęła mu z oczu. A do tego wyciągnęłam z szuflady przypadkową parę szortów, która miała na tyłku napis GOSH! Niby oznaczało to *Go Stanwich High*, ale nikt z nas nie zorientował się, że skrót wygląda głupio, póki za nie nie zapłaciliśmy. Szybki bieg mimo to wydawał mi się najlepszą opcją: w przeciwnym przypadku mogłam co najwyżej naprawdę wlec się za nim, licząc, że mnie nie zauważy, co wydawało mi się dziwne i podejrzan.

Mogłam oczywiście również odwrócić się na pięcie i to wydawało mi się najlepszą opcją. Mogłam przebiec milę czy dwie koło domu, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że nie szło mi jakoś spektakularnie. Chociaż pomoc Franka z samochodem była naprawdę miłym gestem, nie chciałam dalej zmuszać się do konwersacji z nim ani zmuszać jego, żeby biegł ze mną, chociaż

wcale nie miał na to ochoty. Jedna interakcja z Frankiem Porterem wystarczyła mi na całe wakacje.

Odwróciłam się, kiedy Frank zatrzymał się, żeby zawiązać but. Spojrzał do tyłu i zobaczył mnie. Uniósł dłoń, żeby osłonić oczy przed słońcem, a potem wyciągnął z uszu słuchawki.

– Emily? – zawołał.

Zagryzłam wargę. Teraz nie było już szans, żeby uniknąć spotkania, o ile nie chciałam wyjść na chama. Wyjęłam z uszu słuchawki i wyłączyłam iPoda.

– Hej – powiedziałam, machając do niego. Przenosiłam ciężar ciała z jednej nogi na drugą, w nadziei, że to już wszystko i że teraz mogę wrócić do biegania.

– Wydawało mi się, że to ty – powiedział, wstając i podchodząc, co odebrało mi resztki nadziei. Kiedy się zbliżał, usłyszałam, że jest nieco zdyszany. Jego włosy były mokre od potu, a ubrany był w wyblakłą, niebieską koszulkę z napisem „Dziesięciobój Trzech Stanów – odmów, jeśli się odważysz!”. Zmrużył oczy. – To wszystko twoja wina, wiesz?

Przez chwilę tylko mrugałam oczami. Nie miałam pojęcia, co zrobiłam ani o co mu chodzi.

– Moja?

Przeciągnął dłonią po twarzy i po mokrych włosach.

– Taaak – powiedział. – Przypominam sobie, jak powiedziałaś, że pomożesz mi nauczyć się biegać.

Otworzyłam usta, ale po chwili znów je zamknęłam, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie znalazł mnie specjalnie, nie poprosił mnie o to. Czy powinnam była zgłosić się do niego i zaoferować swoje usługi trenerskie?

– Przepraszam – wymamrotałam, spoglądając w tył na cudowną, pustą drogę i żałując, że nie odwróciłam się o sekundę wcześniej albo że Frank nie wiązał butów odrobinę dokładniej.

Uśmiechnął się i pokręcił głową. Wyglądało na to, że uspokoił oddech.

– Żartowałem – powiedział. – Jestem w tym taki beznadziejny.

Pokiwałam głową i spojrzałam w dół, na swoje buty.
Wzięłam głęboki oddech.

– Cóż, powinnam...

– Biegiesz w tę stronę? – spytał Frank, wskazując kierunek, w którym zmierzałam. Nie wiedziałam, czy mogę zaprzeczyć. Gdybym to zrobiła, w zasadzie oznajmiłabym mu, że nie chcę z nim biegać.

– Taaak – powiedziałam wreszcie, świadoma, że odpowiedź nie wymagała tyle czasu, ile na nią przeznaczyłam.

– Ja też – odparł. Ukucnął, żeby poprawić drugą sznurówkę i spojrzał na mnie. – Pobiegamy razem przez chwilę? No, chyba że przeze mnie będziesz musiała zwolnić – dodał od razu.

– Nie szkodzi – powiedziałam, ale po chwili pomyślałam, że mogło to zabrzmieć niegrzecznie. – To znaczy... na pewno tak nie będzie. Sama nie jestem w najlepszej formie.

– Świetnie.

Frank podniósł się, a ja zaczęłam biec. Dołączył do mnie po chwili, jęcząc cicho, gdy próbował utrzymać moje tempo. Biegliśmy obok siebie, ja bliżej pobocza, on – środka drogi. Już po kilku sekundach zauważyłam, że dryfuje w moją stronę, więc przesunęłam się w lewo, żeby zachować dystans. Myślałam, że to jednorazowa sytuacja, ale po chwili stało się to znowu i teraz biegłam już po piachu.

– Yyy – zaczęłam, powstrzymując kaszel wywołany przez unoszący się pył – Frank?

Frank spojrzał na mnie i wreszcie zorientował się, co się dzieje.

– O Boże, przepraszam – powiedział. – Może zamienimy się miejscami?

– Dobry pomysł – powiedziałam, okrążając go.

Po kilku minutach biegu popatrzyłam na niego, a potem znów przed siebie. Nie wiedziałam, jaka obowiązuje w takiej sytuacji etykieta. Czy powinniśmy zacząć słuchać swojej muzyki? Czy może dalej w milczeniu biec obok siebie? Ale czy to nie dziwne?

– *Bug Juice*? – spytał Frank.

Zerknęłam na niego zdziwiona, a potem spojrzałam w dół. Zdałam sobie sprawę, że mam na sobie T-shirt z oryginalną obsadą, który był jak koszula nocna, kiedy go dostałam, ale teraz wyglądał już na mnie jak zwyczajna koszulka.

– Och – powiedziałam – no tak.

Biegłam dalej. Frank trzymał tempo obok mnie, a ja, w panującej między nami ciszy usłyszałam, że naprawdę jestem mu winna jakieś wyjaśnienie, bo inaczej wyjdę na wielką fankę sztuki, która zesła z afiszy lata temu.

– Moi... moi rodzice ją napisali – uznałam, że nic więcej nie musi wiedzieć. Nie musiałam tłumaczyć mu, że sztuka oparta była na moich doświadczeniach, że główna bohaterka Cecily to moje alter ego. Przynajmniej na początku sztuki. Wpierw jest nieśmiała, ale w toku historii staje się pewna siebie i odważna, wreszcie udaje jej się zorganizować zamach stanu i obalić Camp Greenleaf.

Frank uniósł wysoko brwi.

– Naprawdę? To super. Wydaje mi się, że widziałem kiedyś inscenizację. Pewnie miałem wtedy ze dwanaście lat... – Pokiwałam głową. Nie było to szczególnie zaskakujące. Większość ludzi zetknęła się z tą sztuką, jeśli nie na Broadwayu, to w jednej z niezliczonych, lokalnych i półamatorskich produkcji. Przygotowywałam się na następne pytanie – Czy napisali coś jeszcze?

Zanim odpowiedziałam, chwilę patrzyłam przed siebie. Dowiedziałam się, że na tym polegał problem z nagłym i niespodziewanym sukcesem. Nim *Bug Juice* trafił na Broadway, moi rodzice pisali sztuki od dziesięciu lat, pisali je zresztą do tej pory. Być może ich wina polegała na tym, że po wesołej historii o dzieciakach na letnich koloniach zaprezentowali straszliwie ponurą historię piosenkarki country o skłonnościach samobójczych.

– Właśnie pracują nad czymś nowym – cieszyłam się, że mogę udzielić takiej odpowiedzi, nie wchodząc w szczegóły dotyczące ich pozostałych sztuk, o których mało kto słyszał.

– Naprawdę? – spytał. Spojrzał na mnie, a ja usłyszałam, że

jego oddech znów jest przyspieszony.

Pokiwałam głową.

– O Tesli. – Frank wyglądał, jakby wiedział, o kogo chodzi. – Wiesz, kto to był? – spytałam tak zdziwiona, że nie mogłam się powstrzymać.

– Pewnie – odparł. – Był geniuszem. Jemu zawdzięczamy promienie Roentgena i radary. Zdecydowanie wyprzedził swoje czasy. – Zdałam sobie sprawę, że na chwilę zapomniałam, z kim mam do czynienia. Może i był cały czerwony, i z trudem łapał oddech, ale to wciąż Frank Porter, który w przyszłym roku będzie miał szansę na pierwszą pozycję w klasie. – Czy moglibyśmy – wydyszał z trudem – czy moglibyśmy na chwilę przerzucić się na marsz?

– Pewnie – odparłam szybko. Sama byłam nieźle zdyszana i choć miałam lepszą kondycję od niego, i tak nie było mi łatwo. Zwolniliśmy, a Frank głośno nabrał powietrza.

– Przepraszam cię za to – powiedział, kiedy udało mu się uspokoić oddech i wytarł twarz rękawem. – Pewnie cię zatrzymuję. Nie powstrzymuj się, jeśli chcesz pobiec szybciej.

– Nie, w porządku – powiedziałam. Dopiero po chwili zorientowałam się, że mogłam wykorzystać tę szansę, żeby się uwolnić. Naprawdę jednak sama potrzebowałam oddechu, chociaż z doświadczenia wiedziałam, jak trudno jest znów zacząć biec, kiedy zbyt długo się chodzi. Teraz jednak moje nogi były jak z ołowiu i wiedziałam, że bez przerwy nie dam sobie rady.

Frank podniósł dół swojej koszulki i wytarł nią twarz, a ja poczułam lekki dreszczyk. Z jakiejś przyczyny Frank Porter był w świetnej formie – chudy, to prawda, ale jego brzuch, dobrze widoczny ponad opuszczonymi nisko szortami, był bardzo ładnie umięśniony. Przełknęłam ślinę i odwróciłam się szybko, próbując się skoncentrować na prostej drodze przed nami. Kiedy wrócę do domu, muszę powiedzieć Sloane...

Tyle tylko, że o niczym nie mogłam powiedzieć Sloane. Jeszcze nie.

– Hej, mogę cię o coś spytać? – odezwał się po kilku

minutach Frank. Zerknęłam na niego, starając się dostrzegać chłopaka, którym był dla mnie jeszcze niedawno: Franka Portera, miłego przewodniczącego klasy, nie ukrywającego mięśni chłopaka, który szedł koło mnie.

Pokiwałam głową, choć wiedziałam z doświadczenia, że kiedy ktoś pyta cię wpierw, czy może o coś spytać, zamiast od razu zadać właściwe pytanie, odpowiedź wymaga wysiłku.

– Wczoraj w Sadzie – zaczął. Oderwał ode mnie wzrok i pokręcił głową. – Przepraszam cię bardzo, jeśli jestem wścibski... po prostu z jakiejś przyczyny wciąż się nad tym zastanawiam. Kiedy zawiozłem cię po benzynę... – znów na mnie spojrzął, widać było, że zastanawia się, jak sformułować pytanie – byłaś tam sama?

Poczułam, że moje policzki płoną i wiedziałam, że nie ma to nic wspólnego z bieganiem. Frank zauważył, że byłam tam całkiem sama, jak totalna frajerka.

– Nie chcę, żebyś pomyślała, że nie chciałem cię podwieźć – dodał szybko. – Naprawdę, to była dla mnie przyjemność. Tak się po prostu zastanawiałem.

Uśmiechnęłam się do niego półgębkiem i spojrzałam na drogę, żałując ze wszystkich sił, że nie zmusiłam się do biegu, kiedy miałam szansę. Czy teraz mogłam po prostu się zmyć? Musiałam odpowiadać na to pytanie? Co by się stało, gdybym po prostu pobiegła do domu? Przecież nie byliśmy przyjaciółmi. Nagle zorientowałam się, że jest jeszcze jedna opcja – mogłam po prostu powiedzieć prawdę.

Może to właśnie dlatego, że nie byliśmy przyjaciółmi, może dlatego, że nie sądziłam, bym miała zobaczyć go znowu tego lata, ale w końcu pokiwałam głową.

– Taaak – powiedziałam. – Dlatego, że... – Odetchnęłam, zastanawiając się, jak sformułować myśli. – Znasz Sloane Williams?

– Jasne, że znam Sloane. – Frank odpowiedział, jak się spodziewałam. – Jesteście papużkami nierozłączkami, prawda?

– Tak – odparłam powoli. Zdałam sobie sprawę, że nikomu

jeszcze o tym nie mówiłam i nie opracowałam sensownego wyjaśnienia. Podejrzywałam jednak, nie wiem dlaczego, że Frank będzie szedł ze mną, póki jakiegoś nie wymyślę – może dlatego, że widziałam, jak moderuje otwarte dyskusje w szkole i cierpliwie czeka, aż jakiś zjarany debil wyduka z siebie skargę na niedziałające automaty z napojami. – Cóż... wyjechała na początku wakacji. Nie wiem ani dokąd wyjechała, ani dlaczego. Ale zostawiła mi listę. To... – Znów się zawahałam, zastanawiając się, jak ją opisać. – To lista trzynastu rzeczy, które chciałaby, żebym zrobiła. Wycieczka do Sadu była jedną z nich. – Spodziewałam się, że Frank albo nic nie zrozumie, albo tylko uprzejmie pokiwa głową i zmieni temat. Nie podejrzewałam, że będzie rozentuzjasmowany.

– To fantastyczne – zawołał. – To znaczy... nie fakt, że wyjechała – dodał szybko. – Przykro mi. Ale to fantastyczne, że zostawiła ci coś takiego. Masz ją ze sobą?

– Nie – odparłam, dziwiąc się, że w ogóle zadał to pytanie, skoro wyszłam pobiegać. – Dlaczego to fantastyczne?

– Bo musi chodzić o coś więcej, prawda? – spytał. – To nie tylko lista. Musi się w niej kryć jakiś szyfr, jakaś ukryta wiadomość...

– Nie sędzę – odparłam, przypominając sobie trzynaście punktów. Wydawały mi się wystarczająco niejasne same z siebie, nie chciałam w nich szukać zaszyfrowanych tajemnic.

– Zrobiłabyś jej zdjęcie i wysłała mi je? – spytał poważnie. – Powiem ci, jeśli jest w niej coś więcej.

W pierwszej chwili chciałam odmówić: lista była bardzo osobista, poza tym znajdowały się na niej takie punkty jak „pocałuj nieznajomego” i „wykąp się nago”, a te wydawały mi się zdecydowanie zbyt krępujące, by dzielić się nimi z Frankiem Porterem. A jednak... co, jeśli rzeczywiście ukryta w niej była jakaś wiadomość? Sama niczego nie zauważyłam, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Zamiast więc odpowiedzieć „tak” albo „nie”, zagadnęłam:

– Domyślam się, że lubisz zagadki?

Frank uśmiechnął się, najwyraźniej zupełnie tym nie zawstydzony:

– Od razu widać, co?

Pokiwałam głową.

– Na stacji benzynowej mało nie ukradłeś łamigłówek temu chłopakowi.

Frank roześmiał się.

– James! – zawołał. – Fajny koleś. No dobra, wiem, że to trochę dziwne, ale interesuję się nimi już od paru lat – szyframi, szaradami, rebusami. Mój mózg chyba się ich domaga. – Pokiwałam głową, spodziewając się, że to tyle: ja czymś się z nim podzieliłam, on podzielił się czymś ze mną, teraz możemy wrócić do biegania. Chwilę jednak później, z lekkim wahaniem w głosie, Frank mówił dalej: – Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się od Beatlesów. Mój kuzyn dużo ich słuchał i powiedział mi, że w ich piosenkach kryją się tajemne szyfry. A ja dostałem obsesji.

– Na punkcie szyfrów? – spytałam. Teraz już nawet nie maszerowaliśmy. Najlepszym słowem byłby chyba „spacer”. – Czy Beatlesów?

– Cóż... jednego i drugiego. – Uśmiechnął się. – Wkręciłem też Collinsa. To była muzyka naszego dzieciństwa. – Wskazał głową na drogę przed nami. – Jak myślisz? Wracamy do biegania?

Pokiwałam głową, nieco zaskoczona, że chce próbować dalej, choć wyraźnie było mu ciężko. Ale miałam do czynienia z Frankiem Porterem: pod koniec lata zacznie pewnie trenować do maratonu. Zaczęliśmy więc biec, odrobinę tylko wolniej niż poprzednio.

– Boże – wydyszał Frank po kolejnej mili – dlaczego ludzie to robią? To okropne i wcale nie staje się łatwiejsze.

– Cóż – spytałam, zerkając na niego, zadowolona, że jest cały spocony i czerwony na twarzy, bo domyślałam się, że wyglądam podobnie – jak dużo biegasz?

– Za dużo – jęknął.

– Nie – powiedziałam, jednocześnie śmiejąc się i wdychając powietrze, i tym sposobem wydając z siebie dźwięk, który brzmiał

jak krztuszenie się. Zamaskowałam go kasznięciem i doprecyzowałam: – Chodziło mi o długość dystansów.

– Nigdy tak długo – odparł. – To... za dużo.

– Widzisz, na tym polega twój problem – powiedziałam, żałując, że nie umiem wyjaśnić tego krócej, bo właśnie zaczynało mnie kłuć w boku. – Bieganie staje się łatwiejsze, kiedy pokonujesz długie dystanse.

Frank pokręcił głową.

– W dobrze zorganizowanym wszechświecie byłoby inaczej.

Odwróciłam się gwałtownie. Wypowiedział pierwszą część tego zdania z zabawnym akcentem, więc zastanawiałam się, czy nie powinniśmy się może zatrzymać, czy przypadkiem nie przesadził na dzisiaj. Frank popatrzył na mnie.

– To Curtis Anderson.

Nazwisko nic mi nie mówiło. Pokręciłam głową. Potem jednak przypomniałam sobie płytę, która wysunęła się spod siedzenia w jego samochodzie.

– To jego płytę widziałam wczoraj wieczorem?

– Tak – potwierdził. – To komik. Tak brzmi jego ulubiona formuła... – Frank odetchnął ciężko. Wskazał naprzód, na trzeci budynek z kolei. – To mój dom. Ścigamy się?

– Ha ha – zaśmiałam się, pewna, że żartuje. Ku mojemu zdziwieniu jednak, ledwie sekundę później przyspieszył kroku, najwyraźniej znajdując jakieś rezerwy energii. Nie chciałam, by mnie pokonał – zwłaszcza, że przecież uważał mnie za eksperta – więc też przyspieszyłam. Chociaż wszystkie mięśnie w moim ciele zaczęły protestować, zaczęłam biec sprintem, najpierw dogoniłam Franka, a potem go minęłam. Z wysiłkiem dotarłam do domu, który wskazał, ledwie tylko go wyprzedzając.

– Bra... brawo – wydyszał Frank, zgięty wpół, z dłońmi opartymi o uda.

Zbyt wykończona, żeby się odezwać, podniosłam kciuk do góry, ale po chwili zdałam sobie sprawę, co zrobiłam, i natychmiast opuściłam rękę.

Wyprostowałam się, wyciągnęłam ramiona do góry i po raz

pierwszy zerknęłam na dom, przed którym się znaleźliśmy.

– Jaki piękny – powiedziałam. Wyglądał jak wycięty z magazynu o dizajnie – był jasnoszary i nowoczesnie zaprojektowany, co było dość wyjątkowe w okolicy, w której preferowano tradycyjne budynki, najczęściej w stylu kolonialnym.

– Jest w porządku. – Frank wzruszył ramionami.

Przed domem znajdował się niewielki znak, na którym widniał stylizowany napis: „Projekt: Porter & Porter”. Wskazałam go gestem głowy.

– To twoi rodzice?

– Tak. Mój tata jest architektem, a mama projektantką wnętrz – powiedział to ze stanowczością w głosie, a ja zaczęłam zastanawiać się, czy nie przekroczyłam jakiejś granicy.

– Nie wiedziałam, że mieszkasz tak blisko mnie – zmieniłam temat. – Mój dom jest na Driftway. – Ledwie wypowiedziałam te słowa, pomyślałam, że mogło to zabrzmieć, jakbym zaplanowała, że poznam adres Franka Portera. Było to jednak dość zaskakujące: znałam większość dzieciaków z okolicy, choćby ze wspólnej jazdy autobusem w czasach sprzed prawa jazdy.

– Mieszkamy tu dopiero od roku – powiedział, znów wzruszając ramionami. – Często się przeprowadzamy. – Pokiwałam tylko głową; w minie Franka było coś, co podpowiedziało mi, że nie chce wdawać się w szczegóły.

Zaczęłam rozplątywać słuchawki swojego iPod'a. Frank był w domu, byłam więc pewna, że nasz niespodziewany, wspólny bieg dobiegł końca.

– Powtórzmy to niedługo? – spytał Frank. Uśmiechał się, ale wciąż ciężko dyszał, a ja byłam pewna, że żartuje.

– Jasne. – Również uśmiechnęłam się szeroko, żeby wiedział, że załapałam żart. – Możesz na mnie liczyć.

Kiedy zaczęłam wkładać słuchawki do uszu, Frank wciąż stał nieruchomo.

– Zamierzasz wrócić biegiem do Driftway?

– To będzie raczej spacer – przyznałam. – To niezbyt daleko.

– Chcesz wejść? – spytał. – Napijesz się wody.

– Nie, w porządku – odpowiedziałam automatycznie. –
Dzięki.

Frank pokręcił głową.

– No chodź – powiedział, kierując się w stronę domu.

Po krótkiej chwili poszłam za nim. Podjazd był wspaniale zaprojektowany, kwiaty wydawały się posadzone w matematycznie wyliczonych odległościach. Podszedł do bocznych drzwi i sięgnął po klucz pod wycieraczkę, po czym otworzył drzwi i wpuścił mnie do środka. Weszłam do wypełnionego światłem, wysokiego foyer i odwróciłam się, żeby powiedzieć, jak bardzo mi się tu podoba, kiedy usłyszałam jakiś trzask.

Zamarłam, a Frank stojący tuż za mną także się zatrzymał z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Czy... – zaczęłam, ale tylko tyle udało mi się powiedzieć.

– Bo to jest mój projekt! – usłyszałam kobiecy krzyk. – Pracowałam nad nim w dzień i w nocy, kiedy ty siedziałeś w Darien, robiąc nie wiadomo co...

– Nie mów do mnie w ten sposób! – odpowiedział mężczyzna z równą intensywnością i równie głośno. – Beze mnie byłabyś nikim, tylko grzejesz się w moim blasku...

Kobieta o czerwonej twarzy minęła nas, po czym zniknęła z pola widzenia. Po chwili tą samą drogą przeszedł również czerwony mężczyzna. Rozpoznałam rodziców Franka: widziałam ich na zdjęciach i szkolnych uroczystościach, podczas których stali zazwyczaj za swoim synem, uprzejmi, opanowani i dumni z jego kolejnej nagrody.

Zerknęłam na Franka, którego twarz zrobiła się blada jak ściana. Patrzył na swoje buty, a ja wiedziałam, że zobaczyłam coś, czego absolutnie nie powinnam była zobaczyć. Czułam, że jakkolwiek beznadziejna nie byłaby ta sytuacja, moja obecność czyniła ją jeszcze gorszą.

– To ja już pójdę – powiedziałam, nieco tylko głośniejszym szeptem.

Frank pokiwał głową, nawet na mnie nie patrząc. Wycofałam się, a kiedy dotarłam do drzwi, usłyszałam, jak głosy znowu się

podnoszą.

Wyszłam na zewnątrz i szybko ruszyłam przed siebie. Żałowałam, że po prostu nie poszłam do domu, kiedy miałam taką możliwość i że musiałam zobaczyć minę Franka, gdy usłyszał wrzeszczących na siebie rodziców. Gdy dotarłam na ulicę, przyspieszyłam i wreszcie zerwałam się do biegu, choć mięśnie znów protestowały.

Biegłam całą drogę do domu. Dopiero gdy znalazłam się bardzo blisko, zauważyłam, że trzymam się w pewnej odległości od pobocza, pozostawiając miejsce dla kogoś, kto mógłby biec ze mną.

PRZYTUL JAKIEGOŚ JAMIEGO

Stałam za ladą Rajskich Lodów i tęsknie spoglądałam na drzwi. Przez cztery dni, które tu przepracowałam, obsłużyłam równo pięciu klientów. A jednym z nich był facet, który chciał, żebym rozmieniła mu pieniądze. Gdyby była tu Sloane, byłoby super, a brak klientów stałby się największą zaletą tej pracy. Ale że byłam całkiem sama przez cały dzień, obserwowałam z nadzieją wszystkich przechodniów, trzymając kciuki, by mieli ochotę na lody. Chociaż jednak ludzie czasem zaglądali do środka, zawsze szli dalej, zazwyczaj na pizzę.

Moje ciche, wolne od klientów miejsce pracy nie byłoby takie złe, gdyby nie fakt, że po zmianie musiałam wracać do domu, gdzie mój telefon wciąż milczał i nie miałam z kim porozmawiać.

Nie zdołałam wykreślić żadnego punktu z listy, a dwie noce wcześniej, w gorszej chwili, zrobiłam jej zdjęcie i wysłałam je mailem na szkolny adres Franka. Pożałowałam tej decyzji w tej samej sekundzie, ponieważ jednak dotąd nie dostałam odpowiedzi, uznałam, że albo nie sprawdza tej skrzynki w wakacje, albo zupełnie zapomniał o naszej rozmowie. Tak czy inaczej, nie robiłam postępów, a to zaczynało mnie niepokoić.

Odwróciłam się od drzwi i spojrzałam na serwetkę, na której zrobiłam listę wszystkich Jamiech z naszej szkoły, jacy przyszli mi do głowy. Nie znałam żadnego z nich zbyt dobrze i nie sądziłam, bym była w stanie zadzwonić do któregoś z nich i spytać, czy mogłabym odwiedzić go i przytulić. Właśnie przypomniałam sobie jeszcze jednego – byłam prawie pewna, że chłopak, który przebrał się w zeszłym roku za pluszową maskotkę miał na imię Jamie – kiedy dzwonek nad drzwiami zadzwonił i do środka weszła dziewczyna.

Odsunęłam od siebie serwetkę i spróbowałam wyglądać profesjonalnie:

– Witamy w Raju – powiedziałam, uśmiechając się do niej. Zatrzymała się w drzwiach, a ja załapałam, skąd ją kojarzę – pracowała obok, w Kapitanie Pizzy.

– Cześć – powiedziała trzęsącym się głosem. Przyjrzałam się jej dokładniej i zobaczyłam, że jej twarz pokryta jest plamami, a oczy spuchnięte. Poza tym jednak była ładna – drobna i zgrabna, miała jasne włosy z grzywką i bladoniebieskie oczy, które wydawały się dwa razy większe od oczu normalnych ludzi.

Przeczesała włosy palcami i podeszła bliżej do lady. – Przepraszam – powiedziała. – Tak naprawdę wcale nie chcę lodów. –

Westchnęłam i pokiwałam głową: szczerze mówiąc, na tym etapie zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Wzięła głęboki, drżący oddech. – Musiałam stamtąd na chwilę wyjść. A gdybym poszła do samochodu, wszyscy by widzieli... – Skrzywiła się i uniosła dłoń, żeby osłonić twarz. – Przepraszam – załkała. – Zaraz sobie pójdę.

– Hmm. – Rozejrzałam się dokoła, jakby któryś z napisów o myciu rąk i sprawdzaniu temperatury zamrażarki mógł mi pomóc w tej sytuacji. Wyszłam zza lady i splotłam ręce. – Wszystko w porządku?

Dziewczyna przytaknęła i obdarzyła mnie bardzo nieudaną wersją uśmiechu, który po chwili zniknął.

– Nie – załkała. Zaczęła płakać na całego. Sięgnęłam po jeden ze stojących na ladzie serwetników i przysunęłam go do niej. Opadła na metalowe krzesło i uniosła serwetkę do twarzy. – Czuję się strasznie głupio, wiesz, powinnam była to zauważyć. To wszystko działo się na moich oczach. Dosłownie. No, ale moja kuzynka Stephanie zawsze mówiła, że jestem zbyt ufna.

– Co powinnaś była zauważyć? – spytałam, podchodząc do niej o krok. Zastanawiałam się, czy niegrzecznie byłoby zasugerować, że przechodzące emocjonalny kryzys bohaterki filmowe często pokonywały go za pomocą lodów.

Dziewczyna wytarła oczy, wydmuchała nos i spojrzała na mnie.

– Że mój chłopak mnie zdradza.

– Ojej – westchnęłam, przysuwając do niej więcej

chusteczek. – Bardzo mi przykro...

– Z moją najlepszą przyjaciółką.

– Och! – Przełknęłam ślinę.

– I wszyscy razem pracujemy. – Wskazała palcem pizzerię. – Tu, po sąsiedzku. – Dzielenie się tą informacją najwyraźniej przywołało wszystkie złe wspomnienia, bo wybuchła świeżym szlochem.

– Hmm – powiedziałam, podchodząc do stołu – może po prostu coś źle zrozumiałaś? Może twoja przyjaciółka wcale nie chciała albo może zobaczyłaś coś, co nie... – Urwałam w połowie zdania. Z całą mocą wróciło do mnie wspomnienie, o którym nie chciałam myśleć, wspomnienie majowej nocy w domu Sama, spojrzenia Sloane, szklanki, która roztrzaskała się u jej stóp.

– Nie – dziewczyna pokręciła głową – pojechałam na miasto z dostawą, a dwie ostatnie były bardzo blisko siebie, więc wróciłam wcześniej. – Jej głos stał się cichy i drżący. – I wtedy zobaczyłam Bryana i Mandy całujących się przy schowku dla pracowników. – Popatrzyła w górę, a ja zobaczyłam, że z jej oczu płyną strumienie łez. – To było nasze miejsce. Tam my się całowaliśmy.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziałam, podając jej kolejną stertę serwetek. Miałam wrażenie, że zaraz będę musiała pójść po kolejny serwetnik.

– I wtedy spytałam: co to ma znaczyć? Naprawdę chciałam zastosować domniemanie niewinności, przysięgam – powiedziała, znów przecierając serwetką oczy. – Ale wtedy Bryan wziął Mandy za rękę i powiedział, że musimy porozmawiać. Uwierzysz? – Znów zaczęła płakać, a ja delikatnie poklepałam ją po plecach.

– Przykro mi – powtórzyłam. – Ja... – nagle coś przyszło mi do głowy i spytałam z nadzieją: – Nie masz może na imię Jamie? – uznałam, że warto spróbować, skoro i tak prawie już ją przytulałam.

– Nie – wyprostowała się dziewczyna. Wskazała na swoją koszulkę, która miała udawać wojskowy mundur. Na piersi, gdzie powinny być medale, znajdowały się dodatki do pizzy: pieczarki,

papryka i plastry pepperoni. Tuż nad sercem wyhaftowane było imię DAWN. – Dawn Finley.

– Emily – przedstawiłam się. – Hughes.

– Miło mi – powiedziała z odrobinę bardziej udanym uśmiechem. – Bardzo cię przepraszam – dodała, zbierając swoje zgniecione serwetki. – Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

– Jasne. – Ja również wstałam. – Jesteś pewna, że nie chcesz lodów? Za darmo. – Nie byłam pewna, czy wolno mi rozdawać lody, ale skoro nikt nie wchodził tu nawet po darmową próbkę, uznałam, że jedna czy dwie kulki nie zrobią różnicy.

– Nie, dziękuję – powiedziała Dawn. – Jeszcze raz przepraszam.

– W porządku – odparłam – naprawdę.

Dawn uśmiechnęła się do mnie lekko, wyprostowała ramiona i odetchnęła głęboko, po czym odwróciła się i wyszła, kierując się ku pizzerii.

Dzwonek zadzwonił, ucichł i znów byłam sama. Wracając za ladę, pomyślałam, że cisza jest jeszcze głośniejsza niż wcześniej.

Popołudnie minęło z lodowatą powolnością. Raz po raz czyściłam szyby, uporządkowałam lody w zamrażarce, najpierw grupując smaki, a potem alfabetycznie. Zamykanie lodziarni nie należało do mnie – to robiła codziennie Elise, asystentka menadżerki. Wpatrywałam się w tylne wejście, czekając, aż wreszcie przyjdzie, a ja będę mogła wrócić do domu. Staralam się nie myśleć o tym, że nie bardzo mam po co tam wracać: rodzicom nie wolno było przeszkadzać, mój młodszy brat zwisał pewnie z jakiejś framugi, a poza tym nie miałam życia. Po prostu chciałam wyjść. Wpatrywałam się w tylne drzwi tak uważnie, że nie usłyszałam dzwonka i nie zauważyłam, że ktoś stanął przede mną, póki nie rozbrzmiało znaczące chrząknięcie.

– Przepraszam – powiedziałam, szybko się odwracając.

Dawn stała przede mną z torbą do przewożenia pizz na wynos. Leżała na niej sterta kartek z zamówieniami. – Och, cześć. – Wyglądała nieco lepiej niż wcześniej, ale jej oczy wciąż były zaczerwienione i spuchnięte.

– Hej – powiedziała z zawstydzonym uśmiechem. – Chciałam tylko jeszcze raz ci podziękować i przeprosić za swoje zachowanie.

– Naprawdę nic się nie stało – zapewniłam ją. Ku swojemu zdziwieniu odkryłam, że jestem ciekawa, co wydarzyło się, kiedy wróciła do pracy, co zrobili Bryan i Mandy. Ale nie znałam tej dziewczyny, a teraz, kiedy wyglądała na zawstydzoną i zażenowaną, sama zaczęłam się tak czuć.

– Powiedz, jeśli mogę ci się jakoś odwdzińczyć – rzekła, przekładając torbę do drugiej ręki, tej bliżej lady. – Mogę załatwić ci lunch z moją zniżką. Przyjdź w tygodniu i...

Dawn opowiadała dalej o ofertach, które mogłaby mi załatwić, łącznie z darmową puszką napoju do wyboru, ale ja już jej nie słuchałam. Wpatrywałam się w kartkę leżącą na szczycie sterty. Dostawa została zamówiona na adres w Stanwich przez Jamiego Roarke.

Świsnęłam. To było jak znak. A jeśli nie znak, to przynajmniej szansa, której nie zamierzałam przepuścić.

– W zasadzie – powiedziałam, przerywając jej – jest coś, co mogłabyś zrobić. – Uniosła brwi, a ja odetchnęłam głęboko, nie odrywając wzroku od imienia na paragonie. – Czy mogłabym rozwiązać z tobą pizzę?

– A wtedy Mandy zaczęła opowiadać, że ma wrażenie, że w ogóle się już nie widzimy, i spytała, czy nie załatwiłabym jej pracy w Kapitanie Pizzy – powiedziała Dawn, pędząc przed siebie ulicą. Pokiwałam głową i przytuliłam się do boku samochodu, bezwiednie naciskając stopą na nieistniejący hamulec. Nie byłam pewna, czy Dawn jedzie tak – szybko i dość beztrąsko – dlatego, że przeżywa na nowo sagę o Bryanie i Mindy, czy dlatego, że zawsze tak jeździ, tak czy inaczej byłam jednak pewna, że zmieścimy się w wyznaczonym przez pizzerię czasie dostawy. – Poleciłam ją więc i dostała pracę jako kelnerka. Na początku było świetnie, tak dobrze dogadywali się z Bryanem, a ja naprawdę

uwazałam, że wszystko ułożyło się idealnie, rozumiesz? Niczego nawet nie podejrzewałam.

– Ale skąd miałaś wiedzieć? – powiedziałam, kiedy Dawn z piskiem zatrzymała się na czerwonym świetle, a figurki ustawione na jej tablicy rozdzielczej – w tym tancerz hula bez koszulki, któremu, jak się dowiedziałam, dała na imię Stan – zatrzęsły się gwałtownie. Na początku zdziwiłam się, że tak łatwo zgodziła się na moją propozycję, ale po tym, jak spytałam ją, gdzie chodziła do szkoły (Hartfield, gdzie była w ostatniej klasie, tak jak ja), a ona wykorzystała sytuację, by opowiedzieć mi całą swoją historię, zrozumiałam, że cieszy się po prostu, że ma z kim porozmawiać. Co mogłam przecież z łatwością zrozumieć.

– Wiem – powiedziała Dawn, zerkając na wskazówki w swoim telefonie. Popędziła przed siebie, kiedy tylko zmieniło się światło. – Ale wydaje mi się, że powinnam była coś zauważyć, rozumiesz? Wszystko szło tak dobrze, a ja byłam pewna, że to będzie najpiękniejsze lato w moim życiu. Jakbym sama na siebie ściągnęła pecha. – Ostro skręciła w lewo i na chwilę włączyła kierunkowskaz, jakby dopiero sobie o nim przypomniawszy. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że straciłam ich oboje – powiedziała, kręcąc głową, wciąż wyraźnie wstrząśnięta. – Rozumiesz, tego samego dnia. I teraz chciałabym porozmawiać o tym z Mandy, ale nie mogę... – jej głos urwał się i spojrzała na mnie – rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak – odparłam natychmiast, nawet się nad tym nie zastanawiając, zadowolona, że mam wreszcie kogoś, komu mogę opowiedzieć o tym, o czym myślałam przez ostatnie trzy tygodnie. – Moja najlepsza przyjaciółka... – zawahałam się – wyjechała na wakacje – odparłam racjonalnie, jakby to nie było nawet kłamstwo. – Codziennie spędzałyśmy czas razem, a teraz po prostu... musiałam się przyzwyczaić do...

– Tak – odparła Dawn, ostro skręcając w prawo. Zwolniła lekko, pochylając się i zerkając na adresy. – Nie możesz po prostu do niej zadzwonić?

– Nie mogę – odparłam, starając się jak najszybciej myśleć –

bo ona jest... no wiesz... na kempingu – Dawn zerknęła na mnie, więc dodałam: – w Europie.

– Och – odparła, wyraźnie pod wrażeniem – naprawdę?

– Naprawdę – odpowiedziałam, natychmiast żałując swoich słów. Nic nie wiedziałam o kempingach. Ani o Europie.

– Gdzie? – spytała, a ja znów zaczęłam się zastanawiać.

– W... Paryżu – powiedziałam, zastanawiając się, czemu w ogóle to ciągnę, a jednocześnie odnosząc wrażenie, że jest nieco zbyt późno, by przyznać, że wszystko wymyśliłam.

– Nie wiedziałam, że można jechać na kemping do Paryża – powiedziała Dawn.

– Ja też nie – odparłam szczerze. – Ale tam właśnie jest. – Wciąż miałam nadzieję, że Dawn nie zada już więcej pytań, bo nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym wymyślić.

Dawn odetchnęła, jakby zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale zaraz nacisnęła na hamulec i pochyliła się na moją stronę samochodu,

– Tam jest napisane trzydzieści jeden?

Pokiwałam głową, a Dawn wjechała na podjazd, ledwie omijając dekoracyjną skrzynkę pocztową przed domem. Zaparkowała i wysiadła, przesuwając swój fotel do przodu, żeby z tylnego siedzenia wyciągnąć torbę z pizzami. Ja również wysiadłam, czując przyspieszający puls. Po drodze myślałam o różnych rzeczach – o opowieści Dawn i jej sposobie prowadzenia samochodu – ale teraz powód, dla którego się tu znalazłam, chęć przytulenia pewnego klienta Kapitana Pizzy, wydawał się nie do uniknięcia.

– Czyj to dom? – spytałam, próbując zabrzmieć możliwie lekko. Wiedziałam, że miałyśmy do rozwiezienia cztery zamówienia, ale nie miałam pojęcia, gdzie znajdował się na tej trasie Jamie Roarke.

Dawn podniosła paragon i przeczytała:

– Greg Milton – jęknęła. – Zawsze zamawia cztery mięsne dodatki. Ledwie mogę podnieść jego pizzę. Podejdiesz do drzwi?

– Nie, dzięki – powiedziałam. Wiedziałam, że trudno będzie

mi zmusić się, by przytulić Jamiego Roarke – kimkolwiek był – uznałam więc, że przyda mi się chwila spokoju. – Poczekam tutaj.

– Dobrze – odparła Dawn, ruszając w stronę domu. – Zaraz wrócę.

Patrząc, jak Dawn podchodzi do frontowych drzwi i dzwoni do nich, rozsiadłam się wygodnie w jej samochodzie, zielonym volkswagenie z trójkątnym znakiem na dachu. Znak jednak zamiast tkwić na dachu, gdzie je zawsze widziałam, leżał na bagażniku samochodu niczym pletwa rekina.

Ledwie kilka chwil później szła w stronę samochodu, chowając resztę do przedniej kieszeni szortów, a ja odetchnęłam. Otworzyła drzwi po stronie kierowcy i wsiadła do samochodu. Pomyślałam sobie, że nie ma znaczenia, czy Dawn pomyśli, że jestem porąbana albo czy przestraszę tego całego Jamiego, albo czy nie będę mogła wrócić do Kapitana Pizzy przez resztę wakacji. Musiałam to zrobić.

– To ostatnia dostawa? – spytałam dwadzieścia minut i dwie dostawy później, w nadziei, że nie brzmię równie nerwowo, jak się czułam, kiedy zaparkowała przed małym, jasnoniebieskim domem.

– Tak – odparła, spoglądając na mnie ze współczuciem. – Strasznie się wynudziłaś? To dla Jamiego Roarke. Jest sympatyczna i ma słodkiego psiaka, skrzyżowanie mopsa z rasą beagle...

Dawn wysiadła z samochodu, a ja, w nadziei, że będzie to choć trochę naturalne i spontaniczne, rozpięłam pas i powiedziałam:

– Tym razem pójdę z tobą, dobrze?

– Jasne – powiedziała Dawn, sięgając na tył samochodu. – Chodź.

Wysiadłam z auta, czując, jak serce mocno bije mi w piersi. Cieszyłam się, że Jamie okazała się kobietą – wydało mi się, że tak będzie łatwiej. Poszłam za Dawn, po raz pierwszy dostrzegając napis na jej plecach. „Kapitan Pizza – MOROWE oferty!” – głośno słowa na jej ramionach. Stałam na wycieracze obok Dawn. Dzwonek grał kanon Pachelbela. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich około czterdziestoletnia kobieta. Zza jej nóg

wyglądał pies.

– Cześć – powiedziała, szukając w portfelu banknotów – sorry, zawsze przyjeżdżacie tak szybko, że nie zdążę się przygotować.

– Nie szkodzi – odparła Dawn, wyciągnęła pizzę. Pustą torbę położyła na ziemi.

Patrzyłam na Jamie Roarke z bijącym mocno sercem. Chciałam, żeby wyszła z za drzwi, za którymi wciąż się chowała. Co miałam zrobić, otworzyć je szeroko i ją przytulić? Mogłaby pomyśleć, że chcę ją zaatakować.

– Mogłabym przysiąc, że wczoraj wyciągnęłam... – wymamrotała, kiedy ja próbowałam zebrać się na odwagę. Mogę to zrobić. Mogę przytulić całkiem obcą osobę. Jakby wyczuwając moje myśli, piesek zaczął wyć u stóp Jamie Roarke. – Cicho – powiedziała, kiedy pies obnażył zęby – byłam pewna, że w moim kierunku. – OK, znalazłam – powiedziała, spoglądając na Dawn i uśmiechając się, kiedy podawała jej banknoty. Uśmiech zniknął, kiedy jej wzrok padł na mnie: stałam tam z głupią miną i bez mundurka Kapitan Pizza.

– To Emily – powiedziała Dawn, chowając pieniądze i podając Jamie pizzę. – Ona tu... obserwuje.

Jamie Roarke kiwnęła głową, a ja wiedziałam, że to właściwy moment, że musiałam to zrobić. Czy to ważne, co pomyśli sobie ta kobieta albo Dawn? Musiałam ją tylko przytulić. Moja szansa była w zasięgu ręki. Próbowałam się zmusić, żeby po prostu zrobić krok naprzód i zrobić to, jednak moje ciało nie chciało się poruszyć. Stałam jak skamieniała, patrząc, jak moja szansa znika, kiedy Jamie Roarke podziękowała Dawn i zamknęła drzwi.

– No więc tak to działa – powiedziała Dawn, podnosząc pustą torbę. Zerknęła na mnie w świetle wiszącej na ganku Jamie Roarke lampki, wokół której zaczęły zbierać się ćmy. – Wszystko w porządku?

Pokiwałam głową i w milczeniu podeszłam do samochodu Dawn, wściekła na siebie. Diabli wiedzą, po co Sloane umieściła

ten punkt na liście, ale umieściła go i był jednym z łatwiejszych. A ja nawet tego nie umiałam zrobić. Kiedy tylko robiło się trudniej i nie mogłam schować się w krzakach, poddawałam się. Usiadłam na fotelu pasażera i trzasnęłam drzwiami mocniej, niż powinnam. Patrzyłam przez okno, nienawidząc siebie samej.

– Yyy – Dawn zerknęła na mnie, uruchamiając silnik – na pewno wszystko w porządku?

– Tak – odparłam. Miałam nadzieję, że nie brzmię równie ponuro, jak się czuję. – Jestem tylko... bardzo zmęczona.

– O Boże, ja też – westchnęła Dawn. – To był strasznie długi dzień. Masz czasem wrażenie, że niektóre dni trwają pięć lat, a inne kończą się w minutę? – Dawn opowiadała coś przez całą drogę powrotną i zdawała się nie zauważać, że ja się nie odzywam. Cieszyłam się, że wypełnia samochód konwersacją, odwracając moją uwagę od sromotnej porażki.

Zaparkowała krzywo w miejscu, które nie wyglądało mi na parkingowe, a kiedy wysiadłyśmy z samochodu, zobaczyłam, jak zagryza wargi.

– Wszystko będzie OK – powiedziałam, nawet się nie zastanawiając. Nie byłam pewna, czy powinnam to była powiedzieć, skoro nie miałam pojęcia, czy naprawdę będzie OK. Dawn uśmiechnęła się jednak do mnie nieco pewniej, niż kiedy po raz pierwszy pojawiła się w lodziarni.

– Mam taką nadzieję – powiedziała. – Dziękuję, że ze mną pojechałaś. Twoje towarzystwo bardzo mi pomogło.

– Och – uśmiechnęłam się do niej, myśląc, że nie była to właściwa chwila, by zdradzić jej prawdziwy powód, dla którego z nią pojechałam. – Cieszę się – powiedziałam szczerze.

Dawn pomachała do mnie i ruszyła do pizzerii, a ja przeszłam przez parking i wsiadłam do samochodu. Ruszyłam do domu – nie miałam żadnego innego pomysłu. Im bardziej się jednak zbliżałam, tym bardziej myśl o powrocie do mojego cichego domu, do gorącego bezruchu mojej sypialni, przyprawiała mnie o klaustrofobię. Skręciłam więc z drogi, która miała mnie tam zaprowadzić i ruszyłam do centrum. Nie wydawało mi się, by

zbyt wiele się działo – robiło się późno, a Stanwich, zwłaszcza w środku tygodnia, chodziło wcześniej spać. Światła w dinerze wciąż się paliły i niektóre boksy były zajęte – było to w zasadzie jedyne miejsce, w którym można było zjeść coś po dziesiątej. Większość sklepów była pozamykana, a przez szklane drzwi kina zobaczyłam, jak jakiś ziewający pracownik czyści maszynę do popcornu.

Wiedziałam, że w zasadzie tylko marnuję benzynę, ale jechałam dalej. Prowadzenie samochodu i nowa składanka w iPodzie pomagały mi nie myśleć o dzisiejszej porażce: o tym, że właśnie straciłam najlepszą okazję, by wykreślić z listy numer jedenaście.

Jechałam przed siebie, coraz dalej od głównej dzielnicy handlowej, ale dopiero kiedy światła zniknęły, a gwiazdy wstąpiły na niebo, zdałam sobie sprawę, że jadę do Sadu. Zwolniłam, kiedy go mijałam – zobaczyłam kilka samochodów zaparkowanych na podjeździe, ale żadnego na poboczu, podejrzewałam więc, że siedzieć tam może tylko mała grupka, nie tyle osób, co w weekendy. Jechałam dalej, a kiedy zobaczyłam przed sobą światła *Route 1 Fuel*, pomyślałam, że może dobrze byłoby zatankować, zwłaszcza, że jeździłam długo bez celu i nie miałam pojęcia, ile zostało mi benzyny.

Weszłam do sklepiku i zobaczyłam tego samego sprzedawcę, którego spotkaliśmy za pierwszym razem. Uśmiechnął się do mnie lekko, jakby mnie pamiętał, odłożył na bok książkę i wziął mój dwudziestodolarowy banknot. Benzyny było więcej, niż podejrzewałam i wystarczyło piętnaście dolców, żeby bak się napełnił. Weszłam do środka po resztę, a chłopak znowu odłożył na bok książkę, tym razem okładką do góry – jej tytuł brzmiał: „Sudoku dla początkujących: wskazówki i sztuczki”.

Nagle przypomniałam sobie, jak Frank namawiał go, żeby spróbował sudoku – jeśli się znowu spotkamy, powiem mu, że się udało – i jak mówił mi, że chłopak ma na imię James. Podał mi piątkę, a ja schowałam ją, wciąż nie wierząc w to, co postanowiłam zrobić.

– Jesteś James, prawda? – spytałam.

– Tak – odparł chłopak z podejrzliwością w głosie, ciekawie pewnie, skąd to wiem, skoro nie ma na koszulce plakietki z imieniem.

– To świetnie – odparłam szybko. Brzmiałam pewnie jak wariatka, ale w tym momencie niespecjalnie się tym przejmowałam. – Czy ktoś nazywa cię czasem Jamie?

– Babcia – powiedział po chwili, wyraźnie nie rozumiejąc, dlaczego zadałam mu to pytanie. – Nazywała mnie tak, jak byłem mały.

Tyle mi wystarczyło. Liczyło się, prawda? Musiało się liczyć.

– OK – pokiwałam głową.

Nie zastanawiałam się nawet nad tym, co zamierzałam zrobić, bo wiedziałam, że w każdej chwili mogę przestraszyć się i zrezygnować. Sięgnęłam więc przez ladę i przytuliłam go szybko, ledwie dotykając jego pleców rękami. Zrobiłam krok w tył i popatrzyłam na niego: był jeszcze bardziej zdziwiony niż wcześniej.

– Miłego wieczoru – powiedziałam, po czym popędziłam do samochodu. Czekałam, aż ogarnie mnie uczucie strasznego zawstydzenia, ale nie nadeszło. To było raczej małe zwycięstwo, sekret, który ukrywałam przed wszystkimi.

Zapaliłam silnik i nim odjechałam, raz tylko zerknęłam za siebie, na stację. Przez szybę widziałam, że James wciąż stoi za ladą, ale nie czyta już książki, tylko patrzy w bok z lekkim uśmiechem na twarzy.

Wjechałam w noc, czując, że zaraz wybuchnę pełnym niedowierzania śmiechem. Nie próbowałam się powstrzymać i roześmiałam się głośno, sama w samochodzie, nie wierząc w to, co właśnie zrobiłam. „Jamie przytulony” – powiedziałam sama do siebie, a może jednak do Sloane. Zadanie wykonane. Wiem, że jej by się to spodobało. Gdyby zobaczyła, jak obejmuję chłopaka ze sklepiku, śmiałaby się przez dwa tygodnie. Wciąż uśmiechałam się, włączając muzykę, głośniej niż zazwyczaj, i ruszyłam do domu, palcami stukając w kierownicę.

LUTY

Cztery miesiące wcześniej

Obudziłam się gwałtownie i wpatrywałam się w sufit mojej sypialni, w nierówno rozmieszczone, świecące w ciemności konstelacje po jednej jego stronie. Rozejrzałam się wokół, próbując zrozumieć, co się stało, czemu się obudziłam. Podniosłam się i zobaczyłam u stóp łóżka parę świecących, żółtych oczu.

– Godot! – syknęłam, rzucając poduszkę w jego stronę. Nie chciałam zrobić krzywdy kotu – przynajmniej nie w tym momencie – ale przestraszył mnie, a serce waliło mi w piersi tak mocno, że niemal podchodziło do gardła.

Nie trafiłam, a kot nie przesunął się nawet o centymetr, kiedy mijała go poduszka. Popatrzył na mnie wzrokiem, który określić dało się jedynie jako pełen pogardy, po czym rozciągnął się, zeskoczył z łóżka i wyszedł przez uchylone drzwi.

– Głupi kocur – wymamrotałam, wstając z łóżka po poduszkę. Po drodze zauważyłam, że sterta koszulek leżących na mojej szafce się świeci.

Podeszłam i szybko znalazłam źródło światła: komórkę, która zakopana była pod wypranymi ciuchami. Dostałam cztery wiadomości, wszystkie od Sloane.

Hej, nie śpisz?

Jestem na dole.

Na zewnątrz.

Zimno!

Natychmiast odpisałam:
Zaraz tam będę!

Otworzyłam drzwi i zbiegłam na dół po schodach tak cicho, jak to było możliwe. Mój tata miał płytki sen, a jako że w tym semestrze miał zajęcia od ósmej rano, zapewne nie ucieszyłby się, gdybym obudziła go w środku takiej nocy, którą akurat mógł przespać spokojnie. Ledwie zrobiłam kilka kroków, zorientowałam się, że popełniłam błąd, nie wkładając butów ani niczego ciepłego. Dom, zwłaszcza zimą, był bardzo nieszczelny, i stopy już zdążyły mi zmarznąć. Po drodze naciskałam guziczek na telefonie, żeby oświetlić sobie drogę do frontowych drzwi. Na tapecie miałam nasze wspólne zdjęcie zrobione na koncercie Call Me Kevin, na który poszliśmy ze Sloane w sierpniu. Ja miałam na nim koszulkę na lewą stronę, bo póki mnie tego dnia nie uświadomiła i nie kazała mi się przebrać, nie wiedziałam, że nie wolno wkładać T-shirtu zespołu na jego koncert.

Zakradłam się na pierwsze piętro: nie potrzebowałam już telefonu, bo przez okna wpływało światło księżyca. Nie musiałam też tak bardzo przejmować się, że narobię hałasu, popędziłam więc do przedpokoju tak szybko, jak tylko mogłam. Skoro marzłam w domu, mogłam się tylko domyślać, jak lodowato musi być na zewnątrz.

Otworzyłam drzwi szeroko i zobaczyłam swoją najlepszą przyjaciółkę z zaróżowionym nosem i policzkami. Na mój widok odetchnęła z ulgą.

– Dzięki Bogu! – Sloane przytuliła mnie mocno na chwilę, co było typowym dla niej gestem: potrafiła przytulać jednocześnie czule i skutecznie. Minęła mnie i weszła do przedpokoju. Mocniej niż zazwyczaj czułam zapach jej ulubionych perfum – nuty leśne z dodatkiem gardenii. Zamknęłam drzwi, a ona pocierała rękami o siebie, próbując je ogrzać. – Tak się cieszę, że dostałaś moje wiadomości – wyszeptała – strasznie tam zmarzłam.

– Co tu robisz? – ja również szeptałam, chociaż

znajdowałyśmy się teraz w kuchni, piętro niżej niż sypialnia rodziców i mogłyśmy zaryzykować mówienie normalnym głosem. Musiałam spojrzeć na nią ponownie, by zdać sobie sprawę, co ma na sobie. Była ubrana w długą, czarną suknię z dekoltem, który gdzieś w okolicy jej mostka zebrany był broszką z kryształem górskim. Na wierzch narzuciła futrzane bolerko, które z pewnością znalazła albo w jednej z przepastnych szaf swojej babci, albo w ulubionym secondhandzie. „Do dwóch razy sztuka”. – Czyżbym nie znała *dress code*’u na dzisiejszy wieczór?

– Nie – odparła ze śmiechem – byłam na imprezie, na którą zaciągnęli mnie Milly i Anderson.

– I jak było? – spytałam. Coś nie grało. Przez dłuższą chwilę nie mogłam dojść, o co chodzi, ale wreszcie zrozumiałam: byłyśmy niemal tego samego wzrostu, bo ja stałam boso, a ona w szpilkach.

– Możemy wejść na górę? – spytała, ziewając. – Jestem wykończona.

Pokiwałam głową, a ona odwróciła się i pierwsza zaczęła wchodzić po schodach. Spędziła wystarczająco dużo czasu w moim domu, by znać drogę wszędzie, i poczuła się wreszcie na tyle swobodnie, by wziąć sobie coś z lodówki, kiedy była głodna. Ja szłam kilka kroków za nią, wciąż niepewna, czemu przyszła do mnie po imprezie, ale jednocześnie ucieszona, że ją widzę. Szła nieco ostrożniej niż zazwyczaj, chwiejąc się lekko w szpilkach, unosząc rąbek sukienki, żeby się o nią nie potknąć.

Kiedy weszła do mojego pokoju, zdjęła szpilki i podeszła prosto do szafki, w której trzymałam piżamy. Wyciągnęła ze spodu T-shirt, który nosiła ekipa katastrofalnego filmu *Bug Juice*. Od samego początku zbierały się nad nim ciemne chmury, producenci postanowili zmienić wiek bohaterów z jedenastu lat na szesnaście, a aktorka grająca główną rolę w połowie zdjęć wylądowała na odwyku. Na koszulce widniało hasło „You Can’t Handle the Juice”, wewnętrzny żarcik ekipy, a kiedy Sloane zobaczyła ją po raz pierwszy, wybuchła śmiechem. Z jakiejś przyczyny bardzo ją lubiła i wciąż groziła, że mi ją ukradnie.

– Przysięgam – zaczęła, znów ziewając i wkładając na siebie koszulkę. Manewrowała chwilę pod spodem, aż sukienka opadła u jej stóp. – Pewnego dnia ta koszulka zniknie, a ty nie będziesz miała pojęcia, co się z nią stało.

– Oj, chyba się domyślę – powiedziałam. Podeszłam do szafki i zobaczyłam, że moje najlepsze spodnie od pizamy są czyste. – Chcesz? – spytałam. Pokiwała głową, rzuciłam je więc, a ona wciągnęła je szybko na tyłek.

– O Boże – znów ziewnęła, wchodząc do łóżka.

Moje łóżko było stare i materac uginał się pośrodku, ale było też podwójne, więc wystarczało miejsca, żeby położyć się naprzeciwko siebie i wciąż dobrze się widzieć podczas rozmowy. Zwinęła się pod kołdrą po tej samej stronie, którą wybierała zawsze, przytuliła swoją poduszkę i uśmiechnęła się do mnie. Potrafiłam rozpoznać, kiedy miała mi coś do powiedzenia i odgadłam, że czekała na ten moment, na pełnię mojej uwagi, odkąd tylko otworzyłam jej drzwi.

– Poznałam dzisiaj chłopaka.

– Naprawdę? – spytałam, kładąc się na łóżku obok niej. – Na imprezie?

– Mmm-hmm – powiedziała. – Też przyszedł z rodzicami.

– Chodzi do Stanwich? – oparłam się o ścianę, przypominając sobie, że moja poduszka wciąż leży na ziemi. Wychyliłam się, żeby ją podnieść, i rozsiadłam się znowu, wygodnie, w oczekiwaniu na dalszy ciąg historii.

Chłopcy kochali się w Sloane, odkąd pojawiła się w Stanwich High, ona była jednak wybredna. W drugiej klasie spotykała się przez kilka tygodni z chłopakiem starszym o rok, potem, zeszłej jesieni, z kolegą z równoległej klasy, a poprzedniego lata miała krótki romansik z chłopcem, który chodził do szkoły z internatem i do Stanwich przyjechał tylko na wakacje. Żaden z tych związków nie przetrwał i nigdy specjalnie nie przejmowała się rozstaniem – zresztą to zawsze ona ich rzucała. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio zainteresował ją jakiś chłopak.

– Nie – powiedziała – do Stanwich Academy. – Była to

szkoła prywatna i choć znałam parę dziewczyn, które tam chodziły, kręgi towarzyskie tych dwóch szkół raczej się nie przecinały. – Ma na imię Sam. Sam Watkins. – Wypowiedziała jego nazwisko wyraźnie, jakby było to obcojęzyczne słowo, do którego wypowiedzania nie była przyzwyczajona, ale którego dźwięk jej się podobał. Uśmiechnęła się szeroko, a ja wiedziałam już, że chłopak naprawdę wpadł jej w oko.

– O Boże – powiedziałam – widzę, że już się zakochałaś. – Nie zaprzeczyła, ale ukryła twarz w poduszce tak, że widziałam tylko jej włosy ułożone w loki. – Opowiedz mi o nim.

Obróciła do mnie głowę, ale po kolejnym ziewnięciu nie otworzyła już oczu.

– Jest świetny – powiedziała wolniej niż wcześniej. – Zobaczysz.

Odczekałam chwilę, aż powie coś innego, wyjaśni, czemu tak uważa, a wtedy przyszło mi do głowy, że to pewnie Sam podwiózł ją do mnie – Milly i Anderson zabraliby ją po prostu do domu. Nie żeby mieli coś przeciwko, po prostu musieliby wtedy nadłożyć drogi. Próbowałam przypomnieć sobie, czy na zewnątrz stał jakiś samochód, czy ktoś czekał, aż wejdzie do środka, ale miałam w głowie pustkę.

– Hej – wyszeptalam, trącając jej stopę swoją. – Czy Sam...

Nie dokończyłam pytania, bo zorientowałam się, że oddycha wolno i regularnie, a jej umalowane mascarą oczy są zamknięte. Sloane potrafiła zasnąć w jednej chwili; uważała, że zdolność tę zawdzięcza temu, że Milly i Anderson nie wyznaczali jej w dzieciństwie stałej godziny snu. „Wtedy uczysz się spać, kiedy tylko możesz” – tłumaczyła. „Żadnego czytania bajek, picia mleka i innych bzdur. Zawsze byłam tą osobą, która zasypia na stercie płaszczy na przyjęciu”.

Odczekałam jeszcze parę minut, żeby sprawdzić, czy naprawdę śpi, jeszcze raz lekko ją trącałam. Nie poruszyła się jednak, uznałam więc, że zadam jej to pytanie rano. Zamknęłam oczy i poczułam, że odpływam, uspokojona obecnością Sloane obok mnie.

Obudziłam się gwałtownie. Rozejrzałam się, próbując odgadnąć, czemu już nie śpię. Tym razem kot nie zasnął mi na głowie ani nie wołało mnie żadne z rodziców. Wróciły do mnie wspomnienia poprzedniego wieczora: rozwożenie pizzy w towarzystwie Dawn, Jamie Roarke, przytulanie Jamesa ze stacji benzynowej – zdziwiłam się, zdając sobie sprawę, że nie były to urywki snu. To się naprawdę zdarzyło. Już miałam spróbować zasnąć znowu, kiedy telefon na mojej szafce zawibrował.

SMS.

Chwyciłam go i odkryłam, że dostałam już dwa – pewnie ten pierwszy mnie obudził. Chociaż nie nadeszła jeszcze nawet ósma rano, kiedy spojrzałam na ekran telefonu, byłam w pełni przytomna. Obie wiadomości zostały wysłane z numeru, którego nie rozpoznałam. A kiedy trzymałam telefon w dłoniach, zawibrował po raz trzeci.

Emily, nie śpisz?

Jestem na zewnątrz.

Chodźmy.

Miałam wrażenie, że mój mózg wyłączył się na chwilę, a potem znów zaczął pracować, tylko dwa razy szybciej. To Sloane.

Wróciła.

W jednej chwili znalazłam się na dole. Nie włożyłam nic na koszulkę, w której spałam, nie starałam się być cicho, nie przejmowałam się, czy obudzę cały dom, tupiąc bosymi stopami. Sloane wróciła, czeka na mnie i zaraz opowie mi, co się wydarzyło, dokąd wyjechała... Zeskakując z dwóch ostatnich stopni i lądując na podłodze w przedpokoju, zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę wcale mnie to nie obchodzi. Liczy się tylko to, że już jest i że teraz wszystko będzie wreszcie mogło wrócić do normy.

Otworzyłam drzwi i zamarłam. Frank stał na schodkach w koszulce, szortach i trampkach. Do ramienia przypiętego miał iPoda i uśmiechnął się szeroko na mój widok.

– Cześć – powiedział. – Gotowa na bieganie?

Otworzyłam szeroko usta, po czym zamknęłam je z powrotem. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Patrzyłam tylko, czując, jak bicie mojego serca zwalnia, jak moje nadzieje rozpływają się w powietrzu. To nie Sloane. Nie wróciła.

Wciąż jej nie było.

– Och – powiedział Frank, a ja zauważyłam, że wydaje się zdziwiony i nieco skrepowany.

Popatrzyłam na siebie i zdałam sobie sprawę, że ja jestem w jeszcze gorszej sytuacji. Stałam naprzeciwko Franka Portera – Franka Portera! – w mojej koszuli nocnej. Była ona, co prawda, odrobinę dłuższa od zwykłego T-shirtu, ale niewiele. Byłam boso i – o Boże – wciąż zostało mi na skórze trochę maści na pryszcze, którą posmarowałam się wieczorem. Nie miałam na sobie stanika. Skrzyżowałam ramiona na piersi i od razu pożałowałam, bo tym samym podciągnęłam koszulkę do góry.

– Przepraszam – powiedział Frank i chociaż podejrzewałam, że chce okazać skruchę, nie do końca mu to wychodziło, bo brzmiał, jakby miał wybuchnąć śmiechem. – Znalazłem twój adres i telefon w szkolnych dokumentach. Nie chciałem cię obudzić – założyłem, że jeśli nie będziesz gotowa, po prostu... no wiesz, nie wyjdiesz.

Pokiwałam głową, jakby to była zupełnie normalna rozmowa. Jakaś część mnie wciąż próbowała jednak ogarnąć, że w ogóle ma ona miejsce. Nie byłam w stanie pojąć, w jaki sposób, w przeciągu jednego tygodnia zaczęłam rozmawiać z Frankiem Porterem, odkryłam, że ma świetne ciało i stanęłam przed nim półnago.

– No więc – powiedział, zerkając z uśmiechem na moje stopy – czy podłączyłaś się pod nowy trend biegania na bosaka?

– Och – westchnęłam. Zrobiło mi się gorąco, miałam wrażenie, że moja twarz płonie i byłam pewna, że jest cała czerwona, co z pewnością wyglądało świetnie w połączeniu z białą maścią na pryszcze. – No tak. Nie. Ha ha. Po prostu...

– Emily? – Odwróciłam się i zobaczyłam za sobą tatę w

szlafroku i kapciach, z laptopem pod pachą i okularami na głowie. Nie sądziłam, że może być jeszcze gorzej, ale wyglądało na to, że Frank Porter obejrzy sobie całą rodzinę Hughesów w piżamach.

– Tato – powiedziałam, zdając sobie sprawę, jak ściśnięty jest mój głos.

– Widziałaś moje okulary? – spytał, najwyraźniej nie widząc nic dziwnego w tym, że jego córka o ósmej rano nie tylko nie śpi, ale stoi w drzwiach w piżamie, rozmawiając z chłopakiem, którego nigdy wcześniej nie widział.

– Są na pana głowie – poinformował go Frank.

Tata uniósł ręce i poklepał się po głowie, znalazł je i włożył na nos. Teraz mógł przyjrzeć się Frankowi.

– Znam cię?

– To jest Frank – udało mi się wydusić. Można faktycznie spalić się ze wstydu, prawda? To wyrażenie nie wzięło się z niczego. – Zamierzaliśmy właśnie... iść pobiegać.

– Och – tata chwilę patrzył jeszcze na Franka, potem przeniósł wzrok na mnie i zmarszczył czoło – to może warto by było włożyć jakieś buty.

To rzekłszy, wrócił do środka, z pewnością po to, by zabrać się do pracy.

– OK – wydukałam. – To ja pójdę na górę i włożę strój do biegania. Zaraz wracam.

– Będę czekać – powiedział Frank, który wciąż, dość nieudolnie, próbował się nie uśmiechać.

Pokiwałam głową, ale – nie chcąc się odwracać – szłam tyłem, póki nie znalazłam się w środku. Wtedy zatrzasnęłam drzwi, oparłam się o nie i przymknęłam oczy, przez chwilę zastanawiając się, czy to może jednak tylko senny koszmar.

Dziesięć minut później zdążyłam umyć twarz, włożyć koszulkę z długim rękawem, legginsy i buty do biegania. Na zewnątrz robiło się już gorąco, ale uznałam, że muszę jakoś zrównoważyć poranny negliż.

– Gotowy? – spytałam, dołączając do Franka czekającego na na zewnątrz. Miałam nadzieję, że jeśli będę konkretna i chłodna,

zapomni o tym, w jakim stanie mu się wcześniej pokazałam.

– Jasne – odparł, idąc za mną. Wiedziałam, że chce, żebym na niego spojrzała, ale zajęłam się wybieraniem swojej nowej playlisty i ustawianiem głośności. Nie włożyłam jeszcze słuchawek do uszu, bo wciąż nie byłam pewna, czy wypada to zrobić.

– Biegniemy? – spytałam. Frank pokiwał głową i zaczęliśmy biec. Na początek dość wolno, bo wiedziałam, że moje mięśnie są zupełnie nierozgrzane.

– Domyślam się, że zaskoczyłem cię dziś rano? – spytał Frank po kilku minutach milczenia, a mnie wydało się, że po prostu nie był w stanie dłużej wytrzymać.

– Trochę – powiedziałam, myśląc teraz, że faktycznie mnie zaskoczył: nie sądziłam, że będzie chciał znów biegać.

– Powiedziałem, że chciałbym znów się spotkać, a ty się zgodziłaś – przypomniał. – Doskonale pamiętam.

– Myślałam, że żartujesz – przyznałam. – Nie wyglądałeś, jakbyś się dobrze bawił.

– Warto robić tylko rzeczy, które są trudne – powiedział – zwłaszcza na początku.

– Łał – pokręciłam głową. Kilka kroków znów przebiegliśmy w ciszy, słuchając tylko dźwięku uderzających o ziemię trampek, które czasami znajdowały wspólny rytm, a potem znowu z niego wypadały.

– Co: „łał”? – spytał Frank z defensywną nutą w głosie, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

– Nic – odparłam szybko, żałując, że w ogóle się odezwałam.

Frank pokiwał głową i popatrzył przed siebie, zaciskając wargi. O Boże. Czy właśnie go obraziłam? Gdyby Sloane tu była, w ogóle nie biegałabym z Frankiem Porterem.

– Nie miałam nic złego na myśli – zaczęłam, w tym samym momencie zadając sobie pytanie, że może powinnam dać spokój. – To po prostu ma sens.

Przed nami wisiał nisko gruby konar, oboje symultanicznie pochyliliśmy się, żeby w niego nie wałnąć.

– Co?

– Że masz takie podejście – powiedziałam, próbując zwerbalizować swoją spontaniczną reakcję. – To zrozumiałe. Ze względu na to, kim jesteś. – Frank spojrzał na mnie, a jego mina podpowiedziała mi, że nie tylko nic mu nie wytłumaczyłam, ale wręcz pogorszyłam sytuację.

– Kim jestem? – powtórzył cicho.

– No bo... – zaczęłam, teraz już naprawdę żałując, że w ogóle się odezwałam. Nawet nie znałam Franka Portera, czemu więc próbowałam wyjaśniać mu, kim jest? Miałam wrażenie, że nie jestem wystarczająco przytomna, żeby prowadzić tę rozmowę. – Jesteś Frankiem Porterem. Jesteś dobry we wszystkim.

– Nie w bieganiu – zwrócił uwagę. – W bieganiu jestem beznadziejny.

– Ale się nie poddajesz. Pewnie niedługo będziesz świetny.

Frank znów patrzył w ciszy przed siebie, a ja zastanawiałam się, czy nie przesadziłam, nie pogorszyłam sytuacji, próbując ją naprawić. Chciałam wymyślić jakieś przeprosiny, kiedy Frank zapytał:

– Jak ci idzie z listą?

– Dostałeś mojego maila? – spytałam, a on pokiwał głową. Chociaż wmawiałam sobie, że nie powinnam wiązać z tym zbyt wielkich nadziei, nie mogłam się opanować. Może na liście było coś, co przegapiłam, może od początku kryła się tam odpowiedź. – Znalazłeś coś?

Frank pokręcił głową, a mnie opadły ramiona.

– Ale dopiero zacząłem – powiedział, uśmiechając się lekko. – A tymczasem przyszło mi do głowy parę pomysłów.

Zerknęłam na niego, a potem wykonałam niezdarne ruchy, przeskakując przez kamień, który pojawił się na mojej drodze. Dało mi to chwilę, by uświadomić sobie, jak dziwnie było usłyszeć Franka mówiącego o mojej liście, jakby była czymś zupełnie normalnym, podczas gdy był to przecież mój sekret, coś, o czym wciąż myślałam, ale nigdy nie rozmawiałam.

– Jakich pomysłów?

– Na to, jak wypełnić wszystkie punkty – powiedział, jakby to było oczywiste. – Mogę ci pomóc, jeśli chcesz. – Znów spojrzałam przed siebie, niepewna, co o tym myśleć. Mogłam sobie dwa razy pobiegać z Frankiem Porterem, ale to byłoby coś zupełnie innego. – Bardzo potrzebuję jakiegoś projektu – ciągnął. – Nawet Collins ma wakacyjny projekt.

– Naprawdę?

– Postanowił, że pod koniec lata będzie miał dziewczynę. Albo, jak on to nazywa, „dupę na stałe”.

– I jak mu idzie?

– Z pewnością się domyślasz. A ja codziennie muszę o tym słuchać – roześmiał się.

Przez chwilę biegliśmy w milczeniu, ale tym razem nie czułam się niezręcznie, a kiedy spojrzałam na Franka, podniósł iPoda, jakby chciał zapytać, czy może go włączyć. Pokiwałam głową i włożyłam do uszu własne słuchawki. Słuchałam tej samej playlisty co wcześniej. Miło było biec obok Franka, nie czując się zmuszona do podtrzymywania rozmowy. Zauważyłam, że biegnąc, od czasu do czasu się śmieje, czego nie kumałam – no chyba że słuchał jakiegoś zespołu w stylu They Might Be Giants, najbardziej najntisowego, jaki znałam. Tym razem pobiegliśmy dalej i dotarliśmy już niemal do wejścia na plażę. Wskazałam na nie, a Frank pokiwał głową i, może dlatego, że poprzednio ścigaliśmy się do mety, oboje zaczęliśmy biec sprintem. Moje mięśnie nie protestowały tak głośno jak poprzednio, ale wciąż nie było łatwo przyspieszyć. Dotknęłam rzeźbionego, drewnianego znaku na krótko przed Frankiem. Oboje przez kilka chwil łapaliśmy oddech, po czym on wyciągnął swoje słuchawki z uszu i uśmiechnął się do mnie:

– Dobra robota.

– Nawzajem – powiedziałam, wyciągając słuchawki i pochylając się lekko, żeby uspokoić oddech. Wyprostowałam się i odwróciliśmy się, oboje krzywiąc się nieco. Byłam pewna, że poczujemy ten bieg następnego dnia.

– Czego słuchasz? – spytał Frank, a zanim powstrzymałam

go albo choćby zdałam sobie sprawę, co się dzieje, wyrwał mi iPod z dłoni i zaczął przeglądać playlistę.

– Nie, to nie... – zaczęłam. – Ja tylko...

Frank spojrział na mnie, uśmiechając się szeroko:

– Wiesz, że istnieje coś takiego jak funkcja zapętlenia, prawda? – spytał. – Nie musisz wciąż powtarzać tej samej playlisty.

– Wiem – wymamrotałam. – Moja jest zepsuta, zostawiłam iPod w samochodzie, kiedy padało. Bez dachu.

– Nigdy nie słyszałem o tych piosenkach – zmarszczył brwi. – Co to jest „Downeaster Alexa”?

– Billy Joel – odparłam nieco defensywnie. Sama się zdziwiłam, że czuję wobec niego tak silne emocje. – Opowiada o... ciężkim losie rybaków na Long Island.

W ten sposób chciałam udowodnić, że to bardzo dobra piosenka, ale chyba nieszczególnie się to udało, bo Frank zaczął się śmiać.

– Serio, nie rozpoznaję połowy z tych artystów – powiedział Frank, kręcąc głową. – I dlaczego w tytułach piosenek nigdzie nie ma „g”?

– To nic takiego – odparłam, próbując wyrwać mu iPod z ręki. – Tylko...

– Masz tu piosenkę pod tytułem „Aw Naw” – powiedział. Odwrócił się do mnie, patrząc z niedowierzaniem. – Emily, czy to COUNTRY?

– No dobra, a ty czego słuchasz? – spytałam, wyjątkowo ośmielona jak na siebie. Wzięłam jego iPod i zaczęłam przeglądać playlistę.

MIX #4

West Coast

Coconut Records

Heartbreak Yellow

Andy Davis

Our Deal

Best Coast

Dance for You

Dirty Projectors

We Can Work It Out

The Beatles

Crystallized

Young the Giant

Breaking It Up

Lykke Li

Airplanes

Curtis Anderson

Dreaming

Smallpools

Kiss Me Slowly

Parachute

Magic (feat. Rivers Cuomo)

B.o.B.

Peggy-O

Among the Oak & Ash

Step Out

José González

City Living

Curtis Anderson

Golden Slumbers

The Beatles

No One Does It Like You

Department of Eagles

Gone, Gone, Gone

Phillip Phillips

Fallen

Imagine Dragons

Spitting Fire

The Boxer Rebellion

Yesterday

The Beatles

Simple Song

The Shins

Passenger Seat

Death Cab For Cutie

Thoughts at Arby's

Curtis Anderson

Midnight City

M83

About Today

The National

Wake Up

Arcade Fire

Nie rozpoznawałam większości piosenek, nacisnęłam więc Play i włożyłam do ucha jedną z jego słuchawek. Zdziwiłam się, kiedy nie usłyszałam muzyki, ale najpierw śmiech, a potem oklaski. A po chwili faceta z bostońskim akcentem, który powiedział: „Ale serio... w dobrze zorganizowanym

wszechświecie nie byłoby przecież portierów, prawda? Przez cały dzień sami otwieramy sobie drzwi. Czy nagle stajemy się zupełnie bezradni?”.

Spojrzałam na Franka, który już się nie śmiał.

– Czy to ten komik?

– Curtis Anderson – pokiwał głową Frank. – Zawsze uważałem, że jest bardzo zabawny. Lissa twierdzi, że to rozrywka dla dzieciaków, ale... – Wzruszył ramionami.

– To do tego biegałeś? – spytałam. Frank potwierdził, a ja pokręciłam głową. – Widzisz, to jest właśnie twój problem. Musisz zrobić sobie miks piosenek, które dodadzą ci energii i pomogą utrzymać tempo.

– Rozumiem – odparł z powagą Frank. – Jak na przykład piosenki o rybakach?

Wybuchnęłam śmiechem i popatrzyłam na jego playlistę.

– To nie są prawdziwe zespoły – powiedziałam, przeglądając ją. – Na pewno wymyśliłeś te nazwy.

– Na przykład „The Beatles”? – spytał śmiertelnie poważnie, próbując odebrać mi iPoda. Ja udawałam, że tego nie widzę.

– Nie, The Beatles nie – odparłam, kiedy skończyłam przeglądać listę. – Ale faktycznie dużo tu ich piosenek.

– Mówiłem ci już, że mam fioła na ich punkcie.

– Ale „Department of Eagles” to wymyślona nazwa, prawda? – odparłam, kiedy wymienialiśmy się iPodami. – To nie jest prawdziwy zespół.

Frank wyglądał na zdziwionego.

– Nigdy ich nie słyszałaś? Są świetni. Zrobię ci składankę.

Powiedział to tak beztrąsko, jakby był pewien, że znów się zobaczymy, że nie są to tylko wyizolowane, przypadkowe sytuacje. A ja nagle zdałam sobie sprawę, że nie chcę, żeby takie były. Kiedy więc dotarliśmy do domu Franka, a on spytał: „powtórzymy to niedługo?”, pokiwałam głową w nadziei, że naprawdę to powtórzymy.

– Masz jakieś plany na weekend? – spytał, rozciągając mięśnie czworogłowe. Ja z nieco zbyt dużą ciekawością

przyglądałam mu się, ciekawa, czy przypadkiem znów uniesie koszulkę, żeby wytrzeć sobie twarz.

– Och – myśli pędziły mi w głowie. Przez chwilę zastanawiałam się, czy powiedzieć mu prawdę, zdecydowałam jednak, że tego nie zrobię. – Nic ciekawego.

– Cóż, mam nadzieję, że będzie fajnie – powiedział Frank, machając mi na pożegnanie.

Ja również pomachałam do niego i ruszyłam w stronę domu, wmawiając sobie, że podjęłam słuszną decyzję. Nawet jeśli zaproponował, że pomoże mi z listą, podejrzewałam, że przewodniczący samorządu nie ucieszyłby się, gdyby dowiedział się, że w sobotę wieczorem zamierzałam wykreślić z listy numer trzy. Planowałam coś ukraść.

PODZIEL SIĘ TAJEMNICĄ W CIEMNOŚCI

Siedziałam w swoim aucie w kinie samochodowym w Hartfield i zastanawiałam się, na czym dokładnie polega kradzież. Filmy o skokach na bank, które oglądałam, nie dawały zbyt dokładnych wskazówek. Na szczęście dobrze znałam to miejsce. Sloane pokazała mi je już miesiąc po swoim przyjeździe. Nigdy wcześniej tu nie byłam, ale zakochałam się już od pierwszego filmu – wielki ekran rozstawiony był po jednej stronie pola, samochody parkowały w nieco krzywych rządach, w oknach samochodu można było powiesić głośniki, no i zawsze grali dwa filmy pod rząd.

Chodziłyśmy tam kilka razy każdego lata. Na początku odwozili nas moi rodzice, wtedy siadałyśmy na kocykach czy ręcznikach tuż przed ekranem, w zeszłym roku jednak ja nas woziłam i mogłyśmy parkować ze wszystkimi.

Odetchnęłam głęboko, w nadziei, że nie wyglądam podejrzanie i że wszyscy myślą, że przyjechałam tu nie po to, by popełnić swoje pierwsze w życiu przestępstwo, ale obejrzeć dwa filmy Hitchcocka: „Północ – północny zachód” i „Starsza pani znika”.

Numer trzy stanowił dla mnie znak zapytania, odkąd tylko przeczytałam listę. Nie zastanawiałam się nad samą kradzieżą, ale nad tym, co powinnam ukryć. Kiedy jednak wracałam ze stacji benzynowej, minęłam billboard kina samochodowego i przypomniałam sobie obietnicę, którą złożyłam Sloane dwa lata wcześniej. W jednej chwili wiedziałam już, co to musi być.

LIPIEC

Dwa lata wcześniej

– To samo, co zwykle? – spytała Sloane, a ja pokiwałam głową.

Jak dotąd widziałyśmy razem tylko kilka filmów, ale ustaliłyśmy już nasze stanowisko w kwestii przekąsek. Ona przedstawiła mi koncepcję wrzucania M&M-sów do torebki solonego popcornu z masłem i używania cukierków Twizzlers jako słomek do Coli Light. Ja natomiast poczęstowałam ją po raz pierwszy kwaśnymi żelkami, które podjadałam przy każdym filmie.

Wyciągnęłyśmy gotówkę po drodze do kiosku w malutkim budynku, który wyglądał, jakby stał tam od zawsze, a kiedy Sloane dotarła do początku kolejki, cofnęłam się o krok, żeby mogła zamówić.

– Duży popcorn – powiedziała, a ja rozglądałam się dokoła: na ścianach wisiały stare plakaty i oprawione zdjęcia kina na przestrzeni lat. – M&M-sy, Twizzlers, dwie Cole Light. – Chłopak za ladą pokiwał głową i chwycił torbę popcornu. Ucieszyłam się, widząc, że wygląda na świeżo zrobiony. Miałam już przypomnieć Sloane o dodatkowym maśle, kiedy ona chwyciła mnie za ramię i wskazała na znak leżący na jednej z półek, na wpół schowany za koszulkami i kubkami z logiem Hartfield Drive-In. – Spójrz.

Była to tablica, do której przyczepić można magnesy w kształcie literek. Kojarzyła mi się z menu przekąsek na kręgielniach. Na tej jednak nie były zapisane ceny hotdogów, tylko słowa:

SLOANE

KOCHA

FERRISA

Wpatrywałam się w nią przez chwilę, póki nie załapałam, że

jest to odniesienie do filmu „Wolny dzień pana Ferrisa Buellera”. Nie wiedziałam, co robi w tym miejscu, ale wyglądał bardzo ładnie i retro.

– Niezłe – powiedziałam, sięgając po telefon. – Zrobić zdjęcie?

Ktoś przyniósł nasze przekąski i położył je na ladzie, a Sloane zapłaciła, nie odrywając wzroku od znaku.

– Czy to na sprzedaż? – spytała, przekazując mi resztę.

Kiedy byłyśmy razem, ja przechowywałam pieniądze. Sloane nie była szczególnie roztrzępiona, ale pieniądze zdarzało jej się gubić i wciąż znajdowała jakieś banknoty w kieszeniach sukienek i szortów, co uznawała zwykle za powód do świętowania. Kupowała wtedy nam obu największe, najbardziej ekstrawaganckie napoje kawowe w Stanwich Coffee.

– Czy co na sprzedaż? – spytał facet, spoglądając już na następną osobę w kolejce, która głośno wzdychała za naszymi plecami.

– Ten znak – wskazała – znak z imieniem Sloane.

Chłopak popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Nie – odpowiedział – stoi tu od lat osiemdziesiątych.

– Jesteś pewien, że nie jest na sprzedaż? – powtórzyła, uśmiechając się do niego szeroko. Facet, całkiem odporny na jej wdzięki, wybuchnął szczekliwym śmiechem.

– Jestem pewien – odparł. – Ale przyznam, że przez dwadzieścia lat nikt jeszcze nie zadał mi tego pytania. Następny!

Ramiona Sloane opadły, kiedy wracałyśmy na nasz koc.

– Myślisz, że mogłam zaproponować mu coś w zamian?

Wzruszyłam ramionami. Nie byłam pewna, czy powinnam ją uświadomić, że po zakupie słodyczy zostało nam jakieś 1,35 dolara.

– Nie wiem, czy to by coś zmieniło.

– Ale może... – westchnęła Sloane, spoglądając znów na kiosk. Robiło się ciemno, świetliki pojawiły się w trawie, ale znak i literki, które składały się na jej imię wciąż były widoczne, chwytały blaknące światło i odbijały je. Odwróciła się do mnie, a

ja widziałam, że wróciła jej typowa wesołość. – Obiecuj mi, że pomożesz mi go zdobyć – powiedziała, pochylając się naprzód – to mój nowy cel życiowy. – Roześmiałam się na te słowa, Sloane też się uśmiechnęła, ale nie oderwała ode mnie oczu. – Obiecasz mi, Em?

– Jasne – odparłam. – Zrobimy, co będzie trzeba. Będziemy przyjeżdżać tu co tydzień, aż go przekonamy.

Sloane uśmiechnęła się, biorąc garść popcornu.

– Znakomicie – powiedziała. – No to mamy plan.

Zamierzałam więc ukraść dla niej ten znak. Nigdy nie udało nam się przekonać nikogo, żeby go nam sprzedał, była to więc jedyna opcja – w ten sposób nie tylko zdołałabym wykreślić coś z listy, ale jednocześnie dotrzymać swojej obietnicy. Było to doskonale rozwiązanie – oczywiście pod warunkiem, że po drodze nie zostanę aresztowana.

Nie stanęłam w kolejce od razu, ale najpierw obeszłam kiosk, upewniając się, że znak wciąż tam jest. Na szczęście znajdował się po tej stronie, po której klienci odbierali swoje przekąski i napoje, nie po tej, gdzie je zamawiali, więc pracownicy kładli tylko w pośpiechu rzeczy na ladę i wycofywali się po kolejne zamówienia. W głowie prześledziłam mechanikę tej choreografii i zdałam sobie sprawę, że mogę sprawić, że będzie to wyglądało tak, jakbym po prostu sięgała po swoje zamówienie, podczas gdy chwycę znak i wrzucę go sobie do torby. Gdyby ktoś mnie przyłapał, mogłabym udać, że po prostu tam wpadł, a ja nic nie zauważyłam. Specjalnie wzięłam ze sobą większą torbę, żeby lepiej ukryć dowody zbrodni.

Nie był to może najlepszy plan, ale zawsze jakiś. Odetchnęłam i stanęłam w powiększającej się kolejce. Miałam wrażenie, że wszyscy podejrzewają, co zamierzam zrobić.

– Emily?

Poczułam, jak ściska mi się żołądek, kiedy spojrzałam za siebie i zobaczyłam Franka, który stał kilka osób za mną i machał do mnie ze zdziwioną miną. Odwzajemniłam jego uśmiech, ale

zaraz odwróciłam się z powrotem, nie przejmując się tym, czy nie jest to przypadkiem nieuprzejme. Co Frank Porter robił w kinie?

– Hej – Frank dołączył do mnie. Zrobił krok naprzód i powiedział cicho – myślisz, że mogę przeskoczyć kolejkę? – Zerknął za siebie na starszą parę, która wykrzywiła wargi z dezaprobatą i powiedział, nieco za głośno: – Dziękuję, że zajęłaś mi miejsce, Emily.

Wolałabym, żeby przestał powtarzać moje imię w obecności potencjalnych świadków.

– Nie powinienesz... – powiedziałam, patrząc na ladę, żałując, że kolejka porusza się tak szybko. – Właśnie miałam... – zastanawiałam się, jak mu wyjaśnić, że nie powinien stać ze mną w kolejce, bo właśnie zamierzam coś ukraść. Chociaż wiedział o liście i cała sytuacja nie byłaby dla niego AŻ TAK zaskakująca, nie chciałam wyjaśniać mu całej sprawy w towarzystwie wszystkich stojących w kolejce osób. Poza tym co by było, gdyby Frank wciąż stał przy mnie, kiedy spróbuję ukraść tabliczkę i spróbował mnie powstrzymać? Albo gdyby on też wpadł w kłopoty?

– Niesamowite, że się tu spotkaliśmy – powiedział, kręcąc głową. – To miejsce jest niesamowite. Byłaś już tu kiedyś?

– Tak – wymamrotałam, czując, że serce jeszcze mocniej bije mi w piersi i że stopniowo zbliżam się do nieuniknionego ataku paniki. Przed nami stały już tylko trzy osoby, a ja nie umiałam ani pozbyć się Franka, ani przygotować psychicznie na swoją pierwszą kradzież. – Wiele razy.

– Ja jestem tu tylko dzięki Collinsowi – ciągnął Frank, najwyraźniej uważając, że po prostu prowadzimy miłą konwersację i nie zdając sobie sprawy, że jestem na granicy ataku hysterii. – Podoba mu się dziewczyna, która pracuje w kabinie projekcyjnej. Ale skoro już tu jestem, naprawdę...

– Wiesz co – powiedziałam, wychodząc z kolejki – ja... zapomniałam o czymś. Zamów sobie, ja pójdę po to, czego zapomniałam i yyy... do zobaczenia, OK?

Popędziłam w stronę swojego samochodu. Odwróciłam się i zerknęłam na Franka, który patrzył na mnie ze zmarszczonym

czołem. Potem stanął na przodzie kolejki, żeby zamówić, a ja na samym końcu – wydawała mi się teraz nieskończenie długa. Nie byłam pewna, czy w ogóle uda mi się zdążyć z całym tym przedsięwzięciem.

Odetchnęłam i spróbowałam uspokoić myśli. Wciąż mogłam to zrobić, musiałam się tylko skupić. Kolejka posuwała się naprzód szybciej, niż się spodziewałam, i zdałam sobie sprawę, że przede mną stoi już tylko jedna starsza pani, która nie mogła dokonać wyboru między cukierkami Sno-Caps i Junior Mints. Spojrzałam na znak, a potem na moją torbę, która na niego czekała.

– Następny! – Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam, że za ladą stoi pracownik, którego nigdy wcześniej nie widziałam, chłopak wyglądający na zbudzonego studenta – co doskonale mi pasowało.

– Cześć – powiedziałam, robiąc krok naprzód i słysząc, że mój głos brzmi znacznie bardziej piskliwie niż zazwyczaj. Nie nawiązałam z chłopakiem kontaktu wzrokowego, mówiąc: – Poproszę mały popcorn z masłem i Colę Light.

– Równo osiem dolarów – odparł, a ja podałam mu odliczoną kwotę, którą schował do szufladki w kasie. – Odbiór po lewej stronie. Następny!

Stałam z boku, otwierając lekko torbę i wciąż starając się wyglądać możliwie nonszalancko. Udając, że ziewam, wyciągnęłam rękę po znak, palcami ledwie musnęłam jego krawędź. Pochyliłam się jeszcze mocniej, niemal tracąc równowagę. Serce waliło mi w piersi, prawie go już chwyciłam...

– Mały popcorn i Cola Light. – Dziewczyna podeszła z moim zamówieniem, zaskakując mnie tak bardzo, że poleciałam do przodu, ledwie udało mi się nie wylądować twarzą na ladzie. Tabliczka zachwiała się i spadła, a dziewczyna chwyciła ją i spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

– Co ty wyprawiasz?

– Ja... – zaczęłam. Czułam, że nad moją górną wargą zbiera się pot, a moje serce nie biło już szybko i mocno, ale znacznie wolniej niż zazwyczaj, co uznałam za bardzo zły znak. – Ja

tylko...

– Znowu ten skurcz ręki? – nagle podszedł do mnie Frank. Objął moje ramiona, co było tak zaskakujące, że każda wymówka, którą zaczynałam wymyślać, natychmiast wyleciała mi z głowy. – Czasami dostaje takich skurczy. Prawda?

– Tak, to prawda – powiedziałam, próbując wyglądać możliwie niewinnie. – Czasami.

– Nie zapomnij o swoich zakupach – powiedział Frank, ściskając moje ramię z budzącym zaufanie uśmiechem przewodniczącego klasy na twarzy.

Zabrałam je i oboje uśmiechnęliśmy się szeroko do dziewczyny, która patrzyła na nas podejrzliwie. Miała już odłożyć znak, ale zawahała się i przestawiła go na najwyższą półkę, zaraz za maszyną do popcornu, co uczyniło kolejną próbę kradzieży absolutnie niemożliwą.

Odeszliśmy, ale dopiero kiedy byliśmy już przy samochodach i mogliśmy mieć pewność, że kioskowa policja za nami nie biegnie, zaczęłam znowu oddychać spokojnie. Wzięłam duży łyk coli i dopiero wtedy zorientowałam się, że Frank wciąż mnie obejmuje. Najwyraźniej on zauważył to w tym samym momencie, bo szybko opuścił ramię i zrobił krok w tył.

– No więc... – zaczęłam, wciąż nieco zaskoczona, że zdołał pojawić się w momencie, w którym najbardziej go potrzebowałam. – Skąd... skąd ty...

– Nigdy nie widziałem nikogo równie podejrzanego – powiedział, kręcąc głową, Frank. – W życiu. Pomyślałem, że na wszelki wypadek będę trzymać się blisko.

– Och. – Wbiłam wzrok w ziemię. Choć w głębi duszy wiedziałam, że to dobrze, że nie umiem kraść i nie powinnam się tego wstydzić, nie zmieniało to jednak faktu, że czułam się tak, jakbym poniosła straszliwą klęskę.

– A zatem... hmm, czy próbowałaś właśnie obrobić kiosk? – spytał zaskoczony Frank.

– Chodzi o listę – powiedziałam, wzruszając ramionami. – To numer trzy.

Frank zerknął na znak. Widziałam, jak czyta imię Sloane i układa sobie wszystko w głowie. Pokiwał głową i już miał coś powiedzieć, kiedy obudziły się głośniki, ogłaszając, że za sześćdziesiąt sekund rozpocznie się film, a kiosk zostanie zamknięty.

– Muszę iść – powiedziałam. Miałam pełną świadomość, że powinnam podziękować mu za pomoc i że gdyby tego nie zrobił, mogłabym mieć poważne kłopoty. A jednak całe to doświadczenie było tak upokarzające, że tylko uśmiechnęłam się do niego lekko i ruszyłam w stronę samochodu. Zerknęłam za siebie i zobaczyłam, że on też odchodzi.

Zamierzałam zabrać znak i uciec, nie czekając na drugi film. Kiedy wsiadłam do samochodu, okazało się, że nigdzie nie pojedę – ludzie w rzędach za mną odcięli mi drogę, a że wszyscy oglądali film, nie sądziłam, by ucieszyli się, gdybym spróbowała się wydostać. Wstawiłam więc kubek w uchwyt na napoje, opuściłam siedzenie i rozsiadłam się wygodnie. I zastanawiałam się, czy jestem jedyną osobą w kinie, która ogląda film sama.

KWIECIEŃ

Dwa miesiące wcześniej

– Ile zaoferowałaś tym razem? – spytałam, kiedy Sloane wróciła do samochodu bez tabliczki, ale za to z mnóstwem słodyczy.

– Stówę – westchnęła. – A oni i tak jej nie wzięli. Naprawdę, jak tak dalej pójdzie, będę musiała przekupić kogoś z pracowników.

– Możesz też zgłosić się tu do pracy – zasugerowałam, chwytając garść popcornu. – Dać się zatrudnić pod fałszywym

nazwiskiem. I obrobić kiosk od wewnątrz.

Sloane uśmiechnęła się szeroko.

– Podoba mi się twój tok myślenia – powiedziała. – Pod jakim nazwiskiem?

Zastanawiałam się przez chwilę – spodobała mi się ta zabawa. Przyjechałyśmy na podwójny seans „Clueless” i „Troop Beverly Hills”, wśród publiczności nie było więc zbyt wielu chłopaków, tylko matki z córkami i grupki przyjaciółek takich jak my. Odkąd Sam wkroczył na scenę, miałam wrażenie, że widzujemy się sam na sam coraz rzadziej i od dawna cieszyłam się na to wyjście do kina.

– Alicia – powiedziałam po chwili zastanowienia. – Alicia Paramount.

Sloane roześmiała się.

– Przepiękne – powiedziała. – Zgłoszę się w przyszłym tygodniu.

Ruszyłam na tył volvo. Odkąd zrobiłam prawo jazdy i nie musiałyśmy już rozkładać się na trawie, wymyśliłyśmy idealną pozycję do oglądania – stawiałam samochód tyłem do ekranu, otwierałam bagażnik i rozkładałyśmy się w nim na poduszkach i kocach, które przez wiele kolejnych dni pachniały popcornem.

– Idziesz? – spytałam, widząc, że wciąż stoi obok, rozglądając się dokoła.

– Taak – podeszła do mnie. Nie usiadła jednak, tylko dalej stała na zewnątrz, wyciągając szyję, jakby szukała czegoś wzrokiem, i bawiąc się kluczami – do których przyczepiony miała mały breloczek ze swoim imieniem, który zamówiłam specjalnie dla niej – jak to miała w zwyczaju, kiedy była zdenerwowana.

– Wszystko OK? – spytałam, otwierając Twizzlersy i wyciągając jednego z nich. Odgryzłam oba końce i wbiłam go w pokrywkę swojej coli.

– Jasne. Ja tylko... – przerwał jej sygnał SMS-a. Wyciągnęła telefon i przeczytała go, uśmiechając się do ekranu i szybko odpisując na wiadomość.

– Sam? – zgadłam, popijając colę przez cukierka.

– Tak – odparła, chowając telefon do kieszeni i zerkając na mnie. Jej policzki były lekko zarumienione, a ja dostrzegłam, że zrobiła się nagle weselsza, bardziej podekscytowana, jakby wreszcie coś się działo. – Jest taka sprawa – powiedziała szybko – mówiłam Samowi, że tu będziemy, a on nie był pewien, czy dołączy, ale koniec końców...

– Cześć. – Sam objął ją w pasie i pocałował w policzek.

– Cześć – odparła Sloane, uśmiechając się szeroko i odwracając, żeby go pocałować. Wyraźnie słyszałam w jej głosie radość. – Przyszedłeś! Nie byłam pewna, czy się pojawisz.

– Oczywiście, że przyszedłem – odpowiedział beztrudno. Objął ją, kładąc palce na jej ramieniu. – O, Emily, cześć – przywitał się, jakby ledwie mnie zauważył.

– Cześć, Sam – odparłam, starając się zabrzmieć, jakbym cieszyła się, że go widzę, a nie jakbym była rozczarowana, że mój wieczór ze Sloane został brutalnie przerwany.

– Fajna słomka – roześmiał się, wskazując mój kubek z wystającym z niego cukierkiem. – Łał. Nie widziałem takiej, odkąd skończyłem jedenaście lat.

– Mhmm. – Uśmiechnęłam się z zażenowaniem. – To... – nie byłam pewna, jak zakończyć to zdanie, po prostu urwałam je więc w połowie.

Sam wciąż na mnie patrzył, unosząc brwi, jakby rzucał mi wyzwanie. Uśmiechnął się do mnie litościwie i ścisnął ramię Sloane. Spletli palce.

– Chodź – powiedział, gestem głowy wskazując skraj polany – zająłem świetne miejsce.

– Och! – Sloane przenosiła wzrok ze mnie na Sama i z powrotem, jakby odrobinę mniej radosna. – Myślałam, że obejrzymy film wszyscy razem?

Sam znów się roześmiał, a ja po raz pierwszy dostrzegłam, że używa śmiechu jak znaku przystankowego, że nie śmieje się dlatego, że coś naprawdę go bawi.

– Myślę, że Emily się nie obrazi. – Spojrzał na mnie, powoli odciągając już ode mnie Sloane. – Prawda, Em?

Nie było absolutnie żadnej odpowiedzi na to pytanie prócz zaprzeczenia. W oczach Sloane zobaczyłam, że tylko tego pragnie – że chce zrobić przyjemność Samowi i żebym jej na to pozwoliła.

– Jasne, że nie – odparłam, uśmiechając się do niej nieco sztucznie; zastanawiałam się, czy będzie w stanie rozpoznać fałsz.

– Bawcie się dobrze, dzieci. – Chciałam, żeby zabrzmiało to zabawnie, ale chyba niespecjalnie mi się udało. Sam patrzył na mnie bez zrozumienia, a Sloane nie roześmiała się, choć przecież zazwyczaj bawiły ją moje żarty.

– No to dobrze – powiedział chłopak. Skinął na mnie głową – To do zobaczenia, Em.

– Cześć – zawołałam, gdy się odwrócił. Sloane zerknęła na mnie jeszcze i odbyłyśmy krótką wymianę spojrzeń, które mówiły: „Na pewno?”, „Tak! Baw się dobrze”, „Zadzwoń jutro”, „Dobrze”.

Jeszcze raz uśmiechnęła się do mnie, szczęśliwa i podekscytowana, a potem odwróciła się do Sama i zaczęła od razu śmiać z jego żartów.

Patrzyłam, jak odchodzą, czując, że mój uśmiech blednie. Usiadłam w bagażniku i wzięłam łyk coli. Przez cukierek zrobiła się jednak za słodka, wyciągnęłam go więc i zastąpiłam zwykłą słomką. Faktycznie, był to dziecienny zwyczaj. Powinnam przestać już dawno temu.

Usiadłam z boku, chociaż nie musiałam, wmawiając sobie, że wszystko w porządku, że powinnam cieszyć się szczęściem Sloane. Poznała chłopaka, który naprawdę jej się podobał, a ja chciałam być dobrą przyjaciółką. Wszystko będzie dobrze. Kiedy na ekranie pojawiły się napisy, prawie już zaczęłam w to wierzyć.

Jako że nie miałam już w planach więcej przestępstw, mogłam spokojnie obejrzeć film „Starsza pani znika”. Bardzo mi się podobał, chociaż zastanawiałam się, o co chodzi z obsesją Hitchcocka na punkcie pociągów – w obu wyświetlanych tego wieczora filmach było ich całe mnóstwo.

Siedziałam jeszcze jakiś czas w samochodzie, wpatrując się w ciemny ekran. Kolejka do wyjazdu z kina była zawsze strasznie długa. Wszyscy trąbili, próbując się wydostać, chociaż nie mogli absolutnie nic w ten sposób osiągnąć. Kiedy byłam tam ze Sloane, po prostu siedziałyśmy dalej w samochodzie, opierając się o poduszki, dojadając popcorn i dyskutując o obejrzanych filmach.

Kiedy cisza stała się ogłuszająca, wysiadłam, żeby wyrzucić śmieci do jednego z przepelnionych koszy. Teraz, kiedy parking pustoszał, dostrzegłam przy minivanie Collinsa i Franka. Nie chcąc dalej upokarzać się przed Frankiem – uznałam, że w tej dziedzinie udało mi się dziś już osiągnąć zadowalający wynik – odwróciłam głowę. Byłam już całkiem blisko swojego samochodu, kiedy usłyszałam za sobą głos Collinsa.

– Emma! – krzyknął. Zobaczyłam, że Frank mówi coś do niego i Collins przytakuje. – Emily! – poprawił się. – Chodź tu! – Pomachałam tylko do niego i szłam dalej do swojego samochodu, w nadziei, że uzna, że go po prostu nie usłyszałam. – Nie – krzyknął jednak Collins jeszcze głośniejszym głosem, dorzucając ruchy rąk, którymi wskazał najpierw mnie, potem siebie – chodź tutaj! – Ludzie zaczęli odwracać się i patrzeć na niego, a ja wiedziałam już, że nie mogę udawać dalej.

Oddechnęłam głęboko i ruszyłam w ich stronę. Frank i Collins dyskutowali o czymś żywo, ale umilkli, kiedy dotarłam do minivana.

– Cześć – przywitał się Collins, teatralnie puszczając do mnie oko. – Wyglądasz dziś naprawdę uroczo. Świetnie zaprezentowałabyś się na policyjnej fotce.

Poczułam, że się rumienię i zerknęłam na Franka, który z kolei wpatrywał się w Collinsa. Nie mogłam złościć się na Franka za to, że opowiedział koleżance historię. W odwrotnej sytuacji: gdybym przyszła tu ze Sloane i przyłapała Franka Portera na próbie kradzieży, nawet nie czekałabym, aż ją zobaczę – zadzwoniłabym do niej już w drodze do samochodu.

– Nie ma się czego wstydzić – ciągnął Collins z pełnym przekonaniem. – We właściwym momencie przypomnij mi, żebym

opowiedział ci historię mojego pobytu w więzieniu w Disneylandzie. – Ściszył głos i pochylił się w moją stronę – Powiem ci w zaufaniu, że nie jest to najszcześniejsze miejsce na ziemi.

Zamrugałam tylko. Czy Collins zawołał mnie tutaj tylko po to, żeby się ponabijać? Skrzyżowałam ramiona na piersi i spojrzałam tęsknie na swój samochód, żałując, że się w ogóle odwróciłam. Byłabym już w połowie drogi do domu.

– Matt – powiedział Frank. Jego głos był pełen powagi, a nazywanie Collinsa po imieniu osiągnęło pożądany efekt.

– No tak! – Klasnął w dłonie. – Udało mi się umówić na dalszą część wieczoru z uroczą panną Gwen – powiedział Collins, a ja dopiero wtedy dostrzegłam ciemnowłosą dziewczynę, która opierała się o stojące kilka metrów dalej auto, paliła papierosa i rozmawiała przez telefon.

– Och – przypomniałam sobie, jak Frank mówił, że Collinsowi podoba się kinooperatorka. – Gratulacje.

– Dziękuję bardzo.

Wygładził swoje odblaskowe, zielone polo i przeczesał włosy. Po tym, jak spotkałam go tego lata kilka razy, domyśliłam się, że jest to dla niego coś w stylu mundurka – nieco zbyt obcisłe, kolorowe polo, szorty i rozczłapane klapki, które sprawiały, że wyglądał zawsze, jakby dopiero co zszedł z niezbyt czystej łodzi. Uśmiechnął się do mnie.

– Trudno się oprzeć moim wdziękom.

– Stary, ona chce tylko, żebyś ją zawiózł na imprezę – pokręcił głową Frank.

– Chcesz chyba powiedzieć, że zaprosiła mnie na imprezę – poprawił go Collins. – I spytała, czy mógłbym ją podwieźć. Co, jako dżentelmen, zgodziłem się uczynić.

Frank westchnął tylko, wbijając wzrok w ziemię.

– Mike! – krzyknęła dziewczyna, depcząc papierosa i opuszczając słuchawkę. – Jedziemy wreszcie?

– Już idę – zawołał Collins, najwyraźniej nie martwiąc się specjalnie, że pomyliła jego imię. – Emily, możesz odwieźć

Portera do domu? Mieszkacie blisko siebie, prawda? – spytał, odwracając się do nas.

– Och – wreszcie zrozumiałam, po co mnie w ogóle zawołał.
– Jasne. Nie ma problemu.

Ledwie zdążyłam odpowiedzieć, bo Collins uśmiechnął się, poklepał Franka po plecach i otworzył rozsuwane drzwi minivana, gestem wzywając do siebie Gwen. Ta zignorowała otwarte drzwi i nie przerywając rozmowy, wsiadła do samochodu po stronie pasażera. Collins uruchomił silnik i auto z piskiem opon ruszyło przed siebie, pozostawiając mnie z Frankiem sam na sam.

– Przepraszam cię za to – powiedział Frank, kiedy podchodziliśmy już do mojego wozu.

– Nie ma problemu – powiedziałam. – I tak mam u ciebie dług.

– Doceniam pomoc – odparł.

Otworzyłam drzwi, a kiedy oboje byliśmy już w środku, zapaliłam silnik i ruszyłam w stronę wyjścia. Mocno ścisnęłam kierownicę, a potem rozluźniłam się, cały czas rozważając, w jaki sposób podziękować mu za to, co dla mnie zrobił.

– Frank... – zaczęłam, ale kiedy na niego spojrzałam, okazało się, że wpatruje się w telefon.

– Słucham? – spytał, unosząc wzrok. – Przepraszam, ale cały wieczór próbowałem dodzwonić się do Lissy. Nie udało mi się, więc chciałem wysłać jej wiadomość...

– Jasne. Oczywiście – odparłam, spoglądając z powrotem na drogę. – Przepraszam.

Lekkie uderzenie w klawiaturę wypełniło samochód, a ja nie chciałam włączać iPoda, żeby mu nie przeszkadzać – nie wspominając już o tym, że nie chciałam, żeby znów śmiał się z mojej muzyki. Nawet kiedy skończył już pisać, wpatrywał się w telefon, jakby czekał na odpowiedź, nie sądziłam więc, by był to dobry moment, żeby mu przeszkadzać. Kiedy jednak dotarliśmy do jego domu, odłożył telefon, a ja wciąż nie usłyszałam radosnego sygnału, który oznaczałby, że dostał wyczekiwaną wiadomość.

– Dzięki, Emily – powiedział, gdy parkowałam na

podjeździe.

– Spoko – odparłam. – To żaden... – Przerwałam, po raz pierwszy widząc, jak dom Franka wygląda nocą. Był pogrążony w ciemności, ale dopiero teraz dostrzegłam, że jest położony nad wodą, czego wcześniej, z ulicy, nie widziałam. Światło księżyca padało na płaszczyzny z chromu i szkła. Powstawało wrażenie, że budynek oświetlony jest od wewnątrz. – Wasz dom stoi na samej plaży?

– Tak – odparł Frank. Po krótkiej przerwie dodał: – Chcesz zobaczyć?

– Och – odsunęłam się lekko. Przestraszyłam się nagle, że jeśli będę brzmieć, jakbym była przesadnie zainteresowana, pomyśli, że wypada zaprosić mnie do środka. – Nie, nie, w porządku. Poza tym wygląda na to, że twoi rodzice już śpią.

– Nie – zaprzeczył tonem, w którym była wymuszona lekkość. Zaczęłam zastanawiać się, w którym momencie zaczęłam wyczuwać takie subtelności. – Nie ma ich w domu.

– Och. – Zerknęłam na zegarek na moim iPodzie, bo ten samochodowy stanął kiedyś o 8:19. Była już prawie północ, więc nieco się zdziwiłam, oczywiście nie zamierzałam jednak komentować.

– Taaak. – Frank wzruszył ramionami. – Mój tata pracuje w Darien, a mama projektuje jakiś dom w centrum. Poza tym i tak nie powinni być w domu jednocześnie, bo... – Zerknął na mnie, a ja przypomniałam sobie jego rodziców, czerwonych na twarzach i wrzeszczących na siebie, i minę Franka, kiedy na nich patrzył. – No więc dlatego nikogo tu nie ma – powiedział nieco ciszej, a ja zrozumiałam, co kryje się w tych słowach. Był tu zupełnie sam. Chociaż moi rodzice przynajmniej ciałem znajdowali się w naszym domu, wiedziałam, jak to jest wrócić do domu i nie mieć z kim porozmawiać, nie mieć nikogo, kto zarzuci cię pytaniami o to, jak ci minął dzień. To jedna z tych rzeczy, których się nie znosi, a za którą później straszliwie się tęskni.

– Dobrze, wejdę – powiedziałam, zaskakując samą siebie i sądząc po jego minie, także i Franka. – Tylko na chwileczkę

Gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego chłopaka, bałabym się, że istnieje jakiś ukryty motyw, że zaproszenie mnie w nocy do pustego domu jest podejrzane. Ponieważ jednak był to Frank, od dawna związany z inną dziewczyną i w ogóle bardzo przyzwoity, nic takiego nawet nie przyszło mi do głowy.

– Super – powiedział Frank, obdarzając mnie zaskoczonym, ale radosnym uśmiechem. – Chodźmy.

Podeszłam za nim do bocznych drzwi, przez które wchodził poprzednio. Kiedy je otworzył, rozbrzmiał długi, natarczywy sygnał, który umilkł dopiero, kiedy wpisał kod na klawiaturze przy drzwiach, której ja nawet nie zauważyłam. Frank ruszył przed siebie, po drodze zapalając światła. Ja, po raz pierwszy widząc dokładnie dom, zatrzymałam się z rozdziawionymi ustami.

Był przepiękny. Dałoby się znaleźć inne słowa, całe królestwa przymiotników, na pierwszy rzut oka to jednak wystarczyło. Parter był otwarty, co oznaczało, że od razu ukazywała się cała przestrzeń; salon z telewizorem zlewał się z gabinetem, który później zmieniał się w jadalnię, kuchnię i kącik śniadaniowy. Dom był jasny i lekki, z wysokimi sufitami i mnóstwem okien, a wszystko spowijały szarości, błękity i biel. Wszystko do siebie pasowało. W różnych miejscach po prostu stały sobie różne przedmioty: na półce przy drzwiach zobaczyłam, na przykład, duży wazon wypełniony długimi piórami. To już było frapujące, ale na półce wyżej stał średni wazon ze średnimi piórami. A na najwyższej – wazonik z najmniejszymi piórkami, jakie kiedykolwiek widziałam. Gdzie nie spojrzełam, otaczały mnie przemyślane detale. Miałam ochotę stać tylko nieruchomo i je podziwiać.

– Emily? – Frank stał już przy szklanych drzwiach wbudowanych w ścianę zrobioną z szyb, za którymi rozciągały się piasek i woda.

– Już – odparłam, odrywając się od dekoracji. Wiedziałam, że całego mnóstwa rzeczy nie zdążyłam nawet dostrzec.

Frank otworzył drzwi i wyszliśmy na szeroki, drewniany taras od strony morza. Wystarczyło zejść po czterech schodkach,

by znaleźć się na piasku. Tylko raz byłam nocą na plaży: czwartego lipca, żeby oglądać fajerwerki. Wtedy była ona pełna ludzi, którzy walczyli o wolny kawałek przestrzeni. Tym razem oświetlona blaskiem księżycy plaża była całkiem pusta, a ja zdałam sobie sprawę, że mamy ją z Frankiem całą dla siebie.

Zeszłam za nim po schodach i stanęłam na piasku. Od razu zrzuciłam klapki, żeby poczuć go na bosych stopach. Frank również zdjął trampki i ustawił je obok schodków.

Podeszłam do brzegu, tam, gdzie piasek był lekko wilgotny, ale gdzie moje stopy mogły pozostać suche. Noc na plaży miała w sobie coś niezwykłego. Było zupełnie cicho. Nikt nie rozmawiał, nie grał we frisbee, nie puszczał muzyki. Może to dlatego szum wody – która była zresztą bardzo spokojna – wydawał się znacznie głośniejszy. No i jeszcze księżyc, ogromny, na niebie pełnym gwiazd, które odbijały się w morskich falach.

Podjeżdżałam, że na tym koniec – zobaczyłam, że dom Franka faktycznie znajduje się nad wodą, a teraz mogłam już wyjść i wrócić do domu. Kiedy się jednak odwróciłam, zobaczyłam, że Frank siedzi na piasku z wyciągniętymi do przodu nogami i wpatruje się w wodę. Zawahałam się tylko chwilę i również usiadłam, niezbyt blisko. Podciągnęłam kolana i objęłam je ramionami.

– Fajne podwórko – powiedziałam, a Frank się uśmiechnął.

– Cóż, staram się nim nacieszyć, póki jeszcze mogę – powiedział, podnosząc garść piasku i przesypując go przez palce. Wyczułam, że zamierza powiedzieć coś jeszcze, patrzyłam więc tylko, starając się okazać mu cierpliwość, jaką on okazał mnie. – Moi rodzice się rozwodzą – powiedział. Pozwolił ostatnim ziarenkom piasku spaść i otrzepał ręce. – To właśnie widziałas poprzednio. – Skulił się w ramionach. – Zrobiło się dość paskudnie.

Wciągnęłam powietrze ze świstem. Tego się domyślałam.

– Bardzo mi przykro, Frank.

Pokiwał głową i popatrzył na mnie, a mnie wydało się, że widzę teraz prawdziwego Franka Portera, jakby wreszcie nieco

skruszyły się mury, którymi zazwyczaj się otaczał, uśmiechając się uspokajająco w każdej sytuacji.

– Taaak – roześmiał się smutno. – Pracują razem, więc się tym specjalnie nie chwala, żeby nie stracić zleceń. Ale nie umieją podzielić między siebie majątku, więc powinni przebywać razem tylko w obecności prawników. – Jego wargi były smutne i zaciśnięte, a chociaż wiedziałam, że chciałby udawać, że wszystko w porządku, nieszczególnie mu to wychodziło.

– A zatem – powiedziałam, pochylając się lekko, i próbując zrozumieć sytuację – kto mieszka tutaj z tobą?

– Cóż, wymieniają się – powiedział. – W teorii. Łatwiej im trzymać się blisko swoich innych projektów.

Pokiwałam głową i zaczęłam gładzić dłonią piasek. Chociaż moi rodzice nie przejmowali się specjalnie mną ani Beckettem, wciąż byli obok. I wiedziałam, że gdybym naprawdę ich potrzebowała, mogłabym wyrwać ich z ich pisarskiego stuporu.

– W każdym razie to dlatego zostałem w mieście na wakacje. Do tej pory jeździłem na kursy na Princeton. Miałem tam być też w tym roku, ale nie mogli się dogadać, które z nich za to zapłaci, więc... – Wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć.

Byłam pewna, że nigdy nie zadałabym kolejnego pytania, gdyby nie to, że było ciemno i że mogłam wpatrywać się w piasek, a nie w niego.

– Czy twoja... to znaczy, czy Lissa jest w Princeton? – Zastanawiałam się nad tym, odkąd Frank próbował się z nią skontaktować w drodze tutaj. Przypomniałam sobie wtedy, że choć widziałam go tego lata tyle razy, nigdy nie był z dziewczyną.

Pokiwał głową.

– Tak – odparł. – Nie chciałem, żeby straciła tę możliwość tylko dlatego, że ja nie mogłem jechać. – Czekałam, aż powie coś jeszcze, ale Frank patrzył tylko na wodę, a kiedy znowu się odezwał, wesołość w jego głosie wydała mi się wymuszona. – W każdym razie Collins załatwił mi robotę w IndoorXtreme i jakoś daję radę. Na pewno nie takich wakacji się spodziewałem. Ale – uśmiechnął się do mnie, lekko, tym razem jednak szczerze –

okazują się fajniejsze, niż myślałem. Dzisiaj na przykład uratowałem kogoś przed aresztowaniem.

– Tak w ogóle, to dzięki – odwzajemniłam uśmiech.

– Taka praca – machnął ręką Frank.

– Czy twoja propozycja jest wciąż aktualna? – spytałam bez zastanowienia. – Pomożesz mi z listą?

– Jasne – odwrócił się do mnie – w zasadzie już zacząłem.

Roześmiałam się, nieszczególnie zaskoczona.

– Oczywiście, że zacząłeś.

– No więc tak – teraz w jego głosie usłyszałam ton rozpoczynającego zebranie przewodniczącego klasy – zrobiłem listę wszystkich Jamiech i Jamie w naszej szkole, podzieliłem ją według płci i...

– Wiesz co – opierając się na ramionach, poczułam, że się uśmiecham – z tym już sobie poradziłam. – Frank uniósł brwi, a ja usiadłam wygodnie. – No więc parę dni temu...

Opowiedziałam Frankowi o tym, jak przestraszyłam się podczas dostarczania pizzy, ale potem wróciłam na stację benzynową, przypomniawszy sobie, jak ma na imię pracujący na niej chłopak, a potem przeszliśmy do innych tematów. Już po chwili rozmowa toczyła się swobodnie, nie musiałam już kierować nią ani uważać na każde słowo. Nie musiałam już myśleć o tym, co powinnam powiedzieć. Po prostu mówiłam.

– To nie ma sensu – patrzył na mnie zdziwiony. – Ten punkt jest na liście, bo boisz się koni?

– Mhm.

Frank przechylił głowę na bok, jakby wciąż nie mógł zrozumieć.

– Ale – powiedział po chwili – to są zwykłe konie? Czy jakieś przerażające końskie demony?

– Zwykłe konie – przyznałam. Frank wyglądał, jakby z trudem powstrzymywał śmiech. – Naprawdę nie wiem, dlaczego.

– Cóż, ja boję się wysokości – powiedział, kręcąc głową.

Lekko się zarumienił. – Jak pewnie widziałaś. Tata zabrał mnie na budowę, kiedy miałem trzy lata. Pamiętam, że spojrzałem w dół i wpadłem w histerię. To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Próbowałem pokonać ten strach w zeszłym roku, kiedy poleciliśmy do Montrealu na akademickie zawody...

– To nie jest dobry film. – Szliśmy teraz Frankiem wzdłuż brzegu morza; pod stopą wyczuł w piasku kamyk i chciał spróbować puścić kaczkę. Chciał też spróbować przekonać mnie, że „Space Ninja”, film, który puszczano w multipleksach od Memorial Day, należał do arcydzieł kinematografii.

– Jest – nalegał, a kiedy ja uniosłam brwi, roześmiał się. – No dobra, może fakt, że oglądałem go razem z Collinsem wpłynął nieco na moją ocenę. Ale musisz przyznać, że był znacznie lepszy od „Ninja Pirate”.

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, jakim cudem zyskał reputację najmądrzejszego chłopaka w szkole.

– A to ma dowieść czego?

– W dobrze zorganizowanym wszechświecie – powiedział Frank, szukając kolejnych kamyków, bo pierwsza tura puszczenia kaczek nie poszła tak dobrze, jak by chciał – puszczone kaczki wracałyby do ciebie jak bumerang, a nie były tylko ćwiczeniem z bezsensu.

– W dobrze zorganizowanym wszechświecie – odparłam – ludzie puszczałiby je na jeziorach, a nie, no wiesz, na Long Island Sound.

– Mogę spytać o Lisę? – Wróciliśmy na schody; Frank wszedł do domu i przyniósł nam bluzy. – Tęsknisz za nią?

Pokiwał głową i milczał przez chwilę.

– Tak. Wiesz, jeszcze nigdy nie spędziliśmy tyle czasu osobno, więc... – Wzruszył ramionami. Po kolejnej chwili ciszy, wyszeptał: – Myślę, że trudniej jest tym, którzy zostają. –

Popatrzył na mnie. – A ty?

Wiem, że chodziło mu o Sloane.

– Tak – odparłam. Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu, że czasem miałam wrażenie, że bez Sloane jestem tylko połową siebie. Że czułam się tak, jakby ktoś odciął mi ramię, zabrał dowód osobisty i poczucie orientacji. Że nie wiedziałam, kim jestem ani dokąd zmierzam, i że brakująca część mnie wciąż boli, nie pozwalając mi zapomnieć, że nie jestem całością. Zamiast jednak powiedzieć to wszystko, spojrzałam tylko na niego, bo czułam, że doskonale rozumie, jak to jest. – Ja też.

– Ach, miałem ci powiedzieć – odezwał się Frank, kiedy próbowałam puścić kaczkę. Najwyraźniej coś było nie tak z moją techniką, bo kamień wylądował w wodzie i natychmiast zatonął. – Rozmawiałem z mamą; widziałem *Bug Juice* na Broadwayu. To była pierwsza sztuka, na której tam byłem.

Zerknęłam na niego, zastanawiając się, czy byłam tego dnia w teatrze, bo zazwyczaj kręciłam się tam, próbując zwinąć z teatralnego kiosku trochę orzechowych M&M-sów. Zadawałam sobie pytanie, co pomyślałabym o jedenastoletnim Franku, gdybym go wtedy poznała.

– Postać Cecily jest zainspirowana mną – powiedziałam. Frank uniósł brwi, wyraźnie pod wrażeniem. – Przynajmniej na początku. Z biegiem akcji przestaje być mną.

– Co masz na myśli? – spytał, podnosząc kamyk i podrzucając go kilka razy w dłoni, jakby chciał ocenić jego ciężar.

– Ona staje się... odważna – odparłam. – I bardzo silna. Dzielna. – Zatopiłam palce w piasku i dodałam: – No i jest jeszcze ten cały wątek z podpaleniem.

– No tak – pokiwał głową Frank. Rzucił kamyk do wody, a ten odbił się od jej powierzchni pięć razy, nim wreszcie zatonął.

– Dobra robota – uśmiechnęłam się.

– Byliśmy przyjaciółmi od dzieciństwa – powiedział Frank. Znow siedzieliśmy na piasku, a ja zapisywałam na nim palcem moje imię, pętle „E”, ogonek „y”, raz po raz. Tematem był teraz Collins i jego szanse na wyrwanie kinooperatorki Gwen (które ocenialiśmy jako żadne) kontra możliwość, że porzuci go dla innego faceta, kiedy tylko dojadą na imprezę (wysokie). – Od tak dawna, że nawet nie pamiętam naszego pierwszego spotkania. – Nie wiedziałam, jak to jest, ale i tak pokiwałam głową. – Bardzo się ucieszył, że tego lata zostałam w mieście. Rzadko mamy dla siebie tyle czasu.

– Poza tym ma teraz straż przyboczną – zauważyłam.

– Tak – odparł Frank. – Jak dotąd bardzo mu pomagam. – Pokręcił głową i uśmiechnął się. – Zaplanował dla nas na sierpień jakiś super kemping.

– W dobrze zorganizowanym wszechświecie – powiedziałam, zasypując swoje imię i zaczynając od nowa – kemping mieściłby się pod dachem.

Rozmowa zaczęła zwalniać mniej więcej wtedy, kiedy ja poczułam chłód piasku pod pośladkami, a Frank ziewnął po raz pierwszy. Wytarliśmy dłonie i stopy, ale i tak nanieśliśmy piasku na schodki. Spodziewałam się, że kiedy wejdziemy do środka, kiedy znow będę wyraźnie widziała jego brązowe oczy, piegi, rudawe włosy i zrobi się niezręcznie.

Ale tak nie było.

Nie rozumiałam, dlaczego, póki nie wsiadłam do samochodu, a Frank nie pożegnał mnie gestem dłoni. Gdzieś pośrodku kłótni o jakość filmów o ninjach przestał być Frankiem Porterem, przewodniczącym klasy, nieprzeniknioną osobą. Przestał być kimś obcym, facetem, kimś, z kim nie umiałam rozmawiać. Tego dnia, w ciemności, kiedy dzieliliśmy się naszymi tajemnicami i ulubionymi smakami pizzy, stał się kimś innym – być może nawet moim przyjacielem.

POCAŁUJ NIEZNAJOMEGO

Przejeżdżając przez bramę Saddleback Ranch, poczułam, jak dłonie mocno zaciskają mi się na kierownicy. Bałam się, odkąd Frank powiedział, że ma pewien, związany z listą, pomysł. Jako że nie wiedział, co oznacza Penelope ani jaką sukienkę miała na myśli Sloane, a ilekroć rozmawialiśmy o liście, omijał takie punkty jak pływanie nago i całowanie obcych, pozostało tylko kilka opcji. Koniec końców Frank postanowił, że dzisiaj wsiądę na konia.

Kiedy obudziłam się tamtego ranka, po wieczorze spędzonym wspólnie na plaży, ku swojemu własnemu zdziwieniu wzięłam telefon i napisałam SMS-a z pytaniem, czy chce pobiegać. I odtąd biegaliśmy codziennie, zazwyczaj rano, ale czasem też popołudniami, jeśli żadne z nas nie musiało pracować. Nigdy w życiu nie przewidziałabym, że zaprzyjaźnię się z Frankiem Porterem, ale to się właśnie działo. Wadą tej sytuacji było najwyraźniej to, że jako przyjaciel miał teraz prawo, na przykład, zapisać mnie na lekcje jazdy konnej.

Zaparkowałam po drugiej stronie parkingu. Przed małym biurem były stajnia i tor jeździecki; konie przeskakiwały przez przeszkody znacznie bliżej mnie, niż bym sobie życzyła. Wysiadłam powoli z samochodu, nie chcąc oddalać się od niego zbyt na wypadek, gdyby któryś z koni znarowił się i postanowił mnie zaatakować. Słyszałam konie rżące w stajni i próbowałam nie zastanawiać się nad tym, jakim cudem miałabym niby wsiąść na któregoś z nich – na konia, który może cię przecież zrzucić z siodła, nadepnąć albo kopnąć.

– Hej – zawołał Frank, wychodząc z biura z westchnieniem ulgi. – Przyjechałaś. Bałam się, że kiedy zobaczysz znak, przestraszysz się i uciekniesz.

– Ha ha – zaśmiałam się ponuro, żałując nagle, że Frank w ogóle to wszystko wymyślił. Dzielenie się żenującymi historiami to jedno, ale pokazywanie się w najbardziej żalonym stanie to

zupełnie co innego.

– Wszystko OK? – spytał, zbliżając się do mnie o krok. – Błado wyglądasz.

– Ja tylko... – zaczęłam, znów zerkając na stajnię. Serce waliło mi mocno w piersi, czułam, że zaczynam się pocić.

Wytarłam dłonie o dzinsy. – Ja nie...

– Jesteś zapisana na jedenastą? – Odwróciwszy się, zobaczyłam kobietę w dzinsach i koszulce Saddleback Ranch, która prowadziła konia tak wielkiego, że musiałam odchylić głowę, żeby zobaczyć jego grzbiet. – Och – przenosiła wzrok ze mnie na Franka i z powrotem. – Umawialiście się na jazdę w parach?

– Nie! – odpowiedzieliśmy natychmiast chórem.

– Tylko Emily – wskazał mnie Frank.

– OK. – Kobieta mocno klepnęła konia. Przeraziłam się.

A co, jeśli mu się to nie spodobało i teraz będzie chciał się wyżyć na mnie? Czy konie należą do tych zwierząt, które umieją wyczuć strach? To wydawało się prawdopodobne; w końcu ich pyski niemal w całości składały się z nosa. Być może wyczuwając moje myśli, koń prychnął i tupnął. Zrobiłam wielki krok w tył, aż wpadłam na swój samochód.

– Koziołek już jest osiodłany – powiedziała kobieta.

– Dlaczego ma tak na imię? – spytałam i spróbowałam cofnąć się jeszcze bardziej, zapominając, że właściwie opieram się już o auto. Słyszałam, jak piskliwie brzmi mój głos, ale nie sądziłam, bym była w stanie cokolwiek z tym zrobić. – Lubi rzucać ludzi z grzbietu?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Nie ma pani może mniejszego konia? – spytałam, szukając jakiegoś sposobu, żeby się uratować. – Może troszkę niższego niż to?

– Em, wszystko OK? – spytał Frank, robiąc krok naprzód.

– Masz na myśli kucyka? – spytała zaskoczona kobieta.

– Może – powiedziałam, szczęśliwa, że pojawiła się opcja,

która bez wątpienia byłaby jazdą konną, ale nieco bliższą ziemi. – Macie kucyki? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił mój telefon, a ja chwyciłam go, ciesząc się, że mogę odsunąć od siebie moment, w którym będę musiała wsiąść na jednego z tych potworów i wziąć życie w swoje ręce. – Halo?

– Cześć – powiedział głos, a ja po chwili rozpoznałam Dawn. – Jesteś w pracy?

Następnego dnia po mojej podróży z pizzą zajrzałam do Kapitana Pizzy, żeby się przywitać i przy okazji zerknąć groźnie na Bryana. Uznałam, że na to zasługuje – nie tylko za to, co zrobił Dawn, ale też za to, że nawet w lokalu nosił ciemne okulary. Wymieniłyśmy się numerami telefonów i teraz Dawn dzwoniła do mnie czasem przed pracą, prosząc, żebym zajrzała do Kapitana Pizzy i sprawdziła, co robią Bryan i Mandy.

– Nie – odpowiedziałam, uznając, że będę mogła obrócić sytuację na swoją korzyść. Nadal będzie to tchórzostwo, ale przynajmniej tchórzostwo, o którym nie dowie się Frank. – Powinnam przyjść do pracy? „Praca” – wyszeptałam jednocześnie do Franka, starając się zignorować kobietę, która wciąż trzymała za lejce stąpającego w miejscu Koziółka.

– Co? – spytała zdziwiona Dawn. – Nie, zastanawiałam się tylko, czy mogłabyś zerknąć, jak wygląda sytuacja. Zastanawiam się, ile wysiłku poświęcić swojej fryzurze.

– Och, rozumiem – powiedziałam. Dawn chyba nie pomyśli, że kompletnie oszalałam. Uznałam, że wszystko jej wyjaśnię, kiedy zobaczymy się następnym razem. – Jasne. Już jadę.

– Emily, co ty... – powiedziała Dawn, bardziej jeszcze zaskoczona niż wcześniej. Rozłączyłam się i szybko zmieniłam tryb telefonu na cichy, na wypadek, gdyby postanowiła zadzwonić znowu.

– Bardzo przepraszam – zwróciłam się do kobiety, starając się, by ton odpowiadał słowom, ale jednocześnie czując, że wkrada się w niego ulga. – Musimy... hmmm... zmienić termin.

– Problemy w Raju? – spytał Frank. Jego głos był wesoły, ale przyglądał mi się uważnie i podejrzewałam, że domyśla się

kłamstwa.

– Taaak – powiedziałam, chowając telefon do kieszeni ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Przepraszam, to naprawdę niespodziewana sytuacja.

– Będę musiała policzyć ci za lekcję, bo jest za późno, żeby ją odwołać – powiedziała kobieta, prowadząc gigantycznego konia z powrotem do stajni. – Ale na następny raz dam ci pięćdziesiąt procent zniżki, OK?

– Jasne – odparł Frank. – Spróbujemy kiedy indziej.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziałam. – Oddam ci kasę.

Kiedy lęk przed całą tą sytuacją ustąpił, poczułam się beznadziejnie i wcale nie chodziło o pieniądze. Dzięki jego pomocy miałam szansę wykreślić punkt z listy, a wykorzystałam pierwszą możliwą wymówkę, żeby uciec. Zmarnowałam też jego czas, a wszystko dlatego, że nie byłam wystarczająco odważna, żeby spróbować wsiąść na konia.

Uśmiechnęłam się do niego słabo i wsiadłam do samochodu. Ruszyłam nieco szybciej, niż wypadało w towarzystwie wielkich koni, ale natychmiast chciałam się stamtąd wydostać. A kiedy wjechałam na ulicę prowadzącą do domu, zaczęłam zastanawiać się, czy naprawdę jakikolwiek koń zdołałby jeszcze bardziej popsuć mi humor.

MIX #7

Don't You Worry Child

Swedish House Mafia

Jolene

The Weepies

King of Spain

The Tallest Man on Earth

She Doesn't Get It

The Format

Dirty Paws

Of Monsters and Men

Blackbird

The Beatles

High School Reunion

Curtis Anderson

The Gambler

fun.

Now Is the Start

A Fine Frenzy

5 Years Time

Noah and the Whale

I Will Wait

Mumford & Sons

Paperback Writer

The Beatles

Synesthesia

Andrew McMahon

Where Does This Door Go?

Mayer Hawthorne

House of Gold

Twenty One Pilots

Misadventures at the Laundromat

Curtis Anderson

Young Love

Mystery Jets

It Won't Be Long

The Beatles

Truth in the Dark

The Henry Gales

While My Guitar Gently Weeps

The Beatles

Re: Your Brains

Jonathan Coulton

Hannah

Freelance Whales

Mtn Tune

Trails and Ways

Home

Edward Sharpe & The Magnetic Zeros

Trojans

Atlas Genius

When They Fight, They Fight

Generationals

Take a Walk

Passion Pit

– Bardzo cię przepraszam – powiedział Frank, zerkając na mnie. Minęły dwa dni, a my znów biegaliśmy. Tego popołudnia pojawiłam się w jego domu gotowa, by go przeprosić, ale on, kiedy przebiegliśmy pierwszą z zaplanowanych pięciu mil, ku mojemu zdziwieniu zaczął przeproszać sam. – Nie powinienem cię

do tego zmuszać. Wciąż myślę o tym, jak zareagowałbym, gdyby ktoś kazał mi wdrapać się na szczyt wieżowca. Nie byłoby fajnie.

– Ale w pewnym momencie będę musiała to zrobić – zauważyłam.

– To prawda – powiedział Frank z taką pewnością, że niemal mu uwierzyłam. Biegliśmy jeszcze przez milę, nim zerknął na mnie i spytał: – Muzyka?

Pokiwałam głową i podałam mu mojego iPod'a. Biegalismy już razem kilka razy i wypracowaliśmy plan działania. Przez pierwszą milę, podczas rozgrzewki, rozmawialiśmy. Kiedy oddech stawał się ważniejszy od rozmowy, zaczynaliśmy słuchać muzyki. Wyłączaliśmy iPod'y dopiero podczas rozciągania i spaceru do jednego z naszych domów – wracaliśmy na zmianę raz do mojego, raz do jego. Poprzednim razem jednak Frank zaproponował, żebyśmy zamienili się iPod'ami, żeby on mógł sprawdzić, czy moja teoria „muzyki lepszej od monologów komików” się sprawdza. Ja w tym czasie mogłam poznać Freelance Whales, którzy – podobno – byli prawdziwym zespołem. Przygotowałam dla niego składankę moich ulubionych piosenek, które – jak sądziłam – nie będą zbyt odstręczająca dla kogoś, kto nigdy nie słuchał country ani nie wiedział, kim są The Cure.

Odnaleźliśmy rytm, a ja zauważyłam, że nasze wydłużające się w późno popołudniowym słońcu cienie, od czasu do czasu krzyżują się na chodniku. Chociaż było gorąco i bardzo wilgotno, starałam się narzucać szybkie tempo, które trudno nam było utrzymać przez ostatnie trzy mile. Jak zwykle do mety popędziliśmy sprintem. Frank biegł u mojego boku aż do ostatniej sekundy, kiedy udało mi się skoczyć naprzód i uderzyć otwartą dłonią w naszą skrzynkę pocztową. Pochyliłam się do przodu, żeby nabrać powietrza w płuca, a Frank obok mnie zrobił to samo.

– Czy twoja opinia o mnie ucierpiałaby – wydyszał – gdybym położył się teraz w tamtych krzakach?

– W żadnym wypadku – odparłam. – Chętnie bym do ciebie dołączyła.

Wyprostowałam się i zaczęłam potrząsać nogami i

ramionami, już czując, jak bardzo będą mnie bolały następnego dnia. Spokojnie ruszyliśmy przed siebie w przeciwnym kierunku, jak zawsze kazali mi robić trenerzy.

– Podobała mi się składanka – powiedziałam, oddając mu iPod. – Ale o co chodziło z tym klaskaniem?

– To Mumfordzi. – Frank wydawał się oburzony. – Wiesz, ile nagród dostali?

– No to mogli sobie sprawić prawdziwego perkusistę – odparłam. Frank pokręcił głową.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile piosenek o ciężarówkach właśnie wysłuchałem? – spytał, podając mi mojego iPod. – I to niekoniecznie country. O co chodzi?

– Sam masz duży samochód – zauważyłam. – Powinny ci się spodobać.

– Gdyby ta logika działała, a co oczywiste – nie działa, ty ze swoim volvo powinnaś polubić Swedish House Mafia.

– Która to była?

– Pierwsza – skrzywił się Frank. – Przecież ci mówiłem.

– Cóż – próbowałam przypomnieć sobie, czego właśnie wysłuchałam. – Beatlesi na pewno mają jakieś piosenki o ciężarówkach.

– Nie wydaje mi się – odparł natychmiast Frank. – Chyba żeby liczyć samochód straży pożarnej w „Penny Lane”.

Ja pokręciłam głową, a on wytarł twarz koszulką. Popatrzyłam tęsknie na jego brzuch, ale odwróciłam się wystarczająco szybko, żeby tego nie zauważył.

– A o co chodzi z Beatlesami? – Widząc niedowierzanie na jego twarzy, dodałam szybko: – Mówiłeś, że słuchasz ich ze względu na ukryte szyfry, ale na tej playliście było naprawdę całe mnóstwo Beatlesów.

– Nie lubisz ich? – spytał Frank, absolutnie zszokowany. Z truchtu przeszliśmy do chodu w stronę mojego domu. – Czy nie lubisz też śmiechu, słońca i szczeniaków? – Patrzyłam na niego, czekając, aż zamiast tego szaleńca objawi mi się prawdziwy Frank Porter, on jednak najwyraźniej dopiero zaczynał. – Uważam, że

Beatlesi nie są wystarczająco doceniani – powiedział szybko. – Naprawdę, gdy patrzę na ich dzieło, na to, jak zmienili muzykę, dochodzę do wniosku, że powinniśmy organizować na ich cześć parady i ogłosić święto narodowe.

– Cóż, możesz się tym zająć – powiedziałam, gdy stanęliśmy przed moim domem – gdybyś potrzebował kolejnego projektu na lato.

Frank roześmiał się i spojrzał na mój dom, wycierając twarz rękawem.

– Masz w domu jakąś wodę?

– Jasne – odparłam od razu, nie zastanawiając się nad niczym, prócz mojego własnego pragnienia. Otworzyłam drzwi i weszliśmy do chłodnego, ciemnego przedpokoju. Dopiero kiedy drzwi się za nami zamknęły, zdałam sobie sprawę, co zrobiłam – zaprosiłam Franka Portera do swojego domu.

Widział już mojego ojca w szlafroku, a miałam nadzieję, że następnym razem uda mi się przekonać rodziców do włożenia normalnych ubrań. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co czeka Franka w środku.

Trzymałam kciuki, żeby stan domu nie okazał się kompletną katastrofą, żeby rodzice spokojnie pracowali w jadalni, a Beckett nie wlaźł na jakieś drzwi, żeby nas przestraszyć.

– Moi rodzice pewnie pracują – powiedziałam. – Może powinniśmy być cicho...

Ledwie jednak wkroczyłam z przedpokoju do domu, urwałam w pół zdania. Moi rodzice nie tylko nie byli w jadalni i nie siedzieli przy swoich laptopach, ale kręcili się po salonie, przesuwając sofę do ściany, podczas gdy Beckett jeździł po pokoju na butach, z których pod piętami wysuwały się kółeczka. W rękach trzymał stertę sztuk, a kot wydawał się specjalnie wskakiwać mu pod nogi.

– Yyy – mruknęłam, zamykając drzwi przedpokoju. Wszyscy zatrzymali się na chwilę i spojrzeli na mnie. Ucieszyłam się, że żaden z członków mojej rodziny nie był w dresie ani w szlafroku, ale mama miała za to na głowie wałki, a tata na szyi dwa krawaty,

nie byłam więc pewna, czy aż tak wiele zmieniło się na lepsze. –
Co tu się dzieje?

– Emily, wspaniale, że jesteś! – powiedziała mama. Chwyliła stertę papierów z ziemi i rzuciła je w moje ramiona. – Wsadź to gdzieś. I mogłabyś sprawdzić, czy mamy coś do jedzenia? Może w zamrażalniku? Minibajgle, mikro-coś tam?

– Skończyłem je w zeszłym tygodniu – powiedział Beckett, mijając mnie. – Więc nie ma.

– Chyba powinienem pójść – wyszeptał Frank, najwyraźniej jednak nie wystarczająco cicho, bo mój tata uniósł się znad kanapy i zauważył go.

– Chłopak! – zawołał z ulgą. – Cudownie. Pomóż mi to podnieść. – Zmrużył oczy. – Hej, znam cię?

– Ej, serio, co tu się dzieje? – spytałam, lekko przesuwając się w lewo, żeby powstrzymać Franka przed podejściem do mojego ojca. Rodzice popatrzyli na siebie, a potem na ziemię, a ja zmartwiłam się nagle, że zajęci pracą zapomnieli zapłacić rachunki i teraz wszystko w naszym domu zostanie skonfiskowane.

– Teatr Salonowy – wypalił wreszcie Beckett, omijając kota, gdy stało się jasne, że rodzice nie zamierzają odpowiedzieć. – Zapomnieli o nim.

– Zaraz, zaraz, tutaj? – spytałam, pojmując wreszcie, czemu wszyscy ganiają jak oszaleli. – Dzisiaj?

– Teatr Salonowy? – powtórzył Frank za moimi plecami.

– Czy ktoś odwołał?

– Cóż – powiedziała mama – tak naprawdę sami się zgłosiliśmy. Ale to było, zanim zaczęliśmy pisać. A twój tata uważa, że maile zakłócają jego proces twórczy, więc nie odebrał przypomnienia.

Na chwilę zamknęłam oczy.

– Ile mamy czasu? – spytałam.

Tata spojrział na zegarek i skrzywił się.

– Godzinę.

– Ale... czym jest Teatr Salonowy? – spytał Frank, widząc, jak cała moja rodzina wpada w panikę, słysząc tę informację.

– Cóż, jeśli zaraz stąd nie wyjdiesz – powiedziałam, wiedząc, że chyba jest już za późno, bo mama podała mu stertę papierów – niewątpliwie się dowiesz.

LIPIEC

Rok wcześniej

– Wyjaśnijcie mi to jeszcze raz – powiedziała Sloane, gdy razem z moimi rodzicami i Beckettem, podchodziłyśmy do drzwi domu Pameli Curry. – Nie macie dosyć teatru, kiedy rok szkolny się kończy?

Moja mama uśmiechnęła się i objęła Sloane ramieniem. Dobrze się dogadywały od samego początku; kiedy Sloane nocowała u nas, często rano natykałam się na nie w kuchni, gdzie rozmawiały niczym stare przyjaciółki.

– To zaczęło się kilka lat temu – powiedziała. – Żeby było zabawniej, było to na spotkaniu zakładów literatury i teatru, na którym mieliśmy rozmawiać o parkingu. Zamiast tego zaczęliśmy wymieniać nasze ulubione sztuki i mówić o tym, że w szkole trzeba dokonywać bardzo ważnych wyborów – żeby nikogo nie urazić, zatrudnić jak najwięcej studentów, zmieścić się w budżecie i takie tam. A wtedy ktoś...

– Harkins – wtrącił się tata z drugiego końca naszej grupki. – Pamiętasz? Zaczął to wszystko, a potem wyjechał, kiedy dostał stanowisko w Williams.

– W każdym razie profesor Harkins zasugerował, żebyśmy spotykali się podczas wakacji, wszyscy razem – ci z zakładu literatury i ci z teatru – żeby wystawić sztukę, której nigdy nie udałooby się zrealizować w czasie roku szkolnego. Żadnych rekwizytów, żadnych kostiumów, z książką w ręku.

– Brzmi bardzo fajnie – powiedziała Sloane, kiedy dotarliśmy do drzwi, a moja mama zapukała raz, a potem po prostu otworzyła je i weszła do środka. Teatr Salonowy był dość swobodnym wydarzeniem, a na początku panował zazwyczaj niesamowity chaos i nikt nie zwracał uwagi na takie szczegóły jak otwieranie drzwi.

Weszliśmy do środka i rzeczywiście, na parterze było całe mnóstwo ludzi, głównie kolegów moich rodziców z obu ich zakładów razem z dziećmi. Dzieci zawsze były zapraszane na spotkania Teatru Salonowego, chyba że grano Mameta, bo wtedy obowiązywał próg wiekowy trzynastu lat. Dzisiejsi aktorzy kręcili się po salonie, trzymając w dłoniach teksty i mamrocząc pod nosem, a pozostali zebrali się wokół stołu z jedzeniem.

Rozejrzałam się dokoła. Staralam się zrobić to możliwie dyskretnie, ale najwyraźniej niewystarczająco, bo Sloane podeszła do mnie i wyszeptała:

– Widzisz go?

Kręcąc głową, poczułam, że się rumienię. Pamela Curry z dwójką dzieci przeprowadziła się tu dwa lata wcześniej i zaczęła pracę w zakładzie literatury razem z moim tatą. Jej syn i córka chodzili do ostatniej klasy, kiedy ja byłam w drugiej. Amy znałam tylko stąd, że natychmiast zaczęła dostawać główne role we wszystkich szkolnych przedstawieniach. Byłam natomiast nieracjonalnie zakochana w Charliem Currym, chociaż, jako kapitan drużyny tenisowej, nie wydawał się szczególnie zainteresowany spotykaniem się z niegrającymi w tenisa, młodszymi dziewczynami.

– Andrea! Scott! – Pamela Curry podbiegła do moich rodziców, rzucając mnie i Sloane szybki uśmiech; Beckett popędził już w okolice jedzenia. – Mamy kryzys.

– Teatr Salonowy nie może się obyć bez kryzysu – odpowiedział z rozważą mój ojciec.

– Straciliśmy naszą najmłodszą siostrę – powiedziała. – Susan Greene ma grypę. – Chociaż Susan, jedna z koleżanek mojej mamy, była od niej z dziesięć lat starsza, przedstawienia zawsze

obsadzano, nie zwracając uwagi na wiek.

– W „Zbrodniach serca”? – Tata szeroko otworzył oczy. – To faktycznie kłopot.

– Wiem – skrzywiła się Pamela. – Babe to świetna rola, ale musi być dobrze zagrana.

– A twoja córka-aktorka nie mogłaby się podjąć tego zadania? – spytała mama, a Pamela pokręciła głową.

– Pojechali z chłopakiem w podróż po Europie – powiedziała. – Gdyby nie to, namówiłabym ją już dawno. – Nagle przeniosła wzrok na mnie i Sloane. – A może któraś z was?

– Yyy – mruknełam, starając się zignorować zachęcający uśmiech mojej mamy. – Ja nie. – Uniosłam brwi, spoglądając na Sloane. – A ty masz ochotę?

– Z przyjemnością – powiedziała, zerkając to na mnie, to na Pamelę i marszcząc nieco czoło. – Ale Emily...

– Znakomicie! – Pamela omal nie zemdląca z ulgi. – Myślałam, że sama będę musiała to zrobić, a musicie mi wierzyć, że nikt nie chciałby tego oglądać. Zaraz przyniosę ci tekst.

Jakiś kolega zawołał moich rodziców. Poszli na drugi koniec pokoju, a Sloane zwróciła się do mnie:

– Dlaczego ty nie chcesz? – spytała. – Jestem pewna, że znasz tę sztukę znacznie lepiej ode mnie, biorąc pod uwagę, że ja w życiu o niej nie słyszałam.

– Nie chcę w niej grać i już – odparłam, chociaż nie była to cała prawda. Nie chodziło tylko o to, że bałam się zrobić z siebie idiotkę na oczach Charliego, bo i tak nigdzie go nie widziałam. Wiedziałam po prostu, że Sloane poradzi sobie znacznie lepiej ode mnie.

– No nie wiem – powiedział Frank, przez drzwi jadalni zaglądając do salonu, w którym kanapa została odstawiona na bok, żeby zrobić miejsce na scenę, przed którą ustawione były wszystkie krzesła, jakie mieliśmy w domu. Przed nimi na podłodze leżały poduszki, bo krzesła szybko zabrakło.

Oboje wciąż ubrani byliśmy w nasze sportowe ciuchy i trampki. Ja mogłam się oczywiście przebrać, ale nie chciałam, żeby on sam został w takim stroju, biorąc pod uwagę, że na to wszystko skazali go moi rodzice. Zostało pięć minut do przedstawienia, a Frank wyglądał dość blado. Trudno było go zresztą winić, biorąc pod uwagę, co wydarzyło się przez ostatnią godzinę.

– Próbowałam cię ostrzec – zauważyłam, a Frank pokiwał tylko głową i mocniej ścisnął tekst. Podejrzywałam, że niespecjalnie mu to pomaga.

Kiedy zobaczyłam tornado, jakim był zbliżający się Teatr Salonowy, odciągnęłam Franka na bok, nim mój ojciec zdążył zatrudnić go do dalszej pracy fizycznej.

– Musisz uciekać – powiedziałam poważnie. – Natychmiast.

Frank zajął do pokoju, gdzie mój ojciec wrzeszczał z bólu. Niechcący nadepnął na Godota, a kot nie czekał z zemstą.

– Ale twoi rodzice wyglądają, jakby potrzebowali pomocy – powiedział.

Pokręciłam głową.

– Serio, wyjdź, póki jeszcze możesz.

Niewinni widzowie bywali często obsadzani w przedstawieniach: dwa lata wcześniej hydraulik, który przyszedł zatkać rurę, skończył jako Mercutio i omal nie zemdlał.

– Em! – powiedziała moja mama, podbiegając do mnie i podając mi kolejną stertę papierów. – Znajdź coś, co będziemy mogli wykorzystać, dobrze?

– Nie wybraliście jeszcze sztuki? – spytałam zszokowana, że są w aż tak głębokim lesie.

– Cześć – powiedział Frank, wyciągając wolną rękę do mamy. – Nazywam się Frank Porter, jestem przyjacielem Emily. – Popatrzyłam na niego, kiedy wypowiadał te słowa i zorientowałam się, że to prawda: był moim przyjacielem, choć wciąż przyzwyczajałam się jeszcze do tej nowej sytuacji.

– Och – mama uniosła brwi i zerknęła na mnie, po czym podała mu rękę. – Bardzo miło cię poznać. Biegasz razem z Em,

prawda? – spytała, co dowodziło, że rano na schodach tata nie był aż tak śpiący, jak się wydawał.

Frank pokiwał głową.

– Em utrzymuje mnie w formie.

– Sam to robi – powiedziałam. Mama uśmiechnęła się do mnie znacząco, a ja pokręciłam głową, nie wiedząc, jak uświadomić ją, że on ma dziewczynę, a ona – błędne wyobrażenie.

– Bardzo się cieszę, że do nas dołączyłeś – powiedziała moja matka. Nim zdążyłam poinformować ją, że niestety, nie będzie mógł zostać, że miał tylko pecha, przychodząc akurat po wodę – której, swoją drogą, nadal nie dostał – popychała go już w stronę kanapy. – Nie masz problemów z kręgosłupem, prawda? – spytała. – Pomożesz nam poprzemienić meble?

– Idź – wyszeptałam do Franka, on miał jednak zdecydowanie zbyt dobre maniery i zaraz unosił już jedną stronę kanapy, podczas gdy ja przeglądałam kolejne sztuki, licząc postaci w każdej z nich.

Kiedy zastanawiałam się, czy może moglibyśmy wystawić „Czego nie widać”, jedną z moich ulubionych sztuk, słyszałam tylko urywki konwersacji, która odbywała się między moim tatą a Frankiem. „Wasza sztuka... „Bug Juice”... Broadway...”

Potem usłyszałam trzask. Okazało się, że tata upuścił swój koniec kanapy, pozostawiając Franka samego po drugiej stronie.

– Andrea! – krzyknął tata. Frank, cały czerwony na twarzy, powoli opuścił kanapę na ziemię. Coś mi się wydawało, że zaczynał żałować, że nie poszedł do domu, kiedy jeszcze miał szansę. – Fred wpadł na świetny pomysł!

– Frank – poprawiłam go przez zaciśnięte zęby. Tęskniłam za rodzicami, których miałam zazwyczaj – takimi, którzy nigdy nie zapomnieliby o Teatrze Salonowym i nie zawstydzaliby mnie w każdym możliwym momencie.

– O co chodzi? – spytała mama, wyłaniając się z kuchni.

– *Bug Juice!* – zawołał tata. – Emily, nie musisz szukać dalej. Po prostu wystawimy naszą. Mamy wystarczająco dużo kopii.

– Cudownie. – Mama uspokoiła się nieco. – Ja wymyślę, co

podać do jedzenia, a ty możesz ją obsadzić.

Tata rozejrzył się dokoła i wskazał na Franka.

– Ty możesz zagrać Duncana – powiedział, a Frank spojrział na mnie z przerażeniem.

– Tato! – Zrobiłam krok naprzód, odkładając kartki. Duncan był drugim, obok Cecily, głównym bohaterem i wydało mi się, że to nieco zbyt trudne zadanie dla kogoś, kto właśnie wszedł do domu z prózną nadzieją na nawodnienie. – Nie jestem pewna, czy...

– Potrzebujemy jeszcze Cecily – ciągnął, nie zwracając na mnie uwagi. – Andrea – zawołał, zwracając się gdzieś w stronę kuchni – kto mógłby zagrać Cecily?

– O Boże. – Mama wróciła do pokoju i spróbowała przeczesać palcami włosy, najwyraźniej zapominając, że ma w nich wałki. – Nie mam pojęcia. Może córka Pamelii?

– Jeśli nie znajdziemy dobrej Cecily, cała sztuka nam się rozpadnie – zauważył tata, kręcąc głową. – Pamiętasz, co się stało podczas przedstawienia w Chicago...

– Wiem – pokiwała głową mama. – Pomyślmy...

– Ja to zrobię. – Słowa wydobyły się z moich ust, nim zdążyłam się nad nimi zastanowić. Rodzice spojrzeli na mnie, oboje zszokowani. Frank jednak uśmiechał się do mnie.

– Serio? – spytał bardzo sceptycznie Beckett.

– To bardzo słuszna propozycja – powiedziała mama, ściskając moje ramię w drodze do kuchni. – Dzięki, Em.

– Tak – rzekł tata, który patrzył na mnie tak, jakby wciąż nie był pewien, kim jestem. – To... cudownie. Teraz przesunmy tę kanapę.

I w ten sposób, godzinę później, wylądowaliśmy z Frankiem za drzwiami jadalni, ściskając w dłoniach teksty i zerkając na zbierającą się publiczność. Gdybym nie była tak zażenowana wszystkim, co miało teraz nastąpić, pewnie bardziej przejmowałabym się tym, że Frank został tak mocno wciągnięty w świat moich rodziców i zmuszony do udziału w sztuce. Zaczynało kręcić mi się w głowie i wydało mi się teraz jasne, że znacznie

łatwiej zgłosić się do trudnego zadania, niż faktycznie je wykonać.

Na tyłach sali zobaczyłam Dawn, która pomachała mi, kiedy nasze spojrzenia się spotkały. Gdy okazało się, że nie mamy w domu właściwie żadnego jedzenia, które moglibyśmy podać, zaproponowałam pizzę, a mama od razu się zgodziła i kazała mi się tym zająć, podczas gdy ona próbowała doprowadzić dom do porządku. Zadzwoiłam na komórkę Dawn i powiedziałam, że potrzebne jest nam dziesięć pizz, wybór sałatek i paluchy chlebowe. Dawn odparła, że co prawda skończyła już swoją zmianę, ale może zadzwonić do knajpy, zapłacić kartą, przywieźć moje zamówienie i wrócić do domu. Kiedy dotarła na miejsce, pomogła mi ustawić jedzenie na stole, a kiedy zobaczyła, co się dzieje, spytała, czy może zostać i, koniec końców, pomogła mojej mamie w porządkach.

Tłum wydał mi się znacznie większy niż w poprzednich latach. Czemu nie zastanowiłam się, jak niezręcznie jest czuć na sobie wzrok pełnej sali? Zwinęłam tekst w dłoniach. Ściskałam go z całej siły, choć wcale go nie potrzebowałam. „Bug Juice” był tak ważną częścią naszego życia, że już wiele lat temu nauczyłam się go na pamięć, obejrzawszy sztukę dziesiątki razy.

– Dwie minuty – powiedział Beckett, którego głowa na chwilę pojawiła się w jadalni i zaraz znów zniknęła. Dostał zadanie czytania didaskaliów i pilnowania książki. Choć wszyscy dostaliśmy tekst, byłam już świadkiem Teatrów Salonowych, podczas których aktorzy gubili swoje kwestie i szukali ich potem zdecydowanie zbyt długo.

– Powinniśmy chyba stanąć z resztą obsady – powiedziałam.

Pozostali aktorzy ściśnięci byli w kuchni, w oczekiwaniu na rozpoczęcie przedstawienia. Obsada była na tyle duża, że ludzie, którzy mieli tylko jedną czy dwie kwestie do wypowiedzenia, siedzieli wśród publiczności, dzieląc się tekstami, i mieli wejść na scenę dopiero w odpowiednim momencie. Główni aktorzy jednak – wśród których znajdowali się sekretarka zakładu mojej mamy, specjalistka od teatru elżbietańskiego, asystentka kostiumografa, trzech pracowników technicznych i kilkoro studentów mojego taty

– dzielili się zakulisową przestrzenią. Frank pokiwał głową, ale wciąż wyglądał na zdenerwowanego, a ja zdałam sobie nagle sprawę, że Frank Porter, który potrafił przemawiać przed całą szkołą i wydawał się najbardziej zorganizowaną osobą, jaką znam, stresował się występem w udawanym przedstawieniu w moim salonie. Wydawał się znacznie bardziej zdenerwowany ode mnie, a to dodawało mi odwagi.

– Dasz sobie radę – zapewniłam go.

Frank zerknął na mnie i uśmiechnął się półgębkiem.

– Dzięki – wyszeptał. Odwzajemniłam jego uśmiech, kiedy Beckett znów zajrzał do kuchni.

– Na miejsca! – zawołał.

Półtorej godziny później sztuka kończyła się już, a po drodze nie wydarzyła się żadna większa katastrofa. Pospieszyłam się z kilkoma pierwszymi kwestiami, tekst drżał mi w dłoniach, a mój głos był piskliwy i drżący. Dobrze, że w ogóle je pamiętałam – na szczęście w zasadzie sama je napisałam jako jedenastolatka – bo mój wzrok był na początku zbyt zamglony, by cokolwiek przeczytać. Dopiero później przypomniałam sobie, jak to jest normalnie oddychać. Umówmy się zresztą, że nie towarzyszyła mi broadwayowska śmietanka aktorska – badaczka teatru elżbietańskiego, grająca dyrektorkę letnich kolonii, panią Arnold, wypowiadała większość kwestii tyłem do widowni, a student grający Tuckera zgubił się cztery razy w pierwszej scenie, co było o tyle ciekawe, że wypowiadał w niej tylko trzy kwestie.

Ku mej wielkiej radości, Frank jako Duncan radził sobie całkiem dobrze. Nie byłam jeszcze pewna, czy zachęcić go do tego, by zmienił swoją drogę życiową i zaczął chodzić na przesłuchania do wszystkich szkolnych przedstawień, wypowiadał jednak swoje kwestie wyraźnie, patrzył we właściwą stronę i trzymał się tekstu. Wykazał się też talentem komediowym, o który bym go nie podejrzewała. Gdy więc stawaliśmy przed publicznością, by odegrać ostatnią scenę, nie miałam poczucia, by wieczór toczył się szczególnie źle.

Duncan i Cecily przeszli razem wiele i z wrogów stali się

przyjaciółmi, póki Cecily nie dowiedziała się, że Duncan tylko udawał uczucie, kiedy to okazało się, że zwrócił się przeciwko niej podczas rozprawy sądowej w wojnie o kolory. Było to jednak tylko nieporozumienie i w ostatniej scenie, w ostatni dzień obozu, na tle zgliszczy Camp Greenlaf, wreszcie wyjaśniali sobie, co się naprawdę stało.

– Przepraszam – powiedział Frank jako Duncan.

– Podchodzi do niej na prawą stronę sceny – ogłosił ze swojego stołka Beckett, który był prawdziwą gwiazdą przedstawienia. Przez cały czas jego trwania czytał didaskalia i pomagał, kiedy ktoś się gubił.

– Powinieneś być powiedzieć mi, co się dzieje – rzekłam jako Cecily.

– Wiem – odparł Frank, zerkając na mnie, a potem znów na swój tekst.

– Nie sądziłam, bym mogła ci ufać – ciągnęłam.

– Ale możesz – odpowiedział. – Jestem tu.

– Bierze ją za rękę – Beckett przeczytał swoje didaskalia.

Oboje spojrzeliśmy na niego, ale żadne z nas się nie poruszyło. – Bierze ją za rękę – powtórzył Beckett głośniej, a Frank zerknął na mnie i zrobił krok naprzód.

Przełknęłam ślinę, czując, że serce zaczyna mi mocniej bić. Próbowałam wmówić sobie, że to wszystko tylko gra. I że nic nie oznacza. Przełożyłam swój tekst do lewej ręki i spojrzałam na Franka. Uśmiechnął się lekko, z zawstydzeniem, a potem wyciągnął do mnie rękę. Złapałam ją w połowie drogi, a nasze palce splotły się niezgrabnie. Jego dłoń była chłodna, a ja zdałam sobie nagle sprawę, jak bardzo pasuje ona do mojej.

Serce waliło mi mocno w piersi, czułam, jak krew pulsuje w czubkach moich palców.

Jak to się wszystko stało? Jakim cudem Frank Porter trzymał mnie za rękę?

– Cecily? – pospieszył mnie Beckett, przywracając mnie do rzeczywistości, gdy jedną wolną dłonią próbowałam przełożyć kartkę w moim tekście.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Publiczność wydała z siebie cichy, uprzejmy uśmiech. Zerkałam na nią wystarczająco długo, by dostrzec z tyłu moich rodziców, odrobinę bardziej obecnych, bardziej zrelaksowanych niż ostatnio. Cieszyłam się, że nie wyglądali, jakbym zepsuła ich arcydzieło. Spojrzałam na ostatnią kartkę: na niej, czarno na białym, widniał napis: „całują się”.

Najwyraźniej zupełnie o tym zapomniałam, bo teraz zaczynałam obawiać się, że moja dłoń, wciąż ściskająca dłoń Franka, zacznie się straszliwie pocić.

– Yyyhmmm... – jęknęłam, udając, że szukam właściwego miejsca w tekście. – A ty zawsze będziesz przy mnie?

Dopiero teraz, odrobinę zbyt późno, przypomniałam sobie, co będzie dalej. Duncan wypowiadał swoją kwestię, odbieraną zawsze jako ostatni dowcip w sztuce, w której mówił, że będzie, jeśli jego mama nie zabierze go z powrotem do Weechawken. A wtedy on i Cecily całowali się, zaś reszta obsady wbiegała na scenę, śpiewając hymn Camp Greenleaf.

Nie chciałam, żeby Frank poczuł się zmuszony, żeby mnie pocałować, tak jak wyraźnie czuł się zmuszony, by wziąć mnie za rękę. Nigdy nie ważyłam się nawet sobie wyobrazić, że będę musiała pocałować Franka Portera, i to na oczach moich rodziców, młodszego brata i wszystkich tych ludzi. Poza wszystkim Frank miał dziewczynę. A chociaż prawdziwi aktorzy całowali się bez przerwy, to było co innego. To było...

– ... z powrotem do Weechawken – powiedział Frank, kończąc zdanie, którego początku nie usłyszałam, po którym nastąpił śmiech publiczności i sama-wiedziałam-co. W panice spojrzałam na brata.

– Całują się – przeczytał Beckett, a ja wyczuwałam niemal zaskoczenie Franka i milczące oczekiwanie publiczności.

Spojrzeliliśmy na siebie. Wciąż trzymaliśmy się za ręce, ale trudno było mi nawet wyobrazić sobie, że go całuję. Razem biegać to jedno, ale...

Nie odrywając ode mnie wzroku, Frank zbliżył się o krok.

Wydało mi się, że wszystkie myśli zostały usunięte z mojej głowy. Że świat zwolnił, kiedy on podszedł jeszcze bliżej, a potem pochylił głowę na bok.

– Światła! – zawołał Beckett, przywracając mnie rzeczywistości, a ja zamrugałam, starając się ogarnąć wszystko, co się wydarzyło – albo nie wydarzyło. – Kurtyna!

Wszyscy zaczęli klaskać, reszta obsady dołączyła do nas i chwyciliśmy się za ręce – zdałam sobie sprawę, że ja i Frank nie puściliśmy swoich dłoni, odkąd Beckett nam kazał – ukłoniliśmy się i dopiero wtedy publiczność zaczęła podnosić się, odstawiać krzesła i zerkać w stronę resztek na kuchennym stole.

Popatrzyliśmy na siebie z Frankiem i dopiero po chwili puściliśmy ręce. On schował dłonie do kieszeni szortów, a ja chwyciłam tekst, starając się nie myśleć, jak zimno było mi w palce.

– Hej! – zawołała Dawn, uśmiechając się szeroko. – Było naprawdę super!

– Dzięki – odpowiedziałam, zerkając na Franka. Zastanawiałam się, czy myśli o tym samym co ja, ale on wpatrywał się tylko w swój telefon.

– Dobra robota – mama uśmiechnęła się do nas obojga i przytuliła mnie po drodze. Tata, po drugiej stronie pokoju, uniósł kciuk do góry.

– Dzięki – powiedział Frank, zerkając sponad telefonu, nim wpisał do niego odpowiedź. Uniósł głowę i zmarszczył brwi. – Hej – powiedział – jest taka sprawa. – Nagle po raz pierwszy zauważył Dawn i pomachał do niej w sposób, który jasno komunikował: „jestem przewodniczącym klasy”. – Sorry – rzekł – jestem Frank Porter.

– Dawn Finley – przedstawiła się. – Bardzo dobra robota.

– Cóż – Frank uśmiechnął się do mnie lekko – to wszystko dzięki mojej partnerce.

– Jaka sprawa? – spytałam, próbując zmienić temat.

Frank znów popatrzył na telefon i wyjaśnił, z powątpiewaniem w głosie:

– No więc Collins jest u mnie w domu. Chce, żebym tam przyszedł i powiedział, że musisz koniecznie dołączyć. – Spojrzał na mnie i pokręcił głową. – Przypomnij mi, żebym zabrał mu klucze.

– Och – zaczęłam zastanawiać się, czemu Collins mnie zaprosił. Widywaliśmy się tego lata częściej, niż mogliśmy się spodziewać, więc może po prostu chciał być miły.

– Ciebie też zapraszam – Frank zwrócił się do Dawn. – Chyba że masz inne plany?

– Nie. – Dawn wydawała się podekscytowana. – Brzmi super. O cokolwiek chodzi.

– Emily? – spytał Frank.

Rozejrzałam się dokoła w chaosie, który wciąż panował w moim domu, po ludziach, którzy podjadali zimne paluchy chlebowe. Dobrze wiedziałam, jak kończą się spotkania Teatru Salonowego: dorośli będą wymieniać się plotkami do późnej nocy. Podejrzywałam, że dom będzie pełen ludzi jeszcze przez jakiś czas i że jeśli nie wyjdę, zostanę niechybnie wrobiona w sprzątanie.

– Jasne – powiedziałam. – Czemu nie?

– To naprawdę bardzo ładny dom – powiedziała Dawn, ścisząc głos, z miną, o którą podejrzewałam też siebie, kiedy byłam tam pierwszy raz. Jako że mój samochód został zablokowany przez wszystkie kolejne, które zaparkowały na naszym podjeździe, Dawn przywiozła nas do Franka. Prowadziła tak, że bardzo cieszyła mnie niewielka odległość.

– Dzięki – odparł Frank, prowadząc nas do środka. – Collins! – krzyknął.

– Cześć – Collins przywitał nas z wesołością w głosie, uśmiechając się do mnie i wydłużając końcowe „ććć”.

– Hej – odwzajemniłam uśmiech. – Co tam?

Zerknął za mnie, zobaczył Dawn w koszulce z napisem „Kapitan Pizza – MOROWY pomysł!” i ucieszył się:

– Zamówiliśmy pizzę?

– Nie. – Dawn zerknęła na swój T-shirt. – Nie jestem w pracy. Mam na imię Dawn.

– Matthew Collins – przedstawił się. – Matthew przez dwa „t” i Collins przez dwa „l”. Ale mów mi Collins. Chociaż – uniósł brew – chciałbym być bezpieczną walutą jak Frank. – Przełknął ślinę i popatrzył na mnie poważnie. – Emily – powiedział głębokim, łagodnym głosem – czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? Kiedy już uratuję świat, obiecuję się tym zająć.

– Collins – Frank minął go i poszedł do kuchni, ale ja zdążyłam zauważyć rumieńce na jego policzkach. – Ten żart był nudny już w podstawówce.

– Po prostu staram się być jak frank szwajcarski – powiedział, mrugając do mnie. – Chcecie coś do picia? – spytał, idąc za Frankiem do kuchni i otwierając lodówkę. Najwyraźniej czuł się w jego domu równie swobodnie jak Sloane kiedyś w moim.

– Jasne. – Dawn dołączyła do niego w kuchni. Gdy patrzyłam, jak się do niego zbliża, żałowałam, że nie mam jak ostrzec jej przed Collinsem, powiedzieć, że za jakieś pięć minut zacznie ją podrywać. Ku mojemu zdziwieniu jednak odsunął się spokojnie, tak by mogła przyjrzeć się zawartości lodówki i nie spytał, czy bolało, kiedy spadała z nieba.

– Emily? – zawołał Frank, a ja zorientowałam się, że zostałam sama przy drzwiach.

– Już idę – odparłam szybko, dołączając do grupki w kuchni. Wszyscy stali wokół wyspy na środku, która wyglądała, jakby zrobiona była z granitu lub łupka – w każdym razie z jakiegoś ciemnego minerału. Na blacie leżała paczka nachosów. Collins otworzył ją, a Frank wyciągnął z lodówki butelkę wody i podał ją Dawn.

– No więc – powiedział Collins, zacierając ręce – myślałem o twojej liście.

Patrzyłam na niego skonfundowana. Potem przeniosłam spojrzenie na Franka. Lista niby nie była tajemnicą, ale nieco zaskoczyło mnie, że opowiedział o niej koledze.

– No co? – spytał Collins, zauważając moje zdziwienie. – Porter bez przerwy o niej gada. Postanowiłem pomóc.

– Co to za lista? – spytała Dawn.

– Lista od Sloane – odparł Collins, jakby był zaangażowany w sprawę od samego początku.

– Kim jest Sloane?

– Sloane to moja najlepsza przyjaciółka – wyjaśniłam.

– Ta, która pojechała do Paryża? – spytała, a ja pokiwałam szybko głową, czując na sobie wzrok Franka.

– W każdym razie – ciągnął Collins – znalazłem rozwiązanie, więc...

– Którego punktu? – spytałam zaciekawiona, na co mógł wpaść Collins.

– Właśnie, Matthew. – Głos Franka był spokojny, ale dało się w nim wyczuć nutę irytacji. – Którego punktu?

– Hej.

Odwróciłam się, zaskoczona, i zobaczyłam za sobą faceta, który zbliżał się do mnie od strony telewizora. Nie zauważyłam, że ktoś jeszcze jest w domu i nagle przestraszyłam się, że ten nieznajomy podsłuchał naszą rozmowę o liście Sloane. Miał krótkie, jasne włosy i koszulkę z napisem „Briarville Varsity Soccer”. Briarville było szkołą z internatem, położoną godzinę drogi od Stanwich, a chociaż o niej słyszałam, nigdy nie poznałam nikogo, kto by do niej chodził.

– Doskonale – powiedział Collins, klaszcząc w dłonie. – Możemy zacząć.

Zmarszczyłam czoło.

– Co zaczy... – zaczęłam, ale Collins mi przerwał.

– Chcesz coś do picia? – spytał chłopaka. – Woda? Red Bull?

– Aqua – odparł koleś, podchodząc do nas.

– Cześć – zwróciła się do niego Dawn. – Jestem Dawn.

– Hejka. Ja jestem...

– Cicho! – krzyknął Collins tak głośno, że wszyscy zamarliśmy i spojrzeliśmy na niego. – Co ci mówiłem? – Chłopak uniósł tylko brwi, a Collins uśmiechnął się do mnie i teatralnym

gestem wskazał na niego. – On pomoże ci zrealizować pierwszy punkt z twojej listy. Baw się dobrze.

Przypomniałam sobie listę, punkt numer jeden, czyli...

Wzięłam gwałtowny wdech. Podejrzywałam, że zrobiłam się cała czerwona.

„Pocałuj nieznajomego”.

– Czekaj – zawołałam do chłopaka. Nie był brzydki ani nic w tym stylu, ale to jeszcze nie oznaczało, że chciałam go pocałować. Zwłaszcza na oczach Collinsa, Dawn i Franka.

Collins uśmiechnął się do mnie szeroko i jeszcze raz puścił do mnie oko.

– Nie ma za co – powiedział.

– Czekaj – powtórzył Frank, który najpierw spojrzał na mnie, potem na chłopaka i wreszcie, wyraźnie zirytowany na Collinsa. – Matt, od początku mówiłem, żebyś tego nie robił. Ale ty oczywiście nie posłuchałeś i teraz przyprowadziłeś tu jakiegoś przypadkowego gościa...

– Hej! – Koleś wydał się nieco urażony.

– Co tu się dzieje? – Dawn wyszeptała głośno do Franka.

– Nie – powiedziałam, robiąc krok w tył. Potem, zmartwiona, że obraziłam chłopaka, zaczęłam się tłumaczyć: – Przepraszam. Bez urazy. Ja po prostu nie... To znaczy... – Zabrakło mi słów. Wzięłam z miski nachosa, głównie po to, żeby mieć co zrobić z rękami.

– No co? – spytał Collins. – To idealna sytuacja. Ty nie znasz jego ani on ciebie. Po prostu to zróbcie. – Uniósł brwi. – No już.

– Collins – Frank nie odrywał ode mnie wzorku – jeśli Emily nie chce...

– Czego nie chce? – spytała Dawn, chrupiąc kolejnego chipsa. Wyglądała na kompletnie zagubioną, ale też rozbawioną, jakby spóźniła się na ekscytujący film.

– Pocałować go – odparł Collins. Dawn zdziwiła się nieco, ale zaraz uśmiechnęła się i niezbyt subtelnie uniosła kciuk do góry. – Na liście, którą wysłała przyjaciółka Emily, pierwszy punkt to „pocałuj nieznajomego”, więc...

– Nie – powtórzyłam zdecydowanie, unosząc ręce. Nie było powodu, by dalej o tym rozmawiać, bo nie miałam zamiaru tego zrobić. W żadnym wypadku. – Przepraszam. Dzięki za pomoc, ale nie będę całować jakichś przypadkowych...

– Wiesz co – chłopak odstawił wodę, mocno już rozdrażniony – mam na imię...

– Cicho! – zawołali do niego chórem Collins i Dawn.

– Nie – powiedziałam raz jeszcze, mocno potrząsając głową. – Nawet go nie znam i...

– Ale czy nie o to właśnie chodzi? – spytała Dawn. Zwróciła się do mnie: – Rozumiem, że ten punkt nie brzmiał „pocałuj kogoś, kogo już znasz”?

Collins uniósł brew. Miałam już coś odpowiedzieć, ale nie wiedziałam co. To była prawda. Był to też jeden z powodów, dla których obawiałam się, że nigdy nie wypełnię wszystkich punktów z listy. A teraz obcy chłopak stał przede mną, gotowy do pocałunku. Przypomniałam sobie, jak poczułam się, kiedy nie przytuliłam Jamie Roarke, jak bardzo byłam zła na siebie, że stchórzyłam i nie wsiadłam na konia. Musiałam zabrać się za listę, jeśli naprawdę chciałam dowiedzieć się, gdzie jest Sloane. Czy trafi mi się kolejna szansa, by pocałować nieznajomego?

– Dobrze – powiedziałam, zanim zdałam sobie sprawę, że podjęłam decyzję. Frank spojrział na mnie ostro, jakby był bardzo zdziwiony, ale zaraz opuścił wzrok na butelkę z wodą, nagle bardzo zainteresowany składem minerałów.

– OK. – Chłopak wzruszył ramionami. Zrobił krok w moją stronę, a ja bezmyślnie ścisnęłam w dłoni nachosa i rozkruszyłam go głośno.

– Yyy – powiedziałam, upuszczając okruszki na ladę i zbierając je dłonią. – Może poszlibyśmy w jakieś nieco mniej... publiczne miejsce?

– Tam jest spizarnia. – Collins wskazał wąski korytarz za lodówką.

– OK – pokiwałam głową, głównie po to, żeby przekonać samą siebie. Czy naprawdę zamierzałam to zrobić? Czy faktycznie

sama się zgłosiłam? – Chodźmy.

– Możecie wyjść na zewnątrz! – zawołał Frank, kiedy zmusiłam się, żeby przejść przez kuchnię. Nogi miałam jak z waty i starałam się nie patrzeć na Dawn, która uśmiechała się, cała podniecona. – Tam jest dosyć ciasno.

– Przecież to dobrze, Porter – usłyszałam słowa Collinsa, ale nie odwróciłam się, skupiając na tym, by po prostu iść do przodu.

Frank miał rację: spiżarnia nie była zbyt duża. Światło włączyło się automatycznie, kiedy otworzyłam drzwi. Zobaczyłam dwa schodki, wszędzie wokół półki z jedzeniem, a pośrodku miejsce dla dwóch osób. I tyle.

Zmuszałam się, by stawiać jedną stopę przed drugą i stanąć pośrodku pomieszczenia. Otaczały mnie delikatny zapach przypraw, pudełka makaronu i ryżu, paczki z mąką i cukrem.

Chłopak przyszedł za mną, zamknął za sobą drzwi i stanął naprzeciwko. W otwartej kuchni nie zdawałam sobie sprawy, jaki jest wielki, teraz jednak, w maleńkiej przestrzeni, wyraźnie rzuciło mi się to w oczy. Miał szerokie ramiona i duże dłonie, a pomieszczenie wydało mi się nagle jeszcze ciaśniejsze. Serce mocno waliło mi w piersi, ale próbowałam zmusić się do uśmiechu, jakby była to całkiem normalna sytuacja, jakbym miała w zwyczaju całowanie obcych ludzi w spiżarniach.

Spojrzałam na niego i moje serce zaczęło bić jeszcze mocniej. Próbowałam wmówić sobie, że dam radę. Czułam, że po tym, jak nie pocałowałam Franka ledwie godzinę wcześniej, dostałam teraz drugą szansę na odnalezienie w sobie odwagi. Próbowałam wmówić sobie, że to jak pocałunek na scenie, tylko bez publiczności.

– Gotowa? – spytał chłopak. Nie wydawał się zestresowany sytuacją, a ja szukałam w tym pocieszenia. Skoro dla niego nie było to nic szczególnego, może i ja nie powinnam się zbytnio przejmować. Przełknęłam ślinę, oblizałam wargi i zrobiłam mały kroczek w jego stronę – dużego i tak nie dało się zrobić w tej przestrzeni.

Uśmiechnął się do mnie leniwie i położył mi dłoń na

ramieniu. Kiedy się nade mną pochylił, zgasły światła.

Instynktownie zrobiłam krok w tył, wpadłam na półkę i usłyszałam, jak coś spada na ziemię. Nie pomyślałam, że światła są na liczniku, chociaż miało to sens, skoro włączały się automatycznie.

– Przepraszam – powiedziałam. – Hmm... – Było naprawdę ciemno. Żadnych okien, żadnego źródła światła. Nie widziałam własnej ręki, a tym bardziej chłopaka.

– W porządku – powiedział gdzieś w ciemności. Zrobiłam ostrożny krok naprzód i zderzyłam się z nim. Wyciągnęłam rękę przed siebie i uderzyłam go w pierś. Nagle pomyślałam, że tak, nie widząc go, może być mi łatwiej. – Wszystko OK? – spytał.

Pokiwałam głową, ale zaraz zrozumiałam, jak kretyński był to pomysł w całkiem czarnym pomieszczeniu.

– Tak – wyszeptałam, wzięłam wdech i wypuściłam powietrze, kiedy jego nos trącił mój. – Sorry – powiedziałam, muskając dłonią jego twarz. – Ja... – Nie zdążyłam powiedzieć nic więcej, bo już po chwili jego wargi dotknęły moich.

Trwaliśmy tak przez kilka sekund. Uznałam, że kryteria Sloane zostały spełnione, ale wtedy chłopak zrobił krok w moją stronę, objął mnie rękami w pasie i zaczął całować na całego.

W normalnych okolicznościach nie odwzajemniłabym tego gestu. Minęły jednak dwa miesiące, odkąd ktoś mnie całował, a w ciemności spizarni fakt, że nie znałam jego imienia i nie sądziłam, by on znał moje, przestawał mieć znaczenie. Poza tym chłopak bardzo dobrze całował, a to tylko ułatwiało sprawę. Po chwili więc i ja całowałam jego, z bijącym mocno sercem i zaciśniętym gardłem. On najpierw przeczesywał palcami moje włosy. Dopiero, kiedy przeniósł ręce w okolice mojego sportowego stanika, zbudziłam się z transu i gwałtownie wróciłam do rzeczywistości.

Wyrwałam mu się z rąk i zrobiłam krok w tył, opuszczając koszulkę i wchodząc na schodki.

– No dobra – powiedziałam, szukając drogi w ciemności. Macałam ścianę, póki nie znalazłam włącznika, a gdy zapaliłam światło, oboje zmrużyliśmy oczy, tak jasno się zrobiło. Dziwnie

było też zobaczyć go nagle w całości, nie tylko czuć jego wargi i dłonie. Wygładziłam włosy i otworzyłam drzwi spiżarni. Chłopak poszedł za mną. – No to... – zaczęłam, kiedy oboje znaleźliśmy się w korytarzu, ale zanim jeszcze dołączyliśmy do pozostałych. Nie byłam zawstydzona, czułam się raczej, jakbym miała za sobą jakieś nadprzyrodzone doświadczenie, które nie do końca rozumiem. – Hmm. Dzięki?

– Spoko. – Chłopak uśmiechnął się lekko. – Fajnie było.

Pokiwałam głową i pospieszyłam do kuchni. Frank opierał się o blat i pisał coś na klawiaturze, a Dawn i Collins siedzieli w kąciku śniadaniowym. Ona śmiała się z jakiegoś jego żartu.

– Hej – zawołał Collins na nasz widok. – Udało się?

Zignorowałam pytanie i zwróciłam się do Franka, starając się nie patrzeć mu w oczy.

– Mogę wziąć wodę?

– Jasne – odparł, nie unosząc wzroku. Podejrzewałam, że pisze do Lissy. – Bierz.

Otworzyłam lodówkę, chwyciłam butelkę. Zamykając drzwiczki, napotkałam spojrzenie Dawn. Uniosła brwi, a ja pokiwałam głową. Wtedy obdarzyła mnie szerokim uśmiechem. Nie chcąc patrzeć ani na Collinsa, ani na obcego chłopaka, ani na piszącego SMS-y Franka, skupiłam się na drzwiach lodówki. W odróżnieniu od reszty domu, kartki i magnesy na nich nie wydawały się uważnie wybrane i zaaranżowane. Drzwi wyglądały jak te w naszym domu – miks przeterminowanych kuponów, zaproszeń i przypomnień. Na dole lodówki zauważyłam przekrzywione zaproszenie na doroczną galę Stowarzyszenia Architektów w Stanwich. „Na cześć Carol i Steve’a Porterów” – głosił napis. Dalej widniała data, oddalona o jakiś miesiąc. Choć nie była to moja sprawa, pochyliłam się, żeby sprawdzić, gdzie gala miała się odbyć – dół zaproszenia zakryty był jakimś kolorowym kalendarzykiem. Wtedy w kuchni rozbrzmiała indie-popowa piosenka. Odwróciłam się na jej dźwięk i zobaczyłam, jak chłopak odbiera telefon.

– Siema – powiedział do słuchawki. – Tak, właśnie kończę.

Jestem z Matthew. – Po chwili ciszy pokiwał głową. – OK. Do zobaczenia za dwadzieścia minut. – Schował telefon do kieszeni i powiedział: – Muszę lecieć. Noc jeszcze młoda.

– Do zobaczenia, Benji – powiedział Collins, który wstał i po koleżeńsku grzmotnął chłopaka w ramię. Zamrugałam, próbując dopasować imię do człowieka. Czy właśnie pocałowałam chłopaka o imieniu Benji?

– Ben – doprecyzował on, rzucając Collinsowi gniewne spojrzenie. – Nikt już mnie tak nie nazywa.

– Ja nazywam – odparł Collins wesoło. – Dzięki, że wpadłeś. Do zobaczenia w niedzielę.

– Taak. Do zobaczenia. – Chłopak zrobił krok w moją stronę i pochylił się. Ja cofnęłam się, zastanawiając się przez chwilę, czy chce pocałować mnie na do widzenia. Zamiast tego zapytał jednak cicho, choć – jak mi się wydawało – wystarczająco głośno, by wszyscy go usłyszeli. – Dasz mi swój numer?

– Och – jęknęłam, zaskoczona. Zerknęłam na Franka, który przyglądał mi się z drugiej strony kuchni, i na Dawn, której spojrzenie mówiło „dajesz”. – Dzięki, ale wiesz... mam taki wakacyjny projekt, nad którym pracuję, i... – Pokiwał głową, wycofując się. – Nie to, żeby mi się nie podobało, bo było bardzo fajnie – dodałam szybko. – To znaczy...

Znów uśmiechnął się do mnie leniwie.

– Daj Mattowi znać, jeśli zmienisz zdanie – powiedział. – On ma na mnie namiar. – To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i wyszedł, machając nam na pożegnanie.

– Słuchaj – zwróciłam się do Collinsa, kiedy usłyszałam zatraskujące się drzwi i wiedziałam, że Benji już nie usłyszy – skąd go znasz? – Przypomniałam sobie koszulkę z Briarville i ucieszyłam się, że nie będę go oglądać w przyszłym roku na szkolnych korytarzach.

– Benjiego? – spytał Collins, sięgając po chipsy. – To mój kuzyn.

Przytaknęłam, jakby bardzo mi odpowiadało, że całowałam się właśnie z krewnym Collinsa, ale kręciło mi się w głowie.

Collins chwycił kolejną garść chipsów i wrócił do kącika śniadaniowego. Wzięłam łyk wody i zauważyłam, że zostaliśmy z Frankiem sami i że on uważnie mi się przygląda.

– Przepraszam, że powiedziałem Collinsowi o liście.

– W porządku. – Wzruszyłam ramionami. Byłam naprawdę zadowolona, ale uznałam, że nie chcę mu tego mówić. – Teraz mogę wykreślić kolejny punkt, więc...

Frank popatrzył na mnie, a potem znów na swój telefon.

– Jasne – powiedział. – Pewnie. – Znów zaczął pisać, nie podnosząc na mnie wzroku, po chwili wzięłam więc swoją wodę i dołączyłam do Dawn i Collinsa, chociaż pożałowałam tego, ledwie Collins uniósł brwi i mrugnął do mnie.

– No i co? – spytał. – Widzę świetlaną przyszłość dla waszej dwójki.

– Nie – odparłam, popijając wodę. – Bez urazy, ale... nie.

– To zaskakujące – zauważył Collins – bo spędziliście tam bardzo dużo czasu.

Kaszlnęłam, omal się nie opluwając.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odparł.

Znów się napiłam i pokręciłam głową.

– Och. Cóż. Hmm... – Wciąż uśmiechał się szeroko. – Och, zamknij się – wymamrotałam, zaskakując siebie samą i, najwyraźniej, także Collinsa. Dawn wybuchła śmiechem.

Później, w drodze do domu – po tym, jak Dawn wyszła, a chłopcy zaczęli grać w *Honor Quest* – grę wideo, która w ogóle mnie nie interesowała, choć Beckett wciąż namawiał mnie, żebym z nim zagrała – odkryłam, że nie mogę przestać się uśmiechać. Noc była ciepła i wilgotna, świetliki migają w trawie, a cykady wydawały głośne dźwięki. Wciąż myślałam o tym, co się właśnie stało.

Stałam przed tłumem ludzi i zagrałam w sztuce, a wszystko poszło dobrze. Nie wydarzyło się nic strasznego i udało mi się przetrwać. A co więcej, pocałowałam nieznajomego. Serce zaczęło mi mocniej bić, gdy powróciłam myślami do spizarni, do

dłoni Benjiego między moimi włosami. Całowałam się dzisiaj z chłopakiem, choć zupełnie się tego nie spodziewałam. Nie to, żebym zamierzała teraz regularnie całować się z krewnymi Collinsa w ciemnych spiżarniach, przez chwilę jednak poczułam się odważna.

Uniosłam głowę, by spojrzeć na gwiazdy. Wreszcie zaczynałam rozumieć, czemu Sloane przesłała mi listę.

ŚPIJ POD GWIAZDAMI

Dzwonek nad drzwiami zabrzączał, a ja podniosłam się sponad skrzynki z lodami, którą czyściłam, gotowa, by przywitać klienta Rajskich Lodów. Okazało się, że to tylko Dawn.

– Hej – powiedziałam. – Co tam?

– Wszystko OK – odparła, pochylając się nad ladą i mówiąc szybko. – Musimy porozmawiać o tym, że spędziłaś pół godziny w spiżarni, całując się z tamtym chłopakiem, następnie trzeba omówić kwestię Matthew, bo uważam, że jest super, a poza tym mam coś dla ciebie.

– To nie trwało pół godziny! – zaprotestowałam, ale Dawn uniosła tylko brwi, a ja poczułam, że się uśmiecham.

– Szczegóły! – zażądała, siadając na jednym z wiecznie pustych, metalowych krzeseł. Zauważyłam, że dzisiaj na jej koszulce widniał napis: „Kapitan Pizza – pizza NIESZEREGOWA”.

– OK – powiedziałam, wychodząc zza lady. Zdałam sobie sprawę, że nim będziemy mogły poplotkować o moich pocałunkach, będę musiała powiedzieć jej prawdę. – No więc... kojarzysz Sloane, moją najlepszą przyjaciółkę? Tę, która wysłała mi listę? – Dawn pokiwała głową. – Ona wcale nie pojechała do Europy. Nie wiem, gdzie jest. Zniknęła, pozostawiając mi tylko listę.

Dawn patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś?

– Nie wiem – odparłam szczerze, wpatrując się w czarno-białą podłogę. – Po prostu... – Wzruszyłam ramionami. Nie chciałam przyznać, że nie miałam pojęcia, gdzie podziewa się moja najlepsza przyjaciółka. Teraz wiedziałam już, że Dawn nie zamierza mnie osądzać, ale wcześniej nie mogłam być tego pewna.

– Czekaj chwilę – Dawn pochyliła się naprzód. – To dlatego chciałaś rozwozić ze mną pizzę? Żeby wykreślić z listy „przytul

jakiegoś Jamiego”? – Pokiwałam głową, odgadując, że kiedy ja całowałam się z Benjim w spizarni, Collins najwyraźniej opowiedział jej o kolejnych punktach listy. – Cóż, cieszę się, że ci się nie udało – powiedziała, szeroko otwierając oczy. – Pies Jamie Roarke jest szalony. Dostałby szału, gdybyś spróbowała. – Zaczęła grzebać w swojej torbie, wyciągnęła z niej ciemne okulary i położyła je na ladzie przede mną.

– Co to jest? – spytałam. Przyglądając się bliżej, zauważyłam, że już je kiedyś widziałam na nosie Bryana. – Dawn... o co...?

– Numer cztery na liście – powiedziała – uśmiechając się szeroko. – Chcesz coś zniszczyć?

MUZYKA LEPSZA DO BIEGANIA NIŻ WYSTĘPY KOMIKÓW

Make Me Lose Control

Eric Carmen

Let My Love Open the Door

Pete Townshend

Jolene

Dolly Parton

Springsteen

Eric Church

Badlands

Bruce Springsteen

Compass

Lady Antebellum

When You Were Mine

Cyndi Lauper

Let's Not Let It

Randy Houser

Sunny and 75

Joe Nichols

And We Danced

The Hooters

Don't Ya

Brett Eldredge

Anywhere With You

Jake Owen

867-5309 / Jenny

Tommy Tutone

Nashville

David Mead

Kiss On My List

Hall & Oates

Here We Go Again

Justin Townes Earle

We Were Us

Keith Urban & Miranda Lambert

Where I Come From

Montgomery Gentry

Delta Dawn

Tanya Tucker

Things Orange

Tim McGraw

Mendocino County

Willie Nelson feat. Lee Ann Wormack

The Longest Time

Billy Joel

Lato nabierało kształtu. Miałam swoją pozbawioną klientów pracę, miałam poranne lub popołudniowe biegi z Frankiem i miałam listę. Było już jasne, że nie pozostawałam z nią sama: pomagali mi przyjaciele.

– Chcesz iść na galę? – spytał Frank, podając mi kartkę przez blat kuchennej wyspy.

Towarzyszyłam Dawn w rozwożeniu pizzy, kiedy Frank zadzwonił i zaprosił nas do siebie, wylądowaliśmy więc w jego domu w czwórkę. Dawn poszła z Collinsem na plażę, a my zostaliśmy poproszeni o przyniesienie przekąsek. Popatrzyłam na niego zza sterty napojów gazowanych, butelek wody, lodów i puszek energetyka, który Collins uwielbiał, a który, jak sądziłam, miał zostać niedługo zakazany przez Agencję Żywności i Leków.

Zerknęłam na kartkę i rozpoznałam zaproszenie na galę, które widziałam w jego domu tego dnia, kiedy całowałam się z Benjim. Zanim przeczytałam, gdzie się ona odbywa, zawiesił je z powrotem na lodówce.

– Na cześć moich rodziców – powiedział. – Collins też będzie, ale przyda mi się więcej przyjaciół, skoro starzy będą musieli spędzić cały wieczór w jednej sali, udając, że się nie nienawidzą.

– Gala, tak? – powiedziałam, odstawiając butelki.

– W ten sposób będziemy mogli wykreślić punkt numer osiem.

Uśmiechnęłam się – to właśnie była moja pierwsza myśl. Od miesiąca nie myślałam nawet o sukience, więc może teraz przyszła właściwa chwila.

– Z przyjemnością.

– To ostatni dzień lipca – powiedział, spoglądając na mnie poważnie. – Czy musisz zajrzeć do kalendarza?

Roześmiałam się. Zabrałam ze sobą napoje i wyszłam na zewnątrz.

Następnego dnia wybrałam się do sklepu „Do dwóch razy sztuka”. Mrugałam w półmroku kontrastującym z oślepiającym

blaskiem na zewnątrz. Wiele razy byłam w tym komisie ze Sloane, ale nigdy sama. Może po prostu bliżej się mu teraz przyjrzałam, ale sklepik wydał mi się mniejszy i nieco bardziej zaniedbany.

– Dzień dobry – Barbara, właścicielka, wyłoniła się z zaplecza z przyklejonym uśmiechem, którym obdarzała mnie za każdym razem. – Witam w „Do dwóch razy sztuka”. Czy to twoja pierwsza wizyta?

Przełknęłam ślinę i zmusiłam się do uśmiechu. Zdziwiłam się, że mnie nie pamięta, choć byłam tu przynajmniej z tuzin razy.

– Nie – odparłam, podchodząc już do miejsca, w którym ostatnio widziałam sukienkę.

Nawet przez chwilę nie zastanawiałam się, o jaką sukienkę chodziło Sloane. Pewnego popołudnia przymierzyłam ją dla zabawy, kiedy Sloane postanowiła włożyć na siebie dwa razy każdą spódnicę, jaką zobaczyła. Zrobiłam to tylko dla żartu: nie potrzebowałam przecież wieczorowych sukni.

Ledwie ją jednak włożyłam, poczułam, że nie chcę jej zdjąć. Była czarna i długa do ziemi, ze zdobionym na złoto, zabudowanym dekoltem i wycięciem na plecach. Z pewnością nigdy nie miałam na sobie nic równie wyrafinowanego i czułam się w niej inaczej, jakbym nagle stała się osobą, która ma wiele okazji, by włożyć taką sukienkę i przeżywa w niej wiele przygód.

Sloane omal nie oszalała, kiedy mnie w niej zobaczyła, i nalegała, żebym natychmiast ją kupiła. Ona zrobiłaby to na pewno. Próbowwała nawet sama mi ją kupić, więc musiałam nieomal wyrywać ją z jej rąk. Prawda była bowiem taka, że suknia była zbyt elegancka, za droga i nie miałabym gdzie jej włożyć.

Aż do teraz.

– Szukam takiej czarnej sukienki – zwróciłam się do Barbary. Zaczynałam panikować, bo nie dostrzegłam jej w miejscu, w którym wcześniej wisiała. – Wydaje mi się, że już ją tu widziałam, miała wycięcie na plecach...

Barbara patrzyła na mnie przez chwilę bez zrozumienia, ale wreszcie sobie przypomniała.

– Ach, rzeczywiście – powiedziała. – Chyba przeniosłam ją

na wieszak z przecenami. Chciałabyś ją przymierzyć?

– Nie – odparłam, zdejmując ją z wieszaka i podając bardzo zdziwionej Barbarze. – Wezmę ją.

Zaliczanie kolejnych punktów listy najwyraźniej czyniło mnie odważniejszą także w innych sferach życia – dlatego też siedziałam teraz w fotelu naprzeciwko kuzynki Dawn, Stephanie, w salonie „Widoczne zmiany”, w którym była na stażu.

– Jesteś pewna? – spytała Dawn, która siedziała w fotelu obok.

Wytarłam kilka kropelek z czoła, myśląc o tym, jak wyglądałam przez ostatnich kilka lat. Chwyciłam długi kosmyk, który opadał mi na plecy i wypuściłam go.

– Każdy może mieć długie włosy – uśmiechnęłam się do Stephanie. – Zróbmy to.

Godzinę później wyszłam z salonu z zaczesaną na bok grzywką i warstwami wycieniowanych włosów na ramionach. Czulałam się jak ktoś inny, ale w najlepszy możliwy sposób: jakbym poznała kogoś nowego, o czym istnieniu nawet nie wiedziałam.

POSPIESZ SIĘ, PORTER! (JESZCZE WIĘCEJ PIOSENEK O CIĘŻARÓWKACH)

Somethin' 'Bout a Truck

Kip Moore

Before He Cheats

Carrie Underwood

That Ain't My Truck

Rhett Akins

Cruise

Florida Georgia Line

Runnin' Outta Moonlight

Randy Houser

That's My Kind of Night

Luke Bryan

Dirt Road Anthem

Jason Aldean

Mud on the Tires

Brad Paisley

Drive

Alan Jackson

Papa Was a Good Man

Charlie Rich

Tim McGraw

Taylor Swift

Highway Don't Care

Tim McGraw

Barefoot Blue Jean Night

Jake Owen

Dirt Road Diary

Luke Bryan

You Lie

The Band Perry

Take a Little Ride

Jason Aldean

– W dobrze zorganizowanym wszechświecie – zwróciłam się do Franka – nie byłoby tajemnic.

Spojrzał na mnie. Byliśmy w trakcie naszego popołudniowego biegu, tym razem zaplanowaliśmy siedem mil. Zauważył moją nową fryzurę, kiedy tylko wyłoniłam się z domu. Zaskoczyło mnie to, bo, no cóż, po pierwsze, był chłopakiem, a po drugie, włosy miałam związane w kucyk, więc zmiana nie była oczywista. Powiedział mi jednak, że mu się podoba, a to więcej, niż mogę powiedzieć o rodzicach, którzy dotąd niczego nie dostrzegli.

– O czym mówisz? – spytał. – O Sloane?

– Taaak – pokiwałam głową. – Wszystko po prostu byłoby wiadome. Pytania by zniknęły.

Biegliśmy chwilę w milczeniu.

– Lissa by się z tobą nie zgodziła – powiedział. – Bardzo wkręciła się w filozofię w zeszłym roku. Pewnie powiedziałyby teraz coś w stylu „wiem, że nic nie wiem”.

Zerknęłam na niego. Rzadko wspominał o Lissie, zwracałam więc na to uwagę za każdym razem.

– Dobrze się bawi w Princeton?

Pokiwał głową, ale zaraz dodał:

– To znaczy... tak mi się wydaje. Byliśmy tam razem już wcześniej, więc to nie jest dla niej nowe doświadczenie. No i nie chodzi o dobrą zabawę. Ale mówi, że kursy są świetne, bardzo intensywne. – Znów biegliśmy w ciszy i podejrzewałam, że zmienimy temat, ale on dodał: – Pewnie częściej byśmy się widywali, gdyby nie to, że nie pozostawiają tam zbyt wiele czasu na życie towarzyskie.

– Jasne – odparłam, zastanawiając się, czemu czuje potrzebę, żeby się usprawiedliwić.

– No i przyjeżdża na moje urodziny.

– Tak? Kiedy?

– Dziewiętnastego lipca – powiedział. Spojrzał na mnie i uniósł brwi. – A co? Kupisz mi jakiś prezent?

– Nie – wzruszyłam ramionami i przyspieszyłam. – Ale pomyślałam, że może tego dnia wreszcie mnie prześcigniesz. – Skreśliłam w stronę Longview, gdzie znajdowało się wzgórze, które mogło okazać się mordercze w drodze pod górkę, odnosiłam jednak wrażenie, że nasze biegi stały się ostatnio zbyt płaskie.

– Gdzie my biegniemy? – spytał Frank. Usłyszałam w jego głosie niepokój, który przypisywałam temu, że właśnie dostrzegł wzgórze. – Em?

– No chodź – powiedziałam. Byłam w pełni świadoma, że zaraz zabraknie mi oddechu, więc włożyłam słuchawki w uszy i włączyłam iPod'a Franka. Przejrzałam listę zespołów: byłam pewna, że on nawet ich nie lubi i ułożył ją, żeby sobie ze mnie żartować.

Z wysiłkiem wbiegałam na wzgórze. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Franka. Zauważyłam, że patrzy prosto przed siebie, pewnie skoncentrowany na biegu. Ledwie wspięliśmy się na szczyt wzgórza, dostrzegłam stojący przed budynkiem znak. Na tabliczce widniał napis „Projekt: Porter&Porter”, taki sam jak ten, który

widziałam przed domem Franka. Rezydencja była przepiękna, w podobnym stylu, ale na większą skalę. Od frontu znajdował się wypielegnowany ogród, na końcu podjazdu stała czerwona skrzynka na listy, ale sam podjazd był pusty zrobiłam więc krok naprzód.

– Hej – zawołałam do Franka, który biegł teraz w miejscu, wciąż ze słuchawkami w uszach. – To jeden z domów twoich rodziców.

– Wiem – odparł sucho, wskazując ręką drogę. – Chodź.

– Ale super – powiedziałam, podchodząc jeszcze jeden krok. W tym momencie zauważyłam coś: na trawniku stała tabliczka agencji nieruchomości. „Na sprzedaż” – przeczytałam, i dalej: „niższa cena!”.

– Emily – zawołał Frank, a ja odwróciłam się, dołączyłam do niego i zaczęłam biec.

– Przepraszam – powiedziałam, kiedy znaleźliśmy się u stóp wzgórza po drugiej stronie. Nie byłam pewna, za co właściwie przepraszam, ale wydało mi się, że powinnam to powiedzieć.

– Nic nie szkodzi – odparł Frank. – Po prostu staram się unikać tego miejsca, w miarę możliwości. – Przez chwilę szliśmy przed siebie w milczeniu. Wydało mi się, że Frank ma jeszcze coś do powiedzenia i zastanawia się, jak ubrać to w słowa. – Nienawidzę tego domu – wydusił z siebie wreszcie. – Właściwie to przez niego skończyło się małżeństwo moich rodziców.

– Co się stało? – spytałam po chwili.

– To dom pokazowy. Zbudowali go za własne pieniądze, zaprojektowali w całości: miał być niczym klejnot w koronie. – Sposób, w jaki wypowiedział ostatnie słowa, podpowiadał mi, że wielokrotnie słyszał to wyrażenie, że nie on je wymyślił. – Ale już na samym początku zaczęli się kłócić. Czy ich stać, czy warto, czy to wszystko dobry pomysł? Zaczęli się kłócić o projekt, o pomysł, o wszystko. Okazało się, że świetnie im się razem pracuje, kiedy rządzi nimi ktoś inny. Bo gdy zostali sami... – urwał. – Bez przerwy się kłócili – dokończył cicho, a ja zdałam sobie sprawę, co musiał przechodzić, kiedy to wszystko się działo i że wtedy, kiedy

widywałam go w szkole, zachowywał się tak, jakby wszystko w jego życiu układało się idealnie.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam.

Frank wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko.

– Dzięki. W każdym razie jest gotowy. Pusty w środku, ale gotowy. Tyle że teraz nikt nie chce go kupić. – Pomyślałam znów o domu, o wesołej, czerwonej skrzynce na listy, która nagle wydała mi się smutna. – Wciąż obniżają cenę, mimo to nikt nawet nie złożył oferty. To dość kiepska sytuacja.

Szliśmy przed siebie w milczeniu, potem Frank przyspieszył i zaczął biec. Ja towarzyszyłam mu, nawet gdy pędził tak, że znaleźliśmy się na skraju naszych możliwości. Rozumiałam, że czasami po prostu musisz biec.

Czwarty lipca wypadł w środę. Szczęśliwie tak się złożyło, że żadne z nas nie musiało pracować następnego dnia rano. Wszyscy poszliśmy do Franka, żeby oglądać na plaży fajerwerki, eksplodujące kaskadami błyszczących iskierek. Dotąd wieczorem mieliśmy zawsze tę plażę tylko dla siebie, dziwnie więc było zobaczyć innych ludzi przed ich domami, jak siedzą na plażowych ręcznikach i kocach, przyglądając się jasnym światełkom na niebie.

Tydzień wcześniej Collins postanowił nauczyć się grać na ukulele. Postanowił nazywać je „uke” i utrzymywał, że „panienki uwielbiają jego uke”. Ku mojemu zdziwieniu faktycznie nauczył się paru dźwięków, a kiedy grał cicho, niemal dało się odgadnąć, jaka to piosenka. Oparłam się na rękach i rozejrzałam wokół, na Collinsa pochylonego nad swoim małym instrumentem, na Dawn leżącą obok niego z przymkniętymi oczami. Frank unosił głowę do nieba, a ja, zamiast na fajerwerki, patrzyłam na jego twarz oświetloną to na czerwono, to na niebiesko, to na pomarańczowo.

Spojrzałam na niebo, nim zauważyłam, że mu się przyglądam, i poczułam spokój. Przypomniałam sobie, jak rok wcześniej poszłam ze Sloane na imprezę. Ona została na nią zaproszona, ale

ja nie, więc spędziłam cały wieczór, podejrzewając, że przeszkadzam, że znalazłam się w niewłaściwym miejscu. Teraz się tak nie czułam. I choć oddałabym wszystko, by Sloane była ze mną, nie zmieniało to faktu, że dobrze się bawiłam. Patrząc, jak Collins wygrywa ostatni dźwięk, jak Dawn obdarza go oklaskami, jak iskry rzucają błękitne światło na twarz Franka, zobaczyłam siebie samą pomiędzy nimi i pomyślałam, że tak jest lepiej. Choć w zeszłym roku była ze mną Sloane, to właśnie teraz czułam się na swoim miejscu.

Kilka godzin później wjechałam na nasz podjazd i mocno nacisnęłam na hamulec. Moja mama siedziała na schodkach z kubkiem w dłoni. Spojrzałam na zegarek, choć nie miało to najmniejszego sensu, a potem na ekran swojego telefonu. Była już prawie trzecia rano, a to oznaczało kłopoty. Przez całe wakacje unikałam rozmowy o „godzinie policyjnej” i wracałam do domu, kiedy tylko miałam ochotę, ale obawiałam się, że moje szczęście się skończyło. Nie planowałam, że zostanę u Franka tak długo, ale kiedy fajerwerki się skończyły, żadne z nas nie miało ochoty wracać do domu. Pograliśmy w Honour Quest, o północy Collins zaczął smażyć naleśniki, a potem wszyscy znów wróciliśmy na plażę.

Zaparkowałam tam gdzie zwykle, jednocześnie próbując ocenić po minie mamy, jak bardzo jest wściekła. Wysiadłam z samochodu, zabierając plażowy ręcznik w paski, który miał pomóc mi wykreślić trzeci punkt na liście. Należał do sąsiadów Franka, ale że zostawili go na pomoście po tym, jak skończyły się fajerwerki, wszyscy zaczęli namawiać mnie, żebym go zwinęła. Wiedziałam, że nie powinnam być dumna z mojego pierwszego przestępstwa, ale cieszyłam się, że przynajmniej mam to z głowy. Nie była to tabliczka dla Sloane, ale zawsze coś.

Odetchnęłam głęboko, podchodząc do mamy. Gdy się zbliżyłam, uśmiechnęła się do mnie, a ja zaczęłam przygotowywać się na najgorsze.

– Późno się zrobiło – powiedziała, popijając coś z kubka, a ja dostrzegłam nagle, że wygląda na bardzo zmęczoną.

– Chyba tak – odparłam, nie próbując udawać, że to dla mnie nowość. Na wypadek, gdyby dostrzegła, że często późno wracałam. – Też nie śpisz.

Wzruszyła ramionami.

– Cóż, wiesz, jak to jest przy drugim akcie. Poza tym mamy mały kryzys związany z twoim bratem.

– Z Beckettem? – Zbliżyłam się o krok. Miałam nadzieję, że nie spadł z niczego. – Wszystko z nim w porządku?

Pokiwała głową, ale bez przekonania.

– Chodzi o ten wyjazd na kemping. Jesteśmy w samym środku pracy, więc tata musiał mu powiedzieć, że nie da rady wyjechać w te wakacje.

Zerknęłam w górę, na okno sypialni Becketta, jakbym spodziewała się, że dzięki temu zrozumie, co czuje. Oczywiście niczego się nie dowiedziałam, ale i tak mogłam się domyślać.

– Jak to przyjął?

Mama zagryzła wargi i wbiła wzrok w kubek.

– Niezbyt dobrze. Tata powiedział mu, że mogą zawsze pojechać w przyszłym roku, ale... – jej głos urwał się, a ja poczułam nagłe współczucie dla brata. Aż zbyt dobrze wiedziałam, jak to jest, kiedy ktoś odbiera ci lato, na które czekałeś. Po chwili mama uniosła wzrok i wskazała dłonią miejsce obok siebie. – Usiądziesz ze mną na chwilę?

Wiedząc, że nie mogę odmówić jej prośbie, usiadłam obok na nielegalnie zdobytym ręczniku. Przyglądała mu się bacznie.

– To nasz?

– Tak jakby – odparłam, odsuwając go na bok. – Wzięłam go od Franka. – Ta odpowiedź była przynajmniej w miarę bliska prawdy.

– Ach – mama uśmiechnęła się – lubię Franka.

Westchnęłam. Odbyłyśmy już tę rozmowę w dzień po przedstawieniu Teatru Salonowego, ale najwyraźniej wciąż nie rozumiała.

– On ma dziewczynę, mamo.

– Ja tylko powiedziałam, że go lubię – mama uniosła brwi. –

Jest miły. Cieszę się, że znalazłaś w te wakacje nowych przyjaciół.

– Tak – odparłam, gładząc dłonią drewniany ganek, który przez te lata stał się tak gładki, że nie trzeba było martwić się o drzazgi. – Ja też. – Mama uśmiechnęła się i przeczesła moją nową grzywkę. Zobaczyłam na ręczniku wyhaftowany napis FARELLY, więc szybko złożyłam go w kostkę. – To na czym polega problem z drugim aktem? – spytałam, w nadziei, że mama nic nie zobaczyła.

– Och – mama wzięła duży łyk napoju, który, sądząc po zapachu, musiał być miętową herbatą – właśnie poróżniliśmy się z twoim tatą. On chce skupić się na rywalizacji, ale tak naprawdę Tesla i Edison byli przyjaciółmi. To się, oczywiście, zmieniło, ale obaj dali coś sobie nawzajem. A ja uważam, że nie powinniśmy o tym zapominać.

Pokiwałam głową, jakbym rozumiała, o czym mówi. Głównie jednak cieszyłam się, że nie robi mi wykładu.

– No dobrze, to ja idę do łóżka. – Wstałam, ukrywając napis FARRELLY.

Mama uśmiechnęła się do mnie i odczekała, póki nie znalazłam się przy drzwiach, by dodać:

– Em? I nie spodziewaj się, że następnym razem upiecze ci się, kiedy wrócisz o trzeciej w nocy.

– Jasne – jęknęłam. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. – Dobrze. Dobranoc, mamó.

– Dobranoc, kochanie – powiedziała mama. Wciąż siedziała w tym samym miejscu, a ja chwilę zastanawiałam się, czy do niej nie dołączyć. Ona jednak musiała przemyśleć tyle rzeczy – Edisona i Teslę, przyjaźnie i rywalizacje. Popatrzyłam więc na nią tylko jeszcze przez chwilę, odwróciłam się i weszłam do domu.

– Ale było super, Em! – Beckett uśmiechnął się do mnie szeroko z drugiej strony stołu, a ja starałam się odwzajemnić uśmiech.

Mój brat przestał się wspinać i prawie się nie odzywał, odkąd

dowiedział się o odwołanych wakacjach, zabrałam go więc do jedyne miejsce, które mogło poprawić mu humor. Umówiliśmy się z Dawn i pojechaliśmy do IndoorXtreme późno, kiedy już zamykali, by Beckett mógł mieć całą przestrzeń dla siebie. Wszedł po ścianie wspinaczkowej razem z Collinsem, a potem ścigali się z powrotem na ziemię. Dawn i Frank odbyli wielką, paintballową bitwę, a ja wylądowałam z Dougiem przy kasie. Najpierw zaprezentował mi pierwszy tom serii, którą uwielbiał, a potem zaczął opowiadać o tym, jak wpisuje się ona w popkulturowy kanon.

– Niektórzy sądzą – powiedział, przekładając kartki, podczas gdy ja zerkałam tęsknie na boisko do paintballa, gdzie Dawn chowała się niczym szpieg za stogiem siana – że Tamsin i Elder są tylko podróbkami, ale nie chciałbym, żeby cię to zniechęciło.

– Nie zniechęci – zapewniłam go, w nadziei, że go to przekona.

– To głupi argument – ciągnął Doug, najwyraźniej dopiero się rozgrzewając. – Podobna relacja pojawia się wszędzie. Pomyśl o Obi-Wanie i Luke’u. O Dumbledorze i Harrym. O Gandalfie i Frodzie. Wszyscy mają swoich nauczycieli, ale potem muszą odnaleźć w sobie siłę i nauczyć się radzić sobie samemu. To nic wtórnego. Nie przejmuj się opiniami na forach.

Zapewniłam go, że na pewno się nie przejmę, a kiedy zaczął kreślić historię postaci, pokryci farbą Frank i Dawn ogłosili remis, a Beckett został uznany za zwycięzcę po tym, jak pokonał Collinsa w trzech ostatnich wyścigach.

Chociaż ja niespecjalnie dobrze się bawiłam, mój brat bawił się znakomicie, a przecież to było moim celem. Uśmiechnęłam się więc do niego i zaczęłam przeglądać menu, zastanawiając się, czemu karty dań w dinerach są zawsze tak długie i czy ktokolwiek zamówił kiedyś homara za pięć dolarów. Zamierzaliśmy coś zjeść przed nocną zmianą Dawn. Mieliśmy nadzieję, że nikt nie spyta, czemu połowa jej włosów jest pomarańczowa.

Beckett spojrzał na mnie znad cieknącej wodą słomki, którą zamierzał zmienić w węża.

– Frank i Collins, i Dawn – oni wszyscy są twoimi przyjaciółmi?

– Tak – odparłam, nieco zaskoczona pytaniem. – Czemu pytasz?

Beckett wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. To coś nowego. Nigdy nie miałaś tylu przyjaciół.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym samym momencie do środka weszli Dawn, Collins i Frank. Dawn kręciła głową.

– O nie – westchnęłam i przesunęłam się do ściany, żeby Frank mógł usiąść koło mnie. Collins usiadł obok Becketta, a Dawn obok niego.

– Znowu to samo – potwierdziła.

– Nie zawieź mnie¹ – Frank zwrócił się do Collinsa, wskazując go palcem. – Obiecałeś, że tym razem zapłacisz².

– Czy kiedykolwiek cię okłamałem³? – spytał Collins, nieco urażony.

– Niech będzie⁴ – Frank pokręcił głową. – Nie musimy w to wnikać⁵.

– Proszę, przestańcie – powiedziałam, ale Frank i Collins pokręcili tylko głowami, nawet na mnie nie spoglądając. Od trzech dni zaczynali swoje zdania wersami z piosenek Beatlesów. Wolno im było rozmawiać normalnie z innymi ludźmi – dlatego gra zostawała zawieszona, kiedy byli w pracy – ale do siebie zwracali się wyłącznie w ten sposób, próbując rywalizować o to, kto jest większym fanem.

– Co się dzieje? – spytał Beckett, przenosząc wzrok z Franka na Collinsa i z powrotem.

– Nie moglibyście po prostu ogłosić zwycięzcy? – jęknęła Dawn. – Chociaż „zwycięzca” to chyba nie jest w tej sytuacji najlepsze słowo – zmarszczyła brwi.

– Bukiet – Collins zwrócił się do mojego brata – jak dobrze znasz teksty Beatlesów?

– Widzę cię na wskroś⁶ – pokręcił głową Frank, a Collins

wskazał mojego brata.

– Z niewielką pomocą przyjaciół⁷ – powiedział z urazą. – To przecież nie jest zabronione.

– W każdym razie – Dawn zwróciła się do mnie – chciałam cię z kimś umówić. – Było to na tyle zaskakujące, że zamrugałam tylko. Frank odwrócił gwałtownie głowę.

– Jestem strasznie zmęczony – powiedział Collins, przeglądając menu. – Może zamówię sobie kawę.

– Ja nie... – zaczęłam. Zamierałam powiedzieć Dawn, że nie jestem zainteresowana, chociaż trudno było mi stwierdzić, dlaczego. Nie chodziło przecież o Gideona. – Hmm... z kim?

Collins strzelał palcami w stronę Franka, który powiedział z roztargnieniem:

– No dobra. Hmm... – po chwili zdał sobie sprawę, co właśnie zrobił. – Zaczekaj⁸ – powiedział szybko. – Pomocy⁹. Nie możesz...

– Właśnie wygrałem! – zawołał Collins, unosząc pięść w powietrze. – Wedle mojej wiedzy nie istnieje piosenka Beatlesów o tytule „No dobra hmm”. – Cały podniecony zaczął uderzać palcami w stół, po czym wygodnie rozparł się na kanapie. – Bukiet, opowiem ci historię. Dawno, dawno temu było sobie miasto o nazwie Liverpool...

Spojrzałam na Franka:

– Przykro mi, że przegrałeś – powiedziałam, chociaż szalenie cieszyłam się, że gra się skończyła.

Frank wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że za jakiś czas zaczniemy od nowa – powiedział. – Co kilka lat czujemy potrzebę, żeby udowodnić sobie, kto jest większym fanem. Ale posłuchaj – powiedział poważnym tonem, który przyjmował, kiedy wymyślał rozwiązania dla mojej listy. – Mam idealne rozwiązanie numeru trzynastcie.

Punkt trzynasty kazał mi spać pod gwiazdami. Zerknęłam na brata, który wydawał się zaabsorbowany historią o spotkaniu Johna i Paula. Chociaż doceniałam inicjatywę Franka, miałam pomysł, jak to załatwić, odkąd rozmawiałam z mamą na ganku.

– Z tym sama sobie poradzę.
– Tak? – spytał zaskoczony. – OK. W jaki sposób? I kiedy?
Spojrzałam na niego i nagle wpadła mi do głowy idealna odpowiedź na to pytanie.

– Już niedługo – rzekłam, a w nagrodę otrzymałam zaskoczony uśmiech Franka.

Tej nocy wkradłam się do pokoju brata, starając się nie narobić hałasu, co jednak okazało się niemożliwe, bo bez przerwy potykałam się o jego zabawki, które zdawały się pokrywać całą podłogę niczym dywan.

– Beckett – wyszeptałam, kiedy znalazłam się obok jego łóżka. – Hej, Beck. Ała – kiedy próbowałam podejść o krok bliżej, coś małego i plastikowego wbiło mi się w stopę.

– Em? – Beckett usiadł na łóżku, mrugając w słabym świetle swojej nocnej lampki, której – jak twierdził – wcale nie potrzebował. – Co się stało?

– Nic – odparłam, próbując odkleić klocek lego od stopy.

– To dlaczego przyszłaś? – spytał, prostując się.

– Wpadł mi do głowy pewien pomysł. – Stałam nad jego łóżkiem, starając się nie potknąć o nic innego. – Chcesz iść na kemping?

Beckett odgarnął loki z twarzy.

– O czym mówisz?

– Prześpijmy się na świeżym powietrzu. Wszystko zorganizowałam. Mama i tata nie będą mieli nic przeciwko.

Beckett patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, jakby zastanawiał się, czy mówię poważnie albo czy to bardzo realistyczny sen.

– Ale jak to? – spytał wreszcie, po czym odgadłam już, że pomysł mu się podoba. – Nie mamy namiotu ani nic. Mieliśmy kupić wszystko z tatą.

– Mówię ci, że wszystko zorganizowałam – powiedziałam, trzymając kciuki, żeby to była prawda. – Spotkajmy się na podwórku za dziesięć minut.

Dziesięć minut później Beckett wyszedł na zewnątrz w

piżamie, wciąż wyraźnie sceptyczny.

– Ta-dam – powiedziałam, w nadziei, że nie uzna, że to wszystko głupota, nie odwróci się na pięcie i nie wróci do łóżka. Pośrodku podwórka rozstawiłam malutkie obozowisko. Jako że nie mieliśmy namiotu, rozłożyłam po prostu dwa śpiwory i poduszki.

– Serio? – spytał Beckett, robiąc mały krok naprzód z błakającym się już na buzi uśmiechem.

– Najpierw się popsikaj – powiedziałam, rzucając mu spray na komary. Była to jedyna rzecz, która mnie martwiła: obawiałam się, że zostaniemy żywcem pożarci.

Beckett psikał się tak długo, że zaczął kaszleć, po czym wśliznął się do śpiwora i podał spray mnie. Po chwili i ja leżałam już w śpiworze.

Położyłam głowę na poduszce i cieszyłam się, że były to śpiwory z izolacją, takie-które-można-zabrać-wszędzie, bo, choć wciąż było ciepło, tuż nad ziemią robiło się chłodniej i wilgotniej. Patrzyłam prosto w górę, na gwiazdy świecące jasno na niebie. Nagle pożałowałam, że kiedykolwiek spałam we wnętrzach.

– Ale super – powiedział Beckett, patrząc w górę, z dłońmi skrzyżowanymi pod głową.

Nie znaleźliśmy żadnych konstelacji, zaczęliśmy więc wymyślać swoje własne jak „wykrzywiony krawat” i „wściekły pingwin”, a potem historie, które towarzyszyły nazwom. Głos Becketta zaczął zwalniać w połowie historii o „koszyku frytek”. Podejrzewałam, że lada chwila zaśnie, a ja zaraz po nim. Zamknęłam oczy, ale natychmiast otworzyłam je jeszcze na chwilkę, żeby upewnić się, że wszystko to wciąż istnieje – cała ta orgia gwiazd nade mną.

– Zrobimy to znowu? – spytał Beckett.

– Jasne – odparłam, pozwalając, by moje powieki opadły na dobre. – Za miesiąc.

– OK – odparł Beckett. Po chwili ciszy tak długiej, że byłam już pewna, że zasnął, spytał: – A Sloane?

Otworzyłam oczy i uniosłam się na łokciu.

– Co masz na myśli?

– No bo... nie zrobimy tego, jeśli ona wróci, prawda? – Głos mojego brata był cichutki. – Pewnie będziesz zbyt zajęta.

W pierwszej chwili chciałam zaprzeczyć, zapewnić go, że nic się nie zmieni. Już sekundę później jednak uświadomiłam sobie, że nie byłoby mnie tutaj, gdyby Sloane została w mieście. Albo poszłabym gdzieś z nią, albo czekałabym na nasze spotkanie.

– To bez znaczenia – powiedziałam wreszcie. Słyszałam w swoim głosie pewność i miałam nadzieję, że Beckett też ją wyczuwa. – Ty i ja. Za miesiąc. Obiecuję.

– Super – ziewnął Beckett. – Branoc.

Chwilę później jego oddech stał się wolniejszy i równiejszy – śmialiśmy się czasem z rodzicami z tego, jak szybko Beckett zasypiał. Świeże powietrze najwyraźniej tego nie zmieniło.

Ułożyłam się na plecach i znów spojrzałam w niebo. Słowa Becketta wibrowały w mojej głowie, ale z jakiejś przyczyny nie chciałam myśleć o tym, co mogło wydarzyć się po powrocie Sloane, o wszystkim, co mogło się zmienić. Spojrzałam tylko na śpiącego już głęboko brata, po czymś sama zamknęłam oczy, czując, że chyba udało mi się coś naprawić.

8 PENELOPE

Sam fakt, że wiedziałam, o co chodziło Sloane przy niektórych punktach z listy, nie oznaczał jeszcze, że chciałam je zrealizować. Następnego dnia stanęłam przed swoją szafką, drapiąc się w szyję, w którą pogryzły mnie komary, i popatrzyłam na numer pięć. Wiedziałam, co oznaczało „Penelope”, wiedziałam też, co powinnam zrobić. Mimo że wiedziałam, że nic nie mogło się z nim stać, sięgnęłam do górnej szuflady i wyciągnęłam je. Popatrzyłam chwilę na swoje zdjęcie i na nieznane imię. Pomyślałam, że tym właśnie punktem powinnam zająć się teraz.

MAJ

Dwa miesiące wcześniej

– OK! – zawołała Sloane, wsiadając do mojego samochodu. Zatrzasnęła za sobą drzwi i uśmiechnęła się. – Gotowa?

– Chyba tak – roześmiałam się. – Tylko nie wiem, na co właściwie powinnam być gotowa.

Sloane zaplanowała nasze piątkowe spotkanie z tygodniowym wyprzedzeniem, co było dość zaskakujące, ja jednak byłam jej za to wdzięczna. Mnóstwo czasu spędzała z Samem i chociaż raz w tygodniu spotykaliśmy się w czwórkę – Sloane, Sam, Gideon i ja – to mi nie wystarczało, zwłaszcza że skupiała wtedy uwagę głównie na swoim chłopaku. Poza tym przy nim nie była do końca sobą. Na początku nie potrafiłam uświadomić sobie, o co konkretnie chodzi, ale wreszcie zdałam sobie sprawę, że nie podoba mi się, jak Sam ją traktuje, ani jak ona zachowuje się w

jego obecności.

Przez pierwszy miesiąc naprawdę się starałam. Jej naprawdę się podobał, widziała w nim coś szczególnego, co ja również starałam się dostrzec. Tylko im więcej czasu spędzałam w jego towarzystwie, tym stawało się to trudniejsze. Poczynając od tego, że mnie nie lubił. Na zmianę zachowywał się wobec Sloane zaborczo i lekceważąco – nie mogłam tego znieść – mnie jednak od samego początku traktował jak zagrożenie. Na różne subtelne, trudne do zdefiniowania sposoby dawał mi to do zrozumienia. Czasem wpatrywał się we mnie o chwilę za długo albo stawał nieco zbyt blisko, uśmiechając się mdło, jakby czekał, aż zdenerwuję się i wreszcie coś powiem. A kiedy Sloane lub Gideon faktycznie zwracali mu uwagę, obdarzał mnie szerokim uśmiechem i mówił: „Tak się tylko wygłupiam. Emily zna się na żartach, prawda?”.

„Takie ma poczucie humoru” – mówiła Sloane, kiedy próbowałam podjąć ten temat. – „Tak naprawdę jest bardzo nieśmiały i próbuje dodać sobie odwagi”.

Chociaż ja tego nie dostrzegałam, uznawałam, że moja najlepsza przyjaciółka zna go lepiej ode mnie i że dam sobie spokój, nie chcąc jeszcze bardziej pogarszać sytuacji. Przez cały tydzień czekałam więc na nasz wspólny wieczór, tylko we dwie.

Powiedziała mi, żebym się wystroiła, a potem przez pół godziny rozważałyśmy, jak powinnam się ubrać. Nie potrzebowałyśmy nawet wideocztatu, bo Sloane znała moją garderobę równie dobrze jak swoją. Kiedy wybrałyśmy odpowiedni strój, zaczęłam zastanawiać się, co się dziś wydarzy. Miałam na sobie swoją najkrótszą spódnicę – dostałam ją zresztą od Sloane, co od razu dało się poznać, bo byłam od niej dobrych kilka centymetrów wyższa. Dopasowała do niej cienki top na jedno ramię i powiedziała, żebym ukoronowała swój image czerwoną szminką. Sloane ubrała się w podobnym stylu, w obcisłą sukienkę. Jej długie włosy były nieco bardziej rozczochrane niż zwykle, a oczy otoczone ciemną obwódką – w takim makijażu ja wyglądałam, jakby ktoś mi przywalił.

– Pokieruję cię – obiecała, klaszcząc w dłonie. Na końcu podjazdu spojrzałam na nią wyczekująco. – W lewo – powiedziała autorytatywnie, puściła głośno swoją składankę, a ja ruszyłam ze Stanwich do Hartfield.

Nie spędziłam nigdy wiele czasu w centrum Hartfield, cieszyłam się więc, że udziela mi wskazówek. W weekend główna ulica z barami i restauracjami była pełna ludzi, piesi przepychali się chodnikami, wylewając na ziemię swoje napoje, a powolna parada samochodów próbowała ich ominąć.

– Musimy poszukać miejsca parkingowego – powiedziała, gdy mijałam parking, którego ceny podniesione zostały do dziesięciu dolarów za noc, a chłopcy z flagami i świetlikami próbowali ściągnąć nań samochody.

– A zatem będziemy robić coś tutaj – powiedziałam, ciesząc się z pierwszej wskazówki co do naszych tajemniczych planów.

– Może, może – uniosła brwi Sloane. – A może nie. Tylko... o, tam! – Wskazała naprzód, gdzie miał miejsce cud nad cudy: jeden z samochodów opuszczał swoje miejsce parkingowe.

Włączyłam migacz i podjechałam, co było o tyle dobrą decyzją, że w tę samą stronę ruszyły trzy kolejne samochody, w tym jeden z drugiej strony ulicy, który aktualnie blokował ruch.

– Wiesz co? – powiedziała Sloane, gdy zgasiałam silnik i podałam jej swojego iPoda, żeby włożyła go do schowka. – Myślę, że to dobry znak. Że to będzie najwspanialsza noc na świecie.

– No dobra – powiedziałam, odpinając pas – powiesz mi wreszcie, co robimy?

Sloane wskazała naprzeciwko:

– McKenzie's – uśmiechnęła się.

Spojrzałam w tamtą stronę, niepewna, jakim cudem miałyby się to udać. McKenzie's był prawdziwym barem, bez strefy jadalnej dostępnej dla wszystkich, co strasznie denerwowało Sloane, bo na tyłach znajdowała się scena, na której grały świetne zespoły, a nam nie wolno było ich zobaczyć.

– Zmieniły zasady?

– Nie – odparła. Teatralnym gestem wyciągnęła coś z torby,

po czym chwyciła mnie za rękę i włożyła to w moją dłoń.

Uniosłam ją, żeby w świetle ulicy lepiej się temu przyjrzeć. Był to dowód osobisty z Newady z moim zdjęciem i adresem, którego nie rozpoznawałam. Widniało na nim nazwisko Penelope Entwhistle.

– Co to jest? – spytałam, pochylając się. Data urodzin była o pięć lat wcześniejsza niż moja.

– Twój pierwszy fałszywy dowód – odparła, sama się mu przyglądając. – Chcesz zobaczyć mój? – Podała mi go: pochodził z Utah, a wystawiony był na nazwisko Alicia Paramount.

Uśmiechnęłam się.

– Fajnie się nazywasz.

– Dzięki – odparła. – Gotowa?

To, że użyjemy tych dowodów, żeby wejść do baru, uderzyło mnie zdecydowanie za późno. I miałyśmy to zrobić natychmiast, bez chwili zastanowienia.

– Poczekaj – powiedziałam, gdy jej dłoń była już na klamce. – Mamy wejść na nie do McKenzie's?

– Poczekaj na najlepsze – powiedziała z uśmiechem. – Grają tam dzisiaj Call Me Kevin. Koncert w ogóle nie był rozreklamowany. Zobaczymy ich jako jedne z jakichś pięćdziesięciu osób. Czy to nie wspaniałe? – Uśmiechnęła się do mnie szeroko i wysiadła z samochodu. Zamknęłam drzwi i dołączyłam do niej na ulicy, którą przebiegała, nie czekając, aż zmienią się światła.

– Sloane – zwróciłam się do niej, gdy stanęłyśmy w kolejce do McKenzie's. Zobaczyłam, że w drzwiach stoi zwalisty facet w skórzanej kurtce, który z latarką w ręku przygląda się dowodom podawanym mu przez kolejnych ludzi.

– Alicia – poprawiła mnie.

– Chyba nie powinnyśmy tego robić – ściszyłam głos, zerkając na kolejkę przed nami. Wszyscy wokół zdawali się znacznie starsi od nas i byłam pewna, że i oni, i bramkarz rozpoznają w nas uczennice starające dostać się gdzieś, gdzie im nie wolno.

– Nie ma się czym martwić – powiedziała Sloane, również szeptem. – Zrobił je ten sam facet, co dowód Sama, a on nigdy nie miał żadnych problemów.

Powoli zaczynałam wpadać w panikę, a nie byłam nawet pewna, dlaczego.

– Ja tylko... – powiedziałam, zerkając na dokument. W świetle latarni wyglądał strasznie sztucznie, jakby ktoś wydrukował go w domu na komputerze. – Dlaczego Penelope?

Sloane roześmiała się.

– Nie wiem. Pomyślałam po prostu, że to dobrze brzmi. Och – pochyliła się w moją stronę, a mnie serce waliło w piersi coraz mocniej – tylko naucz się na pamięć swojego adresu i daty urodzenia, na wypadek, gdyby ktoś pytał.

– A będą pytać? – Słyszałam, że mój głos zrobił się piskliwy i histeryczny.

– Nie wiem – odparła Sloane, coraz bardziej zniecierpliwiona. – To mój pierwszy raz.

– Nie uważam... – powiedziałam, robiąc krok naprzód – nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

– Emily, przestań – poprosiła Sloane. Między nami a bramkarzem, który wydał mi się nagle dwa razy większy, stała już tylko jedna osoba. – Uspokój się, dobrze? Wszystko będzie OK.

– Nie – odparłam, nie idąc do przodu razem z nią – nie chcę. Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

– Będzie OK – uśmiechnęła się, zerkając na bramkarza. Ludzie w kolejce za mną zaczynali się niecierpliwic. – No chodź.

– Nie wejdę – odparłam, wychodząc z kolejki. Stojąca za mną para natychmiast zajęła moje miejsce.

– Dlaczego... – zaczęła Sloane. Westchnęła i pokręciła głową. Znalazłyśmy się nagle na nieznannej ziemi, musiałyśmy używać obcego języka, bo przecież nigdy się nie kłóciłyśmy. Przepuściła parę przed siebie. – Ja chcę wejść – powiedziała Sloane. Widać było wyraźnie, że nie wie, czemu się z nią nie zgadzam.

– A ja nie – powiedziałam cicho. Nie wiedziałam, jak

wyjaśnić to inaczej.

– OK – powiedziała, zerkając na bramkarza, a potem znowu na mnie. Czułam, że czeka, aż zmienię zdanie, tak jak zmieniałam je zawsze, kiedy mnie o to prosiła. Po dłuższej chwili dodała: – W takim razie zobaczymy się później.

Zamarłam. Naprawdę poczułam się tak, jakby ktoś walnął mnie w brzuch. Założyłam, że Sloane pójdzie ze mną, że to nasze wspólne wyjście. Niejasność słowa „później” przeraziła mnie.

– Jasne – odparłam, nie dzieląc się z nią tymi lękami, uśmiechając się tylko z drzeniem. – Do zobaczenia. – Odwróciłam się i ruszyłam w stronę samochodu, trzęsąc się w wybranych przez nią szpilkach i w niewygodnych, zbyt wąskich ubraniach.

– Emily! – zawołała za mną, w połowie błagalnie, w połowie z irytacją.

Nie odwróciłam się od razu, zmuszając się, by odejść od mojej najlepszej przyjaciółki, choć była to ostatnia rzecz, której chciałam. Spojrzałam za siebie dopiero po chwili i zobaczyłam, jak uśmiecha się, pokazuje swój dowód i mija bramkarza, by zniknąć w mroku.

Siedziałam w samochodzie, a gdy sedan za moim oknem zniknął, pokręciłam głową chyba po raz setny tego wieczoru. Kiedy ludzie widzieli mnie na fotelu kierowcy, w samochodzie zaparkowanym w idealnym miejscu, cieszyli się, licząc na to, że zaraz stamtąd odjadę. Kręciłam głową i gestem pokazywałam, żeby objechali mój samochód, ale oni i tak stawali za mną z migającymi światłami, podnieceni, wyraźnie czekając, aż oddam im swoje miejsce.

Myślałam o tym, kiedy tylko wsiadłam sama do samochodu. Skoro Sloane tak bardzo chciała pójść do baru, zamierzałam pojechać do domu, żeby sama musiała zorganizować sobie powrót. Włożyłam nawet klucz do stacyjki, ale nie ruszyłam, tylko oparłam się o siedzenie, chcąc przemyśleć wszystko, co się przed chwilą, tak szybko, wydarzyło. Zdałam sobie sprawę, że jakaś część mnie spodziewała się tego, odkąd zostałyśmy przyjaciółkami – spodziewałam się, że nadejdzie ta chwila, w której Sloane

zauważy, że nie jestem wystarczająco fajna, wystarczająco odważna, żeby być jej najlepszą przyjaciółką. Byłam pewna, że w pewnym momencie się zorientuje, a dzisiejszy wieczór dał jej na to przekonujący dowód.

Siedziałam w samochodzie przez dwie godziny, od czasu do czasu grając w coś na telefonie, ale potem zaczęłam się martwić, że bateria się wyczerpie, a ja w tym czasie dostanę wiadomość. Chociaż włożyłam klucze do stacyjki, tak naprawdę nie zamierzałam odjechać. Nie wierzyłam, że Sam po nią przyjedzie, na Milly i Andersonie nie można było polegać, a nie chciałam nawet liczyć, ile kosztowałyby taksówka z Hartfield do domu Sloane na przedmieściach. Na pewno więcej, niż którakolwiek z nas miała przy sobie. Albo w ogóle.

Nagle usłyszałam pukanie do okna od strony pasażera. Pokręciłam głową, nie unosząc jej nawet znad telefonu.

– Nie odjeżdżam! – zawołałam.

– Dobrze wiedzieć – odparła przez szybę Sloane. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że stoi przy drzwiach. Otworzyłam je, a ona wsiadła. – Hej.

– Hej – odparłam, prostując się i odkładając telefon.

Atmosfera była dziwna i niepewna jak nigdy wcześniej, nawet wtedy, kiedy się poznałyśmy.

– Dzięki, że poczekałaś – powiedziała Sloane. Pochyliła się, nie spoglądając mi w oczy, wyciągnęła ze schowka mojego iPod'a i podłączyła go.

– Nie ma sprawy – odparłam, wkurzając się na to, jak sztywno i formalnie się czułam, marząc o tym, by było tak samo jak zawsze. – Czy... dobrze się bawiłaś?

– Jasne. – Wyglądała przez okno. – Było całkiem spoko. No wiesz.

Pokiwałam głową i ruszyłam, chociaż właśnie nie wiedziałam i najwyraźniej na tym polegał problem. Jechałyśmy w ciszy, na twarz Sloane padało światelko z ekranika mojego iPod'a, kiedy przeglądała piosenki, które sama wgrała. Przełknęłam ślinę, wjeżdżając na drogę I-95. Nie wiedziałam, jak naprawić sytuację,

co powiedzieć – chciałam tylko cofnąć się w czasie o kilka godzin.

– No to jak było? – spytałam, nie mogąc dłużej znieść ciszy. Słyszałam, jak piskliwy i spięty był mój głos, podobny do głosu mojej mamy, kiedy zmuszała Becketta, żeby opowiedział jej, jak było w szkole.

Sloane westchnęła i wyjrzała przez okno.

– Nie rób tego – powiedziała wreszcie.

– Czego? – spytałam, czując ucisk w żołądku.

– Gdybyś chciała wiedzieć, jak było, poszłabyś ze mną – powiedziała, kręcąc głową. Przeglądała listę piosenek tak szybko, że niemożliwe, by była w stanie odczytać tytuły. – Włożyłam w dzisiejszy wieczór dużo pracy. Kupiłam nam dowody, wybrałam ciuchy, zaplanowałam to wszystko, bo chciałam iść na koncert z tobą. A nie sama.

Na chwilę przeniosłam wzrok z drogi na przyjaciółkę.

– To dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

– Bo wiedziałam, że byś ze mną nie poszła! – Sloane niemal to wykrzyczała, zaskakując chyba nas obie, bo w samochodzie na chwilę zapadła cisza. – I miałam rację, prawda? – Zacisnęłam dłonie na kierownicy tak mocno, jak tylko mogłam, ze wszystkich sił starając się nie rozplakać. – Czasami bez powodu boisz się różnych rzeczy – powiedziała nieco ciszej Sloane. – I czasem żałuję... – urwała. Jej słowa zawisły w samochodzie pomiędzy nami.

Ja też żałowałam – żałowałam, że nie jestem tą osobą, której chciałaby Sloane, osobą, którą nie umiałam się stać. Odetchnęłam, trzęsąc się cała.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam wreszcie.

– W porządku – odparła od razu, a ja czułam, że jest szczerą. Wciąż mnie to w niej zaskakiwało, to, jak szybko potrafiła wybaczać. Czasem wręcz trudno było mi w to uwierzyć, bo w mojej rodzinie wszyscy – łącznie z kotem – długo chowali urazę.

– Następnym razem, dobrze? – Uśmiechnęłam się, zmuszając się do wesołości. Sloane odwzajemniła uśmiech.

– Pewnie – odparła. Nacisnęła guzik „play”, a w

samochodzie rozbrzmiała „With you”, jej ulubiona piosenka Call Me Kevin.

– Grali ją? – spytałam.

– Jako trzecią – odparła, rozsiadając się wygodnie. – Wydaje mi się, że nie było jej na setliście, bo perkusista złapał rytm dopiero przy łączniku...

Zacząła opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło, chwila po chwili relacjonować mi przygodę, którą przeżyła beze mnie, przerywając po to tylko, żeby zaśpiewać refren. Przy kolejnym dołączyłam do niej.

– Penelope Entwistle – wymamrotałam pod nosem. Tym razem nie miałam tyle szczęścia, co poprzednio, i musiałam zatrzymać się na jednym z parkingów za dziesięć dolarów. Po drodze wyciągnęłam pieniądze z bankomatu, bo zorientowałam się, że nie będę mogła używać karty, skoro widniało na niej moje nazwisko. Podejrzywałam też, że nie powinnam pozostawiać po sobie papierowego szlaku, skoro zamierzałam złamać prawo. – Penelope Entwistle – powiedziałam, idąc ku McKenzie’s na nogach jak z waty. Starłam się brzmieć, jakbym wypowiadała to nazwisko setki razy. – Miller’s Crossing 21, Reno, Newada. Osiem dziewięć pięć jeden dziewięć.

Na stronie McKenzie’s sprawdziłam, że tego wieczora jest tam koncert. Oczywiście nie koncert Call Me Kevin, ale jakiegoś zespołu o nazwie Henry Gales, którego nie znałam. To zachęciło mnie, by pójść tam właśnie dzisiaj. Pomyślałam, że na koncercie przynajmniej będę miała coś do roboty i nie będę musiała siedzieć przy barze i... i co? Nawet nie wiedziałam, jak dokończyć to zdanie, bo nigdy jeszcze nie byłam w barze, który byłby tylko barem. Koncert – nawet gdyby miał okazać się okropny – sprawiał jednak, że czułam się trochę lepiej, jakbym po prostu chciała posłuchać muzyki. Przedstawiając się jako Penelope.

Po naszym porannym biegu Frank spytał mnie, czy chcę się wieczorem spotkać, ale odmówiłam. Nie chciałam powiedzieć, co

zamierzam zrobić, na wypadek, gdyby mi się nie powiodło. Wymyśliłam serię wymówek, które nawet w moich uszach nie brzmiały wiarygodnie – opowiadałam, że muszę zająć się Beckettem, poczytać książki na następny rok i pomóc mamie posprzątać lodówkę. Słuchał mnie spokojnie i tylko pokiwał głową: „Emily, jeśli zamierzasz zorganizować imprezę-niespodziankę, po prostu mi o tym powiedz”. Jego urodziny wypadały za trzy dni i coraz częściej wspominał je w rozmowie. „Jasne” – roześmiałam się – „uprzedzę cię”. – Zaczęłam się trochę niepokoić, że spodziewa się jakiejś niespodzianki, wiedziałam jednak, że Collins naprawdę coś planuje.

– Penelope – powtórzyłam, zbliżając się do bramkarza. Był to ten sam facet co dwa miesiące wcześniej, chociaż teraz wydawał mi się jeszcze większy, a telefon w jego dłoni – jeszcze mniejszy. Zastanawiałam się, czy ma go po to, żeby natychmiast zadzwonić na policję, gdyby nieletni próbowali dostać się do jego baru. – Penelope Entwistle, Miller’s Crossing 21... – wygładziłam sukienkę. Miałam na sobie strój podobny do tego, który wtedy wybrała dla mnie Sloane, a kiedy malowałam się i wkładałam szpilki, zdałam sobie sprawę, że bardzo dawno się nie stroiłam. Tak bardzo przyzwyczaiałam się do kłapek i trampek, że chwiałam się na obcasach.

Tym razem przy drzwiach nie było kolejki, pewnie dlatego, że był czwartek i nie grał żaden znany zespół. Stał tam tylko bramkarz. Podeszłam bliżej na trzęsących się nogach. „Penelope”, powtarzałam w głowie, „Reno. Osiem dziewięć pięć jeden dziewięć”.

– Dzień dobry – powiedziałam. W jednej dłoni ścisnęłam torbę, a w drugiej dowód – tak mocno, że plastik omal nie przeciął mi skóry.

– Dowód? – spytał znudzony facet.

– Proszę bardzo – podałam mu dokument w nadziei, że nie jest wilgotny, bo dłonie pociły mi się coraz bardziej z każdym krokiem. Poświecił latarką, spojrział na niego, potem na mnie i pokiwał głową. – Mogę wejść? – spytałam, niepewna, czy na tym

koniec naszej interakcji.

– Tak. – Oddał mi dowód. – Baw się dobrze.

– Bardzo dziękuję – odparłam, otwierając drzwi. Nie mogłam uwierzyć, że było to tak proste. Weszłam do środka i rozejrzałam się dokoła. Poczułam się nagle tak, jakby nad moją głową wisiał wielki znak NIELETNIA i jakby każdy mógł odgadnąć, że nigdy wcześniej nie byłam w barze i nie wiedziałam, co ze sobą począć.

Zrobiłam kilka niepewnych kroków. Przy tylnej ścianie zobaczyłam małą scenę, a właściwie lekko tylko uniesioną platformę. Po obu stronach pomieszczenia znajdowały się budki, a kelnerki kręciły się wokół z tacami. Naprzeciwko sceny znajdował się bar, ze stołkami dokoła, z których tylko połowa była zajęta. Nie przypominał baru, który stanowił część ośrodka rekreacyjnego, w którym kiedyś pracowałam, gdzie mogłam chwycić wąż z napojami i napełniać puste szklanki colą i Sprite’em, ile razy było trzeba. Tam za długą ladą stał znękany koleś o imieniu Marty, który polewał gościom niekończące się serie ginów z tonikiem. Tu było inaczej. Powierzchnia baru zrobiona była z wypolerowanego metalu, półki z alkoholami rozciągały się niemal do sufitu, a każda z nich skąpana była we własnym, niebieskim blasku.

Podeszłam trochę bliżej baru, nie wiedząc, co ze sobą począć. Koncert jeszcze się nie zaczął, więc miałam poczucie, że powinnam coś zrobić – nie mogłam całą noc stać w drzwiach, zwłaszcza, jeśli nie chciałam wzbudzać podejrzeń. Bar okazał się jednak jeszcze bardziej onieśmielający, niż się spodziewałam. I czy w ogóle powinnam podejść do niego, żeby złożyć zamówienie? Czy może wezwać do siebie jedną z kelnerek?

– Uważaj, kochanie – powiedziała, mijając mnie, jedna z nich, a ja szybko osunęłam się z drogi. Odetchnęłam ciężko i stanęłam po tej stronie baru, przy której siedziało najmniej ludzi. Wspięłam się na stółek i położyłam sobie torebkę na kolanach. Nie wiedziałam, co powinno się teraz wydarzyć, ale przynajmniej nikomu nie przeszkadzałam.

– Co ci podać? – spytał barman, który miał miękkie włosy i

ubrany był w koszulkę z bardzo dużym dekoltem w serek.

– Och – zerknęłam na półki z alkoholami, jakbym faktycznie zamierzała zamówić któryś z nich. – Poproszę Colę Light.

– Jasne – odparł. – Z rumem?

– Nie! – zawołałam nieco zbyt stanowczo. – To znaczy, poproszę samą. Bez niczego. Non-alko – wyrzucałam z siebie słowa, które bohaterowie filmów wypowiadali w barach, w nadziei, że któreś z nich będzie coś oznaczało dla barmana.

– Spoko – odparł, chwytając szklanekę, naciskając przycisk nalewaka i podając mi ją. – Pięć dolarów.

Zamrugalam, zaskoczona, bo nigdy w życiu nie zapłaciłam tyle za Colę Light. Podałam mu piątkę, ale po chwili przeżyłam kolejny napad paniki: barmanowi powinno się dać napiwek, prawda? Nie miałam pojęcia, jak duży. Po chwili, podałam mu kolejnych pięć dolarów.

– Dzięki, kochanie. – Uśmiechnął się i schował banknot do kieszeni. – Jestem Jared. Mieszkasz niedaleko?

– Jestem Penelope Entwistle – odparłam od razu, pewnie zbyt szybko, bo chłopak wyglądał na zdziwionego. – Jestem z Reno.

– Fajnie – pokiwał głową. – Największe małe miasteczko na świecie¹⁰.

Uśmiechnęłam się, jakby cokolwiek to dla mnie oznaczało, żałując, że nie dowiedziałam się czegoś o Reno, nim zaczęłam udawać jego mieszkankę. Wypiłam łyk swojej pięciodolarowej coli i wyciągnęłam telefon, zastanawiając się, kiedy będę mogła wyjść, kiedy kryteria Sloane zostaną spełnione i punkt można będzie wykreślić z listy. Nie spodziewała się chyba, że spędzę tu całą noc, prawda? Nie byłam pewna, czy mnie na to stać, jeśli każdy kolejny napój miał kosztować dziesięć dolarów.

Po drugiej stronie baru dało się słyszeć głośny pogłos, a potem trzech chudych, dość zmęczonych chłopaków weszło na scenę, ciągnąc za sobą wzmacniacze.

– Hej – powiedział jeden z nich, mrużąc oczy, gdy usłyszał swój głos przez mikrofon. Miał jasne, kręcone włosy, a z jego szyi

zwisła gitara. – Nazywamy się Henry Gales. Dziękujemy za zaproszenie.

Perkusista odliczył „raz, dwa, trzy, cztery” i po kilku pierwszych, niepewnych akordach, znaleźli swój rytm.

W połowie pierwszego wersu zdałam sobie sprawę, że znam słowa, że pamiętam, co będzie dalej. Dopiero przy refrenie poznałam „Truth in the Dark”, piosenkę, która znajdowała się na składance do biegania Franka. Chociaż mu się nie przyznałam, podobał mi się ten kawałek, a refren nuciłam pod nosem razem z zespołem. Zrobiłam telefonem zdjęcie, żeby później pokazać je Frankowi. Mogłam mu je przesłać od razu, ale bałam się, że narażę się na całe mnóstwo pytań, na które nie chciałam teraz odpowiadać. Pytań takich jak: „czemu jesteś w barze”?

Rozparłam się na stołku i napiłam coli. Zaczynałam myśleć, że ta noc może nie być wcale taka zła.

Godzinę później zespół ogłosił koniec koncertu, po nieco tylko zbyt długiej solówce perkusji. Uznałam, że zrobiłam więcej, niż było trzeba, by wykreślić „Penelope” z listy. Skinęłam głową do Jareda, wstałam i ruszyłam w stronę drzwi, a w mojej głowie wciąż rozbrzmiewała ostatnia piosenka – byłam prawie pewna, że tekst dotyczył Kansas, chociaż wokalista nie miał najlepszej dykcji na świecie. Zbliżałam się już do wyjścia, kiedy zauważyłam obok niego blondynkę, która rozmawiała z jedną z kelnerek. Obie patrzyły na mnie. Odwróciłam się, w nadziei, że ich wzrok padł na mnie tylko na chwilę, kiedy jednak znów na nie spojrzałam, okazało się, że to nie mógł być przypadek. Teraz kelnerka wskazywała prosto na mnie.

Serce zaczęło mi walić w piersi, jakby wszystkie dotychczasowe lęki w moim życiu były tylko próbą generalną przed tym przerażeniem. W jakiś sposób ktoś dowiedział się, że jestem nieletnia i teraz zamierzał wtrącić mnie do więzienia. Aresztowanie znajdzie się w moich papierach, nigdy już nie dostanę się do koledżu i...

Blondynka pokiwała głową i ruszyła w moją stronę. Miałam jeszcze cień szansy, żeby dostać się do drzwi, popędziłam więc

przed siebie na tyle szybko, na ile pozwalały mi sukienka i szpilki. Ledwie wyszłam na zewnątrz, kiedy usłyszałam krzyk.

– Hej! Penelope!

Chociaż pewnie powinnam po prostu dalej iść przed siebie, odwróciłam się i zobaczyłam dziewczynę, która znalazła się tuż za mną. To działo się naprawdę.

Była drobna, miała długie włosy i twarz w kształcie serca, co nie pasowało zbytnio do wściekłego spojrzenia, które kierowała właśnie w moją stronę.

– Myślałaś, że się wywiniesz, co?

– Posłuchaj – powiedziałam, robiąc krok w tył, chwiejąc się na obcasach. – Przepraszam. Ja nie...

– Nie sądziłaś, że się dowiem? – Stała przede mną.

– Że czego się dowiesz? – spytał bramkarz, który wydawał się jeszcze większy niż wcześniej. Przygotowywałam się na to, że zaraz powie mi, że jestem nieletnia i że powinien zadzwonić po policję.

– To ta szmata, która wyrwała Jareda. – Kiedy usłyszałam te słowa, poczułam taką ulgę, że aż się uśmiechnęłam, co nie było chyba właściwą reakcją. – To cię bawi? – spytała.

– Nie – odpowiedziałam szybko. – Po prostu... to nie ja.

– Jared zdradza mnie z jakimś kaszalotem o imieniu Penelope – krzyknęła dziewczyna. – Wiem to na pewno. Przeczytałam SMS-y.

– Nie z tą Penelope – wtrącił się bramkarz, zaskakując jednocześnie i mnie, i dziewczynę. – Tamta Penelope ma taką wielką fryzurę.

– Carl – dziewczyna była wyraźnie zbита z tropu – wiedziałeś o tym?

Wykorzystałam okazję, żeby sobie pójść. Popędziłam przed siebie ulicą, z sercem, które wciąż mocno biło mi w piersi, ale już nie ze strachu. Teraz to raczej adrenalina podnosiła mi ciśnienie. Poszłam do baru, zamówiłam coś do picia, zostałam pomyłona z kaszalotem i omal nie wdałam się w bójkę. Czułam, że to moje małe zwycięstwo i bardzo chciałam o tym komuś powiedzieć.

Wyciągnęłam telefon i, w drodze przez parking do mojego volvo, napisałam SMS-a:

Głodny? Obiad za 15 minut?

Właśnie skreśliłam punkt nr 5

Kiedy weszłam do środka, Frank już tam był, siedział przy stoliku naprzeciwko drzwi, a na środku stołu stał talerz frytek do podziału. Napisałam też do Dawn, ale ona akurat rozwoziła pizzę, a ja wcale nie żałowałam, że będziemy tylko we dwojkę. Kiedy podeszłam bliżej, wysoko uniósł brwi. Zerknęłam na swoje odbicie w szybie i zrozumiałam, dlaczego. Miałam na sobie krótką, obcisłą sukienkę i szpilki, mocny makijaż na twarzy i ułożone włosy, podczas gdy większość gości dinera była po prostu w dżinsach.

– Hej – powiedziałam, siadając naprzeciwko niego i sięgając po frytkę, jakby był to najnormalniejszy wieczór na świecie, jakbym tak właśnie ubierała się podczas czyszczenia lodówki.

Frank wpatrywał się we mnie, a w kącikach jego ust błąkał się uśmiech.

– Za kogo się przebrałaś?

Uśmiechnęłam się, jakbyśmy się dopiero poznali.

– Penelope Entwistle – powiedziałam. – Miller’s Crossing 21, Reno. Miło mi poznać.

Powoli zaczął rozumieć. Wyciągnęłam telefon i przysunęłam go do niego. Na ekranie widniało zdjęcie grających Henry Gales. Frank spojrział na zdjęcie, a potem znów na mnie. Szeroko otworzył usta.

– OK – powiedział – opowiadaj.

– No więc – zaczęłam – byłam w McKenzie’s...

– W barze? – spytał zaskoczony.

– Mhm – odparłam zblazowana, jakby nie było to nic wielkiego. Frank patrzył na mnie bez zrozumienia, a ja wybuchnęłam śmiechem, wiedząc, że w jego towarzystwie nie uda mi się utrzymać pozy. – Wiem, wiem – powiedziałam. – Strasznie się bałam, że mnie wywalą... – Pochyliłam się nad stołem po

kolejną frytkę i zaczęłam opowiadać mu historię.

9 ZNISZCZ COŚ

– Ile to potrwa? – jęknął Beckett, kopiąc jednym trampkiem drugi.

– Trochę może potrwać – przyznałam szczerze.

Staliśmy przed biurem My Pretty Pony, gdzie byłam umówiona na jazdę o czwartej. Chociaż Frank próbował umówić mnie na lekcję, ja ciągle go zbywałam: uznałam, że póki wokół będą kręciły się wielkie konie i będzie się ode mnie oczekiwać, bym na nie wsiadła, nie uda się osiągnąć pozytywnego rezultatu. Jak więc zasugerowała kobieta z Saddleback Ranch, zainteresowałam się jazdą na kucykach i odkryłam, że jest co najmniej kilka ośrodków, w których można to zrobić. Zazwyczaj były to zajęcia dla małych dzieci, ale na stronie internetowej My Little Pony nie było nigdzie napisane, że dorośli nie mogą spróbować.

– Ach – jęknął Beckett, opadając na pobliską ławkę.

– Ej, właśnie zafundowałam ci lody, pamiętasz jeszcze?

Beckett nie był pod specjalnym wrażeniem.

– Były darmowe, Em.

Musiałam przyznać, że to prawda. Byliśmy w Rajskich Lodach, gdzie na zmianie pracowała Kerry. Machnęła ręką, kiedy chciałam zapłacić, co dla mnie było miłą niespodzianką, ale nieszczególnie wzruszyło mojego brata. Miałam nadzieję, że w ten sposób przekupię go, żeby zgodził się pojechać ze mną. Dzięki temu mogliśmy spędzić razem trochę czasu, ale też nie chciałam jechać sama, a wstydziłam się za bardzo, żeby powiedzieć o tym komukolwiek innemu.

– Hej, byłeś umówiony na jazdę o czwartej? – spytała dziewczyna w džinsach i różowym T-shircie, uśmiechając się szeroko do Becketta, który z obojętną miną wskazał na mnie.

– Och – zdziwiła się nieco. Po chwili pokiwała żywiołowo głową. – No... no dobrze. Spróbujemy. – Chwilę patrzyła na

mojego brata, wyraźnie wciąż niepewna, co tu się w ogóle dzieje. – Będziecie jeździć razem? Czy chciałaś wypróbować pierwsza, żeby pokazać mu, że nie ma w tym nic strasznego? – Beckett, usłyszawszy ostatnie, wypowiedziane konfidencjonalnym szeptem słowo, przewrócił oczami.

– Nie – odparłam, żałując, że żadne z tych wyjaśnień nie jest prawdą. Kiedy jednak zaproponowałam mu, żeby on też pojeździł na kucyku, popatrzył na mnie, jakbym była kompletną wariatką, a ja pożałowałam, że nie zaprosiłam Dawn. – Po prostu... chciałam przejechać się na kucyku.

– OK – odparła po chwili. Chyba czekała na jakieś rozsądniejsze wytłumaczenie. – No dobrze, to ja wszystko przygotuję.

Weszła do przylegającej do biura stajni, a ja zamierzałam po raz kolejny poprosić Becketta, żeby mi towarzyszył, ale wtedy rozbrzmiał dzwonek mojego telefonu. Dzwonił Collins, co było dość niecodzienne. Collins czasem pisał do mnie i często przysyłał linki do – jego zdaniem bardzo śmiesznych – filmików, ale prawie nigdy nie dzwonił.

– Hej – odebrałam.

– Emily! – zawołał piskliwym, zestresowanym głosem. – Gdzie jesteś?

– Hmm – rozejrzałam się wokół, a mój wzrok padł na różową tablicę ze stylizowanym napisem My Pretty Pony – a czemu chcesz wiedzieć?

– Bo PANIKUJĘ – powiedział, piszcząc jeszcze bardziej. – Czy ty w ogóle wiesz, że są urodziny Franka?

– Tak – odparłam, odchodząc kilka kroków od mojego brata, zdecydowanie zbyt mocno zainteresowanego tą konwersacją. – Rano poszliśmy pobiegać, potem na pączki, a ludzie w cukierni zaśpiewali mu „Sto lat”.

Chyba nie było to coś, co robili zwyczajowo, ale kiedy wyciągnęłam paczkę urodzinowych świeczek i spytałam kogoś z obsługi, czy mają zapałki, wszyscy wkręcili się w temat i zaśpiewali, a potem klaskali przy zdmuchiowaniu świeczek. A kiedy

rano wymienialiśmy się iPodami, włączyłam mu składankę z różnymi wersjami „Happy Birthday” – poczynając, oczywiście, od Beatlesów. Miałam też prezent, ale uznałam, że dam mu go dopiero podczas naszego kolejnego biegu, bo wiedziałam, że dzisiaj przyjeżdża Lissa.

– Wiesz co – wysapał Collins – wszystko się wali, a ja potrzebuję twojej pomocy.

– Pewnie – powiedziałam, zerkając na brata, żeby upewnić się, czy nie postanowił wspiąć się na dach stajni. – Co się dzieje?

– Dzieje się to – powiedział – że Lissa z jakiegoś powodu nie może przyjechać z Princeton. Frank jest na obiedzie z mamą, potem idzie na kolację z tatą, a ja utknąłem w pracy i nie mogę zorganizować imprezy, bo Frank ma wolne, a gdybym poprosił Douga, żeby robił cokolwiek poza wypożyczaniem butów, budynek by się nam zawalił, a on dalej czytałby o gnomach.

– To nie są gnomy – usłyszałam w tle oburzony głos Douga.

– Co mam zrobić?

– Musisz pojechać po Lissę – westchnęłam ciężko, a on to najwyraźniej usłyszał, bo zaczął mówić z prędkością karabinu. – Wiem, że to daleko i przepraszam, że cię o to proszę. Ale nic innego nie da się zrobić.

– Hmm – mruknęłam. To nie dwie godziny jazdy w każdą stronę tak mnie zaniepokoiły. Właściwie nie wiedziałam, o co mi chodzi. Myślałam tak szybko, jak tylko mogłam, zastanawiając się nad jakąś inną opcją. Może Dawn? Nigdy nie poznała Lissy, ale zawsze mogłam przesłać jej zdjęcie. – Słuchaj, chodzi o to... – poczułam, jak ktoś ciągnie mnie za rękaw. Spojrzałam w dół i zobaczyłam Becketta.

– Co się dzieje? – spytał, a moja strapiona mina najwyraźniej dawała mu nadzieję. – Możemy iść?

– Chodzi o to – powtórzyłam – że mam dzisiaj na głowie mnóstwo rzeczy. Ważnych rzeczy. I...

– Emily? – Uniosłam głowę. Kobieta w różowej koszulce uśmiechała się do mnie. – Twój kucyk jest gotowy.

Zasłoniłam dłonią głośnik, ale najwyraźniej niewystarczająco

szybko, bo Collins z niedowierzaniem zapytał:

– Em, serio?

– Dobrze – odparłam, wiedząc, że zostałam przyłapaną. –

Przyślij mi adres.

Jako że zapłaciłam z góry, dostałam bilet na następną jazdę. Nie umknęło mojej uwadze, że zapoczątkowałam w ten sposób kolekcję kuponów ze stajni. Zostawiwszy uradowanego Becketta w domu, poinformowałam rodziców, że wychodzę na parę godzin i zabieram samochód. Mama pokiwała głową, tata nawet na mnie nie spojrzał. Wyglądali na wykończonych, jak zawsze, kiedy pracowali przez wiele godzin. Podeszłam do samochodu, wsiadłam, po czym wróciłam do garażu, żeby przynieść z niego drewnianą część dachu. Chociaż byłam prawie pewna, że nie będzie padać, nie chciałam, żeby Lissa Young przemokła w moim samochodzie. Odetchnęłam głęboko i ruszyłam w drogę. Włączyłam głośną muzykę, próbując przekonać samą siebie, że po prostu wyświadczam Collinsowi – i Frankowi – przysługę i nie ma powodu, żeby się tak denerwować. Mimo to, perspektywa, że Lissa wsiądzie do mojego samochodu, sprawiła, że nabrałam ochoty, by wymienić w nim absolutnie wszystko.

Kiedy wjechałam na drogę I-95 i włączyłam swoją ulubioną piosenkę Erica Churcha, zdałam sobie sprawę, że jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mam ochoty spędzać z nią czasu. Lissa należała do innego świata, do świata, w którym Frank był Frankiem Porterem, tym doskonałym chłopakiem nieprzypominającym w ogóle tego, którego poznałam w czasie wakacji, tego, który czasem potykał się o własne nogi, bał się wysokości i miewał na głowie kleksy pomarańczowej farby. Tego, który przez dwa dni rozmawiał z kolegą tylko tekstami Beatlesów i który – z tym samym kolegą – obrzucał się nachosami.

Jechałam już prawie godzinę, kiedy z siedzenia pasażera dobiegł mnie dzwonek telefonu. Mój samochód był na tyle stary, że nie było w nim żadnych ułatwień, które pozwalałyby rozmawiać bez użycia rąk, stuknęłam więc w ekran, próbując nacisnąć na guzik, który uruchamiał głośnik. Sloane powiedziała mi kiedyś, że

gdy rozmawiałam z nią w taki sposób, miała wrażenie, że znajdowałam się na dnie jaskini z beznadziejnym zasięgiem, pomyślałam sobie jednak, że lepsze to niż mandat za gadanie przez telefon, który zresztą Collins dostał tydzień wcześniej.

– Halo? – zawołałam w kierunku telefonu. Nie wyglądało na to, by dzwonił ktokolwiek z moich znajomych, ale nie zamierzałam odrywać wzroku od drogi na zbyt długo, nie byłam więc tego pewna. – Halo? – powtórzyłam. Spojrzałam na telefon i ku swojemu zdziwieniu zobaczyłam na ekranie twarz Lissy – najwyraźniej nacisnęłam przycisk uruchamiający wideo-rozmowę. – Och – powiedziałam, próbując pochylić się trochę bardziej. – Nie chciałam... poczekaj chwilę, dobrze? – poprosiłam, widząc, że znalazłam się niedaleko zatoczki na poboczu drogi.

Nie wiedziałam, jakie są zasady dotyczące rozmów wideo przez komórkę, ale naprawdę nie chciałam teraz się dowiadywać. Zjechałam więc z autostrady. Było to małe miejsce na odpoczynek, z kilkoma łazienkami i automatami z kawą i przekąskami. Mimo to zebrało się tam sporo ludzi, wykończeni rodzice i dzieciaki biegające w popołudniowym słońcu. Zaparkowałam w pewnej odległości od hałasu i uniosłam telefon, żałując, że nie cesałam ostatnio włosów, a rano nie nałożyłam na twarz nic poza balsamem na usta.

– Cześć – powiedziałam – przepraszam, próbowałam włączyć głośnik, nie chciałam włączyć kamerki.

– Hej – Lissa uśmiechnęła się do mnie lekko – nic nie szkodzi. – Wyglądała tak samo jak w szkole, może była tylko trochę bardziej opalona. Od razu zauważyłam jednak, że jej oczy są czerwone i nieco spuchnięte. – Jak się masz, Emily?

W Lissie było coś takiego, że od razu chciałam się wyprostować i żałowałam, że nie czytałam ostatnio gazet.

– W porządku – odparłam. – Powinnam być za jakąś godzinę. Mam adres, więc...

– To właśnie po to... cóż... – Lissa odwróciła głowę i zacisnęła wargi. Po chwili znów zwróciła się do mnie. – Chciałam z tobą porozmawiać, zanim dojedziesz za daleko. Mam nadzieję,

że nie przeszkadza ci, że zadzwoniłam. Collins dał mi twój numer.

– W porządku – odparłam. – Jak już mówiłam, powinnam być u ciebie za godzinę. Jadę powolusiu. – Uśmiechnęłam się, ale ona nie odwzajemniła uśmiechu, a ja dopiero po chwili zorientowałam się, dlaczego. – Powoli. Jadę powoli. Ale jeśli zaraz wrócę na drogę, powinnam...

– Nie przyjadę – przerwała mi. – Ja... – Opuściła głowę i odetchnęła głęboko, nim dokończyła zdanie. – Wiem, że powinnam była to zaplanować, ale tu po prostu za dużo się dzieje.

Patrzyłam na nią przez chwilę w milczeniu. W ogóle nie znałam tej dziewczyny, ale odgadłam bez trudu, że coś jest nie tak. Nie odzywałam się więc i miałam nadzieję, że nie jest dla niej oczywiste, że jej nie wierzę.

– Myślałam, że uda mi się wyrwać – ciągnęła, wciąż na mnie nie patrząc. – Przepraszam, że przeze mnie jechałaś tyle na próżno.

– Och – powiedziałam. – Hmm... – Pomyślałam o Franku, o tym, jak bardzo będzie rozczarowany, o tym, jak to popsuje imprezę organizowaną przez Collinsa.

– Zadzwoń do Collinsa i powiem mu o zmianie planów – powiedziała, teraz bardziej rzeczowo, jakby była to kolejna rzecz do załatwienia na jej liście. – I do Franka, oczywiście.

– OK, w porządku. – Lisa pokiwała głową. Nie wiedziałam, jak zakończyć tę rozmowę.

– Rozumiem, że zbliżyłaś się do Collinsa? – spytała, patrząc prosto na mnie. – Trochę się zdziwiłam, kiedy powiedział, że po mnie przyjedziesz, ale jeśli jesteście...

– Nie! – zawołałam nieco zbyt gwałtownie. Nie to, żebym nie widziała, że może się podobać. Dawn parę dni wcześniej nie przestawała powtarzać, że wygląda jak słodki kolega astronauty, a ja faktycznie dostrzegłam podobieństwo, ale nie byłam nim zainteresowana. – Nie – powiedziałam spokojniej. – To po prostu mój przyjaciel. Tak jak Frank – dodałam. Nie byłam pewna, czy to ja powinnam poinformować ją, że spędzam tak dużo czasu z jej chłopakiem, ani czy Frank jej o tym powiedział. Ale nie chciałam też, żeby pomyślała, że przyjaźnię się tylko z Collinsem. To

brzmiało jak kłamstwo albo jakbyśmy z Frankiem próbowali się ukrywać.

– To dobrze – powiedziała po chwili. – To... to dobrze. Cieszę się. – Patrzyłyśmy na siebie jeszcze przez chwilę, potem ona odwróciła głowę. Kiedy spojrzała na mnie znowu, kruchość, którą dostrzegłam, zniknęła. Wydała się teraz zdystansowana, rzeczowa. – Nie powinnam cię dłużej zatrzymywać – powiedziała. – Jeszcze raz przepraszam, że nie zadzwoniłam wcześniej.

– Nic się nie stało – odparłam, ale zaraz pożałowałam, że nie wymyśliłam nic bardziej efektownego. – To... do zobaczenia?

Uśmiechnęła się lekko.

– Jasne – powiedziała. – Dziękuję, Emily. – Jej zdjęcie zniknęło, a ja patrzyłam na swoją własną, zmieszaną minę.

Telefon zadzwonił znowu godzinę później; a podczas tej godziny przesunęłam się tylko o kilka mil. Coś musiało się stać, podejrzewałam, że zdarzył się jakiś wypadek. Próbowałam uzyskać jakieś informacje, ale w radiu natrafiałam tylko na reklamy i prognozy pogody. Jadąc tak wolno, bez trudu zorientowałam się, że dzwoni do mnie Collins, i odebrać telefon bez kolejnych kłopotów.

– Hej. Dzwoniła do ciebie Lissa?

– Tak – odparł, wzdychając ciężko. – Przepraszam, że wysłałem cię tak daleko.

– Nie przejmuj się – odparłam. – A... jak się czuje Frank?

– Próbuję jakoś to tutaj ogarnąć – powiedział Collins, co bynajmniej nie było odpowiedzią na moje pytanie. – Plany są w toku, więc napisz do mnie, jak wrócisz, dobra?

– Jasne. Ale stoję w korku, więc to może jeszcze trochę potrwać.

– Nie ma sprawy – odpowiedział. – Ja...

Nie usłyszałam, co powiedział później, bo kierowca samochodu przede mną nacisnął na hamulec. Chociaż się ledwie toczyliśmy, musiałam zrobić to samo, a potem wstrzymać oddech, w nadziei, że auto jadące za mną nie wjedzie mi w tyłek. Po kilku sekundach uspokoiłam się – nic złego się nie stało, ale wszystkie

rzeczy, które zebrałam pod siedzeniem pasażera, wysypały się na podłogę.

– Collins? – zawołałam do słuchawki.

Nie wiedziałam, czy telefon się wyłączył, czy może on się poddał, w każdym razie połączenie się urwało. Odłożyłam telefon i spojrzałam na bałagan na podłodze. Leżały tam maskara Sloane, połamane okulary słoneczne, na wpół opróżniona butelka wody i książka, której nie oddałam do biblioteki Stanwich High, chociaż przysięgałam, że to zrobiłam. Coś jeszcze tam było. Na chwilę oderwałam wzrok od drogi, żeby to podnieść. Był to jednorazowy aparat fotograficzny.

JAK EMILY WIDZI ŚWIAT – widniały zapisane przez Sloane markerem słowa z tyłu. Dała mi go w zeszłym roku i był już prawie pełen, zostało tylko kilka zdjęć. Chociaż szybko robiło się ciemno, podniosłam go i zrobiłam zdjęcie autostrady, maski mojego samochodu i nieskończonej linii czerwonych świateł – w ten sposób właśnie, w tym konkretnym momencie widziałam świat.

Zaparkowałam samochód przed Sadem, zgasiałam silnik i siedziałam jeszcze przez chwilę bez ruchu, patrząc na światła. Droga do Stanwich zajęła mi znacznie więcej czasu, niż podejrzewałam. Collins wysyłał mi kolejne SMS-y – impreza odbywała się w Sadzie, a ja miałam przyjechać, kiedy tylko mi się uda.

Zawahałam się chwilę, nim na to odpowiedziałam. Dojechałam do domu i weszłam do sanktuarium mojego pokoju. Podejrzewałam, że większość ludzi, którzy byli zaproszeni na imprezę, byli starymi kolegami Franka – tymi, których widziałam tej pierwszej nocy, kiedy pojechał ze mną po benzynę. Od tamtej pory nie wróciłam do Sadu ani razu, poza tym nie wiedziałam, jak wpasuję się w to towarzystwo. Zamierzałam już wysłać Collinsowi kolejnego SMS-a o korkach, żeby odwlec decyzję, kiedy dostałam wiadomość.

Hej, przyjdiesz? Jestem w Sadzie. Do zobaczenia?

Była od Franka. Bez wahania odpowiedziałam, że już jadę. Sięgnęłam po wybrany przez Sloane strój – sukienkę vintage, którą często nosiłam poprzedniego lata. Kiedy ją włożyłam, zaczęłam nagle poprawiać ramiączka, obciągnąć rąbek – z jakiejś przyczyny nie podobało mi się to, co widziałam w lustrze. To nie byłam już ja. Przebrałam się więc w dżinsową spódnicę, którą kupiłam tydzień wcześniej z Dawn, i siatkowy, biały top. Umalowałam się lekko, wzięłam prezent dla Franka, włożyłam klapki i wróciłam do samochodu.

Teraz, kiedy byłam już na miejscu, mój prezent wydał mi się głupi i nie chciałam, żeby Frank czuł się zmuszony, by otworzyć go przy ludziach – tak naprawdę sama nie chciałam, żeby go przy nich otwierał. Ostrożnie położyłam paczuszkę za moim fotelem i wysiadłam, wyglądając spódnicę.

Po drodze przypominałam sobie ostatni raz, kiedy byłam w Sadzie. Wtedy przyjechałam całkiem sama, czułam się żałośnie, wpatrywałam się w telefon i próbowałam udawać, że jestem z kimś umówiona, że ktoś na mnie czeka. Teraz, pomyślałam ze zdziwieniem, wszystko to było prawdą. Nie było szans, żebym spędziła ten wieczór pod drzewem. Zastanawiałam się, jak wiele może wydarzyć się przez dwa miesiące, jak wiele się zmieniło.

Może jednak nie wszystko. Zwolniłam, zauważając, że na jednym ze stołów piknikowych, na samym skraju polany, tyłem do mnie siedzi Gideon. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Sama, ale na szczęście nigdzie go nie było. Mogłam pójść określną drogą tam, gdzie dostrzegłam właśnie Collinsa – nie wyobrażałam sobie, by ktokolwiek inny mógł włożyć na siebie fioletowe polo – ale uznałam, że nie chcę się czaić, że nie chcę przez cały wieczór czuć się niezręcznie. Zanim zdołałam odwieść samą siebie od tego pomysłu, podeszłam do Gideona i poklepałam go po ramieniu.

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, przy okazji omal nie wypuszczając trzymanej butelki piwa.

– Hej – uśmiechnęłam się szeroko. – Jak leci?

Przez chwilę mrugał tylko, jakby nie mógł uwierzyć, że stoję przed nim albo że to ja podeszłam, żeby się przywitać, a nie na odwrót.

– Hej – powiedział wreszcie.

– Przyszłam się tylko przywitać – odparłam po nieco przedłużonej przerwie. Zapomniałam już, jak bolesne bywały czasem rozmowy z Gideonem i zaczęłam żałować, że rozpoczęłam tę.

Pokiwał głową i przeturlał w dłoniach butelkę, a kiedy nic nie odpowiedział, zrozumiałam wreszcie, że naprawdę nie chciał ze mną gadać. Już miałam powiedzieć, że miło się było spotkać i że czekają na mnie znajomi, kiedy odezwał się:

– Miałaś udane wakacje?

– Och – powiedziałam, próbując zebrać myśli, żeby nie skończyło się na beznadziejnym „świetnie”. Gideon nie zadawał takich pytań tylko po to, żeby być uprzejmym, i nigdy nie chciał usłyszeć, że wszystko było w porządku, kiedy nie było. – Były zupełnie inne, niż się spodziewałam. – Mówiąc te słowa, zdałam sobie sprawę, że nikt z nas nie spodziewał się takich wakacji: ani Frank, ani Dawn, ani Collins, nawet Beckett i moi rodzice. – Ale było świetnie, naprawdę dobrze się bawiłam.

Patrzył na mnie przez chwilę, potem pokiwał głową.

– Cieszę się – odparł spokojnie, uważnie, jak to miał w zwyczaju. – Czy...

– No cześć. – Nagle ktoś znalazł się obok mnie i otoczył mnie ramieniem. Spodziewałam się, że to Collins albo jakiś szukający szczęścia pierwszoklasista ze Stanwich College, ale zrobiłam krok w tył, widząc Benjiego.

– Och. – Cofnęłam się jeszcze krok, uwalniając się z jego objęcia. – No cześć.

Gideon wstał i groźnie spojrzał na Benjiego z góry – było to niezłe dokonanie, biorąc pod uwagę wzrost Benjiego.

– Emily, znasz tego kolesia?

– Oj, dobrze mnie zna. – Benji mrugnął do mnie – być może był to tik charakterystyczny dla rodziny Collinsów – najwyraźniej

niezbyt dobrze ogarniając sytuację. Zrobił krok w moją stronę. – Jak się masz?

– Dobrze – powiedziałam, nieco zbyt wesoło.

– Em – w głosie Gideona wyczułam urazę, choć wyraźnie starał się ją ukryć – czy wy...

– Jestem taka niegrzeczna! – wyrzuciłam z siebie, głównie po to, żeby Gideon nie mógł zadać pytania, na które nie chciałam odpowiadać. – To Gideon – przedstawiłam go – a to Benji.

– Ben – poprawił mnie bez uśmiechu.

– Jasne, oczywiście – odparłam szybko. – No nic, było miło, ale muszę już...

– To co tam u ciebie? – spytał Benji, znów się uśmiechając. – Dawno cię nie widziałem.

– No nic. – Nie byłam pewna, o czym mówi, skoro widzieliśmy się tylko ten jeden raz, w spiżarni Franka.

– Czy wy... – Gideon przenosił wzrok ze mnie na Benjiego i z powrotem.

– Nie – odparłam szybko, ale w tym samym czasie Benji powiedział:

– Cóż, jeden raz...

– Emily? – Gideon wydawał się zbity z tropu.

– O, tu jesteś.

Odwróciłam się i zobaczyłam Franka z butelką wody w dłoni.

– Cześć – uśmiechnęłam się szeroko. Cieszyłam się, że go widzę, choć przecież od naszego ostatniego spotkania minęło tylko kilka godzin. Teraz, kiedy stanął przede mną, nie mogłam uwierzyć, że w ogóle rozważałam pozostanie w domu.

– Co się dzieje? – spytał Frank, nieco zmieszany, patrząc to na mnie, to na Benjiego, to na Gideona.

– Nic takiego – powiedziałam szybko, dostrzegając szansę na wyplątanie się z tej sytuacji. – Musimy iść, prawda? Świątować twoje urodziny! Teraz! – Otworzyłam szeroko oczy, w nadziei, że załapie.

Uśmiechnął się do mnie, wyraźnie powstrzymując wybuch

śmiechu, i powiedział:

– Tak. Moje urodziny. Oczywiście.

– To cześć – pożegnałam się z Gideonem. Benji ruszył w stronę faceta sprzedającego piwo. Gideon przenosił teraz wzrok ze mnie na Franka i z powrotem. – Do zobaczenia? – spytałam. On jednak nigdy nie ułatwiał takich rozmów, więc tylko patrzył na mnie w milczeniu.

– OK – uśmiechnął się po chwili Frank, przeistaczając się w przewodniczącego klasy, który potrafi wybrnąć z każdej trudnej sytuacji. – Dobrej nocy. Emily, chodź ze mną, zebraliśmy się tam... – Zaczął prowadzić mnie w stronę odległego stołu piknikowego, na którym stał tort z supermarketu. Collins gadał z jakąś dziewczyną wyraźnie spoza jego ligi, a Doug kręcił się niezgrabnie wokół kolegów Franka ze szkoły.

Wyczuwałam, jakie pytanie chciał zadać Frank, ale wolałam na nie nie odpowiadać, patrzyłam więc prosto przed siebie.

MAJ

Dwa miesiące wcześniej

– Musisz mi go pokazać – powiedział Gideon, próbując obrócić ramię, żeby zobaczyć tatuaż, który rysowałam mu właśnie markerem.

– Nie. – Zasłoniłam obrazek. – Dopiero jak skończę. Wiesz, że jestem w tym słaba.

Wielką dłonią wygładził moje włosy, schował jeden z kosmyków za ucho.

– Nie jesteś.

– Ha – odparłam. – Na pewno będzie gorzej, jeśli nie przestaniesz się wiercić.

– No już – odparł, obdarzając mnie jednym ze swoich rzadkich, nieśmiałych uśmiechów.

Przez te dwa miesiące, odkąd kumplowaliśmy się w czwórkę, rysowanie tatuaży stało się naszym zwyczajem. Wieczory zaczynaliśmy wspólnie, ale potem Sloane i Sam oddalali się gdzieś sami, a wtedy zostawaliśmy w trójkę: Gideon, marker i ja. Wszystko zaczęło się pierwszego wieczora w Sadzie i szybko stało się naszą tradycją, chociaż musiałam zebrać się na odwagę, żeby coś na nim narysować. Nie miałam żadnych zdolności manualnych, a Gideon był utalentowanym artystą, chociaż sam twierdził, że to tylko głupia zabawa. Cieszyłam się ze swoich kolejnych tatuaży, choć wiedziałam, że mają krótki termin przydatności. Blakły z czasem i z każdym prysznicem, aż pozostawał tylko blady cień wzoru, który zdobił wcześniej moje ramię czy kostkę.

Sloane uważała, że Gideon będzie cudownym remedium na moje problemy z Samem. W ten sposób mogliśmy spędzać czas wszyscy razem. Nie mogłabym powiedzieć, że mi się nie podobał: był naprawdę fajnym facetem, świetnie całował i miał szelmowskie poczucie humoru, z którym ujawniał się dopiero wtedy, kiedy poznało się go bliżej. Ale wciąż towarzyszyła mi dręcząca myśl, że sam nie wybrałam go, że został mi podstawiony. Wciąż zastanawiałam się, co by się wydarzyło, gdybyśmy się po prostu przypadkowo poznali, gdyby nasi przyjaciele nie obciążyli nas swoimi oczekiwaniami.

Teraz jednak, na kanapie w salonie Sama, było mi z nim bardzo miło. Włączyliśmy pauzę w połowie filmu, który oglądaliśmy wszyscy razem, a na ekranie dawno już pojawił się screensaver z przypadkowymi zdjęciami – motyl na liściu, afrykański pejzaż, latarnia. Oglądanie filmu przerwał nam SMS, który dostał Sam. Sloane przeczytała go i powiedziała mu do ucha coś, czego nie usłyszałam. Sam popędził do kuchni, Sloane za nim. Od tamtej pory minęło dwadzieścia minut, a kiedy stało się jasne, że raczej w najbliższym czasie nie wrócą, Gideon zatrzymał film, wyciągnął pisak i spojrzał na mnie znacząco. Była moja kolej, a

jako że markera nie dało się łatwo zmasać, starannie zaplanowałam ten rysunek. Była to seria morskich fal, które miały otoczyć jego ramię. Fale były dość łatwe do naszkicowania, tyle jeszcze umiałam. Później, na jednej z fal narysowałam misia na desce surfingowej. Nie miało to zbyt wiele sensu, ale kreskówkowe niedźwiadki były jedną z niewielu rzeczy, które dobrze mi wychodziły, miałam więc nadzieję, że Gideon nie będzie zadawał zbyt wielu pytań. Dopracowałam uszy misia i odchyliłam się lekko, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. Byłam z niego całkiem zadowolona. Gideon wciąż siedział odwrócony, więc spontanicznie dopisałam „Emily xoxo” i nałożyłam skuwkę na flamaster.

– Gotowe – ogłosiłam.

Spojrzał na rysunek i uśmiechnął się.

– Ale super – powiedział. – Najfajniejszy, jak do tej pory. – Zmrużył oczy. – Czy to niedźwiedź?

– Mhm – odparłam. Takie pytanie to niezbyt dobry znak. – To miał być niedźwiedź.

– Jest świetny. Naprawdę.

Przez chwilę patrzył na mnie, a potem przysunął się i mnie pocałował. Po krótkiej chwili wahania odwzajemniłam pocałunek. Flamaster wypadł mi z dłoni. Przyciągnął mnie bliżej i objął ramionami.

– Łał! – Odsunęłam się i wyprostowałam, widząc Sama, który stanął w drzwiach ze skwaśniałą miną. – Nie chciałem przeszkadzać.

– Nie zauważyłem cię – powiedział, czerwieniąc się, Gideon.

– Najwyraźniej. – Sam uśmiechał się w charakterystyczny dla siebie, nieprzyjemny sposób.

– Gdzie jest Sloane? – spytałam, nie widząc za nim przyjaciółki.

– W kuchni. – Wzruszył ramionami, jakby specjalnie go to nie obchodziło. Wskazał na telewizor. – Oglądamy?

– Jasne – odparłam, przysuwając się do Gideona, żeby zrobić miejsce na kanapie.

Sam chwycił pilota i skierował go w stronę telewizora. Dokładnie w tym samym momencie Gideon spojrzął na telefon i jęknął:

– Muszę lecieć – wyszeptał, odkładając go z powrotem. – Godzina policyjna.

Nigdy nie byłam u niego w domu ani nie poznałam jego rodziców, ale z tego, co opowiadał, dało się wysnuć podejrzenie, że byli surowi. Jego godzina policyjna wypadła dwie godziny wcześniej niż moja. Pokiwałam głową, a on pochylił się i cmoknął mnie w policzek. Czułam na sobie wzrok Sama. – Zadzwoń do ciebie jutro – powiedział Gideon. Pożegnał się z Samem tak samo jak zwykle – ni to podaniem ręki, ni przybiciem piątki.

– Pożegnasz ode mnie Sloane? – spytał w drodze do drzwi. Pokiwałam głową.

– Pewnie – odparłam. Uśmiechnął się, a już chwilę później usłyszałam trzaśnięcie drzwi i warkot silnika.

– Wiesz co – powiedział Sam ze swojej strony kanapy. Pożałowałam nagle, że nie mogę przesunąć się na drugi jej skraj albo w ogóle wstać, nie pokazując jednocześnie, że chciałabym od niego uciec. – Myślę, że to mnie pytał.

– O co? – patrzyłam na niego bez zrozumienia.

– O to, czy pożegnasz się ze Sloane. Myślę, że pytał mnie, nie ciebie.

– Och. – Trudno było mi uwierzyć, że ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenie, ale najwyraźniej miało. – To sorry. – Spojrzałam w kierunku kuchni, zastanawiając się, czy moja najlepsza przyjaciółka mnie nie potrzebuje. Czułam się trochę niezręcznie, że zostaliśmy tu w trójkę, bo zazwyczaj wychodziłam razem z Gideonem. – Pójdę po Sloane – powiedziałam.

– I zostawisz mnie samego? – spytał Sam. Gdybym widziała, że żartuje, mogłabym się roześmiać, ale on patrzył tylko na mnie z uwagą.

– Ha. – Znów zwróciłam się w stronę kuchni. Wiedziałam, że powinnam po prostu wstać i pójść się pożegnać.

– Widzę, że zbliżyliście się do siebie z Gideonem –

powiedział, przysuwając się do mnie nieco.

– Chyba tak – odparłam zażenowana. Sam przysunął się jeszcze bliżej, z nieprzeniknioną miną, jakby wiedział, że mnie stresuje i jakby mu się to podobało.

– Chcesz wiedzieć, co mi o tobie powiedział? – spytał ściszym głosem.

– Absolutnie nie. – Zmusiłam się do śmiechu, który nawet w moich uszach zabrzmiał płasko. – Chcesz obejrzeć film?

– Nie – odparł, nie odrywając ode mnie wzroku. – Powinniśmy się zaprzyjaźnić, Emily.

– Już się przyjaźnimy – odparłam wesoło, marząc, by ta dziwna wymiana zdań jak najszybciej się skończyła. Nigdy nie zostawałam z Samem sam na sam i zdecydowanie wolałabym, żeby tak pozostało.

– Naprawdę? – Pochylił się nade mną.

Czasem sprawy toczą się tak szybko, że nie masz czasu, żeby cokolwiek przemyśleć, reagujesz instynktownie w nadziei, że jakoś to będzie. W tym momencie wydarzyły się dwie rzeczy jednocześnie. Sam pocałował mnie, a ja zobaczyłam w drzwiach Sloane, z dwiema szklankami w dłoniach.

Mogłam po prostu się odwrócić albo go odepchnąć, ale pozwoliłam mu się pocałować, odczekałam sekundę, po czym odepchnęłam go i zawołałam:

– Co ty robisz?

Usłyszałam brzęk tłuczonego szkła i spojrzałam na Sloane, która zamarła z szeroko otwartymi oczami. Coś, co wyglądało jak cola, spływało po jej butach. Po jej nowych, białych butach, na które odkładała przez miesiąc.

Sam odwrócił się gwałtownie i zaczął kręcić głową, patrząc to na mnie, to na Sloane.

– To nie... – powiedział szybko i piskliwie – Emily rzuciła się na mnie po wyjściu Gideona i...

Sloane popatrzyła na mnie, jakby oczekiwała odpowiedzi. Pokręciłam głową. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy wybierze Sama, jego wersję wydarzeń, ich trzy miesiące zamiast

naszych dwóch lat. Ten niepokój rozwiązał się jednak, kiedy w jej oczach zobaczyłam, że mi wierzy.

– Em, czy mogłabyś poczekać w samochodzie? – spytała cichym, łamiącym się głosem. – Przyjdę za chwilę.

Pokiwałam głową, zerwałam się na nogi i chwyciłam swoją torbę. Podchodząc do drzwi, zobaczyłam, że Sam jest jednocześnie zszokowany i wściekły.

– Poczekaj, nie chcesz mnie nawet wysłuchać? – spytał głośno.

– Nie – usłyszałam głos Sloane, nim zamknęłam za sobą drzwi.

Stałam na macie z napisem „witajcie, przyjaciele”, próbując ułożyć sobie w głowie, co wydarzyło się przed chwilą. W głębi duszy wiedziałam, że mogłam temu zapobiec. Ale skoro Sam i tak zamierzał mnie pocałować, czy to nie dobrze, że Sloane to zobaczyła? Że wreszcie zrozumiała, jakim jest facetem?

Wiedziałam, że usprawiedliwiam właśnie coś, czego nie powinnam zrobić, ale zanim zdążyłam wmówić sobie, że postąpiłam słusznie, na podjazd wjechał SUV. Przez szybę zobaczyłam Gideona, który uśmiechał się już do mnie, gasząc silnik i wysiadając z samochodu. Zeszłam po schodkach. Spotkaliśmy się w połowie drogi.

– Hej, wychodzisz już? – spytał.

Zerknęłam na dom. Wiedziałam, że nie mam zbyt wiele czasu, jeśli Sloane zamierzała z nim zerwać, a byłam prawie pewna, że to zrobi. Sloane nie lubiła się kłócić, więc nawet jeśli Sam oczekiwał długiego, przegadanego rozstania, nie mógł na nie liczyć.

– Tak – wydukałam. Nie wiedziałam, co – jeśli w ogóle – powinnam mu powiedzieć. Nie miałam żadnych złudzeń, co do tego, co Sam zrobi z tą historią.

– Zapomniałem telefonu – powiedział, wskazując dom.

– Posłuchaj – zaczęłam.

On miał godzinę policyjną, ja spodziewałam się, że Sloane zaraz przyjdzie, musiałam więc załatwić sprawę jak najszybciej.

To był koniec między mną a Gideonem. Zdając sobie z tego sprawę, poczułam, że coś mnie ściska, ale zlekceważyłam to. Zawsze byliśmy tylko dodatkiem do związku naszych przyjaciół. Sami w sobie nie mieliśmy sensu. Nie dalibyśmy rady przetrwać. Lepiej było dać sobie spokój od razu, niż próbować ciągnąć coś skazanego na porażkę.

– Myślę, że Sloane i Sam właśnie ze sobą zrywają – powiedziałam, zerkając znów na drzwi.

– Nie? – Twarz Gideona spochmurniała. – Jesteś pewna, że po prostu się nie kłóć? Bo oni...

– Więc ja myślę... – zaczęłam, ale urwałam, nie wiedząc, jak skończyć zdanie. Nigdy wcześniej nie musiałam z nikim zerwać. – Było naprawdę świetnie – powiedziałam po chwili – ale...

Gideon dopiero po chwili zrozumiał, co miałam na myśli.

– Poczekaj, Emily. Co ty mówisz?

– Wydaje mi się, że to byłoby zbyt trudne – odparłam, zdając sobie sprawę, że w tym zdaniu nie było zbyt wielu sensownych rzeczowników ani czasowników. – Tak myślę. – Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Sloane, bosa, ze zniszczonymi butami w dłoni – Więc... trzymaj się, dobrze? – powiedziałam, nienawidząc się za to, ale jednocześnie wmawiając sobie, że to najlepsze, co mogę zrobić. Nie ma co tego przeciągać, myślałam.

Gideon patrzył na mnie tak, jakby wciąż wierzył, że to jakiś wyrafinowany dowcip. Zmusiłam się, żeby się od niego odwrócić i wsiadłam do samochodu, zauważając jeszcze „xoxo”, które tak niedawno narysowałam na jego skórze.

Dwie godziny później ciasto zostało zjedzone, piosenka urodzinowa zaśpiewana, a większość gości odjechała.

A ja byłam wstawiona.

Nie planowałam tego, ale kiedy usiadłam przy piknikowym stole, Collins podał mi czerwony kubek z piwem i widelec – zapomniał o talerzykach na ciasto. Kupił tort ze zniżką, bo ktoś go nie odebrał, dlatego na jego górnym blacie widniał napis

„Gratulacje, Wanda!”. Nie było sprecyzowane, co takiego udało się Wandzie, a w rogach mieściło się tylko kilka krzywych, cukrowych różyczek. Było obrzydliwie słodkie, więc na początku popijałam tylko piwo, żeby zrównoważyć smak. Kiedy jednak wypłam trochę więcej, sztywne rozmowy ze znajomymi Franka stały się nieco łatwiejsze. Nikt nie rozumiał, czemu tam jestem, większość podejrzewała, że pracuję z Frankiem i Collinsem, a reszta – że jestem dziewczyną Douga. Kiedy wypłam drugi kubeczek, zorientowałam się, że naprawdę jestem wstawiona. Zdziwiło mnie to nieco, ale zdałam sobie sprawę, że przez cały dzień nie jadłam nic oprócz paru urodzinowych pączków wiele godzin wcześniej. Co wyjaśniało mój obecny stan, ale nie pomagało czegokolwiek z tym zrobić.

Wylądowałam na stole z Collinsem, który wyjadał resztkę tortu i wylewał swoje miłosne żale. Wydawał się zdecydowanie bardziej zainteresowany monologiem niż dialogiem, co bardzo mi odpowiadało, bo kiedy zbyt dużo piję, zazwyczaj staję się przesadnie szczera i opowiadam ludziom rzeczy, których inaczej nigdy bym nie powiedziała.

– Jestem fajny, prawda, Emily? – spytał, machając widelcem w powietrzu. – Wiesz, C-gość ma styl, co nie? Szyk i styl. I wie, jak to się robi z kobietami.

Zrobiło mi się trochę niedobrze i nie byłam pewna, czy to z winy alkoholu.

– No...

– A jednak wszystkie te laski rezygnują z przejażdżki C-pociągiem. Ich strata. Mam rację, co nie? – Włożył do buzi duży kawałek ciasta, przy okazji brudząc nos lukrem.

Chwyciłam jego twarz i wytarłam go. Collins zamrugął zdziwiony. Była to kolejna rzecz, którą robiłam, kiedy byłam trochę pijana – działałam bezmyślnie, nie zastanawiając się nad możliwymi rezultatami.

– Nie wiem – odparłam, przypominając sobie dziewczynę, którą podrywał parę godzin wcześniej i wszystkie, przed którymi robił z siebie durnia w szkole. – Czy nie myślałeś kiedyś o tym,

żeby umówić się z kimś trochę mniej... – urwałam. Obawiałam się, że obrażę go, jeśli dokończę to zdanie słowem w stylu „niedostępnego”. Mój mózg nie był teraz w stanie wymyślić żadnego innego rozwiązania. – Wiesz... może z kimś, z kim już się przyjaźnisz.

Collins pokręcił głową.

– Dawn powiedziała to samo tydzień temu – odparł. – Ale nie da się zaplanować, w kim się zakochasz. Serce ma swoje prawa.

Nie miałam siły się z nim kłócić, popatrzyłam więc tylko na rzędniejący tłum.

– Szkoda, że nie przyjechała.

– Taaa – zgodził się Collins. – Robiłem, co mogłem, ale powiedziała, że „musi pracować”. – Wypowiadając ostatnie słowa, narysował cudzysłów w powietrzu i pokręcił głową. Dawn została zaproszona, ale podobno, odkąd się zakumplowaliśmy, szef zaczął czepiać się, że dostawy zajmują jej zbyt wiele czasu, nie chciała więc dodatkowo go irytować.

– To chyba koniec – powiedział Frank, machając do dwóch chłopaków, którzy byli przekonani, że pracuję w IndoorXtreme i trochę się obrazili, kiedy powiedziałam, że nie załatwię im darmowych wejściówek.

– Dobrze się bawiłeś? – spytał Collins, jakby miał odpowiedź w nosie. Znałam go na tyle dobrze, że wiedziałam już, że to tylko poza.

– Było super, stary. – Frank walnął go w plecy, a ja przewróciłam oczami. Nie rozumiałam, czemu faceci muszą używać przemocy, żeby okazać sobie czułość. – Wielkie dzięki.

– Tak – powiedziałam. Wstawałam ostrożnie, ale i tak straciłam równowagę i musiałam oprzeć się o stół. – Naprawdę... super.

Frank popatrzył na mnie poważnie.

– Kluczyki – powiedział, wyciągając rękę.

– Ty nic nie piłeś? – spytałam, szukając ich w torebce.

– Zjadłem miesięczną dawkę cukru – powiedział, patrząc na

resztki ciasta – ale piłem tylko wodę.

Podaliśmy mu klucze, ciesząc się, że nie będę musiała dzwonić po Dawn, rodziców albo taksówkę – żadna z tych możliwości specjalnie mi się nie podobała.

– Spotkamy się przy twoim samochodzie – powiedział. – My z Collinsem tylko trochę posprzątam.

Collins zwrócił się ku niemu zdziwiony.

– Posprzątam? To znaczy, że ja mam sprzątać? – Westchnął, wskazując na stół piknikowy, po którym wały się resztki tortu i puste, czerwone kubeczki na ziemi. – Ale ja to wszystko zorganizowałem!

– Ja pomogę. – Pochyliłam się, żeby podnieść kubek, ale straciłam równowagę i musiałam chwycić się stołu.

– Do samochodu. – Frank położył mi dłonie na ramionach i obrócił mnie w stronę parkingu. – Przyjdę za pięć minut.

– To zajmie PIĘĆ MINUT? – jęknął Collins, pochylając się po kubek.

– Do zobaczenia – powiedziałam. Jakimś cudem, nie czułam się nawet zażenowana tym, co się działo. Wiedziałam, że pewnie następnego poranka prócz bólu głowy poczuję też moralnego kaca, ale na razie po prostu cieszyłam się, że wszystko jakoś się toczy.

Skupiłam się na tym, żeby wrócić do samochodu, zastanawiając się, jak to możliwe, że na co dzień nie musiałam wkładać tyle wysiłku w czynność tak trudną jak chodzenie. Dopiero kiedy dotarłam do auta, zdałam sobie sprawę, że nie mogę do niego wsiąść, skoro oddałam Frankowi kluczyki. Usiadłam więc ostrożnie na masce. Odchyliłam głowę, żeby spojrzeć w gwiazdy, które rozświetlały całe niebo.

– Emily?

Podniosłam się nieco uważniej niż zazwyczaj i zobaczyłam stojącego przy zaparkowanym kawałek dalej SUV-ie Gideona. Jego samochód musiał być otwarty, bo ze środka dobiegały światła, które w ciemności wydały mi się nagle bardzo jasne.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparłam nieco zbyt wyraźnie. – Nie zamierzam

prowadzić – zapewniłam go. – Ale wszystko dobrze.

– Potrzebujesz podwózki? – Zmarszczył czoło. Rozumiałam, czemu mógł być skonfundowany – zazwyczaj, kiedy ktoś siedział na zaparkowanym samochodzie, oznaczało to, że ma jakieś problemy z transportem.

– Nie – odparłam, powoli obracając głowę w lewo i w prawo, żeby nie zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze. – Mój... Frank mnie odwiezie.

– Frank – Gideon spojrzał na kluczyki, które trzymał w dłoni – widzę, że nie tracisz czasu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam, ale nie w sarkastyczny sposób, w jaki ludzie zazwyczaj wypowiadają te słowa, naprawdę nie wiedziałam, o co mu chodzi. Chwilę później załapałam. – Nie, nie – powiedziałam. – Nie. My nie... on ma dziewczynę. Na serio. Miałam ją dzisiaj przywieźć, ale... – przerwałam, dochodząc do wniosku, że Gideon naprawdę nie musi poznawać wszystkich szczegółów. – Gdzie jest Sam? – spytałam. Nie chciałam go spotkać, ale jego nieobecność u boku Gideona była zaskakująca.

Wskazał ręką Sad.

– Chciał zostać trochę dłużej. – Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – A gdzie jest Sloane?

Wzruszyłam ramionami.

– Wyjechała – odparłam. – Na początku wakacji.

– Dokąd? – spytał Gideon, a ja poczułam siłę tego pytania, na które wciąż nie znałam odpowiedzi.

– Nie wiem – odpowiedziałam wściekła, że nie mam do powiedzenia nic więcej. – Ale pracuję nad tym.

Gideon pokręcił tylko głową, wpatrując się w klucze.

– Wy dwie – powiedział – po prostu zostawiacie ludzi za sobą, bez żadnego wyjaśnienia, nic was nie obchodzi, czy...

– Poczekaj – zeskoczyłam z maski samochodu. – Ja nie...

Gideon przecesał palcami swoje krótkie włosy, a wtedy zobaczyłam, że coś wystaje spod jego rękawa. Zrobiłam coś, czego

nie zrobiłabym nigdy, gdybym nie wypila dwóch piw na pusty żołądek. Nie zastanawiając się ani chwili, podeszłam do niego i podciągnęłam rękaw jego koszulki.

Zobaczyłam narysowany markerem tatuaż, który narysowałam tamtego wieczora, kiedy wszystko popsulo się między naszą czwórką. Chociaż narysowałam go w maju, parę miesięcy wcześniej, wciąż wyglądał jak nowy, fale nie przestawały płynąć. Gideon pachniał ładnie, na pewno się mył, to więc znaczyło...

Spojrzałam mu w oczy, a on cofnął się o krok, ale wcześniej zdążyłam jeszcze zobaczyć swoje imię zapisane na jego tricepsie – „Emily xoxo”. Poprawiał je od tamtej pory – te linie, które narysowałam bezmyślnie, żeby tylko zabić czas. Poczułam się tak, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch i znów zakręciło mi się w głowie – tym razem wiedziałam jednak, że nie ma to nic wspólnego z wypitym piwem.

Powoli podciągnął rękaw, a ja wreszcie spojrzałam – na ból, który spowodowałam, na szkodę, którą wyrządziłam.

– Gideon – zaczęłam. – Przepraszam cię... – Ale on już się odwrócił.

– Jasne. – Jego głos był smutny i pełen sarkazmu.

– Naprawdę mi przykro – powiedziałam, robiąc chwiejny krok naprzód, kładąc dłoń na masce jego samochodu. Żałowałam, że nie jestem trzeźwa, bo trudno mi było uporządkować myśli, wiedziałam jednak, że powinnam przynajmniej spróbować. – Nie powinnam była tak tego zakończyć. – Kiedy to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że nie powinnam też pewnie w ogóle się z nim spotykać, ale informowanie go o tym nie byłoby raczej pomocne. – Nie chciałam cię zranić. Naprawdę. – Szukałam wzrokiem jego twarzy, żeby sprawdzić, czy dotarły do niego słowa, które powinnam była wypowiedzieć parę miesięcy wcześniej.

Gideon patrzył na mnie tylko przez sekundę, nim pokręcił głową, otworzył drzwi i wsiadł do samochodu.

– Do zobaczenia – powiedział, po czym wyjechał z Sadu,

oświetlając na chwilę wyblakły znak z rysunkiem wesołych, pełnych nadziei wisienek.

Patrzyłam, jak odjeżdża, póki nie zniknął mi z pola widzenia. Zdałam sobie sprawę, że łamanie okularów Briana na kawałki na parkingu przed Rajskimi Lodami było niepotrzebne. Już wcześniej udało mi się coś zniszczyć.

Frank dotarł do samochodu kilka minut później i otworzył drzwi. Usiadłam na fotelu pasażera, gdzie nie siedziałam chyba nigdy wcześniej. Patrzyłam, jak poprawia swoje siedzenie, odsuwa się od kierownicy, zapala silnik i wjeżdża w noc.

– Kim był ten facet? – spytał po chwili Frank, zerkając na mnie. – Ten, od którego chciałaś uciec?

– Gideon – odparłam. – Mój... mój były... tak jakby. – Nie byłam pewna, czy powinnam mu to mówić, bo nigdy nie byliśmy parą oficjalnie. A jednak był to jedyny były, jakiego miałam.

– Ach, tak? – spytał Frank, patrząc na mnie, a nie na drogę, nieco dłużej, niż należało. W moim stanie nie przeszkadzało mi to jednak szczególnie. – Co się stało?

Wzruszyłam ramionami, nie chcąc wchodzić w szczegóły – nie tylko dlatego, że zachowałam się tak źle.

– Nie pasowaliśmy do siebie – powiedziałam, zdając sobie sprawę, że była to prawda. Odetchnęłam. Mówiłam dalej, bez zastanowienia. – Ty byś tego nie zrobił. – Pokręciłam głową. – Najpierw byś mnie spytał. – Frank spojrzał na mnie, zdziwiony, ale ja nie przestawałam. – Oczywiście, że nie. – Czułam, że zaczynam się śmiać. Gdyby nawet, jakimś cudem, Frank chciał mnie z kimś umówić, nieustannie sprawdzałby, czy się na to zgadzam, czy dobrze się z tym czuję. Frank odwoził mnie do domu, kiedy się upiłam, i umawiał dla mnie lekcje konnej jazdy, i naprawdę martwił się, że nigdy nie słyszałam o zespole Format, i zrobił mi składankę, żebym nadrobiła swoje muzyczne braki. Opiekował się mną. – Ale ja teraz też bym tego nie zrobiła – powiedziałam. Nie zgodziłabym się. Wydało mi się niemal niemożliwe, że pozwoliłam Sloane swatać mnie z Gideonem, chociaż wcale nie miałam na to ochoty.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mam pojęcia, o czym mówisz, prawda? – spytał Frank, skręcając w lewo, w ulicę prowadzącą do mojego domu.

– Wiem, wiem – powiedziałam. Przez chwilę chciałam mu to wyjaśnić, ale darowałam sobie. – Przykro mi, że Lissa nie przyjechała.

Frank zerknął na mnie, a potem z powrotem na drogę. Pochylił się lekko, a światło księżycy padło na jego twarz.

– Nic nie szkodzi – odparł powoli, jakby po raz pierwszy wypowiadał te słowa. – Było fajnie. Miałem świetne urodziny.

– Naprawdę? – spytałam, myśląc o nieobecności Lissy, o torcie Wandy, o tym, że musiał odwieźć mnie do domu.

– Naprawdę – odparł z przekonaniem. – Zacząłem dzień od serenady i pączków, to było fantastyczne.

– Naprawdę bardzo cię przepraszam, że musisz odwieźć mnie do domu w moje urodziny. – Spojrzał na mnie, unosząc brew, a ja zrozumiałam nagle, że coś pomieszałam. – Że musisz odwieźć mnie do domu w swoje urodziny.

– To naprawdę żaden problem – powiedział spokojnie. – Przynajmniej odwdzieczyłem się za to, że pojechałaś do Lissy do New Jersey.

– Nie dojechałam na miejsce – powiedziałam. – Zadzwoiła do mnie w połowie drogi.

Frank pokiwał głową, a ja oparłam się o szybę i skuliłam na fotelu. Wyciągnęłam ramię przez otwarty dach, poczułam między palcami ciepłe powietrze i popatrzyłam na gwiazdziste niebo. W ciemności samochodu czułam, że są blisko, niemal na wyciągnięcie ręki.

Odchyliłam głowę. Moja szyja była rozluźniona; mimo tego, co wydarzyło się właśnie między mną a Gideonem, z Frankiem w samochodzie czułam się spokojna.

– Prowadzisz mój samochód – zauważyłam, kręcąc głową. – Nikt poza mną nigdy go nie prowadził. Mam wrażenie, że ja zawsze wszystkich rozwożę.

– Jak mi idzie?

– Całkiem nieźle – odparłam po chwili. – Co najmniej zadowolająco.

Frank uśmiechnął się, a kiedy dotarliśmy pod mój dom, stanął tam, gdzie zawsze ja stawałam. Kiedy gasił silnik i podawał mi klucze, zdałam sobie sprawę, że wie, gdzie parkuję auto. Wiedział też, gdzie mieszkam, nie potrzebował żadnych wskazówek, żeby bezpiecznie przywieźć mnie na miejsce.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na mój dom. Nawet cykad nie było słycać, cały świat zdawał się uspiomy w jasnym świetle księżyca.

– Poczekaj – powiedziałam, odwracając się do niego.

– Nigdzie nie idę, Em. – Uśmiechnął się.

– Ale... jak ty dostaniesz się do domu? – spytałam.

– Na piechotę. To niedaleko, robię to przecież codziennie.

– Ale w ciągu dnia – zauważyłam. – Teraz jest ciemno.

Możesz spotkać po drodze włóczągów. Albo kojoty.

Frank pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

– Dam sobie radę. – Wysiadł z samochodu, a ja z trudem zrobiłam to samo.

– No to ja cię odprowadzę – powiedziałam, a Frank zatrzymał się.

– To nie miałoby najmniejszego sensu – wyjaśnił cierpliwie.

– Bo wtedy ty musiałabyś tu wrócić, a w tym stanie, po drodze mogłyby cię spotkać jakieś niespodzianki.

– O Boże! – zawołałam, nieco chyba zbyt głośno, niż powinnam, a Frank zerknął na mój pogrążony we śnie dom. – Niespodzianka! Zapomniałam dać ci prezent. Poczekaj.

– Nadal nigdzie nie idę – odparł, a gdzieś w jego głosie czaił się śmiech. Wróciłam do samochodu i wyciągnęłam paczkę zza przedniego siedzenia.

– Proszę.

– Naprawdę nie musiałaś.

– Oczywiście, że musiałam – odparłam, szturchając go lekko.

Gest nie do końca mi się udał, bo moja dłoń leżała chwilę na jego ramieniu, nim zebrałam myśli i wycofałam ją. Bardziej

przytomna część mojego umysłu była świadoma, że nie powinnam tego robić, ale obudziła się nieco zbyt późno.

Frank powoli, ostrożnie rozpakował prezent, a im bliżej był odkrycia niespodzianki, tym bardziej ja martwiłam się, że wybrałam nie to, co trzeba, albo że uzna prezent za głupi.

– Niemożliwe – powiedział, wyciągając płytę, którą udało mi się znaleźć w Internecie. „Curtis Anderson – Bootlegs and B-Sides”. Była to płyta komika, która nie odniosła zbyt dużego sukcesu, ale z tego, co zrozumiałam, uznawana była za jego najlepszą. Musiałam rywalizować na aukcji ze zdeteminowanym użytkownikiem o nicku anderfan2020, ale w końcu udało mi się ją zdobyć.

– Pomyślałam po prostu – wciąż stresowałam się jego reakcją – że w dobrze zorganizowanym wszechświecie już byś ją miał, więc...

Frank pokręcił głową i popatrzył na mnie.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Możesz ją zwrócić, jeśli chcesz – powiedziałam, chociaż nie byłam pewna, czy faktycznie byłoby to możliwe. W każdym razie z pewnością mógł sprzedać ją anderfanowi2020.

– Żartujesz? – spytał, przyglądając się tylnej stronie. – Jest fantastyczna. Dziękuję.

Ziewnęłam, a Frank schował płytę pod pachę.

– Powinnaś pójść spać – powiedział, ruszając przed siebie.

– Odprowadzę cię – nalegałam, dołączając do niego.

– Ale wtedy ja będę musiał z tobą wrócić – zauważył.

– No to zatrzymam się w połowie drogi.

Frank pokiwał głową.

– Umowa stoi – powiedział, po czym razem zeszliśmy z podjazdu i skręciliśmy na ulicę. Było całkiem pusto, mogliśmy więc iść środkiem drogi, po dwóch stronach żółtej linii. Światło księżycy było tak jasne, że rzucało nasze cienie na asfalt. Szliśmy przed siebie w milczeniu, całkiem swobodnie, czując, że nie musimy przez cały czas gadać.

Znów ziewnęłam, a Frank zatrzymał się.

– Teraz cię odprowadzę – powiedział, odwracając się.
– A co z naszą umową? – spytałam, automatycznie podążając za nim.

– Od początku nie zamierzałem na nią przystać – powiedział.
– Mogłabyś przecież spotkać kojoty. Albo włóczęgów.

– Słuszna uwaga – powiedziałam, próbując na próżno powstrzymać uśmiech. – Hej – przypomniałam sobie o czymś, nad czym zastanawiałam się przez cały wieczór – jak myślisz, co zrobiła Wanda? – Kiedy Frank spojrział na mnie, zaskoczony, sprecyzowałam. – Wanda z ciasta?

– Och – zrozumiał wreszcie – sam się nad tym zastanawiałem. Może uciekła z więzienia?

– Albo wygrała w totka – zasugerowałam. – A jej znajomi uznali, że teraz może sobie pozwolić na znacznie lepszy tort.

Roześmiał się.

– Może uwolniła miasto od problemu włóczęgów-kojotów.

Uśmiechnęłam się. Po chwili milczenia powiedziałam:

– A może wcale nie zrobiła nic wielkiego. Może po prostu coś komuś powiedziała.

– Co? – Frank tym razem spojrział na mnie poważnie.

– Coś, co pragnął usłyszeć. – Wzruszyłam ramionami. Po zastanowieniu, dodałam: – Myślę, że nie trzeba zrobić czegoś wielkiego, by wykazać się odwagą. To drobne gesty są najtrudniejsze.

– I zazwyczaj nie dostaje się za nie ciast – zauważył Frank. Zatrzymał się, a ja dopiero wtedy zauważyłam, że byliśmy już pod moim domem. Chciałam znów zaprotestować, zaproponować, że jednak kawałek go odprowadzę, ale wtedy poczułam kolejną falę zmęczenia i ziewnęłam.

– Dziękuję, że mnie odprowadziłeś – powiedziałam, spoglądając na niego. – I że mnie odwiozłeś.

– Nie ma za co – powiedział. Uniósł CD w górę. – Ja dziękuję ci za to.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam tylko na niego w świetle księżyca – wiedziałam, że nigdy nie zrobiłabym tego, gdybym była

całkiem trzeźwa.

– Wszystkiego najlepszego, Frank.

Uśmiechnął się. Wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego.

– Dobranoc, Emily.

Podeszłam do drzwi. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że Frank wciąż stoi za mną, by upewnić się, że weszłam bezpiecznie do domu. I rzeczywiście, otworzywszy drzwi, zobaczyłam go stojącego samotnie na drodze, z płytą w dłoni, w świetle księżyca. Uniosłam rękę, żeby mu pomachać, a Frank uniósł swoją, a potem odwrócił się i ruszył do domu.

WSIĄDŹ NA RUMAKA, YO, KOWBOJKO

– Dasz sobie radę – zapewnił mnie Frank, gdy wpatrywałam się w arenę, próbując przypomnieć sobie, jak się oddycha.

– Oczywiście – odparła Dawn, ściskając mnie za ramię. Usta Collinsa były pełne, ale pokazał mi uniesiony kciuk.

Byłam w Saddleback Ranch, uznawszy, że teraz, kiedy znalazłam się tak blisko końca, powinnam dokładnie wypełniać zadania Sloane. A tam nie było napisane, że mam wsiąść na kucyka. Kiedy powiedziałam Frankowi, że jestem gotowa, by spróbować jeszcze raz, zarezerwował lekcję, a wszyscy pozostali postanowili nam towarzyszyć. Twierdzili, że chcą mnie wesprzeć, ale ja podejrzewałam, że nie chcą, żebym znowu zwiąła. A jako że Dawn była tu – trzymała w dłoni mój aparat „jak Emily widzi świat” – nie mogłam odebrać od niej telefonu i udawać, że wydarzyło się coś ważnego.

Koń, na którym miałam jechać, miał na imię Toffi, co brzmiało znacznie lepiej niż Koziołek, a Frank zapewnił mnie, że poprosił o najmniejszego z nie-kucyków. Pracowniczka stajni wyjaśniła mi, czego powinnam się spodziewać, po czym poszła po konia. zaproponowała jazdę przełajową, ale ja natychmiast odrzuciłam ten pomysł. Kiedy wreszcie zdawała się pojmować, że robię to tylko po to, by pokonać strach, zaproponowała, że po prostu poprowadzi mnie spokojnie wokół toru, trzymając konia na lonży.

– Ale słodki! – zawołała Dawn. Podążyłam za jej wzrokiem i zobaczyłam, że pracowniczka Saddleback Ranch prowadzi niezdarnego konia, który wyglądał, jakby był pogrążony w półśnie. Nie uspokoiłam się – koniec końców wciąż był to koń – ale był o połowę mniejszy od Koziołka, a sam jego widok aż tak bardzo mnie nie przerażał.

– No zobacz, nie jest ani wściekły, ani straszny – uśmiechnął

się do mnie Frank.

– Chcesz się z nim najpierw zaprzyjaźnić? – spytała Dawn. – Matthew, daj Emily przekąski.

Colin przełknął. Był nieco przestraszony.

– Yyy... o czym mówisz?

Dawn uśmiechnęła się.

– Chcemy dać koniowi marchewkę!

– Och – powiedział po chwili Collins. – Widzisz, powinnaś mi była powiedzieć, że niesiemy jedzenie dla konia. Myślałam, że jest dla nas. Pomyliłem się.

– Zaraz, zjadłeś wszystko? – spytała Dawn, zabierając mu swoją płócienną torbę i zaglądając do środka. – Jabłko też? A gdzie są kostki cukru?

– Chcesz powiedzieć, że kostki cukru zabraliśmy DLA KONIA? – spytał z niedowierzaniem Collins. – Po co koniowi cukier?

– Nie wierzę, że po prostu zeżarłeś cukier. – Dawn z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Nic nie szkodzi – powiedziałam. – Naprawdę. – Doceniałam ich wysiłek, ale nie chciałam też dawać koniowi możliwości, by mnie ugryzł, przesadnie zbliżając dłoń do jego pyska.

– Gotowa? – zawołała ze środka placu kobieta.

Poczułam, że wszyscy spoglądają na mnie, pokiwałam głową i zmusiłam się, żeby podejść do konia, chociaż najbardziej na świecie pragnęłam odwrócić się i uciec do samochodu. Kobieta pomogła mi włożyć jedną stopę w strzemień, drugą przerzuciłam przez jego grzbiet, a kiedy znalazłam się w siodle, mentalnie przygotowałam się na najgorsze: koń mógł zrzucić mnie na ziemię, rzucić się galopem przed siebie albo położyć się na ziemię i przygnieść mnie przy okazji. Nic takiego się jednak nie stało. Toffi stała spokojnie, wdychając i wydychając powietrze.

– Wyglądasz świetnie – zawołała Dawn, pokazując mi uniesiony kciuk.

– Wiesz co? Wygląda na to, że Toffi zasnęła – powiedziała

kobieta. – Kopnij ją leciutko.

Wydało mi się to strasznym pomysłem, kiedy ją jednak lekko trąciłam, obudziła się i potrząsnęła grzywą. Mocno chwyciłam siodło. Był to jednak najgwałtowniejszy z jej ruchów. Zaczęła toczyć się naprzód, a ja nie musiałam nic robić. Zachowywała się tak, jakby robiła to już setki razy i wiedziała dokładnie, dokąd ma pójść. Od czasu do czasu zaczynałam panikować, czując ruch konia, ale po prostu koncentrowałam się na oddychaniu. Umówmy się: miałam już za sobą przytulanie się do pracowników stacji benzynowych, kłótnie pod barem i całowanie się z obcymi facetami w spizarniach. Mogłam zrobić i to.

I gdy tak stąpała przed siebie, nie wyglądając wcale, jakby zamierzała zrzucić mnie ze swojego grzbietu – szczerze mówiąc, gdyby to nawet zrobiła, upadek nie byłby zbyt bolesny – zaczęłam oddychać nieco swobodniej. Nie było aż tak źle. Nie zamierzałam wprowadzić tej aktywności do swojego grafiku na stałe, ale było w porządku. Czułam się dobrze.

– Uśmiech! – zawołała Dawn, unosząc mój aparat. Obdarzyłam ją dość krzywym grymasem, ale tak naprawdę cieszyłam się, że to dokumentuje. A kiedy robiłyśmy z Toffi ostatnie okrążenie, zrelaksowałam się, starając cieszyć się ostatnimi chwilami jazdy.

– To jak ci idzie z listą? – spytał Collins, kiedy zebraliśmy się wokół naszych samochodów.

Kobieta ze stajni zdziwiła się nieco, że nie chcę spędzić na koniu więcej niż pięć minut, ale i tak pomogła mi zsiąść, a ja nawet – bardzo, bardzo delikatnie – poklepałam Toffi, gdy wracała do swojego boksu.

Przyjechaliśmy tam czterema samochodami, co nie było zbyt dobre dla środowiska, kiedy jednak spytałam Franka, czy nie chciałby mi towarzyszyć, powiedział, że zaraz potem musi się do czegoś przygotować, ale nie zdradził mi szczegółów.

– Zostały trzy punkty – powiedziała Dawn, marszcząc brwi.
– Albo cztery. Prawda?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się Frank:

– Trzy. Tańce, sukienka i pływanie nago.

Pokiwałam głową, aż nazbyt świadoma, że zostawiłam na koniec dwa spośród najtrudniejszych. Zaproszenie na galę załatwiało sprawę sukienki, miałam też nadzieję, że będę mogła tańczyć przez całą noc w swoim pokoju ze słuchawkami w uszach, ale do pływania nago naprawdę nie wiedziałam, jak się zabrać. Mimo to fakt, że udało mi się skreślić zdecydowaną większość punktów z listy, wciąż wydawał mi się niewiarygodny. Na początku misja zdawała się niemożliwa, a teraz zadanie było już prawie wykonane.

– Och – Dawn otworzyła szeroko oczy, spoglądając na swój telefon – muszę iść.

– Masz dostawę? – spytał Collins, oddając jej pustą torbę.

– Chciałabym – westchnęła. – Robimy dzisiaj catering w Stanwich Country Club i muszę pomóc w kelnerowaniu.

– Naprawdę? – spytał zaskoczony Frank.

– Taaak – Dawn wzruszyła ramionami. – Czasami ludzie chcą mieć różne sekcje, na przykład z sushi albo czymś w tym stylu. A ta para chciała włoskie jedzenie, więc...

Frank chwilę jeszcze patrzył na Dawn, a potem zwrócił się do mnie.

– Powinnaś wkręcić się na wesele.

– Co? – spytałam.

– Powinna? – spytał jednocześnie Collins.

– Pewnie – pokiwał głową Frank. – I tańczyć do świtu!

– Przepraszam – pokręcił głową Collins. – Kim jesteś i co zrobiłeś z Frankiem Porterem?

– Ja cię wprowadzę! – klasnęła w dłonie Dawn. – I dzięki temu będę się dobrze bawić. Zawsze strasznie się nudzę na tych imprezach, na których każdy udaje, że cię nie widzi. Co na siebie włożył?

Zwróciłam się do Franka, który patrzył na mnie wyzywająco. To była świetna okazja, żeby skreślić jeden punkt. A jako że pracowałam tam rok wcześniej, znałam to miejsce na tyle dobrze, by poruszać się po nim, nie dając się złapać.

– OK – powiedziałam do Franka, po czym zerknęłam na Dawn. – Zrobię to.

11 TAŃCZ DO ŚWITU

Zadzwoił mój telefon tkwiący w uchwycie na kubek w samochodzie. Wyciągnęłam go.

– Mężczyzna z parasolem nie widzi zachodu słońca – powiedziałam cicho.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszałam głos Dawn:

– Wszystkie fontanny w Rzymie zwrócone są na północ.

Kiedy postanowiłyśmy to zrobić, Frank nauczył nas paru szpiegowskich szyfrów, ale kompletnie już zapomniałam, co oznaczają i podejrzewałam, że Dawn również i teraz używamy ich tylko dlatego, że to dobra zabawa.

– Jenga – wyszeptałam, rozglądając się dokoła, pochylając się na swoim fotelu. Wciąż nie wierzyłam w to, co zamierzałam zrobić. Dawn milczała, więc wyjaśniłam: – Właśnie zaparkowałam.

Ubrałam się w sukienkę, którą miałam na sobie na balu absolwentów rok wcześniej. Była złota, miała gorset bez ramiączek i rozszerzającą się do dołu spódnicę za kolano. Kiedy się przygotowywałam, miałam nadzieję, że wesele nie ma określonego tematu, że nie pojawię się w kompletnie niewłaściwym stroju. Zakręciłam włosy tak, że fale okalały teraz moją twarz, i umalowałam się znacznie mocniej niż zazwyczaj. Kiedy zrobiłam sobie najlepsze smoky eye, jakie umiałam, napisała Dawn.

Tańce się zaczęły! Będiesz niedługo?

Odpowiedziałam, chwyciłam torebkę obszytą koralikami, którą pożyczyłam od mamy bez pytania. Nie byłam pewna, jak długo potrwa wesele, a po tym, jak mama zrobiła mi wykład na ganku, nie chciałam jej denerwować, zapytałam więc, czy mogłabym nocować u Dawn. Mama zgodziła się – pamiętała ją z krótkiego spotkania podczas Teatru Salonowego. Nawet gdybym

nie miała faktycznie znaleźć się u niej w domu, wiedziałam, że w ten sposób będę mogła wrócić późno, nie wzbudzając podejrzeń. Mimo to, podchodząc do drzwi wyjściowych, cieszyłam się, że już teraz było na tyle późno, że rodzice zamknęli się w swoim gabinecie. Myślę, że nawet w szaleństwie towarzyszącym ostatniemu aktowi mogliby zacząć się zastanawiać, czemu wystroiłam się tak na wieczór u koleżanki.

Wciąż miałam na samochodzie naklejkę, jaką dostawali pracownicy, i miałam nadzieję, że nikt nie będzie się jej dzisiaj szczególnie uważnie przyglądał. Kiedy wjechałam na parking, nie czułam się tak zestresowana, jak można by się spodziewać. Miałam nawet nadzieję, że będzie fajnie. Uśmiechnęłam się do siebie, przypominając sobie, jak strasznie się denerwowałam, kiedy wchodziłam do Rajskich Lodów, żeby spytać o Monę: tak wiele zmieniło się przez jedno lato. Dawn wysłała mi dokładne namiary, a ja wybiegłam z parkingu dla pracowników na teren ośrodka. Zwolniłam, widząc weselną gości, przed którymi udawałam, że wyszłam tylko na spacer.

– Sezamie, otwórz się – powiedziałam do telefonu. – Jestem już w drodze.

– Przyjęłam – odparła Dawn. – Bez odbioru.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do recepcji, która znajdowała się w dużym namiocie na trawniku. Słyszałam, że dobiega z niego muzyka. Wzięłam głęboki oddech i weszłam do środka. Wszyscy chyba wstali od stolików, bo parkiet był pełny. Grała kapela na żywo, a chociaż nie miałam zbyt wiele weselnego doświadczenia, od razu mogłam stwierdzić, że jest dobra: wokalistka śpiewała piosenkę, która była zdecydowanie zbyt często grana w radiu przez całe lato, ale udawało jej się nadać jej własny charakter.

Szłam wzdłuż ściany namiotu, gdzie ustawione były stoły z jedzeniem. Próbowałam powstrzymać śmiech, kiedy Dawn podeszła do mnie z tacą.

– Czy mogę coś pani podać? – spytała z uśmiechem. – Może bruschettę?

– Nie, dzięki – odparłam, zaciskając wargi.

– To idź potańczyć – powiedziała Dawn, popychając mnie w kierunku parkietu. – Po to tu jesteś, prawda?

Prawda. Zrobiłam krok naprzód, gdy zespół zaczął grać „Cupid Shuffle”. Sloane z zasady nienawidziła piosenek, do których ludzie tańczyli razem. Było to źródło naszej wielkiej kłótni o musicale: ja je uwielbiałam, ona nie. Mnie podobało się, że istniał jakiś wzór, za którym mogłam podążać, zamiast tańczyć samotnie, z ulgą więc dołączyłam do grupy nieznanym podrygujących do rytmu „Cupid Shuffle”. Szybko uformowało się kółeczko.

Kiedy piosenka zmieniła się w „Footloose”, poczułam, że podążam za melodią, niespecjalnie się zastanawiając. Rozejrzałam się dokoła, czekając, aż ktoś z tych obcych ludzi wskaże na mnie palcem, zacznie szeptać, że nigdy wcześniej mnie nie widział, że ktoś powinien mnie wyrzucić. W okolicach refrenu byłam już jednak pewna, że wszyscy tutaj są znacznie bardziej zainteresowani dobrą zabawą niż katalogowaniem gości weselnych. Była to bardzo fajna grupa ludzi, klaskali lub buczeli, zależnie od tego, czy podobała im się piosenka, i tańczyli z entuzjazmem, choć bez większych umiejętności. I chociaż byłam sama, choć nikt nie towarzyszył mi w skakaniu i śpiewaniu najfajniejszych kawałków, wczułam się w muzykę, wolna dzięki temu, że nikt wokół mnie nie znał, że nie miało znaczenia, czy zachowuję się jak idiotka.

Dwie piosenki później byłam spocona i szczęśliwa. Muzyka grała głośno, a ja zamknęłam oczy i kołysałam biodrami w obie strony, pozwalając, by włosy opadły mi na twarz. Nie tańczyłam od roku i zapomniałam już, jak bardzo to lubię. A kiedy nie było wokół nikogo, na kim musiałabym zrobić wrażenie, kiedy nie musiałam starać się wyglądać fajnie, poczułam się naprawdę wolna. Odchyliłam głowę do tyłu i śpiewałam głośno słowa, które znałam, a kiedy ich nie znałam, tańczyłam po prostu, unosząc ręce do góry w ciepłym, wieczornym powietrzu, nie przejmując się cudzymi spojrzeniami. Stopy bolały mnie w szpilkach i podejrzewałam, że rozmazał mi się tusz, ale nic mnie to nie

obchodziło. Bawiłam się świetnie. Piosenka „You Shook Me All Night Long” dotarła do dramatycznego finału, a ja udawałam, że macham pałeczkami w powietrzu razem z perkusistą. Pomyślałam, że jeśli nie będę tańczyć do świtu, będę tańczyć przynajmniej, póki kapela będzie grała, i to będzie musiało wystarczyć Sloane.

Zespół zaczął grać „Jack and Diane”, a ja odgarnęłam z twarzy spocone włosy i rozejrzałam się w poszukiwaniu Dawn, żeby poprosić ją o wodę. Szukałam jej wzrokiem w tłumie, a wtedy rozpoznałam kogoś innego: prosto na mnie patrzył Frank.

Opadła mi szczeka. Powoli podszedł do mnie przez parkiet, z rękami w kieszeniach, cały zadowolony, że tak mnie wkręcił.

– Co ty tu robisz? – spytałam cicho.

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie – powiedział. – Nie sądziłaś chyba, że zostawię cię z tym samą? – Wskazał głową stolik, przy którym państwo młodzi karmili się nawzajem tortem. – Panna młoda jest moją kuzynką.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytałam.

– Bo wtedy nie zobaczyłbym twojej miny! – Pokręcił głową. – Nie mógłbym sobie tego darować.

Zespół zaczął grać „I Gotta Feeling”, a ja zaczęłam poruszać się do rytmu, który pomagał mi zapomnieć, że teraz, w obecności Franka, nie mogę być już tak swobodna jak wcześniej.

Ale już pięć piosenek później całkiem o tym zapomniałam. Frank zdjął marynarkę i szaleliśmy na parkiecie tak żywiołowo, że ludzie zaczęli usuwać nam się z drogi. Przyciągał mnie do siebie i obracał, a ja omal dwa razy nie uderzyłam głową o wazon, kiedy straciłam równowagę. Nie był najlepszym tancerzem, ale ja też nie, jednak po paru piosenkach znaleźliśmy nasz rytm tak jak wtedy, kiedy uczyliśmy się razem biegać. Zespół zagrał „Sweet Caroline”, a wtedy wszyscy wstali, a my z Frankiem wykrzykiwaliśmy do siebie wszystkie „bum-bum-bum”. Kiedy piosenka się skończyła, wszyscy zaczęli klaskać, a ja wybuchłam śmiechem, nie z żadnego konkretnego powodu, po prostu dlatego, że byłam spocona, zmęczona i szczęśliwa.

Wokalista ogłosił, że trochę zwolni tempo, a wtedy zaczął

się „You Send Me”, utwór, który zawsze uwielbiałam. Rozejrzałam się dokoła w poszukiwaniu wody i już miałam zaproponować Frankowi, żebyśmy na chwilę usiedli, kiedy zobaczyłam, że wyciąga do mnie rękę.

Chciałam obrócić to w żart, ale cokolwiek miałam powiedzieć, zrezygnowałam, widząc jego poważną minę. Spojrzałam mu w oczy i podałam rękę. Splótł swoje palce z moimi i przyciągnął mnie do siebie delikatnie, jakby upewniał się, że wszystko w porządku. Otoczyłam jego szyję ramieniem, on swoim objął mnie w talii. Wciąż trzymaliśmy się za ręce, powoli kołysząc się w rytm muzyki.

Roześmiał się łagodnie i pokręcił głową, a ja odchyliłam się, by spojrzeć na jego twarz tak blisko mojej, jak nigdy wcześniej.

– Ty... naprawdę wkręciłaś się na wesele.

– To był twój pomysł.

– Wiem – odparł. – Ale myślałem sobie o pierwszej nocy w Sadzie...

– Co sobie myślałeś? – spytałam. Próbowałam skupić się na rozmowie, nie myśleć o naszej bliskości, o tym, że obejmował mnie w pasie, że trzymał mnie za rękę.

– Wydawałaś się wtedy taka... skulona – powiedział po chwili. – Jakbyś miała nadzieję, że nikt cię nie zobaczy.

Nie odrywałam od niego wzroku.

– A teraz?

Uśmiechnął się do mnie lekko.

– Teraz jesteś najjaśniejszą gwiazdą na tej sali – powiedział i delikatnie odgarnął mi kosmyk z twarzy. – Błyszczysz.

Oddech uwiązał mi w gardle. Ludzie mawiali takie rzeczy o Sloane, ale nigdy o mnie.

– Co się stało? – spytał Frank.

– Po prostu... – Wzięłam drżący wdech. – Po prostu nikt nigdy wcześniej nie powiedział mi nic podobnego.

– Nie widzą tego, co ja widzę – odparł.

Patrzyłam w oczy Franka, czując, że mówi całkiem szczerze. Miałam coś powiedzieć, ale wtedy zaczął się refren i Frank

przysunął się do mnie. Był na tyle wysoki, że nawet w szpilkach mogłam położyć mu głowę na ramieniu. Przełknęłam ślinę, próbując na chwilę wyciszyć się i przemyśleć wszystko, co się właśnie działo, zrozumieć, co czuję. Nasze twarze były na tyle blisko, że widziałam konstelację jego piegów, jego ciemne rzęsy, czułam woń wody kolońskiej, którą wybrał na tę okazję – pachniała jak cedr, jak wczesny poranek i sprawiała, że chciałam podejść jeszcze bliżej, by mocniej ją poczuć.

Dłoń Franka ścisnęła mnie w talii – może po prostu poruszał się w rytm muzyki. Chociaż jednak na siebie nie patrzyliśmy – chociaż oboje staraliśmy się na siebie nie patrzeć – wydawało mi się, że zrobił to celowo. Chwilę później rozluźnił uścisk wokół mojej dłoni i splótł swoje palce z moimi.

Serce waliło mi mocno w piersi, próbowałam skoncentrować się na tym, by utrzymać pozycję i poruszać się w rytm kończącej się piosenki. Nie byłam pewna, czy chciałabym, żeby skończyła się natychmiast, czy żeby nigdy się nie skończyła. Popatrzyłam na niego po raz ostatni, kiedy rozpoczął się następny utwór, „Pour Some Sugar on Me”. Opuściłam dłoń i zrobiłam krok do tyłu, odwracając głowę, udając, że poprawiam sukienkę, niepewna, co się właśnie wydarzyło.

– Hej! – Dawn podeszła do nas z na wpół opróżnioną butelką wody w dłoni. Uśmiechnęła się do Franka – Kiedy przyszedłeś? – Rozejrzała się wokół z nadzieją. – Matthew też jest?

– Nie – odparł Frank, wskazując na mnie. – Uznałem, że jeden nieproszony gość wystarczy.

Spojrzałam na butelkę Dawn.

– Podzielisz się?

– Pewnie – odparła, podając mi wodę. – Masz całą. – Ziewnęła i wyciągnęła ramiona nad głowę. – Przysięgam, że nigdy więcej się na coś takiego nie zgodzę. Znacznie lepiej jeździć po domach i dostawać od nich napiwki. Dobrze, że to już koniec.

– Koniec? – spytałam, opuszczając całkiem już pustą butelkę. Dawn pokiwała głową.

– Chcecie wpaść do mnie? – spytał Frank, wyciągając

telefon. – Nie wiem, czy Collins nie miał jakichś planów, ale mógłbym do niego napisać...

– Super – ucieszyła się Dawn.

– Em? – spytał Frank, zerkając na mnie sponad ekranu.

– Właściwie – zaczęłam. Wzięłam głęboki oddech, nim skończyłam zdanie, nie wierząc w to, co zamierzałam zasugerować. Trudno byłoby jednak wskazać lepszy moment na podjęcie takiego ryzyka: – Coś mi wpadło do głowy...

12 WYKĄP SIĘ NAGO

– Nie wierzę – powiedział Collins, kiedy staliśmy w rzędzie na pisaku, ubrani od stóp do głów, wpatrując się w wodę. – I to był pomysł Emily?

– Mhm – odparłam, sama wciąż się temu dziwiąc. – To punkt na liście.

– Proszę cię – machnął ręką Collins. – To wszystko tylko wymówka, żeby zobaczyć moje seksowne ciało. Możesz się przyznać.

– No dobra. – Dawn splotła ręce, wyraźnie zdenerwowana. – Mamy jakiś plan? Wskakujemy po kolei, a wszyscy inni się odwracają, czy wszyscy naraz? Czy...?

– Emily? – Frank spojrzał na mnie z uśmiechem, chociaż widziałam, że się rumieni, – a rumienił się, odkąd wysunęłam tę propozycję jeszcze na weselu.

Może to przez godziny, które przetańczyłam, może przez bliskość Franka, a może przez to, że byłam tak odwodniona, ale pływanie nago wydawało mi się wtedy dobrym, łatwym do zrealizowania pomysłem. Teraz jednak, kiedy faktycznie stanęłam nad wodą i rozważałam wejście do niej na golasa, do tego w towarzystwie moich przyjaciół, sprawa nie wydawała się już tak prosta.

– OK – powiedziałam po chwili, kiedy zdałam sobie sprawę, że skoro sama to zaproponowałam, nie mogę się teraz wycofać, i że to ja powinnam coś wymyślić. Uniosłam głowę i po raz pierwszy tego lata pożałowałam, że księżyc jest tak jasny. Był jak ogromny reflektor. Spojrzałam na stertę plażowych ręczników, które Frank przyniósł z domu i starałam się zabrzmieć pewniej, niż się czułam. – OK. Myślę, że powinniśmy owinąć się ręcznikami, a potem podejść z nimi do wody, odrzucić je i wskoczyć. – Wydało mi się, że to plan pozwalający maksymalnie ograniczyć pokazywanie się nago.

– Kiedy ona zrobiła się taka apodyktyczna? – Collins pokręcił głową.

– Wydaje mi się po prostu – zaczęłam – że dzięki temu pocujemy się w miarę swobodnie i...

– Do diabła z tym – powiedział Collins, zrzucając klapki i zdejmując polo, które po drodze zaplątało mu się na głowie. Kiedy zdjął spodenki, zrozumiałam, do czego zmierza, i odwróciłam się, a po zauważalnie dłuższym czasie, Dawn zrobiła to samo. – Lecę! – usłyszałam krzyk Collinsa. Spojrzałam na niego odrobinę zbyt wcześnie i dostrzegłam jeszcze jego goły tyłek, kiedy wbiegał do wody. – Aaaaa! Jaka zimna! – wrzasnął, po czym zatkał nos i zanurkował. Kiedy się jednak wynurzył, uśmiechał się szeroko. – No chodźcie – zawołał.

– Ja chyba zacznę od ręcznika – powiedziała Dawn, chwytając jeden z nich. Zrobiłam to samo.

– Ja też.

Popatrzyłam na domy sąsiadów Franka, żeby upewnić się, że wszędzie jest ciemno. Nie wyglądało na to, byśmy kogokolwiek obudzili. Odeszłyśmy z Dawn nieco na bok i najpierw ja osłoniłam ją ręcznikiem, kiedy się rozbierała, potem ona zrobiła to samo dla mnie. Zdawałam sobie sprawę, że to kretyńskie, skoro szłyśmy się kąpać na golasa, ale nie byłam gotowa, by po prostu popędzić bez ubrania do wody, jak to zrobił Collins. Kiedy odwróciłyśmy się, owinięte ręcznikami, Frank też był już w morzu obok kolegi. Widziałam ich nagie klatki piersiowe i wmawiałam sobie, że i tak bym je zobaczyła, gdybyśmy poszli popływać, że nie działo się nic szczególnego. Mimo to poczułam, jak mocno bije mi serce, kiedy chłopcy odwrócili się, żebyśmy mogły zanurzyć się z Dawn.

– Gotowa? – spojrzałam na nią.

– Nie wiem – powiedziała, przestępując z nogi na nogę. Zagryzła wargę. – Nie jestem pewna...

– No chodź. – Uśmiechnęłam się. – Będzie fajnie.

I nie czekając, nie zastanawiając się dłużej, zrzuciłam ręcznik i wbiegłam do wody. Czułam na skórze chłodne, nocne powietrze. Uniosłam ramiona do góry i zanurkowałam.

Kiedy wyłoniłam się na powierzchnię, zobaczyłam, że Dawn wskakuje za mną, raczej rzucając się na brzuch, niż porządnie nurkując. Po chwili wynurzyła się z przyklejonymi do głowy włosami.

– Naprawdę zimna! – zawołała, uśmiechając się szeroko. – O rany!

Choć woda była zimna, czułam się fantastycznie, zupełnie inaczej niż w kostiumie kąpielowym. Przypomniało mi się spanie pod gwiazdami, gdy nic nie dzieliło mnie od żywiołów.

Po chwili wspólne pływanie wydało nam się całkiem normalne – pod wodą i tak nic nie było widać. Rozdzielaliśmy się i łączyliśmy znowu, a nawet kiedy po prostu chodziliśmy po piasku, wydawało się to ekscytujące, bo wiedziałam, że wszyscy jesteśmy nago.

Po dłuższej chwili odpłynęłam kawałek od grupy, żeby móc położyć się na wodzie i spojrzeć w niebo. Usłyszałam wołanie Collinsa, który mówił, że C-gość wychodzi, a potem plusk, kiedy wracał na plażę. Unosiłam się na powierzchni jeszcze przez chwilę, czując pełen spokój i zadowolenie. Wciąż byłam nieco zaskoczona, że to w ogóle się dzieje. Że to, co wydawało mi się przerażające, niemożliwe, absolutnie niedostępne, okazało się całkiem przyjemne. I że się odważyłam. „Zrobiłam to” – powiedziałam głośno do gwiazd na niebie, nie przejmując się zbytnio, czy usłyszeli mnie znajomi.

– Ej! – zawołała Dawn. Wydawała się zaniepokojona. Zanurzyłam głowę i znów uniosłam się na powierzchnię, wygładziłam włosy i popłynęłam do niej. – Gdzie są nasze ręczniki?

Spojrzałam na plażę i zrozumiałam jej pytanie. Ręczników, które zostawiłyśmy nad wodą, już tam nie było. Widziałam swoje ubranie, złożone w kostkę na plaży, ale myśl o nagim biegu przez plażę nie wydawała się zbyt przyjemna.

– Collins! – wrzasnęłam. Frank podpłynął do nas.

– O co chodzi? – spytał.

– Gdzie się podziały nasze ręczniki? – spytałam, wciąż

szukając ich wzrokiem na piasku.

– Co? – spytał Collins, który stał na pomoście, ubrany w szorty i za duży sweter. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to nie są jego ubrania.

– Czy ty masz na sobie moje ciuchy?! – krzyknął Frank, a Collins wzruszył tylko ramionami.

– Było mi zimno – odpowiedział. – To jakiś problem?

– Collins, co zrobiłeś z naszymi ręcznikami?

– Ja? – spytał, udając urażonego. – Nic. Dlaczego zakładasz, że to ja?

– A któż by inny? – spytała Dawn.

– Nie wiem – odparł Collins. – Plażowi włóczędzy? Do zobaczenia w środku. – Uśmiechnął się i wszedł do domu.

– Zabiję go – wymamrotał Frank, zerkając na mnie.

Nie zdążyłam zauważyć, że podszedł tak blisko, a – zwłaszcza po naszym wspólnym tańcu – poczułam się nieco zażenowana tym, że Frank Porter stoi obok mnie nago. I że ja stoję nago obok niego, a rozdziela nas tylko woda.

– Widzę je! – zawołała Dawn. Ręczniki były starannie złożone tuż przy schodkach prowadzących na pomost. – Powinniśmy podejść tam po kolei, czy...

– Na trzy? – zasugerował Frank.

– Dobra! – zawołałam i wybiegłam z wody. Po drodze na wpół krzyczałam, na wpół śmiałam się, czując na skórze ciepłe powietrze. Usłyszałam za sobą plusk: Frank i Dawn też rzucili się przed siebie.

Ktoś na mnie wpadł – była to Dawn, która biegła z zamkniętymi oczami.

– O Boże! Przepraszam! – krzyknęła, zmieniając kierunek. Zaczęła biec w stronę domu sąsiada.

– Dawn – zawołałam. Rozejrzałam się dokoła, żeby sprawdzić, czy przynajmniej ja biegnę tam, gdzie trzeba, i zobaczyłam w świetle księżyca nagie plecy Franka. Natychmiast się odwróciłam. Pobiegłam szybciej, a do ręczników dotarliśmy dokładnie w tym samym momencie. – Sorry – powiedziałam, w

pełni dostrzegając wreszcie jego brzuch, na który wcześniej mogłam tylko zerkać.

Jakaś część mnie zdawała sobie sprawę z absurdu sytuacji: Frank i ja staliśmy obok siebie nago, a żadne z nas nie było pewne, gdzie spojrzeć, ani kto powinien pierwszy chwycić ręcznik. Zerkałam na niego raz po raz i natychmiast się odwracałam, dostrzegając tylko przebłyski jego klatki piersiowej, jego szczęki, jego biodra...

Skrzyżowałam ramiona na piersi i lekko przekręciłam głowę. Frank był odwrócony.

– To ja sięgnę po ręcznik, dobrze? – powiedziałam, a on pokiwał głową. Złapałam jeden z leżących na stercie i owinęłam się nim. Wzięłam drugi dla Dawn, która wciąż biegła w niewłaściwym kierunku. – Mam – zwróciłam się do Franka na chwilkę, żeby nie zobaczyć zbyt wiele. – Dawn! – zawołałam, wyciągając ręcznik przed siebie. – Podążaj za moim głosem!

– Dzięki – powiedziała Dawn, kiedy wreszcie do mnie dołączyła. – Nie miałam pojęcia, dokąd biegnę!

– Farrellym być może wcale nie przeszkadzałyby twoja wizyta – powiedział Frank, podchodząc do nas z ręcznikiem na biodrach. Przełknęłam ślinę, patrząc na jego ciało i jednocześnie zastanawiając się, czy istnieje jakiś sposób, w jaki zasugerowałabym mu, żeby może przestał wkładać koszulki na jogging.

– Mam twoje ciuchy. – Dawn przerwała mi obserwację nagiej klatki piersiowej Franka.

– Dzięki. – Nagle zrobiło mi się bardzo ciepło, chociaż jeszcze kilka minut wcześniej cała drżałam. Weszliśmy na pomost, na którym Collins stał teraz z kubkiem w dłoni i zadowolonym uśmiechem na twarzy.

– Zabiję cię – oznajmił Frank.

– Och, proszę cię. Przyznaj, że dzięki temu zrobiło się znacznie bardziej interesująco – powiedział Collins. – Pełnia doświadczenia. Nie ma za co. Chcecie gorącą czekoladę?

Kiedy podjechałam pod dom, było już prawie jasno. Po

kąpieli nie miałam ochoty wbijać się w elegancką sukienkę, więc Frank znalazł dla mnie jakieś ciuchy – szare spodnie dresowe i koszulkę, którą miał na sobie podczas naszego pierwszego wspólnego biegu. Siedzieliśmy w kuchni Franka, popijając gorącą czekoladę, którą zrobił Collins, i podjadając marshmallows aż do piątej rano. Potem ja i Dawn wsiadłyśmy do samochodów, Collins zwałił się na kanapę, a Frank pomachał nam na pożegnanie.

Zgasiłam silnik i zerknęłam na swoje odbicie w tylnym lusterku. Moje włosy były splątane, a weselny makijaż na wpół rozmazany pod oczami. Byłam jednak zarumieniona i choć wyglądałam dość paskudnie, szczęśliwa. Wyglądałam jak ktoś, kto przeżył niesamowitą noc i miał do opowiedzenia świetną historię. I tak właśnie było – pomyślałam, podchodząc do frontowych drzwi z sukienką i szpilkami pod pachą, w jasnym świetle poranka.

**SUKIENKA BEZ PLECÓW.
I OKAZJA, BY SIĘ W NIEJ
POKAZAĆ**

- Halo? – Telefon odebrałam z zamkniętymi oczami.
Od naszej nocnej kąpieli minęły dwa dni i było zdecydowanie zbyt wcześnie na pobudkę, no, chyba że miałabym biegać. Ale że Frank i Collins pojechali na kemping, nie miałam biegać. A więc powinnam spać.
- Dzień dobry – powiedział Frank, jak zwykle zdecydowanie zbyt energicznie jak na wczesną porę.
Położyłam się na boku, nadal nie otwierając oczu.
- Hej – uśmiechnęłam się. – Jak tam kemping?
– Hmm... wyjrzałaś już dziś przez okno? – spytał Frank.
Dopiero wtedy usłyszałam rytmiczne uderzenia o szybę.
Odśloniłam okno. Z szarego nieba padały strugi deszczu.
- Och – westchnęłam, opierając się o poduszki. – Rozumiem, że wycieczka odwołana?
– Odwołana – potwierdził Frank. – I z jakiegoś powodu Collins jest tym bardzo zmartwiony.
- Cóż – znów zerknęłam na ulewę za szybą. Nawet gdyby przełożyli wyjazd o jeden dzień, ziemia mogłaby być zbyt mokra, żeby rozstawić namiot. – Może powinniście to przełożyć?
– O tym samym pomyślałem – powiedział. Chociaż go nie widziałam, byłam prawie pewna, że się uśmiecha. – Jesteś wolna dziś wieczorem?
– Tak – odparłam, nie wiedząc, w co się pakuję. – A co?
– Wyślę ci adres SMS-em. – I spytaj Dawn, czy ma czas.
– OK – odparłam, na próżno czekając na więcej informacji. – O co chodzi? – spytałam wreszcie.
– Zobaczysz – odparł. Teraz już na pewno się uśmiechał. – Bądź tam o dziewiątej. I weź ze sobą śpiwór.
– Znowu nocujesz u Dawn? – spytała mama, mrugając.

Zarówno ona, jak i mój tata mieli załzawione oczy, typowe dla ludzi, którzy spędzają dużo czasu przed komputerem.

– Taaak – odparłam, wmawiając sobie, że to tylko lekkie nagięcie faktów. Wciąż nie wiedziałam, dokąd Frank nas zaprosił, ale podobnie jak tej nocy, kiedy poszłam na wesele i kąpałam się nago, uznałam, że historyjka o noclegu u Dawn przynajmniej pozwoli mi wrócić późno. Albo przynajmniej tak mi się wydawało.
– Mogę?

– Jasne – powiedział tata, unosząc okulary na czoło i pocierając nos. – Tylko pamiętaj, żeby następnym razem zaprosić ją do nas, OK?

Pokiwałam głową, zadowolona, że tak gładko poszło.

– Jasne. Dzięki.

Chciałam już sobie pójść, kiedy zobaczyłam, że mama wciąż na mnie patrzy, lekko przechylając głowę na bok.

– Em, kiedy wraca Sloane?

– Och – odparłam zdziwiona tym pytaniem – nie... nie wiem.

Tata rozparł się na krześle i pokręcił głową.

– Wszystko u niej w porządku?

– Czemu pytacie?

– Zawsze wydawała mi się nieco... zagubiona – powiedział.

Odetchnęłam, żeby zaprotestować, bo było to przeciwieństwem wszystkiego, co o niej myślałam, ale tata włożył już okulary z powrotem na nos i przeniósł wzrok na ekran.

– Czy naprawdę musimy przedstawić gołębia w scenie śmierci? – westchnął.

– Wiesz, że musimy – odparła mama, kręcąc głową. – Też mnie to nie cieszy.

Zazwyczaj nie wtrącałam się w proces twórczy moich rodziców. Albo mówili mi więcej, niż chciałam wiedzieć, albo złościli się, kiedy zadawałam im najprostsze pytania. Tym razem nie zamierzałam odpuścić.

– Gołębia?

Tata pisał już jedną ręką, a drugą wskazał moją mamę.

– Kiedy Tesla umierał... – zaczęła.
– W hotelowym pokoju – przerwał jej tata – czy to nie smutne?
– Kiedy umierał – ciągnęła mama – mówił ludziom, że zakochał się w gołębiu, który mieszkał za jego oknem.
Patrzyłam na nich, wciąż nieco skonfundowana.
– W gołębiu.
– Mówił, że to najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widział – pokiwała głową. – Że potrafiło zajrzeć w jego duszę. Że było wyjątkowe.

Znów zaczęła pisać, a ja, zapewniwszy sobie wolność na wieczór, mogłam już wyjść, zwłaszcza że za parę minut mogli już nawet nie zauważyć, że wciąż jestem w tym samym pokoju, uznałam jednak, że nie mogę odpuścić:

– I? – spytałam. – Ten gołąb? Był wyjątkowy?
Mama zerknęła na mnie i uśmiechnęła się smutno.
– Nie. – Był tylko gołębiem. – Oboje wrócili do gry na swoich klawiaturach. Wyszłam z jadalni i cicho zamknęłam za sobą drzwi.

– Wiesz w ogóle o co chodzi? – spytała mnie Dawn, kiedy wysiadłyśmy z naszych samochodów i ruszyłyśmy w stronę drzwi. Miałam pod pachą zwinięty śpiwór, zobaczyłam, że Dawn wzięła swój – była też na tyle mądra, żeby zabrać ze sobą poduszkę, o której ja zapomniałam. Jakąś godzinę wcześniej przestało padać, ale wciąż było chłodno i wilgotno, wydawało się, że w każdej chwili może znowu zacząć lać.

– Nie mam pojęcia – odparłam. Frank wysłał mi adres, który był mi całkiem obcy, ledwie jednak wjechałam na podjazd, rozpoznałam to miejsce: był to pusty dom pokazowy, który minęliśmy kiedyś w czasie bieganina.

Frank otworzył drzwi, nim zdążyłyśmy zapukać, i uśmiechnął się, stając na progu.

– Hej – powiedział – witajcie na domowym kempingu.
– Na domowym czym? – spytała Dawn, kiedy weszłyśmy do środka.

Natychmiast zdjęłam klapki i postawiłam je obok butów Franka i Collinsa. Dawn zrobiła to samo. Ściany przedpokoju były białe, a drewniane podłogi idealnie czyste, więc absolutnie nie chciałam nanieść na nie błota.

– Domowy kemping – powtórzył Frank. Popatrzył na mnie znacząco. – Ktoś powiedział mi kiedyś, że w dobrze zorganizowanym wszechświecie istniałyby tylko takie kempingi. – Uśmiechnął się i zaprowadził nas do salonu, a wtedy zrozumiałam, co ma na myśli. Pokój – tak jak cały dom – był całkiem pusty, nigdzie nie stał żaden mebel, nie było żadnych bibelotów ani dekoracji. Poza dwoma namiotami ustawionymi na środku salonu. Obok nich stały składane krzesła i latarenka Colemana. – Uznałem, że to najlepsze zastępstwo.

– Poza tym nie ma tu robali – powiedziała Dawn. Rozłożyła śpiwór obok jednego z namiotów. – Ale super.

– Możemy tu być? – spytałam Franka szeptem.

Wzruszył ramionami.

– Nikt nie kupił tego domu – powiedział z goryczą, której nie chciałam słyszeć. – Myślę, że możemy, o ile nie narobimy szkód.

Jako że nie było tu elektryczności – ani też żadnych świateł czy urządzeń na prąd – można się było poczuć jak na prawdziwym kempingu. Kiedy na zewnątrz zrobiło się ciemno, w domu również, a jedyne światło dawała latarenka, którą ustawiliśmy na środku „pola namiotowego”.

Z jakiejś przyczyny Collins przez cały wieczór był wycofany, nie rozmawiał z nami zbyt wiele i dość wcześnie wszedł do swojego namiotu i zamknął go na suwak. Widziałam, że Dawn to zmartwiło, ale starała się być dzielna i przystała na pomysł Franka, który zaproponował wieczór historii o duchach, chociaż jedyną, jaką umiała opowiedzieć, było streszczenie horroru, który widziała ostatnio. Niewiele później ona też poszła spać w śpiworze, który ułożyła obok namiotu Collinsa.

I tak zostaliśmy sami: tylko ja, Frank i migocząca latarenka, rzucająca cienie na puste, białe ściany. On wszedł do swojego okrągłego, pomarańczowego namiotu, a ja rozłożyłam na podłodze

śpiwór, coraz bardziej żałując, że nie wzięłam ze sobą poduszki. Ułożyłam sobie pod głową bluzę i zaczęłam szukać pozycji, w której moja twarz nie dotykałaby suwaka. Frank wystawił głowę z namiotu.

– Dobranoc, Emily – powiedział, wyciągając rękę, by zgasić lampę.

– Dobranoc – odparłam, uśmiechając się i próbując uwolnić kosmyki włosów, które utknęły w zamku.

– Co robisz? – spytał cicho.

– Nic – odparłam. – Tylko... no wiesz, idę spać.

– Gdzie masz poduszkę? – zapytał. Z namiotu Collinsa dobiegło głośne westchnienie. Frank podszedł do mnie i ukląkł obok mojego śpiwora. – Gdzie masz poduszkę? – powtórzył szeptem.

Światło latarenki migotało, rzucając na jego twarz to blask, to cień. Zauważyłam, że przebrał się do snu w jasnoszarą, miękką koszulkę i długie szorty. Jako że nie wiedziałam, że będę tu nocować – co właściwie powinnam odgadnąć, biorąc pod uwagę, że miałam zabrać ze sobą śpiwór – wciąż byłam w T-shircie i legginsach, w których przyszłam. Na szczęście nadawały się na piżamę, ale w śpiworze ściągnęłam stanik, więc leżałam przykryta, kiedy Frank się do mnie zbliżył.

– Nie wzięłam poduszki – wzruszyłam ramionami. – Ale to nie szkodzi. Mam bluzę. Też jest w porządku.

– Nieprawda. – Frank wypowiedział to słowo tak stanowczo, że przez chwilę pomyślałam, że odeśle mnie do domu. – Nie możesz spać tak przez całą noc.

– Och. – Nie spodziewałam się, że poczuję takie rozczarowanie, taki ucisk w sercu. – Mogę wrócić do domu.

Frank uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie bądź głupia – powiedział. – Chodź do mnie. Wystarczy miejsca dla nas dwojga.

– Ale... – zaczęłam. Frank jednak wziął już latarenkę i wszedł do namiotu. – Frank! – zawołałam szeptem, ale sekundę później światło zgasło.

Collins znów głośno westchnął, a ja dostrzegłam, że mam ograniczoną możliwość ruchu. Mogłam zostać na swojej niewygodnej bluzie i obudzić się z blizną po suwaku, przez którą wyglądałabym jak pirat, albo mogłam pójść do namiotu Franka. Czy byłoby dziwne, gdybym odmówiła?

I chociaż na liście Sloane nie było punktu „prześpij się w namiocie z Frankiem Porterem”, myśl o tym wydała mi się nagle przerażająca. Musiałam to jednak zrobić. Nie chciałam, żeby pomyślał, że podejrzewam go o jakieś nieczne zamiary, skoro ta propozycja z pewnością nic nie znaczyła. Poza tym, w głębi duszy, chciałam tego. Nie wiedziałam, co oznaczała i nie chciałam się nad tym teraz zastanawiać. Spędziłam kilka minut, na próżno starając się z powrotem włożyć stanik, wreszcie poddałam się i wcisnęłam go do śpiwora, po czym wydostałam się z niego i podeszłam do namiotu Franka.

Rozpięłam namiot do końca. Moje oczy przyzwyczały się do ciemności na tyle, że zobaczyłam, jak Frank podnosi się i uśmiecha do mnie.

– Hej – powiedział głosem, który rozbrzmiał głośno w tej małej, ograniczonej przestrzeni.

– Hej – wymamrotałam, wciągając śpiwór do środka. Chociaż niezbyt wiele widziałam, wewnątrz namiotu było mniejsze, niż się spodziewałam. Był to jednak namiot dwuosobowy, a śpiwór Franka leżał po jednej stronie, wyznaczonej mniej więcej przez szew na górze. Odwróciłam się od niego, wchodząc do śpiwora.

– Widzisz? – spytał Frank, przesuwając swoją poduszkę, żeby znalazła się na samym środku, między naszymi śpiworami. – Wystarczy aż nadto. Znacznie wygodniejsza od bluzy.

Położyłam się powoli na skraju poduszki, która rzeczywiście była bardzo duża dzięki czemu nie musieliśmy z Frankiem leżeć tuż obok siebie.

Zdałam sobie sprawę, jak cicho jest w namiocie – słyszałam tylko oddech Franka, szeleszczące śpiwory i z góry szum deszczu, który najwyraźniej znów zaczął padać. Czułam, że moje powieki robią się ciężkie, a oddech Franka – powolny i równy. Chociaż nie

widziałam żadnych szczegółów – był dla mnie tylko kształtem w ciemności – mogłam sięgnąć, żeby dotknąć jego twarzy.

– Dobranoc – wyszeptałam w mroku.

– Dobranoc, Em – powiedział powoli, spokojnie, jakby w każdej chwili mógł zasnąć znowu albo nie był pewien, czy nie śpi teraz.

Skuliłam się na boku, twarzą do niego i poczułam, jak uspokojałam się na naszej wspólnej poduszce. Zanim całkiem odpłynęłam, oddychaliśmy już w równym tempie.

Nim się jeszcze w pełni obudziłam, zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. Otworzyłam oczy i po chwili dostrzegłam, że nie jestem we własnym łóżku. Sekundę później zauważyłam też, że leżę w namiocie z Frankiem Porterem, który obejmuje mnie ramieniem.

Zamarłam, próbując ocenić układ, który powstał w nocy. Oboje leżeliśmy na boku, zwrócenii w tę samą stronę. Wciąż skryci byliśmy w naszych śpiworach, ale przysunęliśmy się do siebie w nocy i znaleźliśmy się w pozycji „na łyżeczkę”. Nasze głowy na poduszce były blisko siebie, a ramię Franka mnie obejmowało.

Nie ruszałam się przez przynajmniej parę minut, zmuszając się do spokojnego oddychania. Kiedy się trochę uspokoiłam, zaczęłam odwracać się, milimetr po milimetrze, zatrzymując się za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że Frank zawiesza oddech, póki nie znalazłam się na drugim boku i nie zobaczyłam jego twarzy. Wciąż panował półmrok – musiało być bardzo wcześnie – a jednak dokładnie go widziałam. Miał zmarszczkę z boku twarzy, a jego włosy, zwykle gładko ułożone, unosiły się do góry.

Gdy tak leżałam obok niego, na jednej poduszce, czując na sobie jego ramię, zrozumiałam, że mi się podoba.

Oczywiście lubiłam go jako przyjaciela. Ale to było co innego. To było coś więcej. Chciałam dotknąć jego policzka, lekko, by go nie obudzić. Czułam to już od jego urodzin, kiedy obserwowałam go zbyt długo w świetle księżyca. Czułam to, kiedy

tańczyliśmy na weselu. To dlatego było mi tak niezręcznie jechać po Lissę. To dlatego pragnęłam zostać, gdzie właśnie byłam, ale jednocześnie wiedziałam, że muszę wstać.

Zamknęłam oczy jeszcze na chwilę, chociaż wiedziałam, że już nie zasnę ani nie powstrzymam fali ogarniających mnie uczuć. Było tak, jakbym przycisnęła guzik „drzemki” – sen, w który się wtedy zapada nie jest nigdy głęboki, bo wiadomo, że wykorzystuje się pożyczony czas, który za chwilę się skończy.

Pozwoliłam sobie popatrzeć na niego jeszcze przez chwilę, w pełni świadoma, że nigdy już nie znajdziemy się tak blisko siebie. Nagle zrobiło mi się słabo na myśl, że spał kiedyś z Lissą w tym namiocie. Co ja tu w ogóle robię? – pomyślałam. Musiałam wyjść.

Uwolniłam się spod ramienia Franka, a potem ze śpiwora. Nie chciałam go obudzić, nie chciałam niezręcznej rozmowy. Zostawiłam śpiwór w namiocie, uznawszy, że wyciąganie go teraz zakłóciłoby spokój. Ostrożnie rozpięłam suwak, zerkając na Franka, żeby upewnić się, że go nie budzę, wyostałam się na zewnątrz i zapięłam go z powrotem. Na paluszkach podeszłam do swojej bluzy i włożyłam ją. Na zewnątrz, w nieogrzewanym domu było chłodno: potarłam dłonie jedna o drugą i rozejrzałam się w poszukiwaniu torebki.

Zamarłam, zauważając, że Collins już nie śpi, tylko siedzi na skraju swojego namiotu, spoglądając na pokój. Przez chwilę wyobrażałam sobie, że w tej samej pozycji siedzi w lesie, wpatrując się nie w pustą ścianę, tylko we wschodzące słońce. Zerknął na mnie, a wtedy zrobiło mi się jeszcze zimniej. Wiem, że widział, jak wychodzę z namiotu Franka. Z pewnością podejrzewał najgorsze, chociaż przecież nic się nie stało.

Odetchnęłam, chcąc wytłumaczyć się szeptem, ale Collins bez słowa wrócił do namiotu, zasuważąc zamek za sobą.

Hej, wszystko w porządku?

ZNOWU nie biegamy? Jesteś wreszcie gotowa uznać moją

wyższość? :)

Śniadanie? Spotkamy się w dinerze?

Em, co się dzieje?

Przyjdiesz wieczorem?

Przez kolejne trzy dni po domowym kempingu unikałam Franka. Wciąż starałam się uświadomić sobie, co oznaczały moje uczucia do niego. Wydawało mi się, że gdybyśmy poszli razem pobiegać, w jakiś sposób by się ujawniły, prawdopodobnie w sposób niesamowicie żenujący. Na razie więc zachowywałam się jak tchórz, wysyłając mu niejasne SMS-y o tym, jak się przeziębiam, jak to niby skręciłam kostkę albo miałam dużo pracy w Rajskich Lodach. Ostatniej wiadomości nie mogłam jednak zignorować: obiecałam, że pójdę z nim na galę, wydałam kupę kasy na sukienkę i musiałam zaliczyć ten punkt z listy. Musiałam pójść. Potrzebował mojego przyjacielskiego wsparcia i wiedziałam, że nie mogłam mu nie towarzyszyć.

Przyjdę. Wyślesz mi adres?

Kiedy się przygotowywałam, nie cieszyłam się jednak na wspaniały wieczór, którego spodziewałam się wcześniej. Wspominałam ostatni raz, kiedy stroiłam się na imprezę ze Sloane. Zawsze ubierałyśmy się razem, nawet wtedy, kiedy tylko jedna z nas wychodziła wieczorem. Fajnie było mieć obok siebie kogoś, kto pomaga się umalować, opracować strategię na wieczór, podejmować decyzje dotyczące garderoby. Ostatnio robiłyśmy to przed balem na zakończenie roku, kiedy jej rodzice wyjechali. Włożyła piękny, długi, wyszywany koralikami kaftan vintage i umalowała się w stylu lat sześćdziesiątych – czarne kreski i sztuczne rzęsy – ale włosy zostawiła rozpuszczone.

– Ostatnie poprawki – powiedziała, kiedy byłyśmy już ufryzowane, umalowane i gotowe do drogi. Podniosła matę w

łazience i nadepnęła na jeden z kafelków. Widziałam, jak robi to już wcześniej: to pod nim chowała cenne przedmioty, których nie chciała zgubić, co często wydarzało się w jej domu. Zerknęła do kryjówki i wyciągnęła z niej buteleczkę perfum. Popsikała się na nadgarstkach i szyi. – Gdybym ich nie schowała, Milly zużyłyby całą butelkę – powiedziała, podając mi ją. Pokręciłam głową. – Strasznie to drogie. Dostałam je w prezencie od ciotki. – Schowała perfumy z powrotem pod kafelkiem i wygładziła dywanik. Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała to, co zawsze mówiła przed wieczornym wyjściem. – To będzie najlepsza noc wszech czasów.

Myślałam o tym, psikając się perfumami. Zatkaną buteleczkę i popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Sukienka bez pleców była równie piękna jak wtedy, kiedy przymierzałam ją w sklepie, ale teraz nie byłam już pewna, czy mi się podoba. Chciałam, żeby Frank zauważył mnie w niej, ale jednocześnie pomyślałam, że to ostatnia rzecz, której powinnam chcieć.

– OK – powiedziałam, spoglądając na siebie w lustrze, prostując się i wypowiadając zdanie, które należało do Sloane. – To będzie najlepsza noc wszech czasów.

Ostrożnie zeszałam ze schodów, podtrzymując rąbek mojej sukienki i wołając „do zobaczenia” do moich rodziców. Powiedziałam im o gali, a mama zaproponowała, że pożyczy mi swoją kopertówkę, którą ja bez pytania zabrałam już na wesele. Podziękowałam, uznając, że nie musi o tym wiedzieć.

Po drodze do samochodu zorientowałam się, że wciąż nie dostałam adresu. Wyciągnęłam telefon i zobaczyłam wiadomość od Franka, którą musiałam przegapić.

Randolph Farms Lane 21, do zobaczenia niedługo!

Patrzyłam przez chwilę na ekran, sprawdziłam listę wiadomości, ale nie dostałam żadnych więcej SMS-ów, w których wytłumaczyłby, że pomylił się albo żartował. Nie znalazłam nic więcej. A to oznaczało, że impreza odbywała się w domu Sloane.

KWIECIEŃ

Trzy miesiące wcześniej

– Jeszcze jeden? – Sloane uniosła brew.

Chociaż oczy zaczynały mnie piec, natychmiast pokiwałam głową.

– Jasne.

Od pięciu godzin oglądałyśmy *Psychic Vet Tech*, serial, na który nie zwracałyśmy uwagi, kiedy pojawił się w telewizji, ale który tej nocy postanowiłyśmy wyśmiać i w który wciągnęłyśmy się od razu. Nocowałam u Sloane, co było znacznie fajniejsze od spania we własnym domu. Kiedy nocowałyśmy u mnie, moja mama zawsze przychodziła sprawdzić, czy wszystko u nas w porządku, czy czegoś nie potrzebujemy. Rodziców Sloane zazwyczaj nie było w domu i ten wieczór nie był wyjątkiem. Milly i Anderson wyszli na noc – a może wyjechali na weekend, Sloane nie była pewna – ale Sloane przyjęła rolę gospodyni. Przynosiła nam kieliszki Coli Light z plasterkami cytryny i ugotowała nam kolację.

– To moja specjalność – powiedziała, próbując czegoś z jednego z garnków na kuchence i dodając więcej pieprzu. – Naprawdę. To jedyna rzecz, którą potrafię zrobić. Penne arrabbiata. Tyle że nie miałam penne. Więc to spaghetti arrabbiata.

– Jak nauczyłaś się je przyrządzać? – spytałam, pochylając się nad kuchenką z colą w dłoni. Wiedziałam, że powinnam zaproponować swoją pomoc, ale w tej sytuacji było coś tak uroczego – tak dorosłego – że nie chciałam jej przeszkadzać.

Sloane zmarszczyła brwi, spoglądając na kartkę papieru i wyciągnęła sobie ołówek z włosów, które opadły jej na ramiona. Niecierpliwie odgarnęła je z twarzy i napisała coś na kartce

papieru, po czym znów spięła je ołówkiem.

– Penne arrabbiata? – spytała. – Ciotka mnie nauczyła. A ja zrobiłam zdjęcie przepisu, ale go nie zapisałam i teraz nie wiem, na którym aparacie się podziało, więc próbuję odtworzyć go z pamięci... – Zamieszała w garnku, który stał na tylnym palniku. – Więc wiesz, to może się okazać paskudne – powiedziała niezbyt przejęta. – Ostrzegam.

Makaron był jednak pyszny i zjadłyśmy go w gabinecie Andersona, na skórzanych kanapach, coraz bardziej przejęte losem głównej bohaterki, Willi, która pracowała w lecznicy weterynaryjnej i potrafiła porozumiewać się ze zwierzętami, a potem wykorzystywała ich wiedzę przy rozwiązywaniu zagadek kryminalnych.

– Super – powiedziała Sloane, rozciągając się. – Ja jestem gotowa jeszcze na dwa, a ty?

– Pewnie! – powiedziałam, chociaż podejrzewałam, że zaśnie nad ranem, gdzieś pod koniec pierwszego sezonu. Już nam się to zdarzało. Wstałam, zebrałam talerze, zauważając, że oba nasze kieliszki są puste. – Chcesz dolewkę?

– Tak – odparła, kuląc się na kanapie, gotowa na następny odcinek. – Albo może przynieś wino z lodówki?

– OK – odparłam w nadziei, że w moim głosie nie czuć niepewności. Sloane twierdziła zawsze, że jej rodzicom nie przeszkadza, kiedy pijemy – nawet jeśli są w domu – ale było to tak odmienne od zasad panujących w mojej rodzinie, że wciąż się nie przyzwyczaiłam.

Zeszłam po schodach do kuchni nieco wolniej, niż musiałam, przyglądając się wszystkiemu, co mnie otaczało. Dom Sloane nie mógłby się bardziej różnić od mojego, był pełen antyków, dywanów i oświetlonych obrazów olejnych. Wszłam do kuchni, nie zapalając światła, i włożyłam naczynia do zlewu. Podczas gdy u nas kuchnia była sercem domu i wszyscy się w niej spotykali, tutaj wydawała się niemal nieużywana. Kiedy pierwszy raz otworzyłam lodówkę, zdziwiłam się, widząc tylko kilka pojemników z jedzeniem na wynos, butelkę szampana i kilka

torebeczek keczupu. Naprawdę nie wiedziałam, że istnieją na świecie lodówki bez butelek z keczupem. Otworzyłam drzwi i sięgnęłam po białe wino.

– Dobrze się bawicie?

Odwróciłam się, czując, jak serce zaczyna walić mi mocno w piersi i zobaczyłam Milly siedzącą w ciemności przy kuchennym stole, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni. Nie wiedziałam, że rodzice Sloane wrócili, ale od razu zauważyłam, że jeśli wrócili, to z jakiegoś eleganckiego miejsca – Milly miała na sobie długą, wyszywaną suknię, która opadała na jej białe stopy.

– Och – powiedziałam. Spojrzałam na butelkę wina, którą trzymałam w dłoni i załapałam, jak musi to wyglądać. Wiedzieć, że rodzice Sloane pozwalają nam na picie wina to jedno, zupełnie czym innym było spotkanie jej mamy z butelką Chardonnay w dłoni. – Tak. To znaczy...

– Zamknij drzwi, kochanie, dobrze? – powiedziała Milly, wskazując światło lodówki. Zrobiłam to, a w kuchni znów zapadła ciemność.

– Hmm – wymamrotałam, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Schować wino? Odstawić je z powrotem do lodówki? Udawać, że to spotkanie nie robi na mnie wrażenia? – Dziękuję, że pozwoliliście mi tu nocować.

– Oczywiście, Amando – odparła, uśmiechając się. – Cała przyjemność po naszej stronie.

Nie przestawałam się uśmiechać, niepewna, czy wolno mi poprawić dorosłą osobę, do tego matkę Sloane. Uznałam, że sytuacja będzie mniej niezręczna, jeśli dam sobie spokój. W moim wyrazie twarzy musiało być jednak coś, co mnie zdradziło, bo Milly opuściła kieliszek i powiedziała:

– Nie Amando – pokręciła głową. – Mój Boże, wszystko mi się myli.

– Jestem Emily – odparłam z uśmiechem, starając się, by nie wydał się wymuszony.

– Oczywiście. – Milly również się roześmiała. – Zapomniałabym własnej głowy, gdyby nie była przyczepiona do

szyi.

Pokiwałam głową. Zamierzałam już powiedzieć coś o pogodzie, kiedy Milly dodała:

– Najlepsza przyjaciółka Sloane z Palm Beach miała na imię Amanda.

Napiła się wina, jak gdyby nigdy nic, a ja próbowałam nie okazać zaskoczenia. Sloane nigdy nie wspomniała o Amandzie.

– A potem była... jak miała na imię ta dziewczyna z Południowej Karoliny? – spytała Milly, uderzając palcami o blat, zwracając się bardziej do siebie niż do mnie. – Kiedy byliśmy u mojej siostry Laney... – Zrozumiałam nagle, że to nie jest jej pierwszy kieliszek wina. Jej głos był rozluźniony w sposób, do którego nie byłam przyzwyczajona, co bardzo mnie zdenerwowało. Jej zachowanie, i fakt, że trzymałam w dłoni butelkę wina, i to w obecności dorosłej osoby, która nie udzielała mi reprimendy, sprawiło, że odniosłam wrażenie, iż nikt nie ma kontroli nad sytuacją. – Charlotte! – zawołała triumfująco Milly, biorąc łyk wina.

Uśmiechnęłam się lekko, chociaż kręciło mi się w głowie. Pomyślałam, że nie mogę spytać Sloane o jej inne przyjaciółki. Gdybym nawet to zrobiła, pewnie opowiedziałyby mi o nich, o dziewczynach, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Wiedziałam, że nic się nie stało i że niepotrzebnie się przejmuję. Ale jednak, mimo wszystko.

– Em! – Odwróciłam się w kierunku, z którego dobiegał głos Sloane. Z pewnością zastanawiała się, co się ze mną stało. – Chodź! Następny odcinek nosi tytuł „Jamnik u Jubilera”, więc musi być niesamowity!

– Powinam... – zrobiłam krok w stronę drzwi.

– Oczywiście – odparła Milly, uśmiechając się do mnie. Nie dopominała się o wino, więc po prostu zabrałam je ze sobą. – Miło cię znowu widzieć, kochanie.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Ciebie również. – Podejrzywałam, że zapomniała już moje imię. Poszłam prosto do gabinetu, tym razem nie rozglądając się

wokół i usiadłam obok Sloane na kanapie.

– Wreszcie jesteś – powiedziała, biorąc butelkę wina z mojej dłoni i nalewając nam po kieliszku. – Martwiłam się, że się zgubiłaś.

Miałam już powiedzieć Sloane, że jej rodzice wrócili i że jej mama siedziała w kuchni, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, kiedy weszli do domu. W każdym razie, nie przyszli przywitać się z córką. I wtedy zateśkniłam za moją mamą, za jej wścibskimi pytaniami, za jej obecnością, na której zawsze mogłam polegać.

– Wolno się ruszam – odparłam, chwytając pilota i kierując go w stronę telewizora. – Zjadłam za dużo makaronu. Gotowa?

Sloane klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się do mnie.

– Zawsze.

14
UKRADNIJ COŚ

Opierałam się o ścianę dawnego salonu Sloane, ściskając w dłoni szklankę gazowanej wody, którą dostałam od jednego z kelnerów. Popijałam ją w nadziei, że pomoże mi się obudzić, zrozumieć, co się dzieje. Czułam się bowiem tak, jakbym została wrzucona w sam środek koszmaru albo eksperymentalnej sztuki moich rodziców, gdzie wszystko jest nie tak, jak trzeba.

Stałam w salonie Sloane, który wciąż był salonem Sloane. Nic się nie zmieniło. Meble, dywany, olejne obrazy, oprawione w skórę książki na półkach. To wszystko nie miało sensu. Czemu Williamsowie zostawili wszystkie swoje rzeczy? Przez chwilę myślałam, że może zamierzają wrócić, ale sama nie byłam w stanie w to uwierzyć. Inne wyjaśnienie zaczęło krążyć w mojej głowie: może zostawili je, bo do nich nie należały.

Dom był pełen ludzi, głównie takich w wieku moich rodziców, w smokingach i długich sukniach, wokół których krążyli kelnerzy z tacami. Frank pomachał do mnie, kiedy weszłam do środka, ale otaczali go znajomi jego rodziców. Mnie to nie przeszkadzało, bo wciąż nie byłam pewna, co miałabym mu powiedzieć, ani jak wyglądałaby nasza rozmowa. Rodzice Franka stali pośrodku salonu, najwyraźniej udając, że wszystko układa się między nimi doskonale, w co dałoby się uwierzyć, gdyby nie stali tak daleko od siebie i gdyby czasami ze sobą rozmawiali.

Rozejrzałam się po dobrze znanym pokoju, którego miałam już nigdy nie zobaczyć i który nie wyglądał, jak kiedykolwiek wcześniej. Wgryzłam się w kostkę lodu i zaboląły mnie tylne zęby. W jej domu poczułam nagle, jak bardzo brakuje mi Sloane.

Ale przecież brakowało mi jej przez cały ten czas. Prawda?

Potrząsnęłam lekko szklanką, żeby posłuchać obijających się o siebie kostek lodu i zdałam sobie sprawę, że ostatnio za nią nie tęskniłam. Że wypełnianie kolejnych punktów na liście nie miało związku ze Sloane, ale ze mną. I z Frankiem, z Dawn, nawet z

Collinsem. Nie byłam pewna, co to oznacza. Popijałam wodę, zastanawiając się, jak długo jeszcze będę musiała tu zostać. Miałam dreszcze, czułam się nie na miejscu, jakby sama bliskość domu Sloane przypominała mi o sprawach, z którymi od dawna nie musiałam się mierzyć. Chciałam tylko wrócić do domu i nie wychodzić z niego, póki wszystko nie nabierze sensu.

Po drugiej stronie pokoju zobaczyłam Collinsa i pomachałam do niego. Napotkał moje spojrzenie, ale zaraz odwrócił się i westchnął głęboko, nim z rękami w kieszeniach marynarki ruszył w moją stronę poprzez tłum. Wystroił się na tę okazję – miał na sobie ciemnobrązową muchę, szarfę i poszetkę.

– Wyglądasz naprawdę elegancko – powiedziałam, kiedy do mnie podszedł.

– Dzięki – odparł dość sucho. Patrzył na mnie przez chwilę i odwrócił wzrok. – Ładna sukienka. – Od razu wiedziałam, że nie jest to komplement. Chociaż w domu było gorąco, a na zbyt wielu ludzi nie przypadało wystarczająco dużo powietrza, zrobiło mi się zimno. Przypomniałam sobie, jak Collins spojrzał na mnie, kiedy wyszłam z namiotu Franka.

Jakby wyczuwając moją myśl, Frank spojrzał na mnie i na Collinsa, rzucając nam spojrzenie, które oznaczało coś w stylu „przepraszam za to wszystko”.

– Posłuchaj – zwróciłam się do Collinsa. Wzięłam głęboki oddech, uznając, że muszę przejść prosto do rzeczy. – Wiem, że widziałeś, jak wychodzę z namiotu Franka. Nic się wtedy nie wydarzyło. Po prostu nie zabrałam ze sobą poduszki.

– Nie podejrzewałem, że coś się wydarzyło – powiedział obojętnie.

– Och – odparłam, zbита z tropu. Spodziewałam się znacznie dłuższej rozmowy. – Nie chciałam, żebyś coś sobie pomyślał.

– Emily, nic nie myślę. – Teraz w jego głosie pobrzmiwała irytacja. – No już, jesteśmy przyjaciółmi. – Patrzyłam na niego dłuższą chwilę, a w mojej minie musiało być coś, co kazało mu zapytać. – No co?

– Ja po prostu... – Nie spodziewałam się, że odbędziemy tę

rozmowę, ale skoro już zaczęliśmy, uznałam, że mogę spytać go o to, nad czym zastanawiałam się całe wakacje. – Czasami mam wrażenie, że nie lubisz mojego towarzystwa. Czasami – dodałam szybko – jakbyś wolał, żeby mnie nie było.

Collins patrzył na mnie przez chwilę, po czym wskazał głową boczny ganek. Poprowadził mnie tam, jakby to on świetnie znał ten dom, jakby to on godzinami rozmawiał na tym ganku ze Sloane, siedząc na leżakach z nogami na barierce.

Na ganku było pusto, może dlatego, że powietrze było wilgotne i można było odnieść wrażenie, że zaraz zaczną lać.

– Naprawdę będziemy o tym rozmawiać? – spytał, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz. – Godzina szczerości?

– Mhm – odparłam. – Godzina szczerości.

Collins na chwilę odwrócił wzrok w stronę wzgórz, które były podwórkiem Sloane, po czym spojrzał na mnie:

– Frank jest moim najlepszym przyjacielem. Od dziecka. Ale mogę spotykać się z nim tylko wtedy, kiedy nie ma Lissy, kiedy nie przewodniczy klasie albo nie ratuje jakiegoś gatunku żaby.

– Collins... – zaczęłam, ale machnął ręką.

– To nie szkodzi – powiedział – już się z tym pogodziłem. Ale tego lata, kiedy ona wyjechała, a on nie rzucał się na ratunek światu, pomyślałem, że wakacje będą należeć do nas dwóch. Że będziemy razem pracować, wygłupiać się...

– I tak właśnie było – powiedziałam, słysząc, jak defensywnie brzmi mój głos.

– Przez jakiś tydzień. A potem pojawiłaś się ty.

Przełknęłam ślinę. Chociaż zgodziłam się na szczerą rozmowę, to jeszcze nie oznacza, że mi się ona podobała.

– Ale... – zaczęłam.

– Planowałem ten kemping strasznie długo, a kiedy zaczęło padać, Frank powiedział, że wpadł na świetny pomysł. I wtedy zaprosił ciebie i Dawn – odetchnął, patrząc na porysowaną, drewnianą podłogę.

– Nie chciałam stanąć między wami – powiedziałam wreszcie, mając nadzieję, że rozumiał, iż nie było to moim

zamiarem. – Przepraszam.

– Wiem – odparł Collins, kręcąc głową, wyraźnie sfrustrowany. – Frank na pewno nawet nie wie, że to robi. Po prostu trudno jest być zawsze na drugim miejscu.

Popatrzyłam na minę Collinsa i zdałam sobie sprawę, że dobrze ją znam: przybierałam podobny wyraz twarzy, kiedy Sloane zaczęła wybierać Sama zamiast mnie. Wtedy zaczęłam opuszczać treningi biegowe, bo chciałam spędzać z nią czas, kiedy tylko mogłam.

– Rozumiem – powiedziałam cicho.

– Spodziewam się, że rozumiesz – powiedział, wzruszając ramionami. – A na pewno zrozumiesz niedługo.

– Co masz na myśli? – spytałam. Collins w milczeniu patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Wyglądał, jakby zastanawiał się, jak dużo mi powiedzieć. – Godzina szczerości – przypomniałam.

– OK. – Skrzyżował ramiona na piersi. – Jak myślisz, co się stanie, kiedy Lissa wróci?

To pytanie, podobnie jak to, co poczułam w namiocie, uderzyło mnie z całą siłą.

– O czym... o czym mówisz?

– Myślisz, że wciąż będziecie spędzać ze sobą tyle czasu? I że będziesz się spotykać z Dawn, kiedy wróci do szkoły do Hartfield? – spojrzał na mnie znacząco, a ja zdałam sobie sprawę, że był tego lata bardziej uważny, niż mogłabym się spodziewać. – Niedługo zacznie się wrzesień, Emily. Wiem, że straciłaś przyjaciółkę, ale niezbyt dobrze wyszło ci szukanie zastępstwa.

Zrobiłam krok w tył. Poczułam się, jakby dał mi w twarz.

– To nie było... – zaczęłam. – Nie zrobiłam tego. – Gdyby jednak coś nie było na rzeczy, nie poczułabym się tak urażona.

– OK. – Collins wzruszył ramionami, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

– A my nie będziemy się przyjaźnić? – spytałam walecznie. Staralam się uświadomić sobie, że wszystko, co budowałam tego lata, może zniknąć niczym zamek z piasku.

– Będziemy przyjaciółmi – odparł. – Ale... – w tym

momencie zdawał się wracać dawny Collins, nawet jego postura się zmieniła – kiedy zaczęły się spotykać z jakąś fajną dziewczyną, mogą nie mieć dla ciebie za dużo czasu. – Puścił do mnie oko. – Sama rozumiesz.

– Chcesz usłyszeć prawdę? – spytałam. Nie zastanawiałam się, po prostu postanowiłam być z nim równie brutalnie szczerą, jak on ze mną. – Godzina szczerości trwa? – Collins pokiwał głową. – Próbujesz umawiać się z królowymi balu, bo wiesz, że ci odmówią. – Była to tylko teoria, ale kiedy zobaczyłam, jak się rumieni, wiedziałam już, że trafiona. – Nie chcesz spróbować umówić się z kimś, z kim masz szansę?

Collins pokręcił tylko głową.

– Nie spodziewam się, że to zrozumiesz, Emily – powiedział po chwili. – Ale kto miałby się ze mną umówić? – Jego głos drżał, a po wakacjach pełnych żartów, teatralnych gestów i neonowych koszulek wydało mi się, że wreszcie widzę go takim, jakim był naprawdę, bez ochronnej tarczy. Nie był chłopakiem, który tydzień wcześniej kazał nazywać się LL Cool C – Laseczki Lecą na Cool Collinsa – chociaż robił to czasem tylko Doug. To był prawdziwy Collins. A prawdziwy Collins wydawał się smutny i rozczarowany. Zaśmiał się nerwowo. – Nie jestem szczególnie atrakcyjny.

– Oczywiście, że jesteś – powiedziałam, zaskoczona, że tego nie widzi. – I powinieneś umówić się z Dawn. – Mówiąc te słowa, miałam nadzieję, że dobrze zrozumiałam jej bezceremonialne komentarze na jego temat, nie wspominając o tym, jak długo patrzyła na niego, kiedy kąpał się nago.

Collins popatrzył na mnie przez dłuższą chwilę, potem opuścił wzrok.

– Myślisz, że by się zgodziła? – spytał wreszcie tak zdenerwowany, jakim nigdy go nie widziałam.

Chciałam go o tym zapewnić, ale niczego już nie byłam pewna.

– A cóż złego może się stać? – spytałam, starając się uśmiechnąć. On nieśmiało odwzajemnił uśmiech, a w tym samym momencie drzwi się otworzyły.

– Matthew! – Starsza kobieta, która rozmawiała wcześniej z Frankiem, wezwała go do środka. Collins zerknął na mnie, ale ona była dość natarczywa i zapraszała go szerokimi gestami przyozdobionych migoczącymi w świetle klejnotami rąk.

– Przepraszam – powiedział Matthew. – Ja...

– Idź – uśmiechnęłam się. – W porządku.

Pokiwał głową i wszedł do domu. Po chwili zrobiłam to samo. W drodze przez salon dostrzegłam, że Frank próbuje napotkać moje spojrzenie, ale ja wbiłam wzrok w swoją szklankę. Słyszałam różne fragmenty konwersacji, architektoniczne terminy, których nie rozumiałam, ale też zaskakujące urywki dyskusji.

„Tak, to wspaniały dom, prawda? Oryginalne meble Harrisona... fundusz... jakaś kłótnia o spadek... Nie wiem, chyba jacyś lokatorzy? Najwyraźniej już nie...”

W każdym pokoju, do którego zaglądałam, widziałam Sloane. Na kanapie, na której pożerałyśmy całe sezony seriali; przy stole, na którym siadałyśmy, żeby podzielić się pudełkiem lodów, a ona opowiadała mi o swoim pierwszym pocałunku z Samem, przy blacie, na którym rozkładała wszystkie swoje cienie, próbując sprawić, żeby moje oczy przyjęły jeden kolor.

Właśnie oddałam swoją pustą szklankę znudzonemu kelnerowi, kiedy zauważyłam tylne schody na końcu korytarza. Odgródzone były taśmą, co oznaczało najwyraźniej, że nie wolno wchodzić na górę.

Podeszłam do nich, na wszelki wypadek układając już sobie w głowie alibi. „Szukałam łazienki. Nie zauważyłam taśmy. Zgubiłam się”. Zerknęłam za siebie, po czym podniosłam taśmę, zanurkowałam i pobiegłam na górę.

Tak jak na parterze, wszystko wokół wciąż wyglądało tak samo, jak kiedy tu mieszkała. Stół w korytarzu, olejne obrazy, mapy w ramach. Przez dłuższą chwilę wyglądałam przez okno na końcu holu, to z beżowymi zasłonami, przez które Sloane dostała się do środka tamtego dnia, kiedy powiedziała mi, że czekała na mnie – albo na kogoś takiego jak ja.

Odwróciłam się i poszłam do pokoju, który należał kiedyś do

Sloane. Zatrzymałam się przed drzwiami w nadziei, że nie są zamknięte. Stara, szklana klamka ustąpiła jednak pod moim dotykiem, a ja rozejrzałam się jeszcze raz i weszłam do środka.

Wszystkie meble były takie same, ale jednocześnie wyglądały zupełnie inaczej. Kiedy mieszkała tu Sloane, wszędzie walały się graty: kosmetyki, ubrania i brytyjskie pisma o modzie, które specjalnie zamawiała, zajmowały większość powierzchni szafek i podłogi. Zawiesiła małe lampki wokół swojego łóżka, a lustro obwiesiła zdjęciami – moimi, jej i Sama, ale też wyrwanymi z czasopism kartkami. Teraz jednak zniknął jej najmniejszy ślad. Był to tylko anonimowy pokój, który mógłby należeć do każdego.

W tym miejscu czułam się gorzej niż w jakimkolwiek innym pokoju w tym domu. Już chciałam wyjść, kiedy odwróciłam się, coś sobie przypomniawszy.

Dywanik wciąż leżał na podłodze. Uniosłam go, próbując przypomnieć sobie, gdzie znajdowała się luźna płytką. Kiedy ją znalazłam, nacisnęłam na nią mocno. Sloane trzymała w skrytce mnóstwo różnych przedmiotów. Teraz jednak został tam tylko jednorazowy aparat i warstewka kurzu. Wyciągnęłam aparat i wytarłam go. Nie był podpisany i chyba wykorzystany.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Odłożyłam płytkę na miejsce, przykryłam dywanikiem i wyszłam z pokoju Sloane, nie pozwalając sobie zerkać za siebie. Zamknęłam drzwi i pospieszyłam na dół, chociaż wcale nie miałam ochoty wracać na imprezę.

Weszłam do salonu i zobaczyłam, że rodzice Franka stoją teraz jeszcze dalej od siebie z przyklejonymi uśmiechami, jego zaś nigdzie nie było. Spróbowałam wcisnąć aparat do torebki, ale była to jedna z tych maleńkich, bezużytecznych kopertówek, w której mieściły się tylko klucze i dowód osobisty. Podeszłam do frontowych drzwi, chcąc schować go w samochodzie, zadowolona, że mam wymówkę, żeby wyjść chociaż na chwilę.

– Hej.

Odwróciłam się i zobaczyłam za sobą Franka. Jego fryzura była trochę zmierzwiona, jakby przeczesywał włosy palcami. W

smokingu wyglądał tak świetnie, że aż się zachwiałam. Musiałam się odwrócić, inaczej nie byłabym w stanie przestać się na niego gapić.

– Hej – zwróciłam się głównie do własnych butów. – Jak leci?

Zajrzał do pokoju, po którego dwóch stronach stali rodzice.

– Jakoś leci – odparł ponuro. – Wracasz do domu?

– Cóż – zerknęłam na aparat w mojej dłoni. – Wyszłam tylko do samochodu...

– Bo jeśli tak – przerwał mi. – Mogłabyś mnie podwieźć. Muszę się stąd zabrać.

– Och – odparłam. – Jasne.

Cieszyłam się, że mogę wyjść, ale nie byłam pewna, czy Frank powinien. On jednak pokiwał tylko głową i otworzył mi drzwi. Usłyszałam jego westchnienie.

– To się nazywa sukienka – powiedział, a ja zdałam sobie sprawę, że pewnie dopiero teraz dostrzegł jej tył – a właściwie jego brak.

Zeszliśmy na dół po schodach, tych samych, na których siedziałam razem ze Sloane, czytając dziesiątki czasopism i opalając się, na tych samych, na których stałam, zdesperowana, czekając na jej powrót.

– W sensie: ładna? – spytałam. Frank otworzył usta, żeby odpowiedzieć, kiedy w oddali huknął grzmot. – Lepiej chodźmy – powiedziałam, przyspieszając. – Dach jest otwarty.

Zaparkowałam na samym końcu długiego rzędu samochodów przy ulicy, mieliśmy więc kawałek do przejścia.

– Dzięki – powiedział Frank.

– Nie ma sprawy – odparłam, zerkając na niego. Trzymał ręce w kieszeniach, a ja znałam go już wystarczająco dobrze, by domyślić się, że jest czymś bardzo zmartwiony. – Na pewno możesz już iść?

– Tak – uciał. – W ogóle nie powinienem był przychodzić. Przepraszam, że cię tu zaciągnąłem.

– Nic nie szkodzi – zaczęłam, a wtedy znów grzmotnęło i

przyspieszyliśmy.

Wiatr zaczął wiać, a ja zdałam sobie sprawę, że znajdujemy się na naszej stałej trasie, tyle że w wieczorowych, a nie sportowych strojach. Panowało między nami dziwne napięcie i wydało mi się, że to nie tylko moja wina. Otworzyłam auto i wsiedliśmy. Nie włączyłam muzyki, zawróciłam tylko i przejechałam znów obok domu Sloane. Wyglądając przez okno, zobaczyłam oświetloną rezydencję, a w oknach elegancko ubranych ludzi w sukniach i smokingach. Tak właśnie wyobrażałam sobie zawsze ten dom, a dzisiaj byłam częścią zarządzanego w nim przyjęcia. Myślałam, że będzie przepięknie, było jednak tylko bardzo smutno.

Skręciłam w ulicę prowadzącą do domu Franka. Jechałam nieco szybciej niż zazwyczaj, bo bałam się nadchodzącego deszczu. Myślałam o płótnie i drewnianym dachu, które bezpiecznie leżały w garażu. W połowie drogi zerknęłam na Franka. Wyglądał przez okno z zaciśniętymi ustami. Byłam pewna, że coś jest nie tak.

– Wszystko w porządku? – spytałam wreszcie.

– Nie wiem – odparł, oglądając się na mnie. Zrozumiałam, że nie jest wściekły jedynie na swoich rodziców – był wściekły na mnie. – Co się dzieje? Uciekłaś z kempingu bez słowa, nie odpowiadałaś na moje SMS-y, a teraz przyszedłaś w tej sukience...

– O co ci chodzi z sukienką? – spytałam, poprawiając dekolt, nagle boleśnie samoświadoma.

– O nic – odparł Frank, kręcąc głową. – Po prostu się martwiłem.

– Przepraszam. Musiałam... musiałam po prostu parę rzeczy przemyśleć.

Patrzył na mnie przez chwilę.

– Ja też. – Pokiwałam głową, ale nagle się przestraszyłam. Co, jeśli Collins miał rację? Jeśli Frank nie chce się już ze mną przyjaźnić? – Emily – powiedział, ale w tym samym momencie deszcz zaczął uderzać o szyby i padać nam na głowy.

– O Boże! – Przyspieszyłam. – Przepraszam cię. Ja tylko... –

Deszcz padał coraz mocniej, więc włączyłam wycieraczki. Woda spadała na pulpit, odbijała się od niego i moczyła mnie, czułam, że robię się coraz bardziej mokra. Sięgnęłam po aparat Sloane i podałam go Frankowi. – Możesz go włożyć do schowka? – spytałam, unosząc głos, by usłyszał mnie mimo szumu wiatru.

Wziął go, spoglądając pytająco. Ja jednak patrzyłam przed siebie skupiona wyłącznie na tym, by dowieźć go do domu, nim przemoknie albo nim któreś z nas powie coś, czego nie powinniśmy.

Wjechałam na podjazd jego domu i zaparkowałam, spodziewając się, że wybiegnie z auta, póki jest jeszcze w miarę suchy. On jednak tylko popatrzył na mnie w deszczu, który wlewał się do samochodowego pojemnika na kubek.

– O czym myślałaś? – spytał poważnie. – Nie rozmawiałaś ze mną od tygodnia. O co chodzi?

– O nic – odparłam, odwracając wzrok. – Jeszcze raz cię przepraszam. Idź do domu, będziesz cały mokry.

– Wszystko mi jedno. – Pochylił się do mnie. – Powiedz mi, o co chodzi.

– O nic – powtórzyłam, gorączkowo myśląc, jak zmienić temat, żeby znaleźć się na stałym gruncie. Sięgnęłam po żart, który powtarzaliśmy przez całe lato, który znałam już na pamięć. – Wiesz, w dobrze zorganizowanym wszechświecie... – W tym momencie popatrzyłam jednak na niego, na krople spływające po jego twarzy, na mokrą, białą koszulę jego smokingu i zrozumiałam, że tym razem nie mogę skończyć tego zdania.

Choć może jednak mogłam, bo pochyliłam się i pocałowałam go.

Odwzajemnił pocałunek. Trwało to tylko chwilę, ale pocałował mnie od razu, bez wahania, jakbyśmy robili to tysiące razy.

Po chwili jednak odsunął się i spojrzał na mnie. Oboje pochyłaliśmy się naprzód, co było idiotyczne o tyle, że właśnie w tym miejscu deszcz dostawał się do samochodu.

Popatrzyłam na niego przez strumienie wody lejącej się

między nami i wzięłam oddech, żeby coś powiedzieć, kiedy on wziął moją twarz w dłonie i pocałował mnie znowu.

Był to pocałunek, który mógłby zatrzymać czas. Deszcz padał na nas, ale przestałam go zauważać. Całowaliśmy się tak, jakbyśmy znów zaczęli mówić dawno zapomnianym językiem, w którym kiedyś byliśmy biegli; całowaliśmy się tak, jakbyśmy pragnęli tego od bardzo, bardzo dawna, z podobną energią, z jaką deszcz padał wszędzie wokół nas. Jego dłonie pochwyciły moje włosy, dotykały moich nagich pleców, a ja cała drżałam, choć wcale nie było mi zimno. Dotknęłam jego wilgotnych policzków i przyciągnęłam go do siebie, czując równoczesne bicie naszych serc, czując, że mimo ulewy, mimo wszystko, ten pocałunek mógłby trwać wiecznie.

Aż nagle Frank wycofał się gwałtownie.

Opuścił ramiona i oparł się o szybę.

– O Boże – wydyszał.

Oparłam się o siedzenie, próbując złapać oddech.

– Frank... – zaczęłam, chociaż nie miałam pojęcia, co chciałam powiedzieć.

– Nic nie mów – odparł od razu.

Popatrzył na mnie, a ja zobaczyłam, jak nieszczęśliwie wyglądał – z mojej winy. I tylko mojej. Wreszcie dosięgła mnie rzeczywistość: on miał dziewczynę. Od dawna był w poważnym związku, a ja wiedziałam o tym, a mimo to go pocałowałam. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Popatrzyłam na swoje trzęsące się dłonie.

– Przepraszam – wyszeptałam. – Nie powinnam była...

– Muszę iść – powiedział. – Ja... – Popatrzył na mnie, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Po chwili wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi. Wszedł po schodach do domu, powoli, garbiąc się, pozwalając, by jeszcze bardziej zmoczył go deszcz. Odczekałam, póki nie wszedł do środka. Siedziałam jeszcze chwilę, by upewnić się, że nie wróci, żeby powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy było już jasne, że to się nie wydarzy, uruchomiłam silnik i ruszyłam do domu.

A kiedy zaczęłam płakać, padało tak mocno, że mogłam udawać, że to tylko krople deszczu spływają po mojej twarzy, a nie łzy rozpaczy za kolejnym utraconym przyjacielem.

– Em? – Mama zapukała, otworzyła drzwi i zajrzała do mojego pokoju wyraźnie zaniepokojona. – Wszystko w porządku, kochanie?

Spojrzałam w górę z podłogi, na której usiadłam, żeby zrobić porządek w swoich ciuchach i zapomnieć, że wszystko wokół mnie się wali.

Następnego dnia po pocałunku napisałam do Franka, ale nie dostałam odpowiedzi. Spędziłam cały dzień, wpatrując się w telefon, tym razem zadowolona, że Rajskie Lody były całkiem puste, bo nie byłabym w stanie nikomu nałożyć nawet jednej gałki. Moja siła woli wyczerpała się wieczorem. Zadzwoiłam do niego, ale usłyszałam tylko automatyczną sekretarkę. Kiedy następnego dnia wciąż się nie odzywał, poprosiłam Becketta, żeby położył telefon gdzieś wysoko, bym bez przerwy się na niego nie gapiła. Trzeciego dnia poszłam do jego domu, udając, że po prostu wybrałam się na spacer, i zobaczyłam, że jego samochód zniknął. Pomyślałam, że poszedł do pracy, ale kiedy przejeżdżałam tamtędy wieczorem, auta wciąż nie było. Tamej nocy, kiedy zaczęłam już nabierać przekonania, że nigdy więcej go nie zobaczę, dostałam wiadomość.

Hej, nie mogę teraz rozmawiać.

Muszę przemyśleć parę rzeczy. Więcej.

Niedługo.

Jako dziecko pary dramaturgów rozumiałam podtekst. Ta wiadomość, w połączeniu z jego trzydniowym milczeniem, oznaczała, że Frank mnie olewał, traktował jak obcą osobę. Najwyraźniej chciał zapomnieć o tym, co się stało, udawać, że

nasz pocałunek nie miał nigdy miejsca.

Nie odbierałam telefonów Dawn: nie chciałam nic jej mówić, póki nie porozmawiam z Frankiem. Kiedy jednak uznałam, że nie jestem mu już nic winna, następnego dnia odebrałam.

– O Boże – pisnęła podekscytowana, zanim jeszcze zdążyłam się odezwać. – Tak się cieszę, że wreszcie odebrałaś! Byłaś chora?

– Cóż... – zaczęłam, ale ona mówiła już dalej.

– Idę dziś na randkę! Z Matthew! Zaprosił mnie wczoraj. Idziemy do kina, czy to nie wspaniale?

– Tak – odparłam, uśmiechając się pierwszy raz od kilku dni, zadowolona, że Collins wziął sobie moje rady do serca. – To wspaniale.

– Musisz mi pomóc wybrać ciuchy! – powiedziała. – Może wieczorem? Na razie siedzę w pracy, a przydałoby się spojrzeć na szafę. Ale co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Pocałowaliśmy się z Frankiem – wypaliłam. Wiedziałam, że nie uda mi się prowadzić small talku, skoro od trzech dni myślałam tylko o jednym. – Ja go pocałowałam – przyznałam. Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza, więc pospieszyłam, żeby tłumaczyć się dalej. – A teraz nie wiem, co się dzieje. Odpisał na moją wiadomość, ale najwyraźniej nie chce ze mną gadać. A ja chciałabym tylko, żeby wszystko wróciło do normy... – Mówiąc te słowa, doskonale wiedziałam, że to nieprawda. Wcale tego nie chciałam. Ale wolałabym to niż to, co działo – a właściwie nie działo – się teraz.

– Emily – głos Dawn stał się nagle chłodny, takiego nie słyszałam nigdy wcześniej. – On ma dziewczynę.

Zamrugłam, poruszona tą zmianą tonu.

– Wiem – powiedziałam powoli – i bardzo mi z tym źle. Ja...

– Naprawdę? – spytała. – Bo przecież wiedziałaś o tym, zanim go pocałowałaś, prawda?

– Dawn... – próbowałam się uspokoić. Miałam nadzieję, że będę z nią mogła przegadać sprawę, dowiedzieć się, co o tym myśli, a ona od razu mnie zaatakowała. – Ja...

– Naprawdę myślałaś, że mnie to nie wkurzy? – uniosła głos.

– Po tym, co zrobiła mi Mindy? Po tym, co zrobił Bryan?
Zamknęłam na chwilę oczy i oparłam głowę o telefon.

– Nie – powiedziałam. – Przepraszam. Nie wiem, co robić i...

– Wiesz co, nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała chłodno. – Jestem w pracy.

– OK – odparłam nieco zaskoczona, bo Dawn nigdy szczególnie nie przejmowała się pracą. – Zadzwoń do ciebie później, dobrze?

– Muszę iść. – Teraz jej głos był nie tyle wściekły, co po prostu smutny. – Teraz muszę wracać do pracy, a potem przygotować się do randki, więc...

Wszystko było już dla mnie jasne. Dawn nie chciała ze mną rozmawiać. Nie chciała się ze mną przyjaźnić po tym, co zrobiłam. Pożegnaliśmy się chłodno, a ja odłożyłam telefon, myśląc, że wszystko w moim życiu rozpada się i znika właśnie wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebuję.

Po chwili zadzwoniłam do Collinsa. Od razu wydał mi się nieufny i nie zdążyłam powiedzieć wiele, bo zaraz mi przerwał.

– Wiem, co się stało – powiedział, oddychając głośno. – To niedobrze, Emily.

– Przecież wiem – odparłam. Wszelkie nadzieje, jakie jeszcze miałam, że Frank będzie chciał się nadal przyjaźnić albo że uda nam się jakoś przetrwać, zniknęły, kiedy usłyszałam zrezygnowany ton głosu Collinsa. – Ale ja chciałam tylko...

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić, prawda? – spytał bez złości, chyba tylko zmęczony. – Nie mogę stanąć po twojej stronie. Jest moim najlepszym przyjacielem.

– Wiem – odparłam. – Ale gdybyś tylko spróbował z nim porozmawiać...

– Nie mogę – powiedział Collins. – Nawet gdybym chciał, a naprawdę nie chcę. Jest w Nowym...

Collins urwał nagle, ale usłyszałam wystarczająco dużo, by zrozumieć. Nie sądziłam, bym mogła poczuć się jeszcze gorzej. Teraz rozumiałam już, czemu samochodu Franka nie ma pod

domem. Wyjechał. Do Princeton. Wybrał swoją dziewczynę. Oczywiście, że ją wybrał. Jak mogłam mieć wątpliwości? I nocował tam razem z nią.

Wiedziałam, że nie mam prawa się na to złościć, ale i tak musiałam powstrzymać łzy. Łzy tęsknoty za tym, co zaistniało między mną a Frankiem, za tym, co nigdy nie zaistnieje, za tym, co zniszczyłam.

– Przykro mi, Em – powiedział szczerze Collins.

– Jasne – wyszeptalam, bojąc się, że jeśli powiem cokolwiek więcej, wybuchnę płaczem. Nagle stało się oczywiste, że nikt nie jest po mojej stronie. – Baw się dobrze dziś wieczorem.

– Dzięki – odparł łagodnie. – Trzymaj się, dobrze?

Pokiwałam głową, chociaż Collins nie mógł tego zobaczyć, i odłożyłam słuchawkę. Straciłam więc Dawn, Collinsa, no i oczywiście Franka. Jednym głupim gestem zniszczyłam wszystko, co budowałam przez całe lato.

A teraz w progu stała moja mama. Nawet ona zauważyła, że coś jest nie tak.

– Hej – powiedziałam, stawiając na podłodze parę butów, które Sloane kupiła mi podczas naszego ostatniego wspólnego kiermaszu. Zmrużyłam oczy i zobaczyłam, że mama ma na sobie porządne ubranie, a jej włosy są czyste. – Skończyliście pisać?

Mama uśmiechnęła się do mnie jednocześnie podekscytowana i zmęczona.

– Wczoraj w nocy.

– Łał – zmusiłam się do uśmiechu. – To świetnie. Gratuluję.

– Dzięki – odparła, podchodząc do mnie. – Ale trochę się o ciebie martwię.

– Wszystko w porządku – powiedziałam automatycznie.

Gdyby mama wciąż zajęta była pisaniem, tyle by jej wystarczyło, ale teraz patrzyła na mnie w sposób, który wyraźnie dowodził, że wakacyjna swoboda się skończyła.

– Pogadamy później – powiedziała stanowczo. – Teraz jednak Frank czeka na dole.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę.

– Naprawdę?

Pokiwała głową, wychodząc z pokoju.

– Chyba powinnaś go uratować. Bo na razie siedzi z nim Beckett.

Tyle mi wystarczyło. Wstałam z łóżka, zerknęłam na siebie w lustrze i popędziłam na dół. Nie wyglądałam najlepiej, ale Frank wiele razy widział mnie tuż po przebudzeniu. Poza tym domyślałam się, że przyszedł, żeby powiedzieć mi to, co już wiedziałam – że nie będziemy już przyjaciółmi, uznałam więc, że nie muszę się szczególnie starać.

Na frontowym ganku Beckett ćwiczył kopniaki w stylu ninja, które lądowały niebezpiecznie blisko twarzy Franka. Sam widok Franka wystarczał, bym poczuła się tak, jakby Beckett kopnął mnie prosto w brzuch. Nie mogłam znieść tego, jak bardzo za nim tęskniłam.

– Beck – powiedziałam, odwracając się od Franka, niepewna, czy jestem w stanie z nim rozmawiać. – Uważaj.

Mój młodszy brat spojrzał na mnie pogardliwie.

– Zawsze uważam – powiedział, po czym wymierzył w powietrze sierpowego kopa, który zakończył, upadając na ziemię.

– Ała – jęknął.

– Możemy porozmawiać? – spytał Frank.

Jako że Beckett wyraźnie nie zamierzał ruszyć się z ganku, wskazałam palcem na podjazd.

– Chcesz się przejść?

– Jasne – odparł. Popatrzyłam na niego i zdałam sobie nagle sprawę, że z jakiejś przyczyny zdawał się szczęśliwy.

Najwyraźniej on nie spędził ostatnich kilku dni w takim stanie jak ja. W jego życiu najprawdopodobniej wszystko toczyło się świetnie.

Po drodze czułam, jak narasta we mnie gniew. Zauważyłam, że na podjeździe zaparkowane są tylko samochody mojej rodziny.

– Przyszedłeś tu piechotą?

Pokiwał głową i uśmiechnął się do mnie, jakby życie układało się wspaniale.

– Tak, miałem ochotę na spacer.

Przełknęłam ślinę, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie powie, co ma do powiedzenia. Jako że nie rozmawiałam z nim, odkąd dostałam tamtego SMS-a, założyłam, że tak będzie teraz wyglądać nasze status quo – po prostu nigdy nie będziemy już ze sobą rozmawiać i puścimy w niepamięć wszystko, co wydarzyło się tego lata. Zapomniałam jednak, że mam do czynienia z Frankiem Porterem, który bez wątplenia chciał się upewnić, że wszystko jest w porządku, udając, że nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, tak żeby mieć sprawę z głowy, jako rozpatrzoną pozytywnie.

Zrobiliśmy ledwie kilka kroków, kiedy zatrzymał się i popatrzył na mnie.

– Posłuchaj – powiedział. Znów się uśmiechał, jakby nie był w stanie ukryć swojego zadowolenia nawet w chwili, w której miał złamać mi serce. – Emily, chciałem tylko...

– Wiesz, że nie musisz tego mówić? – spytałam, przerywając mu. Nie mogłam zrobić wiele w tej sytuacji, ale mogłam przynajmniej powstrzymać ludzi przed powtarzaniem, że nie chcą mieć już ze mną nic wspólnego. – Rozumiem.

Zmarszczył czoło.

– Rozumiesz?

– Tak. – Skrzyżowałam ramiona na piersi. – Załapałam.

Teraz wydawał się już wyraźnie skonfundowany. Przechylił głowę na bok.

– Co załapałaś?

– Że nie jesteśmy już przyjaciółmi – powiedziałam i chociaż starałam się mówić spokojnie, głos załamał mi się przy ostatnim słowie. – Zresztą może w ogóle nigdy nie byliśmy. Zresztą w czasie roku szkolnego i tak byśmy się nie przyjaźnili, więc może tak faktycznie będzie lepiej.

Frank pokręcił głową.

– O czym ty mówisz? Ja chciałem tylko...

– Nie chcę tego słuchać. – Mój głos był piskliwy i drżący. – Nie musimy rozmawiać.

Frank patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu. Widziałam, że jego pewność siebie zaczyna słabnąć.

– Nie musimy?

Pokręciłam głową. Po prostu nie chciałam kończyć tej rozmowy. Może przynajmniej jeden raz nie wszystko pójdzie po myśli Franka Portera.

– Rozumiem, że chciałeś zachować się przyzwoicie i przyszedłeś tu, żeby się pożegnać. Ale ja tego nie potrzebuję. – A potem, nie mogąc już na niego patrzeć, odwróciłam się i ruszyłam do domu.

Usłyszałam, że Frank woła moje imię, ale nie zareagowałam i po chwili zaczęłam biec. Nagle zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy tego lata biegnę sama.

Lato zatoczyło koło.

Znów byłam całkiem sama. Nie miałam przyjaciół ani nikogo, z kim mogłabym się spotkać, ale tym razem była to tylko moja wina. Znów nie rozumiałam, jak to się stało, że w jednej chwili straciłam ludzi, z którymi snułam plany, że straciłam szansę na jakiegokolwiek życie towarzyskie.

Chodziłam do pracy, ale po drodze unikałam Kapitana Pizzy. Raz minęłam Dawn, która siedziała przed pizzerią i rozmawiała przez telefon. Nawiązałyśmy krótki kontakt wzrokowy, ale po chwili obie odwróciłyśmy się, a ona wróciła do swojej konwersacji. Wychwyciłam tylko kilka słów, ale słyszałam, że brzmi, jakby była szczęśliwa – jej głos był pełen radości, kiedy powtarzała imię „Matty”, co dowodziło, że randka w kinie się udała. Byłam zła, że nie wiem nic więcej, że nie mogę poprosić jej, by opowiedziała mi wszystko, minuta po minucie. I chociaż cieszyłam się ich szczęściem, poczułam się jeszcze bardziej samotna.

Zaczęłam biegać sama po okolicach, w których nie bywałam z Frankiem, żeby przypadkiem na niego nie wpaść. Nie odzywał się od tego poranka, kiedy przed nim uciekłam. I chociaż nie żałowałam tego, co zrobiłam, czasem zastanawiałam się, co by się stało, gdybym go wysłuchała. Potem jednak powtarzałam sobie stanowczo, że postąpiłam słusznie – Frank był tak utalentowanym mówcą, że jako przewodniczący klasy zdołał przekonać mnie kiedyś, że lekcje powinny zaczynać się piętnaście minut wcześniej. A ja nie chciałam, żeby w podobny sposób przekonał mnie, że nie powinniśmy się już przyjaźnić, że wcale nie odwzajemnił mojego pocałunku, że to wszystko był jeden wielki, straszny błąd.

Choć bowiem był to błąd – niewątpliwym dowodem na to był mój obecny, całkowity brak przyjaciół – nie zamierzałam przyznać, że nic się nie wydarzyło albo że nasz pocałunek nic nie znaczył. Znacznie częściej, niż powinnam, myślałam o dłoniach

Franka na moich nagich plecach, o jego palcach przeczesujących moje włosy, o tym, jak głaskał kciukiem mój policzek, o jego wargach, o tym, że był to, bez wątpienia, najpiękniejszy pocałunek w moim życiu.

Tak czy inaczej brakowało go w moim życiu. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo zaczęłam na nim polegać, jak często w ciągu dnia do niego pisałam, jak bardzo zależało mi na jego opinii i jak nudny stał się mój iPod bez jego muzyki.

Staralam się zrobić coś produktywnego z moim, nowo odnalezionym wolnym czasem. Oddalam do wywołania zdjęcia z obu jednorazowych aparatów. Posprzątałam w szafie, zabrałam Becketta do fryzjera i przeczytałam wreszcie pierwszy tom serii, którą tak ubóstwiał Doug.

Od czasu do czasu sięgałam też do szuflady mojej szafki i wyciągałam listę. Wykonałam każde z zapisanych na niej zadań.

1. ~~Pocałuj nieznajomego.~~
2. ~~Wykąp się nago.~~
3. ~~Ukradnij coś.~~
4. ~~Zniszcz coś.~~
5. ~~Penelope.~~
6. ~~Wsiądź na rumaka, yo, kowbojko.~~
7. ~~55 S. Ave. Pytaj o Monę.~~
8. ~~Sukienka bez pleców. I okazja, by się w niej pokazać.~~
9. ~~Tańcz do świtu.~~
10. ~~Podziel się tajemnicą w ciemności.~~
11. ~~Przytul jakiegoś Jamiego.~~
12. ~~Zbieraj nocą jabłka.~~
13. ~~Śpij pod gwiazdami.~~

Wszystkie te wydarzenia ukształtowały bieg moich wakacji. Zrobiłam wszystko, czego chciała Sloane.

Gdzie więc, do cholery, była Sloane?

W pewnym momencie uwierzyłam, że kiedy uda mi się to zrobić, poznam odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Że dowiem się, co się z nią stało. Teraz jednak zaczęłam podejrzewać, że lista miała tylko odwrócić moją uwagę. Nie zadawałam sobie pytania o

to, dlaczego moja przyjaciółka wyjechała bez słowa. Miałam nadzieję, że to do czegoś doprowadzi. Może jednak, podobnie jak na wszystkich pozostałych listach, umieściła na niej po prostu rzeczy, których się bałam.

Kiedy wpatrywałam się w tę listę, w jej charakter pisma, we wszystkie moje lęki i niedoskonałości, poczułam narastającą wściekłość. Zwinęłam kartkę w małą kuleczkę i jakby to nie wystarczyło, to samo zrobiłam z kopertą. Potem chwyciłam klucze, zbiegłam po schodach i wyrzuciłam je do kosza w kuchni, po czym zawołałam do siedzących w salonie rodziców – tata gładził swoją brodę, mama robiła na szydełku – że wychodzę.

Jeździłam po okolicy przez parę godzin, póki nie zaszło słońce i na niebie nie pojawiły się gwiazdy. Nie jechałam w żadnym konkretnym kierunku, czułam tylko, że muszę być w ruchu. Mijałam miejsca, w których bywałam ze Sloane, i te, w których bywałam z Frankiem, i czułam ich dojmujący brak. Jak miałam żyć w tym mieście, skoro wszystko, co widziałam, przypominało mi kogoś, kogo straciłam?

Znalazłam się pod Sadem i zobaczyłam mnóstwo zaparkowanych samochodów: najwyraźniej była tam dziś impreza. Zatrzymałam się, ale nie zgasiłam silnika – patrzyłam tylko na grupki przyjaciół, wspominając, że jeszcze niedawno należałam do jednej z nich. Kiedy zawróciłam, pomyślałam, że powinnam pojechać po benzynę, bo podczas mojej bezcelowej jazdy straciłam rachubę czasu i paliwa. Poza tym teraz nie miałam już pojęcia, kogo mogłabym, w razie czego, poprosić o pomoc.

Zatrzymałam się przy Route 1 Fuel, weszłam do sklepiku i zobaczyłam, że James znów stoi za ladą. Opierał się o ścianę, czytając książkę „Sudoku dla zaawansowanych”. Nie widziałam go, odkąd go przytuliłam i miałam nadzieję, że sytuacja nie zrobi się niezręczna, kiedy podam mu dwadzieścia dolarów. On jednak uśmiechnął się tylko i spytał, czy nie sprawdzić mi poziomu oleju.

– Och. – Nie byłam pewna, czy zaproponowałby to, gdybym go wcześniej nie przytuliła, ale nie zamierzałam odmówić, zwłaszcza że nie pamiętałam, kiedy ostatnio mój silnik był

sprawdzany. – Jasne – odparłam. Wysłałam na zewnątrz, a on podążył za mną, po czym odczekał chwilę, kiedy ja zastanawiałam się, jak otworzyć maskę.

– Kiedy byłaś w Południowej Karolinie? – spytał, wycierając końcówkę wskaźnika szmatką i zanurzając go w zbiorniku.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że czyta napisy na naklejkach przyklejonych z boku samochodu. Zerknęłam na nie, chcąc zobaczyć to, co on zobaczył.

– Czemu pytasz?

Wskazał na jedną z nich, której niemal nie dostrzegałam: ciemnoczerwoną, wyblakłą, na wpół oderwaną naklejkę z napisem „Ratujmy morskie żółwie z PK!”. Obok niego widniał znajomy obrazek – palma i sierp księżycy.

– Nigdy tam nie byłam – odparłam, odwracając się do niego.
– Naklejki były już na samochodzie, kiedy go kupiliśmy.

Pokiwał głową.

– Szkoda. Tam jest bardzo pięknie. – Zamknął maskę i poklepał ją dłonią. – Powinno wystarczyć jeszcze na kilkaset mil.

– Świetnie – powiedziałam. – Bardzo dziękuję. – On uśmiechnął się tylko lekko i wrócił do środka.

Patrzyłam na naklejkę, póki jakiś samochód nie zaparkował tuż za mną, wyraźnie zainteresowany tym konkretnym dystrybutorem. Wyjechałam ze stacji i ruszyłam do domu, wciąż zastanawiając się, skąd znałam obrazek na naklejce. Miałam go przed oczami, ale przypominałam sobie dopiero, kiedy stanęłam na światłach.

Koperta.

Popędziłam do domu, prawie nie zatrzymując się po drodze, zaparkowałam z piskiem i wysiadłam z samochodu, nie zamykając za sobą drzwi. Pobiegłam prosto do kuchni i zaczęłam grzebać w śmietniku.

Wciąż tam była, szczęśliwie niepokryta niczym obrzydliwym. Wyprostowałam kopertę i listę od Sloane, czując, jak serce wali mi mocno w piersi. Tam, gdzie powinien się znajdować adres nadawcy, widniał ten sam obrazek, co na

naklejce. Obrazek, który oznaczał Południową Karolinę.

Listę i kopertę wzięłam ze sobą do pokoju, żeby zastanowić się spokojnie nad tą zagadką, zadowolona, że nie muszę odpowiadać na żadne pytania. Usiadłam na łóżku i wpatrywałam się w kopertę, aż oczy zaczęły mnie piec.

Nie mogłam spać przez całą noc. Czułam, że znalazłam się blisko rozwiązania zagadki. Wiedziałam, że Sloane miała ciotkę w Południowej Karolinie, ale nie mogłam przecież zapukać do wszystkich drzwi w stanie. Zamknęłam oczy, wyteżyłam umysł. Odpowiedź była blisko, musiałam tylko spojrzeć pod odpowiednim kątem.

Czekałam przed salonem prasowym, kiedy zaspany pracownik z kubkiem kawy w dłoni otworzył drzwi o szóstej rano. Obawiałam się, że na aparatach może nic nie być, ale był to jedyny plan, który przyszedł mi do głowy, kiedy obudziłam się koło piątej.

Dział fotograficzny nie był jeszcze otwarty, ale uznałam, że nie doczekam do dziesiątej i przekonałam chłopaka, by odnalazł moje zdjęcia. Podejrzewałam, że zgodził się, chcąc, żebym zostawiła go w spokoju, nieważne, bo ostatecznie wyszłam z salonu z dwiema kopertami w rękę.

Otworzyłam je dopiero w samochodzie. W pierwszej kopercie zobaczyłam fotografię, którą Dawn zrobiła mi na Toffi, wiedziałam więc, że pochodzi z aparatu, który leżał w moim samochodzie. Było tam więcej zdjęć koni i to, które zrobiłam na autostradzie w urodziny Franka, ale na pozostałych była Sloane.

Sloane w kinie samochodowym, popijająca Colę Light przez słomkę z cukierka, wpatrująca się z koncentracją na ekran. Zdeterminowana Sloane targująca się o skórzaną kurteczkę vintage na kiermaszu, a potem, z triumfującą miną pozująca w niej przed aparatem. Sloane na dachu mojego samochodu w okularach z oprawkami w kształcie serc, ze śmiechem wyciągająca paczkę chipsów w stronę obiektywu. Sloane na stole piknikowym w Sadzie, w ten czwartek, kiedy poszliśmy na wagary i zjadliśmy

pizzę na pół. Sloane na plaży, uśmiechająca się do mnie zza słonecznych okularów. Sloane ziewająca po nocy u mnie, z rozczochranymi włosami.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na ostatnie zdjęcie, po czym włożyłam wszystkie z powrotem do koperty. Nie dowiedziałam się z nich nic nowego. Nic, co mogłoby pomóc mi ją znaleźć. Zobaczyłam tylko przyjaciółkę, która przez ostatnie dwa lata była centrum mojego świata.

Otworzyłam kopertę Sloane i, przeglądając jej zdjęcia, szeroko otworzyłam oczy.

Na pierwszym byłyśmy razem: było to selfie, które zrobiłyśmy sobie pierwszego dnia szkoły, ja miałam na sobie nowe, trochę sztywne ciuchy, ona wyglądała na znacznie bardziej zrelaksowaną i uśmiechała się do mnie, nie do obiektywu. Na następnym kartka z przepisem, dalej ja, siedząca po turecku na kanapie w Stanwich Coffee z podręcznikiem do historii w dłoni. Ja i Beckett przed telewizorem. My dwie, kompletnie nieostre, pochylone i śmiejące się. Ja wiążąca sportowe buty. Przedni fotel mojego samochodu ze stertą przekąsek na wycieczkę na kiermasz. Ja z mamą w kuchni, przy stole, ona gestykulująca żywiołowo. Beckett śmiejący się do obiektywu z górnej framugi drzwi. My dwie z ciekącymi lodami, pokrytymi tęczową posypką. Ja, wystrojona na bal, poprawiająca sobie fryzurę przed lustrem. Ja i Sloane w Sadzie, ledwie widoczne w półmroku. Ja, roześmiana, zakrywająca dłonią obiektyw. Ja, w samochodzie, uderzająca palcami o kierownicę. Ja, roześmiana, zrelaksowana i szczęśliwa.

Odłożyłam aparat i wytarłam dłonią oczy, chociaż nie powstrzymało to ciekących łez. Przez cały ten czas zakładałam, że to mnie zależało bardziej. Że Sloane nie tęskniła za mną i dlatego potrafiła wyjechać bez słowa. Ale to...

Znów wzięłam do ręki zdjęcia – niektóre były uważnie wykadrowane, inne zrobione spontanicznie. Sloane widziała mnie. Zrobiła całe mnóstwo zdjęć, o których nawet nie wiedziałam. Potrzebowała mnie tak samo, jak ja potrzebowałam jej. Teraz to rozumiałam i poczułam wstyd, że kiedykolwiek podejrzywałam,

że było inaczej.

Znów wytarłam oczy i przeczesalam włosy palcami, próbując się uspokoić. Raz jeszcze przeglądałam zdjęcia. Zmrużyłam oczy, wpatrując się w fotografię przepisu. Było nieostre, ale dostrzegłam, że to penne arrabbiata jej ciotki, zdjęcie, które Sloane zrobiła, ale którego nie mogła znaleźć. Teraz wszystko zaczęło mieć sens: po prostu nigdy go nie wywołała. Poczulałam, że bicie mojego serca zaczyna przyspieszać.

Przepis był zapisany ręcznie na osobistej papeterii. Na górze kartki widniał napis „Z kuchni Laney Alden”. Pod spodem, małymi literkami: „River Port”.

Wiedziałam, że Alden to panięńskie nazwisko Milly. Przypomniałam sobie, jak kiedyś Sloane zaciągnęła na plażę wielką torbę z wyszytymi inicjałami jej matki. Powiedziała mi też, że przepis na sos do makaronu dostała od ciotki. Ciotki, która mieszkała w Południowej Karolinie.

Chwyciłam telefon i wpisałam w wyszukiwarkę „Laney Alden Południowa Karolina”. Pokazało się siedem adresów w różnych częściach stanu. Wpisałam „Laney Alden Południowa Karolina River Port” i otrzymałam jeden rezultat. Wreszcie znalazłam odpowiedź. Tam była Sloane. Czułam to.

Kiedy wróciłam do domu, była już siódma. Po drodze opracowałam szczegółowy plan – zamierzałam zrobić rodzicom kawę i wprowadzić ich w dobry humor, nim powiem im prawdę – że Sloane jest w Południowej Karolinie, a ja muszę do niej pojechać.

Spodziewałam się, że w domu wciąż będzie cicho, ale wszystkie światła były zapalone, Beckett chodził po poręczy na ganku, a na schodach stały trzy walizki.

Podeszłam do Becketta, upewniając się, że mnie widzi i, że zaskoczony, nie zleci na ziemię.

– Hej – powiedział, cofając się.

– Co się dzieje?

Beckett westchnął ciężko.

– Tata każe mi jechać do muzeum bejsbolu w Cooperstown.

– Uuuu – jęknęłam ze współczuciem. Mój ojciec stanowczo

twierdził, że lubi bejsbol, podobnie jak Beckett, tak naprawdę żaden z nich nie był jednak prawdziwym fanem. Moja mama miała teorię, że po prostu tata zbyt wiele razy oglądał „Pole marzeń” i uznał, że jedynym sposobem na to, by osiągnąć z synem głębokie porozumienie, jest oglądanie bejsbolu. – Przykro mi.

– Dlaczego ci przykro? – spytał tata, wychodząc na ganek w czapeczce Stanwich College i ze zbyt radosną, jak na ósmą rano, miną. – Em, wychodziłaś rano? Szukaliśmy samochodu.

– Tak – odparłam, starając się myśleć jak najszybciej. – Ja tylko... szukałam nowej trasy do biegania. Chciałam zobaczyć, ile czasu mi zajmie.

– Och – odparł tata. Nie wydawał się przekonany, ale wzruszył tylko ramionami i powiedział: – To dobrze, że nie śpisz. Oboje z mamą wychodzimy i chcieliśmy z tobą wcześniej porozmawiać.

Zerknęłam na schody i zrozumiałam, czemu stoi tam trzecia walizka.

– Mama też jedzie do Cooperstown?

– Nie – odparła, wychodząc z domu z wypchaną torebką na ramieniu. – I dzięki Bogu. – Wygładziła włosy. – Wcześniej wstałaś, kochanie. Coś się stało?

– Dokąd jedziesz? – spytałam, przyglądając się z coraz większym niepokojem, jak otwiera drzwi mojego samochodu i wrzuca do niego torebkę.

– Do New Haven – odparła. – Obiecałam koleżance, że skonsultuję z nią próbę techniczną, a w niedzielę – generalną.

– A jak długo nie będzie taty? – spytałam, kiedy ojciec wziął walizkę i plecaczek Becketta i ruszył w stronę samochodu, którym jeździli rodzice.

– On też wraca w niedzielę – powiedziała mama, grzebiąc w torebce. Wyciągnęła z niej okulary i włożyła je sobie na głowę niczym opaskę.

– Czekajcie – powiedziałam, patrząc, jak tata zamyka bagażnik i woła mojego brata. Wszystko toczyło się nieco zbyt szybko. – To znaczy, że zostawiacie mnie na weekend samą?

– Chcesz jechać? – ucieszyła się mama. – Mogłabyś spać na kanapie.

– Możesz też zabrać się z nami do Cooperstown – powiedział wesoło tata, wracając do domu. – Tam właśnie narodził się bejsbol.

– Nie, dzięki – odpowiedziałam, przenosząc wzrok z jednego samochodu na drugi. Nie chodziło o to, że rodzice postanowili zostawić mnie samą na weekend – chodziło o to, że postanowili zostawić mnie samą bez środka transportu. – Ale jak mam się poruszać po mieście?

Mama uniosła brwi.

– Nie sądziłam, że to będzie problem, skoro chodzi tylko o dwa dni – powiedziała. – Frank albo Dawn mogą cię podwieźć, jeśli będziesz czegoś potrzebować, prawda? A w lodówce jest jedzenie, więc zakupy nie będą konieczne.

– Ale... – zaczynałam panikować. Uznałam, że nawet gdybym powiedziała rodzicom, że ani Frank, ani Dawn nie mogą być moimi kierowcami, i tak nie zmieniliby to faktu, że będę uwięziona.

– W muszli zostawiłem pieniądze na taksówkę, na wypadek, gdybyś rzeczywiście musiała gdzieś pojechać – powiedział tata, być może dostrzegając w wyrazie mojej twarzy niepokój – ale jeśli nie chcesz zostać sama...

– Nie, nie – odparłam szybko, starając uratować się przed wycieczką do muzeum bejsbolu albo posiadówką w jakimś zatęchłym teatrze, w którym musiałabym przyglądać się próbom światła. Zmusiłam się do uśmiechu. – Wszystko będzie OK.

Rodzice wyjechali niedługo później, chcąc uniknąć korków, których się spodziewali. Patrzyłam chwilę na mamę w moim samochodzie, która skręciła w prawo z podjazdu i pomachała do mnie, po czym wróciłam na ganek, usiadłam na schodkach i zaczęłam rozmyślać.

Odkąd zobaczyłam adres Laney Alden na ekranie mojego telefonu, pragnęłam tylko wsiąść do samochodu i do niej pojechać. Byłaby to moja najdłuższa podróż, ale nie była niemożliwa.

Wyciągnęłam adres i zadzwoniłam pod numer telefonu, który się pod nim znajdował. Po kilku dzwonekach usłyszałam wesoły, kobiecy głos, który poinformował mnie, że dodzwoniłam się do domu Aldenów, i poprosił, żebym zostawiła wiadomość po sygnale. Odłożyłam słuchawkę, nim go jeszcze usłyszałam, nieszczerze nawet rozczarowana. Nie liczyłam na to, że usłyszę Sloane – skoro nie odbierała własnej komórki, czemu miałyby odbierać stacjonarny telefon ciotki?

Wpatrywałam się w adres. Wreszcie ją znalazłam, a teraz nie mogłam tam pojechać? Wiedziałam, że moim rodzicom nie spodobałby się pomysł podróży do Południowej Karoliny. Ponieważ jednak wyjechali, miałam dwa dni, żeby to zrobić. Niestety, zabrali ze sobą mój środek transportu. W dobrze zorganizowanym wszechświecie dałoby się wynająć auto w wieku siedemnastu lat. Ale...

Przyszło mi nagle do głowy możliwe rozwiązanie. Było przerażające i potencjalnie tak żenujące, że mogłoby znaleźć się na liście Sloane jako punkt czternasty. Sprawdziłam godzinę. Nie miałam pojęcia, czy on wciąż biega. Jeśli tak, powinno udać mi się zgrać.

Wstałam i zeszłam po schodkach. Wciąż byłam w klapkach. Zrzuciłam je, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam biec.

Dotarłam do jego domu i usiadłam na podjeździe. Jeśli wciąż biegał, mniej więcej teraz powinien wrócić do domu.

Ptaki śpiewały głośno i było już naprawdę gorąco. Nie był to dobry znak, biorąc pod uwagę wczesną godzinę. Czułam, jak moje włosy rozwiewa ciepła bryza. Nie byłam pewna, czego boję się bardziej: tego, że przyjdzie, czy tego, że nie.

Nim go jeszcze zobaczyłam, usłyszałam dźwięk trampek, w równym tempie uderzających o ziemię. Po chwili zobaczyłam go, ze słuchawkami w uszach i iPodem przyczepionym do ramienia. Trzymał się kawałek od pobocza drogi, jakby zostawiał dla mnie miejsce. Poczułam ukłucie dumy, widząc jego tempo i to, że nie był nawet zdyszany. Pomyślałam, że nie udałoby mu się osiągnąć takiej formy, gdyby nie ja, gdyby nie wszystkie nasze wspólne

biegi. Zastanawiałam się, czego słucha i czy znam tę składankę.

Zauważył mnie wreszcie, a ja nawet z odległości dwudziestu mil zobaczyłam jego zdziwioną miłą. Zwolnił, przechodząc najpierw do truchtu, potem do marszu. Wyciągnął słuchawki z uszu. Poczułam, że nogi mi się trzęsą, ale zmusiłam się, by wstać i nie odwracać głowy, chociaż z każdym jego krokiem było mi coraz trudniej. To był Frank, którego znałam najlepiej, Frank, z którym biegałam przez całe lato, z którym dzieliłam się opowieściami i piosenkami, by się nawzajem wspierać. Poczułam, że tęsknota za nim ściska mi żołądek, kiedy zobaczyłam, jak odgarnia włosy z czoła, kiedy dostrzegłam sznurówkę jego lewego buta, która wyglądała, jakby miała się zaraz rozwiązać. Staliśmy chwilę na poboczu, patrząc tylko na siebie.

– Hej – powiedziałam wreszcie. Zmusiłam się, by odezwać się jako pierwsza: w końcu to ja pojawiłam się niezapowiedziana przed jego domem.

– Hej – odparł Frank. W jego głosie pobrzmiwała ostrożność. Przypatrywał mi się uważnie, jakby szukał w mojej twarzy odpowiedzi – nie wiedziałam jednak, na jakie pytanie. Zerwał kontakt wzrokowy i popatrzył w dół, na moje stopy.

– Bieganie boso jest teraz bardzo modne – powiedziałam, a on uśmiechnął się lekko. – Znalazłam Sloane – oznajmiłam szybko, by powstrzymać się przed powiedzeniem czegoś, czego zaraz bym pożałowała. – Mieszka w Południowej Karolinie.

– Och. – Od razu zobaczyłam, że nie tego się spodziewał. Pokiwał głową. – To chyba dobrze, prawda?

– Muszę tam pojechać – powiedziałam, wciąż w pośpiechu, jakbym uciekała przed odpowiedzią na pytanie, czy to w ogóle dobry pomysł. – Chcę ją znaleźć. Ale moi rodzice wyjechali na weekend i zabrali oba samochody. – Frank wciąż patrzył na mnie, czekając, aż wyjaśnię, o co w ogóle mi chodzi. Spodziewałam się, że najprawdopodobniej odmówi, a wtedy nie tylko nie znajdę Sloane, ale też zrobię z siebie idiotkę. Ale ja przybiegłam boso pod jego dom, żeby go o to spytać, i nie miałam już wyboru. – Czy mógłbyś mnie tam zawieźć? Poprosiłabym, żebyś pożyczył mi

samochód, ale nie umiem jeździć samochodem bez automatycznej skrzyni biegów.

Frank patrzył na mnie przez chwilę, lekko przechylając głowę. Nie podskakiwał z radości, ale też nie odmówił od razu.

– Zapłacę za benzynę i w ogóle – dodałam szybko. – I to nie potrwa długo, bo muszę być w domu z powrotem jutro wieczorem.

Wciąż się nie odzywał. Wziął głęboki oddech, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko powoli wypuścił powietrze, a ja wyczułam w tej długiej ciszy, jaka będzie odpowiedź i jak absurdalne było to pytanie.

– Wiem, że to głupie – powiedziałam, zrywając kontakt wzrokowy. Spojrzałam na gałąź wysoko nade mną, na której siadał właśnie jakiś ptak. – Ale nie prosiłabym cię, gdyby to nie było ważne.

– Chcesz pojechać do Południowej Karoliny i wrócić jutro wieczorem – powiedział, przerywając wreszcie ciszę. Nie było to pytanie, raczej po prostu streszczenie faktów. Pokiwałam głową, a Frank przez dłuższą chwilę patrzył gdzieś w dal.

Kiedy znów na mnie spojrzał, w kącikach jego warg błąkał się uśmiech.

– No to chyba musimy ruszać.

16 JEDŹ W PODRÓŻ

Godzinę później byliśmy już w drodze.

Wróciłam do domu, żeby wziąć prysznic i przyzwycząić się do myśli, że naprawdę zamierzamy to zrobić.

Przebrałam się, ale nie umalowałam się mocniej niż zazwyczaj, ani nie zrobiłam nic szczególnego z włosami. Po naszym pocałunku w samochodzie nie chciałam, żeby przypadkiem pomyślał sobie, że cała ta historia jest jakąś przemyślaną intrygą, mającą uwięzić nas sam na sam w samochodzie. Przez chwilę rozważałam włożenie golfa z długim rękawem, ale na to było jednak za gorąco. Przez dłuższą chwilę szukałam piżamy, podliczając godziny w głowie. Wedle wskazówek, które znalazłam, droga na miejsce miała zająć nam jakieś dziesięć godzin, co oznaczało, że powrotna zajmie mniej więcej tyle samo. A to z kolei oznaczało, że w pewnym momencie będziemy musieli się przespać.

Wysłałam jednak z pokoju, nie spakowawszy piżamy ani nic innego, co normalnie zabrałabym ze sobą na weekend. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, jak będzie wyglądać nasza noc ani gdzie się znajdziemy, nie byłam więc w stanie się na nią przygotować. Wciąż nie byłam w stanie pojąć, że za kilka godzin zobaczę Sloane.

Zasłoniłam okna i wsypałam trochę więcej jedzenia kotu, chociaż nie widziałam go od tygodnia. Wychodząc z kuchni, wzięłam pieniądze z muszli, choć podejrzewałam, że moja pensja z lodziarni starczy na benzynę i jedzenie. Zamknęłam za sobą drzwi dokładnie w tym samym momencie, kiedy Frank zatrzymał się na podjeździe.

Wsiadłam do samochodu i zapięłam pas, a Frank zawrócił i wjechał na drogę.

– Droga 95 na południe? – spytał, a ja pokiwałam głową. Miałam trasę zapisaną w telefonie, ale wydrukowałam radio, na

wypadek, gdyby telefon mi się rozładował. – No to jedziemy – powiedział cicho, skręcając w stronę autostrady.

Jechaliśmy w milczeniu jakieś pół godziny, nim pojęłam wagę naszej podróży. A właściwie nie samej podróży, chociaż była tak szalonym pomysłem. Nie zastanowiłam się jednak porządnie nad tym, że spędzę przynajmniej dwadzieścia godzin w zamkniętej przestrzeni z kimś, z kim nie rozmawiałam od ponad tygodnia. Jakimś cudem nie stało się to czynnikiem w procesie podejmowania decyzji o tym, żeby poprosić Franka o podwózkę, a kiedy mijaliśmy Nowy Jork, a potem New Jersey, zaczęłam zastanawiać się, czy nie łatwiej byłoby wziąć taksówkę albo wsiąść do autobusu. Nasza rozmowa jak dotąd składała się wyłącznie z najbardziej podstawowych uwag w stylu: „Mogę tam skręcić? Jak stoimy z benzyną? Zjedź na lewy pas”. Coraz lepiej rozumiałam, jak okropnie jest siedzieć w milczeniu obok kogoś, z kim zawsze miałam o czym rozmawiać.

– Może włączę muzykę? – spytałam po dwudziestu minutach w New Jersey, kiedy nie byłam już w stanie dłużej znieść ciszy. Frank wzruszył ramionami, wskazując swojego iPoda.

– Jasne – odparł uprzejmie, jakbym była obcą osobą. – Co tylko chcesz.

Zaczynałam się na niego złościć, co nie było w porządku, biorąc pod uwagę, że właśnie wyświadczał mi wielką przysługę. Ugryzłam się w język i wyciągnęłam rękę w stronę radia. Po chwili udało mi się znaleźć coś niezbyt okropnego, stację, która grała głównie muzykę popularną pięć lat temu.

– Może być?

– Co tylko chcesz – powtórzył Frank tym samym tonem, co zirytowało mnie jeszcze bardziej.

– Dobrze – powiedziałam, ustawiając muzykę na tyle głośno, żeby cisza w samochodzie nie była tak stresująca. Minęliśmy kolejne dwa zakręty, nim sięgnęłam naprzód i ściszyłam ją. – Dziękuję ci za to – powiedziałam, przypominając sobie, że jeszcze mu tego nie powiedziałam. – Naprawdę to doceniam.

Frank zerknął na mnie, po czym znów spojrzał na drogę,

która, wbrew obawom moich rodziców, wciąż była dość pusta.

– Jasne – odparł, równie oficjalnym tonem, który zaczynał mnie wkurzać. – Przyjaciele powinni sobie pomagać, prawda?

Zaakcentował pierwsze słowo, jakby wypowiadał je z sarkazmem. Nie wiedziałam, jak mam to rozumieć, więc uśmiechnęłam się tylko sztucznie i znów wyjrzałam przez okno.

Możliwe, że Frank był równie zirytowany jak ja, bo kiedy wjechaliśmy do Pensylwanii – Keystone State – napięcie między nami dało się kroić nożem. Wciąż wzrastało, podobnie jak temperatura. Gorące powietrze unosiło się nad asfaltem. Naładowana cisza między nami uświadamiała mi wyraźnie, że żadne z nas nie ma w Pensylwanii przyjaciela.

Dawno zgubiliśmy sygnał przyzwoitej stacji radiowej i chociaż szukałam czegoś innego, natrafiałam tylko na reklamy i jakąś muzykę, która brzmiała jak polka. W końcu wyłączyłam więc radio, jednak cisza była tak dojmująca, że zaczęłam zastanawiać się, czy akordeony jednak by nie pomogły.

– Musimy zatrzymać się po benzynę – ogłosił Frank cztery zjazdy później, przerywając milczenie, które zdawało się trwać wiele godzin.

Pochyliłam się, żeby popatrzeć na znaki, które ustawione były przy każdym zjeździe. Zazwyczaj widniały na nich symbole oznaczające jedzenie, benzynę i mieszkania do wynajęcia, ale dostrzegłam też kilka wskazujących na kempingi i pływalnie. Kiedy wydostaliśmy się z labiryntu metropolii, okolica opustoszała: dostrzegłam, że jesteśmy na nizinie, po obu stronach autostrady rozciągała się zielona trawa, a przed nami – nieskończone, czyste niebo. Nie było zbyt wielu samochodów, a Frank trzymał się lewego pasa, jadąc szybko, ale niewiele szybciej, niż zalecał limit prędkości.

– Za jakieś trzy mile powinniśmy dotrzeć do stacji – powiedziała, kiedy mijaliśmy znak.

Frank pokiwał głową, ale nie odezwał się, a ja odwróciłam się i patrzyłam na niego na tyle długo, że się zorientował. Zerknął na mnie, unosząc brwi.

– Co?

– Nic – odparłam, znów zwracając się do okna.

Frank skręcił – na znaku oprócz symboli jedzenia i benzyny (ale nie hotelu) znajdował się symbol wędkowania. Gdybyśmy ze sobą rozmawiali, pewnie śmialibyśmy się z rysunku rybki, która była przerośnięta i sięgała po małe haczyk. Któreś z nas zażartowałyby, że prócz stacji benzynowej Chevron była w tym miejscu zmutowana ryba. Minęliśmy jednak znak w milczeniu i ruszyliśmy ku stacji, która była częścią ogromnego supermarketu.

– Ja zapłacę za benzynę – powiedział Frank, zatrzymując się obok dystrybutora, ale pokręciłam głową.

– Nalegam. – Tej jednej rzeczy byłam pewna. Frank wiózł mnie swoim samochodem do Południowej Karoliny. Nie mogłam pozwolić, by do tego płacił za benzynę.

Podał mi kluczyki i powiedział:

– Zwykła benzyna. Pomóc ci?

Pokręciłam tylko głową, a Frank wszedł do supermarketu. Zapłaciłam kartą – nie chciałam korzystać z pieniędzy z muszli, póki nie było to absolutnie konieczne. Patrząc na wzrastającą liczbę – wyglądało na to, że zbiornik w tym samochodzie był bardzo duży, co oznaczało, że miałam zapłacić za benzynę więcej, niż kiedykolwiek wcześniej – poczułam wzrastającą frustrację. W tym, co Frank mówił, nie było nic złego, chodziło tylko o jego ton, tak obojętnie uprzejmy. Pomyślałam sobie, że może zgodził się na tę podróż tylko dlatego, że był Frankiem Porterem, wiecznym harcerzykiem. A skoro tak, może nie przeszkadzało mu dwudziestogodzinne milczenie. Przypomniałam sobie, jak rodzice Franka zachowywali się na gali: stali obok siebie, ale nie odezwali się do siebie przez cały wieczór ani jednym słowem. Frankowi mogło to nie przeszkadzać, ale mnie przeszkadzało. Dystrybutor zapiszczał, a ja popatrzyłam na końcową cenę i odłożyłam dyszę. Pozwoliłam, by mój paragon odfrunął na wietrze i weszłam do marketu.

Znalazłam Franka przy lodówce, z której wziął wodę i colę.

– Hej – powiedziałam. Frank zerknął na mnie i puścił drzwi

lodówki, zza których wydobywało się chłodne powietrze.

– Napełniłaś bak? – spytał tym samym, płaskim, nieskończenie irytującym tonem.

– Słuchaj, nie sądzę, by twoja złość na mnie była usprawiedliwiona – mówiłam bezmyślnie, bez wahania, i do tego całkiem szczerze.

Mrugał tylko przez chwilę, potem spojrział na swoje butelki i wytarł krople z etykiety – nigdy wcześniej nie widziałam marki Lancaster Blue.

– Nie róbmy tego – odparł sztywno. – Mamy przed sobą długą drogę.

– Będziemy tak siedzieć w milczeniu?

Na twarzy Franka zobaczyłam frustrację.

– Jestem tu, prawda? Pomagam ci. Zostawmy to. – Odwrócił się i skręcił w stronę działu z chipsami, a ja podążyłam za nim, wcześniej wzięwszy sobie wodę i Colę Light.

– Nie – powiedziałam, najwyraźniej głośniejszym, niż powinnam, bo kobieta, która sięgała po paczkę Fritosów, spojrzała na mnie. Zrobiłam krok naprzód i ściszyłam głos. – Jeśli jesteś na mnie zły, po prostu bądź na mnie zły. Nie udawaj, że tak nie jest.

Nie wspominałam już, że ja też jestem zła na niego, bo nie wiedziałam już, kto ma rację, zresztą oboje zachowaliśmy się niewłaściwie – ja go pocałowałam, a on nie odzywał się przez tydzień.

Kobieta z Fritosami wciąż na nas patrzyła, a Frank najwyraźniej to zauważył, bo wycofał się do działu ze słodyczami. Poszłam za nim.

– Jeśli jestem na ciebie zły? – spytał, zatrzymując się przed półką z czekoladą, jakby to było retoryczne pytanie, jakby odpowiedź była oczywista. – Uciekłaś ode mnie, Emily. Dosłownie. Zostawiłaś mnie samego pośrodku drogi, nie chciałaś mnie nawet wysłuchać.

Patrzyłam na niego przez chwilę. Nie sądziłam, że jest zły właśnie za to. Wciąż myślałam, że chodzi o pocałunek.

– Cóż – odparłam, nieco zbity z tropu – może nie chciałam

słuchać, jak mówisz mi, że nie możemy już być przyjaciółmi.

– A co, jeśli wcale nie to chciałem powiedzieć?

– Przepraszam bardzo – odwróciłam się i zobaczyłam faceta wyglądającego jak kierowca ciężarówki, który sięgał po paczkę Reese's Pieces.

Frank odwrócił się i podszedł do kasy. Dołączyłam do niego i położyłam swoje rzeczy obok jego, czując, że kręci mi się w głowie. Zerknęłam na niego, sięgając do torby po portfel. Byłam tak pewna tego, co chciał powiedzieć, że nie dopuszczałam nawet do siebie innej możliwości.

– Hmmm... – wydukałam, kiedy kobieta za kasą zaczęła skanować nasze zakupy. – Co więc chciałeś...

– Cztery osiemdziesiąt – powiedziała kobieta. Frank sięgnął do kieszeni, ale ja podałam jej pięć dolarów, zanim zdążył zapłacić.

Wzięłam resztę, oboje zabraliśmy nasze napoje. Frank wyszedł ze sklepu na słońce, a ja popędziłam za nim. Kiedy dotarliśmy do samochodu, zdałam sobie sprawę, że wciąż miałam kluczyki i mogłam powiedzieć, że nie oddam mu ich, póki wszystkiego mi nie wyjaśni, uznałam jednak, że nie byłoby to szczególnie dojrzałe zachowanie. Oddałam mu je więc i podeszłam do drzwi po stronie pasażera. Odczekałam, byśmy znaleźli się na autostradzie, nim zapytałam znowu:

– No więc – zaczęłam, bawiąc się zakrętką swojej butelki – co zamierzałeś powiedzieć?

Frank zaczerpnął powietrza. Zobaczyłam, jak jego palce zaciskają się na kierownicy.

– Oto dlaczego jestem zły – powiedział wreszcie, wciąż patrząc wprost przed siebie, na horyzont. – Przychodzę z tobą porozmawiać. Zbieram się na odwagę, a ty nie chcesz mnie nawet wysłuchać. A teraz, tydzień później, kiedy lądujemy razem w samochodzie, nagle chcesz wszystko wiedzieć.

Znów poczułam, że się wściekam.

– Zniknąłeś na kilka dni. Nie odpowiadałeś na moje wiadomości.

– Ale potem przyszedłem do ciebie – powiedział Frank, zmieniając pas i unosząc głos. – A ty nie dałaś mi szansy, żeby się wytłumaczyć.

– Przepraszam, że miałam dosyć znikających przyjaciół jak na jedno lato! – Nim zdążyłam się zastanowić, nim zdążyłam zdać sobie sprawę z tego, co czuję, już krzyczałam.

– Och – westchnął po chwili Frank. Zerknął na mnie i wydało mi się, że jego twarz łagodnieje. – O tym nie pomyślałem.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, a ja zrzuciłam klapki i podciągnęłam kolana. Zauważyłam, że napięcie między nami nieco zelżało. Nie była to swobodna cisza, która czasem panowała kiedyś między nami, ale nie czułam się już tak niezręcznie.

– Powiesz mi teraz? – spytałam wreszcie.

Frank pokręcił głową, ale po chwili odparł:

– Może później.

Sięgnął i włączył radio. Zaczął szukać jakiejś stacji, a ja na chwilę opuściłam szybę, pozwalając, by ciepłe powietrze rozwiało mi włosy.

Nie byłam pewna, czy to przez upał, czy może przez to, że w stacji, którą nastawiliśmy, leciała łagodna muzyka rozbrzmiewająca miękkimi saksofonami, czy może dlatego, że w nocy prawie w ogóle nie spałam, ale kiedy wjechaliśmy do Wirginii, zaczęłam ziewać, moje powieki zrobiły się ciężkie, oparłam głowę o szybę i zasnęłam.

Spodziewałam się, że jeśli w ogóle coś mi się przyśni, będzie to Sloane. Kiedy jednak znów otworzyłam oczy, zdałam sobie sprawę, że śnił mi się Frank. Byliśmy znów w jego ciepłym, spokojnym namiocie, a on chciał powiedzieć mi coś ważnego.

Uniosłam głowę i rozejrzałam się wokół. Na początku zobaczyłam tylko zieleń. Samochód był zaparkowany, siedziałam w nim sama, a wszędzie wokół rozciągały się trawa i drzewa. Po chwili zauważyłam, że stanęliśmy przy punkcie widokowym, a Frank wysiadł z auta, żeby zrobić telefonem zdjęcia panoramy.

Patrząc na niebo, wywnioskowałam, że nadeszło późne popołudnie, a kiedy sprawdziłam godzinę, okazało się, że jest już

prawie szósta. Wydało mi się, że na zewnątrz nie jest już tak strasznie gorąco, ale trudno było mi to ocenić z samochodu. Chociaż widziałam stąd autostradę, tutaj było słychać tylko brzęczenie cykad i wołanie ptaków.

Nie byłam pewna, ile czasu zajmie Frankowi fotografowanie, więc z ciekawości sięgnęłam po jego iPod'a i zaczęłam przeglądać piosenki. Nigdy nie nadawał tytułów swoim playlistom – był to jeden z naszych punktów konfliktowych, bo ja zawsze tytułowałam swoje, a on robił sobie z tych nazw żarty – więc przeszłam po prostu do „miksu numer 14”, który – jak sądziłam – musiał być najnowszy.

MIX #14

Entertainment

Phoenix

My Racing Thoughts

Jack's Manequin

I Need My Girl

The National

Let's Not Let It

Randy Houser

Yesterday

The Beatles

Each Coming Night

Iron & Wine

Magnolia

The Hush Sound

I Always Knew

The Vaccines

Little Talks

Of Monsters and Men

You Came Around

Nico Stai

Everybody Talks

Neon Trees

Makes Me Lose Control

Eric Carmen

In My Life

The Beatles

Let's Go Surfing

The Drums

Young Love

Mystery Jets

Emmylou

First Aid Kit

Moth's Wings (stripped clown version)

Passion Pit

It's a Hit

Rilo Kiley

Lights & Music

Cut Copy

You and Me

Parachute

Eleanor Rigby

The Beatles

Man/Bag of Sand

Frightened Rabbit

Isn't It a Lovely Night

The December

Look at Us Now

Math & Physics Club

You Send Me

Sam Cooke

Z początku przeglądałam tylko piosenki, ze słodko-gorzką satysfakcją dostrzegając na liście Erica Carmena, którego mu przedstawiłam, i parę piosenek country. Gdy jednak patrzyłam chwilę dłużej, dostrzegłam coś jeszcze.

Szyfr.

Zastanawiałam się, czy w ogóle wiedział, że to zrobił. W tytułach piosenek pojawiało się raz po raz moje imię. Uśmiechnęłam się, patrząc na malutki, jasny ekran. Zastanawiałam się, kiedy to zrobił. Nie byłam pewna, co to właściwie oznacza, ale poczułam się tak, jakby właśnie wręczył mi prezent.

Frank opuścił telefon i odwrócił się, a ja szybko opuściłam iPoda z powrotem na pulpit, na którym go znalazłam. Uśmiechnęłam się do niego. Nie myślałam, jak dziwna jest teraz atmosfera między nami, była to po prostu naturalna reakcja na jego widok. Przez sekundę odwzajemnił mój uśmiech, jakby na chwilę też zapomniał o wszystkim, co się wydarzyło.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam, gdy usiadł za kierownicą.

– W Północnej Karolinie – odparł. – Już niedaleko.

Pokiwałam głową. Myślałam, że będę się stresować lub niepokoić spotkaniem ze Sloane, ale wcale tak nie było. Czułam tylko spokój i pewność, że zmierzamy we właściwym kierunku.

Wróciliśmy na autostradę. Ledwie zdążyłam znaleźć sensowną stację radiową, kiedy wjechaliśmy do Południowej Karoliny. Popatrzyłam na znak wjazdu do stanu, na którym widniały tak dobrze znane mi drzewo palmowe i księżyc. Chociaż do zjazdu na River Port zostało pewnie około godziny,

wyprostowałam się, zwracając uwagę na krajobraz, na znaki i na każdą milę, która zbliżała mnie do Sloane.

Jechaliśmy już ponad godzinę, kiedy Frank wyłączył radio i spojrzał na mnie, jakby zamierzał coś powiedzieć. Samochód wypełniła cisza.

– No więc – powiedział.

Czekałam na coś więcej, kiedy jednak, po chwili nadal nic nie powiedział, tylko dalej patrzył przed siebie, nie wytrzymałam:

– No więc?

– Ta rzecz, którą miałem ci powiedzieć – wyszeptał powoli, jakby szukał właściwych słów – chcesz wiedzieć, o co chodziło, tak?

– Tak – wydukałam, chociaż teraz bardziej bałam się odpowiedzi, niż kiedy zmuszałam do niej Franka w supermarkecie.

Patrzył na mnie na tyle długo, że serce zaczęło mi mocniej bić.

– Rozstaliśmy się z Lissą – powiedział, po czym znów włączył radio.

Wpatrywałam się w niego. Wciąż byliśmy na autostradzie. Trzymałam w dłoniach wskazówki i szukałam 14 A, zjazdu, który miał zabrać nas do River Port. Wszystko inne się jednak zmieniło. Nawet powietrze w samochodzie zdawało się inne.

Frank patrzył prosto przed siebie, jakby nie miał pojęcia, że nie mogę oddychać.

– Kiedy – powiedziałam wreszcie, zdając sobie sprawę, że muszę się odezwać, ale też, że nie jestem w stanie zadać tego pytania, które naprawdę chciałam. – Kiedy to się stało?

– Kilka dni po gali – powiedział. – Pojechałem do Princeton, żeby z nią porozmawiać.

Wiedziałam, że to zrobił, ale myślałam, że chciał z nią być, a nie zerwać. Nagle ogarnął mnie strach – czy byłam temu winna? Czy Frank rozstał się ze swoją wieloletnią dziewczyną dlatego, że go pocałowałam?

Odetchnął głęboko i mówił dalej:

– Od kilku miesięcy coś było między nami nie w porządku.

Tego lata bardzo się starałem. Nie sądziłem, że to rozstanie będzie miało znaczenie. Ale nie chodziło tylko o odległość. Chodziło o coś więcej.

Pokiwałam tylko głową. Miałam tuziny pytań, ale nie czułam się na siłach, żeby którekolwiek zadać. Być może Frank to wyczuł, bo mówił dalej:

– Nie mieliśmy już ze sobą zbyt wiele wspólnego. Po prostu... przyzwyczailiśmy się do siebie.

– Więc... – zaczęłam, w nadziei, że to pytanie nie okaże się niewłaściwe – to nie przeze mnie?

– Nie – pokręcił głową. – Kiedy zaczęliśmy się spotykać, nie myślałem o tym w ten sposób. – Wcale. Byłem wierny Lissie. A my staliśmy się po prostu przyjaciółmi. Ale potem... – Frank zerknął na mnie tylko na sekundę, ale to wystarczyło. Wydało mi się nagle, że w samochodzie zrobiło się cieplej o dziesięć stopni. Odkasznął i mówił dalej. – Sam nie wiem. Być może wszystko zaczęło się w noc moich urodzin. Po prostu w pewnym momencie zacząłem... myśleć o tobie – przyznał ostrożnie. – Częściej, niż powinienem. – Nie musiałam zerkać w lusterko, by wiedzieć, że się rumienię. – Ale nie byłem pewien... nie wiedziałam, jak zareagujesz, póki nie odwiozłaś mnie do domu.

– No tak – wymamrotałam, przypominając sobie, że to ja pocałowałam jego, dość jasno wyrażając swoje uczucia.

– A to nie było fair wobec niej – powiedział Frank, zerkając w tylne lusterko i zmieniając pas. – Ani wobec ciebie. Wtedy pojechałem do niej.

– I co się stało? – spytałam, żałując, że nie jestem bezstronnym obserwatorem, tylko kimś, kto desperacko pragnie odpowiedzi.

Frank znów głęboko odetchnął.

– Czuła to samo – odparł. – To dlatego w lipcu nie przyjechała. Czuła, że będzie musiała ze mną zerwać, a nie chciała robić tego w moje urodziny. A kiedy zacząłem opowiadać jej, jak się czuję, szybko zakończyła sprawę.

– Bardzo mi przykro.

Frank pokiwał głową. Milczał dłuższą chwilę, nim powiedział:

– Myślę, że wszystko będzie w porządku. Pewnie nie zostaniemy bliskimi przyjaciółmi, ale to nie szkodzi.

– To dobrze – odparłam wysilonym, wesołym tonem, podczas gdy miałam tysiąc myśli na minutę. Przypomniałam sobie, jak wesoły wydawał się Frank, kiedy przyszedł do mnie. Chciał mi wtedy powiedzieć, że się rozstali, a ja nawet nie dałam mu skończyć. Uciekłam przed nim. Tak bardzo żałowałam, że nie dałam mu wtedy skończyć zdania, bo teraz nie byłam już pewna, co to wszystko znaczy.

– No więc, hmmm... – głos Franka drżał jak nigdy wcześniej – co ty...

– O Boże – zawołałam, wskazując palcem przez okno, za którym pojawił się nagle zjazd 14 A. – Musimy tam skręcić. – Frank zerknął za okno, przeciął dwa pasy, na których – na szczęście – nie było innych samochodów – i skręcił w zjazd na River Port. – Przepraszam – powiedziałam, kiedy zjechaliśmy z drogi międzystanowej – nie chciałam ci przerwać.

Naprawdę bardzo, bardzo nie chciałam mu przerwać, bo miał powiedzieć, coś bardzo ważnego.

– Nie szkodzi. – Zatrzymał się na czerwonym świetle i spojrzał na mnie. – Ja tylko... – kierowca za nami nacisnął klakson, a Frank rozejrzał się dokoła – tu mam skręcić w prawo?

Wyciągnęłam wskazówki i pomyślałam, że to chyba najgorszy możliwy moment na ważną rozmowę.

– W prawo – potwierdziłam, a Frank skręcił. Spojrzałam na trasę, która stawała się coraz bardziej skomplikowana.

– Nie musimy rozmawiać o tym teraz – powiedział. Wskazał na wskazówki w mojej dłoni. – Najpierw tam dojedźmy.

– OK – odparłam, zbyt wiele razy kiwając głową. W zasadzie cieszyłam się, że mam chwilę na to, by zastanowić się nad wszystkim, czego się właśnie dowiedziałam. Podążanie za jasnymi wskazówkami prowadzącymi do Brookside Lane 4 wydawało mi się łatwiejsze niż rozplątywanie kłęбка moich emocji.

Oboje opuściliśmy szyby. Ciepłe, wieczorne powietrze wypełniło samochód. Jechaliśmy główną ulicą przedmieścia, po której obu stronach znajdowały się drogerie i sklepy z ubraniami, ale też wiele pustych witryn i tablic „na sprzedaż”. Skręciliśmy w okolice, która zdawała się piękna, choć zniszczona, pełna rezydencji oddzielonych pasami pustej ziemi. Po kilku milach wiedziałam już, że jesteśmy niedaleko.

– Dojeżdżamy do Brookside – powiedziałam, pochylając się, żeby lepiej się przyjrzeć. – Po lewej. – Po chwili zobaczyłam znak na wpół zakryty przez rozrośnięte gałęzie drzewa. – O, tam.

– Nie ułatwiają sprawy – wymamrotał Frank, skręcając.

Szukaliśmy numeru cztery, ale wyglądało na to, że nie była to zwykła ulica, na której zadanie to byłoby proste. Minęliśmy podjazd pierwszego domu, ale dopiero po kilku minutach zobaczyliśmy drugi. Drzewa po obu stronach były tak wysokie, że niemal łączyły się nad naszymi głowami, tworząc baldachim.

Zerknęłam na telefon, kiedy mijaliśmy trzeci dom. Była już prawie ósma, zapadała noc, a cienie drzew wydłużały się wszędzie wokół.

– Jesteś pewna, że to właściwy adres? – spytał Frank.

Włączył przednie światła, które w półmroku wydały się nagle bardzo jasne. – Bo nie wydaje mi się...

– To tam – wskazałam ręką podjazd.

Gdybyśmy go nie szukali, pewnie byśmy go nie zauważyli. Po obu stronach podjazdu stały ceglane słupki, a na każdym z nich mosiężne plakietki z napisem „Brookside 4”. Cegły jednak kruszyły się, a mosiądz wyglądał, jakby nikt nie polerował go od dawna.

Frank skręcił na podjazd, a ja poczułam, jak szybko bije mi serce. Kiedy zobaczyłam dom, odpięłam pas i pochyliłam się naprzód, by lepiej się przyjrzeć.

Dom był duży i biały. Dało się poznać, że kiedyś wyglądał okazale, ale teraz farba odpadała, a trawnik wydawał się dawno niekoszony. Ledwie to jednak dostrzegłam, bo na schodkach rezydencji, w półmroku siedziała dziewczyna, która czytała gazetę

i popijała Colę Light.

Frank ledwie zdążył zatrzymać samochód, a ja już z niego wyskoczyłam, zatrzasnęłam za sobą drzwi i ruszyłam ku mojej najlepszej przyjaciółce.

Sloane uniosła wzrok i otworzyła szeroko usta. Przyglądała się, jak podchodzę do niej w półmroku.

Uśmiechnęłam się, nim powiedziałam:

– Cześć.

ZNAJDŹ SWOJĄ ZGUBĘ

– Emily?

Sloane upuściła czasopismo i wstała. Schodząc po schodkach, potknęła się raz. Stała przede mną z szeroko otwartymi oczami, jakby nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę.

– Hej – wyszeptałam, czując, że łzy napływają mi do oczu.

– O Boże – powiedziała zaskoczona, wciąż kręcąc głową.

Potem jednak uśmiechnęła się, a ja zobaczyłam, że jej niebieskie oczy też zaczynają się szklić. – O Boże – powtórzyła i objęła mnie mocno. Nie byłam pewna, czy płaczę, czy śmieję się, czy robię obie rzeczy jednocześnie, ale cokolwiek to było, Sloane robiła to samo. – Co ty tu robisz? – spytała, kiedy odsunęliśmy się od siebie. – Jak mnie znalazłaś? To znaczy...

– To długa historia – powiedziałam, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od Sloane.

Spodziewałam się, że zobaczę Sloane, którą zapamiętałam: w jakiejś sukience vintage, z pomalowanymi na czerwono ustami i brzęczącymi kolczykami w uszach. Ona była jednak ubrana w dżinsowe szorty i starą koszulkę, którą wkładała kiedyś tylko jako piżamę, włosy miała związane w niedbały kucyk, a różowy lakier na paznokciach u stóp był niemal całkiem zdrapany. To oczywiście wciąż była Sloane... ale w nowej, obcej mi dotąd wersji.

Wzięłam oddech, żeby zacząć moją opowieść, kiedy usłyszałam zatraskujące się drzwi samochodu. Frank wysiadł i oparł się o maskę. Ktoś inny pewnie zostałby w środku albo przynajmniej wyglądałby na zagubionego, ale on wydawał się na swoim miejscu, jakby pomaganie przyjaciółkom w odnajdywaniu się było tylko jednym z jego codziennych obowiązków.

– Hej – zawołał i pomachał do nas ręką.

Sloane zmrużyła oczy w ciemności.

– Emily, być może majaczą – powiedziała spokojnie, zwracając się do mnie – ale mogłabym przysiąc, że to Frank

Porter.

Pokiwałam głową i przywołałam go gestem.

– Jak już mówiłam – zwróciłam się do niej – to długa historia.

Dwadzieścia minut później siedziałyśmy we dwie na tylnym ganku.

Był duży, znajdowały się tam huśtawka, donice z kwiatami, wiklinowe fotele i wyblakłe od słońca poduszki z łatami. Tuż obok płynął strumyk, od którego pochodziła nazwa ulicy, a który teraz, gdy zapadała rozjaśniana jedynie przez świetliki noc, słyszałam lepiej, niż widziałam. Sloane była sama w domu – Milly, Anderson i jej ciotka Laney wyjechali na weekend do Charleston. Wyglądało bowiem na to, że przeprowadzili się teraz do ciotki na stałe.

Frank powiedział, że jest wykończony, i spytał, czy może się na chwilę walnąć na kanapę. Nie byłam pewna, czy faktycznie jest zmęczony, czy może chciał, żebyśmy miały trochę czasu tylko dla siebie. Gdy przypomniałam sobie, jak spędził dzień – że przez wiele godzin prowadził w słońcu i w odróżnieniu ode mnie nie uciał sobie drzemki – pomyślałam, że może chodzić o obie te rzeczy.

Sloane przyniosła nam po Coli Light i chodziła po ganku w tę i z powrotem na bosaka, zapalając świece i przypinając sznur lampek, których ponoć jej ciotka nie znosiła, ale które ona wyciągnęła i tak.

Kiedy zapaliła światło, usiadła obok mnie i patrzyłyśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Nagle poczułam, że mamy sobie do powiedzenia tak dużo, że nawet nie wiemy, od czego zacząć.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – powiedziała, krzyżując nogi i kręcąc głową. – Wciąż boję się, że to sen i że w każdej chwili mogę się obudzić. – Przechyliła głowę na bok, przyglądając mi się uważnie. – Świetna fryzura – powiedziała. – Bardzo mi się podoba.

Uśmiechnęłam się i odgarnęłam grzywkę. Jakaś część mnie pragnęła tylko, byśmy znowu, przynajmniej na jakiś czas, stały się „Sloane-i-Emily”. To byłoby proste: kilka razy popatrzyła już na

mnie pytając, wyraźnie chcąc dowiedzieć się, o co chodzi z Frankiem, a ja naprawdę miałam ochotę po prostu dobrze się bawić i wrócić do dawnych, szczęśliwych czasów. Potrzebowałam jednak odpowiedzi i nie zamierzałam wyjechać stąd bez nich.

Sięgnęłam do torby i wyciągnęłam z niej listę. Kartka była cała pogięta po miesiącach ciągłego składania i rozkładania.

– Dostałam twoją listę – powiedziałam. – Wykonałam zadania.

Uniosła gwałtownie głowę.

– Wszystkie?

– Wszystkie – odparłam, oddając jej kartkę.

– Naprawdę? – spytała. Wydawała się zszokowana i nieco sceptyczna. – Kapałaś się nago?

– Po prostu wyjechałaś – powiedziałam, czując, jak głos mi się trzęsie, kiedy przypomniałam sobie jej zniknięcie, tygodnie milczenia, listę, którą dostałam bez żadnego wyjaśnienia. – Nie miałam pojęcia, gdzie się podziałaś. Dostałam tylko to.

Sloane patrzyła na mnie przez chwilę, a ja niemal namacalnie wyczuwałam tę część jej natury, która boi się konfrontacji. O dziwo jednak, pokiwała głową.

– Wiem – odparła. – I jest mi przykro. Po prostu pomyślałam, że tak będzie najlepiej.

– Jakim cudem miałyby być najlepiej? – spytałam. – Spędziłam całe lato, zastanawiając się, co się z tobą stało i czemu nawet nie chciało ci się poinformować mnie o swoim wyjeździe.

– Żartujesz? Przecież nie o to chodziło – odpowiedziała szybko, nieco urażona.

– A o co?

Sloane zwróciła głowę w stronę strumyka i mogłabym przysiąc, że usłyszałam kumkanie żab. Kiedy czekałam na jej odpowiedź, jakaś część mnie wciąż nie mogła uwierzyć, że tu jestem, że siedzę ze Sloane w tę wilgotną noc na ganku w Południowej Karolinie.

– Kiedy przeprowadzasz się tak często jak ja – powiedziała wreszcie, wciąż na mnie nie patrząc – wiesz, jak to się skończy.

Obiecujesz, że pozostaniesz w kontakcie z przyjaciółmi, ale to się nigdy nie udaje. Potem zapominasz, jak się czułaś jako przyjaciółka tej osoby, za co ją lubiłaś. Nie znoszę tego. I nie chciałam, żeby to się znów stało. Nie z tobą.

Wciąż nie widziałam jej twarzy, ale znałam ją na tyle dobrze, by słyszeć drzenie w jej głosie, które starała się ukryć.

– I co wtedy? – spytałam, starając się brzmieć możliwie łagodnie. – Postanowiłaś wyjechać bez wyjaśnienia?

– Pomyślałam, że tak będzie lepiej – odparła, przecierając twarz i wreszcie zwracając się do mnie. – Jeśli zapamiętam tylko, jak było wspaniale. Nic więcej. Tylko najlepszą przyjaciółkę, jaką kiedykolwiek miałam.

Poczułam, jak warga zaczyna mi drżeć i zagryzłam ją, chcąc opanować myśli. Rozumiałam, o co jej chodzi. W teorii. Ale tylko w teorii. Zanim zdążyłam wszystko rozważyć, słowa wydobyły się z moich ust z prędkością karabinu.

– Nie – pokręciłam głową. Zaczęła się godzina szczerości, która obowiązywała nas obie. Sloane zerknęła na mnie, a w jej spojrzeniu dostrzegłam zaskoczenie. – Nie możesz zostawiać ludzi za sobą, bez pożegnania, tylko dlatego, że uważasz trwałą przyjaźń za zbyt trudną. Nie da się tak żyć.

– Nie rozumiesz – wyszeptała.

Przez chwilę patrzyła na wodę, a ja wiedziałam, że gdybym wciąż odgrywała tę samą rolę w naszej przyjaźni – tę, w którą chciała mnie znów wepchnąć, tak jak wpycha się stopy w ulubione buty, nawet kiedy są już za małe – dałabym spokój, nie nalegałabym i przesłabym do innych tematów.

– W takim razie pomóż mi zrozumieć – poprosiłam, patrząc jej prosto w oczy.

Sloane wypuściła powoli powietrze.

– Wiesz, dlaczego tak często się przeprowadzamy? – spytała wreszcie. Wpatrywała się w ziemię. – Bo moi rodzice przepuścili wszystkie swoje oszczędności, a nigdy nie mieli normalnej pracy. Jeździmy do drugich domów albo letnich rezydencji naszych znajomych lub krewnych, którzy ich akurat nie używają. Czasem

Andersonowi udaje się zrobić jakiś dobry interes, a wtedy mamy trochę pieniędzy, ale szybko znikają... – Nim jej głos się urwał, usłyszałam w nim zmęczenie.

Patrzyłam na nią przez chwilę. Nagle przestałam rozpoznawać siedzącą obok mnie osobę, choć wydawało mi się, że tak dobrze ją znam. Choć ja dzieliłam z nią wszystkie sekrety, ona swoje ukrywała przede mną.

– A więc jednak skłamałaś. – Poczulałam, że znów ogarnia mnie wściekłość. Myślałam o tym, jak zachwycona byłam Sloane od chwili, kiedy ją poznałam, o tym, jak bardzo chciałam być taka jak ona – a wszystko to było kłamstwem. Wszystko. – Dlaczego...

– Bo to takie żenujące! – Głos Sloane załamał się na ostatnim słowie, a jej ręce się trzęsły. – Ty masz doskonałą rodzinę. A ja mam Milly i Andersona – roześmiała się smutno. – Powtarzałaś, że moi rodzice są tacy fajni, że nasze życie jest takie ciekawe, nasz dom tak piękny... – Pokręciła głową. – Wiesz, że to nie był nawet nasz dom? Spadkobiercy się o niego kłócili, a Milly jest jakąś daleką kuzynką, więc namówiła ich, żeby uczynili z nas „opiekunów”. A kiedy testament wszedł w życie, oczywiście nas wyrzucili. – Spojrzała na mnie, a potem znów na swoje dłonie. – Przepraszam – wyszeptała. – Ja po prostu... chciałam, żebyś mnie lubiła.

Oparłam się o schodek, próbując jakoś to sobie poukładać. Przyszedł mi do głowy pokazowy dom rodziców Franka – struktura, która wydawała się doskonała tylko z zewnątrz. Popatrzyłam na Sloane, na jej zgarbione ramiona i nagle zdałam sobie sprawę, jak trudno musiało być jej utrzymać to wszystko w tajemnicy przed wszystkimi – nawet przede mną. I że to nie ma znaczenia.

– Nieważne – powiedziałam, kręcąc głową. – Żałuję, że mi o tym nie powiedziałaś, ale dom... przecież to nie ma żadnego znaczenia.

Oczy Sloane były pełne łez.

– Naprawdę? – spytała szeptem. Pokiwałam głową, a ona wytarła oczy palcami.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy. Miałam wrażenie, że coś się zaczyna. Mówiła prawdę, a ja nie podążałam za nią ślepo. Pomyślałam, że to całkiem nowa sytuacja, że może uda nam się rozpocząć kolejny rozdział naszej przyjaźni – choćby miał być całkiem inny od poprzedniego.

Sloane oparła się o mnie, a ja objęłam ją. Już po chwili nie było jasne, która z nas przytula którą.

– No, no – odezwała się po dłuższej chwili. Ku mojemu zaskoczeniu wyciągnęła listę i uśmiechnęła się. – Pływanie nago – powiedziała, zwracając się do mnie. – Opowiadaj.

– To był twój pomysł – roześmiałam się. Przypomniałam sobie noc na plaży, tę wspaniałą historię, w którą nigdy by nie uwierzyła.

– Emily – powiedziała – ja nigdy nie pływałam nago!

– Jeśli chcesz, mogę ci dać kilka wskazówek – uśmiechnęłam się. – Na przykład... uważaj, gdzie zostawiasz ręcznik.

Wciąż patrzyła na mnie tak, jakby nie była pewna, kim właściwie jestem.

– I naprawdę użyłaś dowodu Penelope? I pocałowałaś kogoś? O mój Boże: kogo?

– Próbowałam ukraść twoją tabliczkę z kina – powiedziałam – ale spadła i prawie mnie złapali. Frank mnie wykupił. – Sloane popatrzyła na mnie, zaalarmowana, więc dodałam szybko: – Nie dosłownie! Po prostu wymyślił jakąś wymówkę.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to wszystko zrobiłaś – powiedziała z podziwem. – Jeździłaś konno?

– Chyba myślałam, że dzięki temu cię znajdę – wyjaśniłam. – Sama nie wiedziałam, jakim cudem miałyby się to stać, ale w to wierzyłam.

– Może tak się właśnie stało. – Sloane uśmiechnęła się, patrząc na listę.

Pomyślałam o tym, w jaki sposób się tam dostałam – i że pewnie nie spędziłabym wakacji z Frankiem, gdybym wtedy, pierwszego dnia, nie pojechała do Sadu. Ani nie zaprzyjaźniłabym

się z Dawn, gdybym nie chciała przytulić Jamiego. Myślałam o wszystkim, co dała mi jej lista, i o wszystkim, co wydarzyło się z jej powodu.

– Może masz rację.

Kiedy komary zaczęły nas atakować, weszliśmy do środka. Frank budził się właśnie ze swojej drzemki. Sloane podgrzała mrożoną pizzę, narzekając na to, że do River Port nie można zamówić dostawy. Zjedliśmy, stojąc przy kuchennej ladzie, a kiedy Frank pochłonął trzy kawałki, udał się do łóżka w gościnnym pokoju, które posłała dla niego Sloane. Ustaliliśmy – choć nawet nie chciałam o tym myśleć – że następnego dnia powinniśmy wyruszyć w drogę o siódmej. Musiałam wrócić wcześniej niż rodzice, tak, żeby nie zauważyli, że pojechałam z jakimś chłopakiem na wycieczkę przez wiele stanów.

Sloane pożyczyła mi piżamę i szczoteczkę do zębów, a kiedy rozłożyłam koszulkę, zobaczyłam, że to mój T-shirt z plakatem filmu *Bug Juice*.

Spaliśmy na krytej werandzie, gdzie urządziła prowizoryczną sypialnię podczas fali upałów, która nawiedzała obecnie River Port. Sloane leżała na kanapie, a dla mnie rozłożyła łóżko polowe. Postawiłyśmy je obok siebie, żebyśmy nie musiały unosić głosu podczas rozmowy.

– OK – powiedziała, kiedy zgasiłyśmy ostatnie światła, a ja ledwie dostrzegłam ją w świetle księżyca. – Teraz opowiedz o Franku.

Uśmiechnęłam się, oparta o poduszkę i opowiedziałam jej ogólną historię – o naszej przyjaźni, o tym, jak się zakochałam, o pocałunku, rozstaniu z Lissą. I o tym, jak trafiliśmy razem do jej domu.

– O Boże – powiedziała, kiedy skończyłam. Miałam nadzieję, że zareaguje właśnie w ten sposób. Odpowiadała we właściwych momentach, a ja coraz silniej zdawałam sobie sprawę, jak bardzo mi jej brakowało – jej entuzjazmu, jej akceptacji, tego, że nawet gdy się myliłam, stawała po mojej stronie. – To znaczy – ciągnęła, nie czekając na moją odpowiedź – co teraz?

– Nie wiem – odparłam powoli. Gdybyśmy z Frankiem spróbowali być razem, gdybyśmy stali się rzeczywistością, byłoby to przerażające, ale również niesłychanie ekscytujące.

– Właśnie rozstał się z wieloletnią dziewczyną – zauważyła Sloane. – Czy nie będziesz dla niego tylko dziewczyną na pocieszenie?

– Nie – odparłam automatycznie, nawet przez chwilę się nad tym nie zastanawiając. Zdałam sobie sprawę, że Sloane nie zna Franka. I że nie zna też takiej mnie, jaką się przy nim stałam. – To coś więcej.

– Ale... – oparła się na łokciu. – Frank Porter jest najpoważniejszym gościem, jakiego znamy. Jeśli zaczniesz się z nim umawiać, będziesz... zajęta.

– Właśnie tego chcę – odparłam bez zastanowienia.

– Naprawdę? – spytała Sloane. Nie z niedowierzaniem, tylko nieco zaskoczona.

– Wiem, że to może się nie udać – powiedziałam. – Wiem też, że to przerażające, ale czasem ważne sprawy są tego warte.

– I jak się z tym czujesz? – spytała Sloane cicho, ze szczerą ciekawością.

Natychmiast przyszła mi do głowy odpowiedź. Czułam się tak, jak wtedy kiedy pływałam pod gwiazdami, kiedy spałam pod gołym niebem, wdrapywałam się na drzewo i przyglądałam wszystkiemu wokół. Było strasznie i bezpiecznie, spokojnie i ekscytująco jednocześnie. Tak właśnie czułam się, kiedy byłam z nim.

– Jak w dobrze zorganizowanym wszechświecie.

Przez kilka minut milczałyśmy, a ja pomyślałam, że to nic nie szkodzi. Może nie musiałyśmy analizować wszystkich swoich uczuć?

– Em? – odezwała się wreszcie Sloane. – Pytam tylko dlatego, że nie chciałabym, żeby ktoś cię zranił. Co będzie, jeśli nic z tego nie wyjdzie?

Kiedy odpowiadałam, w moim głosie była nadzieja:

– A co, jeśli wyjdzie?

Obudziłam się, kiedy na zewnątrz wciąż było ciemno. Sięgnęłam pod łóżko, żeby sprawdzić godzinę na telefonie. Osłoniłam światło ekranu, by nie obudzić Sloane. Była piąta trzydzieści. Zdziwiłam się, że obudziłam się tak wcześnie, zwłaszcza po naszej wielogodzinnej rozmowie.

Tematów było po prostu zbyt wiele i za każdym razem, kiedy któraś z nas wspominała, że powinnyśmy trochę się przespać, przychodził nam do głowy kolejny. Kiedy próbowałyśmy wcisnąć w kilka godzin trzy miesiące rozmów, miałam wrażenie, że walczymy z nadchodzącym świtem, jak byśmy chciały zatrzymać nadchodzący dzień.

Potem jednak chwile ciszy stały się dłuższe, aż zapadło całkowite milczenie, a ja zasnęłam ze świadomością, że gdybym miała teraz Sloane do powiedzenia coś jeszcze, ona z pewnością by mnie wysłuchała.

Teraz, wstając z łóżka, starałam się jej jednak nie obudzić. Wciąż było ciemno, ale gwiazdy powoli znikwały i podejrzewałam, że zaraz wyjdzie słońce. Pod jedną ze świeczek zobaczyłam moją listę, którą zostawiłyśmy tam poprzedniego dnia. Już chciałam schować ją do torby, kiedy wpadł mi do głowy pewien pomysł. Wzięłam torebkę i wyszłam na zewnątrz. Znalazłam długopis i plan pracy w Rajskich Lodach na następny tydzień. Położyłam kartkę czystą stroną do góry, zapaliłam jedną ze świec i zaczęłam pisać.

1. Dzwon do swojej najlepszej przyjaciółki dwa razy w tygodniu.
2. Odbieraj telefon.
3. Jeśli poznasz kogoś, kto ci się spodoba, poczekaj dwa tygodnie, nim go pocałujesz.
 - 3a. (OK, starczy tydzień).
4. Spotykaj się tylko z kimś, kto przed odjazdem upewni się, że weszłaś bezpiecznie do domu.
5. Jeśli jesteś na kogoś zła, powiedz mu o tym. Przysięgam, że nic złego się nie stanie.
6. Zrób prawo jazdy. (Dzięki temu będziesz mnie mogła

wozić po okolicy, kiedy przyjadę z wizytą).

7. Przytul jakiegoś Carla.

Pisałam dalej, starając się zrobić dla Sloane to samo, co ona zrobiła dla mnie. Kiedy skończyłam, dodałam ostatnie zdanie: „kiedy skończysz, znajdź mnie i opowiedz mi o wszystkim”.

Usłyszałam otwierające się drzwi werandy, odwróciłam się i zobaczyłam Sloane w jedwabnej piżamie vintage, którą kupowałyśmy razem. Usiadła na schodku obok mnie.

– Hej – powiedziała, ziewając. – Nie było cię już, kiedy się obudziłam.

– Taaak. – Uniosłam brwi. – To naprawdę okropne uczucie, prawda?

Sloane roześmiała się. Wiedziałam, że mnie rozumie. Głową wskazała na kartkę na moich kolanach.

– Co to jest?

– To dla ciebie – powiedziałam, podając jej listę. Rozłożyła ją i zaczęła czytać, a ja patrzyłam, jak wyraz jej twarzy się zmienia. – Pomyślałam, że przyda ci się coś na początek – powiedziałam. – Wiesz, skoro ja zaliczyłam wszystkie punkty.

Sloane uśmiechnęła się i trąciła mnie ramieniem, a ja przysunęłam się bliżej.

– Chyba powinnaś jechać, prawda? – spytała po kilku minutach łagodnym, smutnym głosem.

– Powinam – odparłam.

Żadna z nas się jednak nie poruszyła, choć nad stawem zobaczyłam pierwszą wstęgę świtu, a dzień wreszcie nadszedł.

O siódmej trzydzieści byliśmy z Frankiem gotowi do wyjścia. Wzięłam prysznic i pożyczyłam jedną z sukienek Sloane – uznała, że jest mi to winna po tym, jak zabrała mi koszulkę z *Bug Juice*. Kiedy wyszłam na ganek z torebką, Frank i Sloane rozmawiali, ale przerwali, kiedy do nich podeszłam. Zmartwiło mnie to nieco, zwłaszcza że Sloane, gdy znacząco spojrzałam, puściła do mnie oko.

Frank miał na sobie koszulkę zawodów golfowych w Hilton Head, co z początku wydało mi się nieco dziwne, po chwili jednak

pomyślałam, że Sloane pożyczyła mu pewnie ciuch Andersona. Frank pożegnał się ze Sloane i podszedł do samochodu: wiedziałam, że daje nam chwilę, byśmy pożegnały się sam na sam.

– No to... – powiedziała Sloane – pogadamy dziś wieczorem?

Pokiwałam głową. Poprzedniej nocy umówiliśmy się, że będziemy rozmawiać ze sobą przynajmniej dwa razy w tygodniu. Nie mogła mnie znów opuścić, a ja nie mogłam opuścić jej.

– Zadzwoń, jak tylko dojadę na miejsce – obiecałam.

Sloane pokręciła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że tu przyjechałaś – powiedziała. Jej dolna warga drżała, a ja czułam, że z moją dzieje się to samo. – Ja po prostu... – zaczęła.

– Ja też – pokiwałam głową.

Przytuliliśmy się mocno. Wiedziałam, że będę za nią tęsknić. Ale jednocześnie czułam, że wszystko będzie w porządku między nami. Nie mogłam być pewna, co się stanie. Może uda nam się trafić na tę samą uczelnię, zostać współlokatorkami i udekorować swój pokój najpiękniej na świecie. Może pozostaniemy przyjaciółkami na odległość i będziemy sobie wysyłać listy. Albo rozmawiać dwa razy w tygodniu, może na wideoczacie, lub wydawać wszystkie nasze pieniądze na podróże w tę i z powrotem. Byłam pewna, że szczegóły nie mają tu znaczenia. Była moim sercem, częścią mnie i nic nie mogło tego zmienić. A już na pewno nie jakichś kilkaset nędznych mil.

Oderwałyśmy się od siebie, a Sloane przetarła oczy.

– Przepraszam – wyszeptała.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Nic nie szkodzi.

– Porozmawiamy wieczorem – rzekła i to nie było pytanie.

Taka była nasza umowa.

– Wieczorem – odparłam.

Patrzyłyśmy na siebie jeszcze chwilę, chociaż doskonale wiedziałyśmy, że musimy się rozstać. Zmusiłam się, by podejść do samochodu.

Wsiadłam i spojrzałam na Franka.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy zapięłam pas i opuściłam szybę.

Popatrzyłam na Sloane, która stała wciąż na schodach, jakby nie zamierzała wejść do środka.

– Tak – powiedziałam. – W porządku.

Frank ruszył przed siebie, a ja odwróciłam się, żeby raz jeszcze spojrzeć na moją przyjaciółkę. Sloane szła za nami i machała nam na pożegnanie. Kiedy skręciliśmy w główną ulicę, wystawiłam głowę przez szybę, żeby odwzajemnić ten gest, a ona zobaczyła to i uśmiechnęła się. Towarzyszyła nam jeszcze chwilę, jakbyśmy byli malutką paradą, machała i machała, aż wreszcie Frank skręcił, a ona zniknęła.

18
ZARYZYKUJ

Tym razem nie włączyliśmy radia, ale wcale nie miałam ochoty go słuchać. Szyby były opuszczone, a ciepłe powietrze w samochodzie rozwiewało włosy Franka, które odstawały w różne strony. Musiałam mocno się wysilić, żeby nie sięgnąć i ich nie wygładzić.

Oderwał wzrok od drogi i spojrzał na mnie, a ja nie zarumieniłam się ani nie odwróciłam. Po prostu odwzajemniłam jego spojrzenie. Między nami znów było napięcie, ale nie tak naładowane wściekłością jak dzień wcześniej. Teraz tylko denerwowałam się trochę, jak denerwują się ludzie przed jakimś ekscytującym wydarzeniem – w kolejce górskiej przed startem, w ciszy przed imprezą-niespodzianką, sekundę po zeskoku z trampoliny, nim jeszcze wpadasz do wody, kiedy zamykasz oczy i przez chwilę wydaje ci się, że latasz. To uczucie, które pojawia się, kiedy coś dobrego jest już blisko, w zasięgu ręki.

Frank prowadził z jedną ręką na kierownicy, drugą położył między nami. Nim zdążyłam to przemyśleć, zaskakując samą siebie, przysunęłam się i oparłam dłoń na jego dłoni.

Uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od drogi i splótł swoje palce z moimi. Serce zaczęło bić mi dwa razy szybciej, ale trwało to tylko chwilę, bo Frank zabrał rękę, włączył kierunkowskaz i skręcił w bok z autostrady.

– Gdzie jedziemy? – spytałam, zaskoczona.

– Zobaczysz – odparł z uśmiechem.

Pochyliłam się, żeby sprawdzić, co jest przed nami, ale on po chwili znów skręcił, tym razem w wąską, żwirową drogę bez nazwy.

– Skąd w ogóle wiesz o tym miejscu?

Słońce już wstało, ale droga była tak zarośnięta, że mogło się wydawać, że znów zapadła noc.

– Sloane wspomniała coś o jednym ze swoich ulubionych

miejsc – powiedział, skręcając raz jeszcze.

Gęste drzewa rozstały się, a Frank zaparkował na polanie, zgasił silnik i wysiedliśmy. Z tego miejsca rozciągał się piękny widok, który nie został jednak oznaczony dla turystów, oglądaliśmy go więc jako jedyni. Przed nami widniała przepiękna dolina stopniowo oświetlana promieniami słońca.

Frank odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Był tak bardzo blisko.

– Hej – powiedział.

Uniosłam głowę. Teraz, gdy właściwy moment nadszedł, już się nie bałam. Co będzie, to będzie. Wiedziałam, że nie mogę tego kontrolować. Ale byłam gotowa.

– Hej – odparłam.

– W dobrze zorganizowanym wszechświecie – powiedział wyraźnie zdenerwowany – mógłbym zrobić to. – Pochylił się i pocałował mnie delikatnie, po czym wycofał się, jakby chciał się upewnić, że się zgadzam.

– Wygląda na to, że w takim jesteśmy – uśmiechnęłam się. Słońce wschodziło za nami. Pochylił głowę, by mnie pocałować, ja zrobiłam krok naprzód.

Ku niemu i wszystkiemu, co miało nadejść.

- ¹ *Don't let me down.*
- ² *You said you'd pay this time.*
- ³ *In my life, have I ever lied to you?*
- ⁴ *Let it be.*
- ⁵ *We don't need to go into that.*
- ⁶ *I'm looking through you.*
- ⁷ *With a little help from my friends.*
- ⁸ *Wait.*
- ⁹ *Help.*
- ¹⁰ *The Biggest Little City in the World* – popularne określenie miasteczka Reno (przyp. tłum.)

